

Zadzwoń do Jo-Jo. Pilne” - przeczytała Christy na jednej ze stosu kartek, który urósł na biurku w ciągu jej dwutygodniowego urlopu. Choć wiadomość była sprzed trzech dni, poczuła niepokojący ucisk w okolicach żołądka.

Jej młodsza siostra nie dawała znaku życia przez dwanaście lat. Ostatnim razem, kiedy się odezwała, miała do zakomunikowania wyłącznie złe wieści. Jej telefon nie mógł wróżyć nic dobrego.

Christy poczuła znajome uczucia: miłość i poczucie winy. Jo-Jo nie mogła nic poradzić na to, że natura obdarzyła ją urodą, która wprawiała ludzi w osłupienie. To nie jej wina, że wszyscy dokoła prześcigali się w nadskakiwaniu jej. Czy w tej sytuacji można było ją winić za to, że uważała się za pępek świata? Można lubić dla zalet, ale kiedy się kogoś kocha, trzeba się pogodzić z jego wadami, pomyślała Christy. Mimo wszystko kochała swoją piękną siostrę na dobre i na złe.

Chłodny powiew przeszłości dosięgnął ją, kiedy przeglądała pozostałe wiadomości. Po ponad dziesięcioletnim milczeniu Jo-Jo dzwoniła aż pięć razy w ciągu dwóch tygodni.

Christy nigdy do końca nie wybaczyła siostrze, że ta przez całe życie odbierała jej wszystko, co tylko wpadło jej w oko: ciuchy, buty, przyjaciół, narzeczonych, no i złoty naszyjnik babci. Co prawda, ze wszystkiego, co się dostało w ręce Jo-Jo, jedynie pamiątka po babci przedstawiała dla Christy prawdziwą wartość. Naszyjnik był jedyną rzeczą z przeszłości, którą chciała zachować dla siebie. Jo-Jo doskonale o tym wiedziała. Właśnie dlatego postanowiła go jej odebrać. Dla Christy było to oczywiste. No i co z tego? - skarciła się w duchu. Przecież babcia nie żyje, Jo-Jo mieszka sobie, gdzie chce, a ja urządziłam się w Nowym Jorku i mam pracę, którą kocham. Czego chcieć więcej?

Z kwaśną miną rozejrzała się po gabinecie. Półki ugięły się pod ciężarem książek z dziedziny mody, filozofii, sztuki i zdobnictwa, poczynwszy od malowideł z epoki kamiennej aż po najbardziej zachwycające okazy diamentowych naszyjników od Tiffany’ego. Parapet jak zwykle nie grzeszył czystością. Widok z okna także się nie zmienił; wzrok padał prosto na jeden z nowojorskich drapaczy chmur. Wszystko było po staremu, na tabliczce na drzwiach wciąż widniał napis: „Christy McKenna - redaktor”.

Jednak Christy nie mogła się oprzeć wrażeniu, że nic nie jest już takie jak przedtem. Chyba przydałoby mi się jeszcze kilka tygodni urlopu, pomyślała. Może to się bierze z niepokoju, który odczuwała od czasu swoich trzydziestych trzecich urodzin? A może to nie zaleczone rany z przeszłości dawały o sobie znać?

„Zadzwoń do Jo-Jo”.

Mimo przykrych wspomnień Christy wciąż miała nadzieję, że kiedy to zrobi, wszystko będzie inaczej, że stare rany się zagoją. W końcu Jo-Jo była na tyle dorosła, by pojąć, że nie ona jedna cierpi, że inni ludzie także mają uczucia, a płakać potrafi każdy, nawet jej siostra.

Sięgnęła przez stół po najnowszy numer „Horyzontu” i szybko odnalazła sześciostronicowy blok reklamowy Petera Huttona. Zdjęcia przedstawiały jego najlepszą modelkę na pokładzie jachtu. Długonoga, niewinna i prowokująca zarazem blondynka ubrana była w pastelowy sweter i białe spodnie. Nadmorski wiatr zwiewał jej włosy na jedną stronę. Dziewczyna spoglądała przed siebie dużymi, zielonymi kocimi oczami. Sławna piękność znana była światu pod krótkim imieniem Jo.

Christy wpatrywała się w zdjęcie, bezskutecznie szukając w nim odpowiedzi na pytanie, jaki powód mogła mieć Jo-Jo, by się odezwać po tylu latach milczenia.

Uroda siostry nie miała nic wspólnego z modnym ideałem chudej jak szkielet anorektyczki. Przy szczupłej talii, biodra i piersi Jo-Jo były zdecydowanie kobiece. Przez cienką tkaninę i luźny ścieg swetra wyraźnie prześwitywały brodawki. Materiał spodni był równie cienki, niemal przezroczysty. Brunetka musiałaby wydepilować się aż po pępek, żeby włożyć coś takiego. Na Jo-Jo obcisły komplet wyglądał jak strój striptizerki na chwilę przed ostatnią odsłoną.

Cały Hutton, cała Jo-Jo. Pozornie niedbała, a jednak wyzywająco zmysłowa i manipulująca publicznością, jak chciała. Choć oboje niebezpiecznie często ocierali się o granicę złego smaku, zawsze udawało im się jakoś uniknąć tej etykiety. W dużej mierze dzięki urodzie Jo-Jo.

- O co tu może chodzić? - zapytała Christy fotografię siostry. - Czyżby Hutton odkrył, że nie jesteś tą jedyną, i miał zamiar wyrzucić cię na twoją piękną buzię?

„Pilne”.

Wzdrygnęła się i odłożyła pismo. Nie mogła dłużej lekceważyć potrzeb siostry, tak jak to robiła kiedyś, w innym miejscu i w innym czasie.

- Miej to wreszcie za sobą - przekonywała siebie. - Zadzwoń i dowiedz się, co się stało. Bo na pewno coś się stało.

Sięgnęła po książkę telefoniczną. Sprawdziła numer kierunkowy, spod którego dzwoniła Jo-Jo, i odnalazła miejscowość na mapie. Kolorado. Zaskoczona wpatrzyła się w mapę. Jo-Jo nienawidziła Zachodu jeszcze bardziej niż ona sama.

Sprawnie wystukała numer. Gdzieś w Kolorado zadzwonił telefon. Zaraz usłyszała krótkie, gwałtowne: „Tak?”

Natychmiast rozpoznała seksowny alt siostry. Ona też nie musiała się przedstawiać, wystarczyło, żeby użyła imienia Jo-Jo. Nikt poza nią nie nazywał tak Jody McKenna.

- Cześć, Jo-Jo. Co się stało?

Usłyszała, że siostra głęboko wciąga oddech, po czym zapadła cisza.

- Zaczekaj chwilę - powiedziała w końcu Jo-Jo.

Jej głos brzmiał zupełnie obojętnie. Jak panienci z centrali telefonicznej. Christy czekała, zaintrygowana i poirytowana jednocześnie. Znowu czuła się winna. Jo-Jo niewiele się zmieniła przez te dwanaście lat, odkąd ostatnio ze sobą rozmawiały. Christy wciąż miała poczucie, że to ona pierwsza powinna była wyciągnąć rękę do zgody. W końcu lepiej się znała na ludziach.

Usłyszała w słuchawce szuranie krzesła i odgłos zamykanych drzwi. Jo-Jo wróciła do telefonu. Tym razem odezwała się ożywionym, nieco drwiącym tonem. Całkiem jak za dawnych lat.

- Witaj, Rudzielcu. Założę się, że mój telefon nieźle cię wystraszył.

Rudzielec o zielonych oczach. Już dawno nikt jej tak nie nazywał. Całe wieki.

- Rzeczywiście, zaskoczyłaś mnie. W końcu to ty zastrzegłaś, żeby więcej nie zawracać ci głowy. Nie odpowiadałaś na moje listy, a teraz do mnie dzwonisz. Więc co się stało?

- Czytałam wszystkie twoje artykuły. - powiedziała Jo-Jo, ignorując pytanie. - To miło być podziwianym za intelekt, prawda?

Christy poczuła się jeszcze bardziej nieswojo.

- O co ci chodzi, Jo-Jo?

- Jak to o co mi chodzi?

- Nie dzwoniłabyś bez powodu.

Podobnie jak jej głos, śmiech Jo-Jo był uwodzicielski i odrobinę kpiący. Siostra umilkła na chwilę, by przypalić papierosa. Teraz pewnie zaciąga się głęboko i powoli wypuszcza dym.

- Rudzielcu?

W głosie Jo-Jo zabrzmiała tęskna nuta, ale było w nim także coś więcej. Coś, co sprawiło, że Christy dreszcz przebiegł po plecach.

Wyprostowała się na krześle, próbując się rozluźnić. Na próżno usiłowała sobie wmówić, że nie usłyszała w głosie siostry proszącego tonu, że nie było w nim samotności ani strachu.

- W tym roku przekroczyłam trzydziestkę - odezwała się Jo-Jo.

- Nic na to nie poradzisz - oceniła spokojnie Christy. - Poza tym niewielu ludzi w tym wieku może pochwalić się takimi osiągnięciami jak twoje.

- Do tej pory mam na swoim koncie tylko jedno osiągnięcie. - Rezygnacja w głosie Jo-Jo ustąpiła miejsca goryczy.

- Kiedy się jest modelką Huttona, jeden sukces wystarczy.

Jo-Jo pospiesznie zaciągnęła się papierosem. Kiedy wydmuchiwała dym, zabrzmiało to jak westchnienie.

- Powiedz mi, Christy - odezwała się znowu - w końcu jesteś ekspertem. .. jak ci się podoba nowa rozkładówka?

Nutka przekory w głosie siostry podpowiedziała Christy, że Jo-Jo domyśla się już jej opinii na ten temat. W dzieciństwie sporadyczne wysiłki Jo, by zdobyć aprobatę starszej siostry, rozdzierały Christy serce i przepelniały ją poczuciem winy.

- Jo-Jo - zaczęła łagodnie - to nic dziwnego, że mamy odmienne gusty i inaczej widzimy świat. Na tym właśnie polega dorosłość.

- Doprawdy? Zawsze byłaś jedyną osobą, która potrafiła mnie zranić. I nadal tak jest.

Christy czuła, że siostra nią manipuluje, ale była poruszona tym wyznaniem. Ścisnęło ją w gardle, poczuła wzbierające, od lat powstrzymywane łzy.

- A co z babcią? Na jej zdaniu ci nie zależało?

- To ty zawsze byłaś jej pupilka.

- Ciebie za to rozpieszczali wszyscy inni.

- Ale ja chciałam, żeby to ona mnie rozpieszczała.

Jo-Jo przerwała rozmowę, pewnie po to, by zaciągnąć się papierosem.

- Wiesz, dlaczego wyjechałam z domu, prawda? - spytała po chwili.

- Żeby dopiec babci.

- Chciałam, żebyś mogła spokojnie jechać do tej swojej szkoły na Wschodzie i robić karierę.

Christy się skrzywiła. Sądziła, że już dawno się uporała z wyrzutami sumienia. Stypendium, które wtedy przyjęła, było jej oknem na świat, ucieczką z wiejskiego piekła Wyoming. Nigdy już tam nie wróciła. Nie była w rodzinnych stronach ani razu od wyjazdu.

- Byłam z ciebie naprawdę dumna, kiedy dostałaś to stypendium. Teraz też jestem dumna z tego, co robisz. Jesteś

naprawdę ostra, wiesz?

- Muszę być ostra. Nikt by mnie nie docenił, gdybym się bawiła w sentymenty.

Jo-Jo roześmiała się i powiedziała nie bez złośliwości:

- Peter zarzeka się, że jesteś najlepsza w branży, chociaż zdarzało ci się nie zostawiać na nim suchej nitki. Czy to z mojego powodu?

Sygnalizująca nowe połączenie lampka rozproszyła uwagę Christy.

- Co z twojego powodu? - zapytała rozkojarzona.

- Czy projekty Petera podobałyby ci się bardziej, gdybym nie była jego modelką?

- Oczywiście, że nie.

Zabrzączał dzwonek wewnętrznego telefonu.

- Huttona nie interesuje moje zdanie - dodała Christy, ignorując interkom. - Nie jestem mu do niczego potrzebna, jego nazwisko jest znane na pięciu kontynentach. Twoje też.

- Wolałabym zamiast tego mieć znowu dwadzieścia jeden lat.

- Czas płynie tylko w jedną stronę. Gdzie teraz jesteś?

- W Xanadu.

- Co to takiego i gdzie to jest? - zapytała Christy.

- To wspaniałe ranczo w południowo-zachodnim Kolorado. Peter kupił je w zeszłym roku.

- Chyba są zakłócenia na linii - zdziwiła się Christy. - Wydawało mi się, że użyłaś jednocześnie słowa „ranczo” i „wspaniałe”.

- Wiele się zmieniło na Zachodzie. Ludzie są znacznie bardziej świadomi naturalnego bogactwa ziemi niż za czasów, kiedy dorastałyśmy.

Christy się skrzywiła. Słowa Jo-Jo miały w sobie coś ze sloganu reklamowego, powtarzanego na tyle często, że stracił na oryginalności.

- Sama zobaczysz, kiedy tu przyjedziesz - ciągnęła Jo-Jo.

Brzęczyk interkomu umilkł.

- O czym ty mówisz?

- Że przyjeżdżasz do Xanadu.

- Co takiego?

- Twój szefowiec nic ci nie powiedzieli? - zdziwiła się Jo-Jo. - Myślałam, że do tej pory wszystko jest już ustalone. Dlatego próbowałam cię złapać, zanim wyjedziesz.

- Wyjeżdżałam, ale nie do Kolorado. Ostatnie dwa tygodnie, miałem urlop.

Dzwonek interkomu rozległ się ponownie. Christy pomyślała, że może to jej szef usiłuje przekazać to, co właśnie usłyszała od Jo-Jo.

- Kiedy już będziesz na miejscu, możliwe, że usłyszysz różne nieprawdziwe opowieści na mój temat.

Christy znieruchomiała. Instykt podpowiadał jej, że zaraz się dowie, jaki jest prawdziwy powód telefonu siostry.

- Narobiłam tu sobie wrogów - oznajmiła Jo-Jo. - No wiesz, mężczyzn.

- Wydawało mi się, że mężczyźni szaleją na twoim punkcie.

- Ale czasami to bywa kłopotliwe. Niektórzy panowie nie lubią, kiedy się im mówi „nie”. Są tacy, których to naprawdę wkurza. Na przykład Cain.

- Kto?

- Aaron Cain. Trzymaj się od niego z daleka, kiedy już przyjedziesz. Słyszysz? On mnie nienawidzi i jest niebezpieczny.

- Jo-Jo, to bez sensu. Co się właściwie stało? - Tym razem Christy nie pytała: starsza siostra żądała odpowiedzi od młodszej.

- Dam ci naszyjnik babci, jeśli tu dojedziesz w ciągu trzech dni. Potrzebuję cię.

W słuchawce zapadła cisza. Christy wpatrywała się niepewnie w telefon. Zastanawiała się, ile prawdy jest w słowach siostry. Jako nastolatka Jo-Jo miała skłonności do dramatyzowania i lubiła wciągać innych w swoje fantazje. A jednak lęk, który się teraz wyczuwało w jej głosie, brzmiał bardzo prawdziwie. To nie może być strach, na pewno się myślę, pomyślała Christy. Minęło dwanaście lat. Nie znam jej już tak dobrze jak kiedyś. Ale wiedziała, że oszukuje samą siebie. Kiedy były dziećmi, często tuliła złotowłosą siostrzyczkę w ramionach przez długie godziny nocnych koszmarów. Dobrze wiedziała, jak brzmi jej głos, kiedy się boi. Właśnie tak jak teraz.

2

Dzwonek interkomu sprowadził Christy z powrotem na ziemię. Wcisnęła guzik i odezwała się machinalnie:

- McKenna, słucham.

- No, nareszcie - powitała ją Amy, redakcyjna sekretarka. - Myra wydzwaniała do mnie co minutę. Chce cię widzieć u

siebie.

- Teraz? Oficjalnie jestem jeszcze na urlopie.
- Trzeba było dać znać, gdzie się wybierasz, kiedy wyjeżdżałaś.
- Urlop bierze się po to, żeby mieć wolne.
- Powiedz to Myrze.

Christy odłożyła słuchawkę. Była spięta przed czekającą ją rozmową z szefową.

Z Myrą nie sposób było się zaprzyjaźnić. Należała do tak zwanej manhatańskiej śmietanki. Gładka jak wypolerowany marmur, miała w sobie mniej więcej tyle samo ciepła. Różniły się od siebie pod każdym względem: od poglądów na życie po upodobania w kwestiach mody. Myra ubierała się zgodnie z panującymi trendami. Christy najwyżej brała je pod rozwagę. Szefowa nigdy nie włożyłaby na siebie czegoś, co nie było lansowane przez ich pismo. Christy natomiast dawno już doszła do wniosku, że nie we wszystkim, co dobrze wygląda na modelkach, musi jej być do twarzy.

Dzwonek interkomu przypomniał głośno, że Myra czeka. Przeklinając w duchu biurowe układy, Christy ruszyła do gabinetu szefowej. Zawahała się na chwilę przed drzwiami, ale zaraz wsunęła głowę do środka.

- Wzywałaś mnie?

Zaskoczona Myra podniosła wzrok znad sterty projektów. Rzuciła Christy gniewne spojrzenie i zdarła z nosa okulary w rogowej oprawie. Zupełnie jakby była zła, że przyłapano ją na ich używaniu.

- Nie słyszałam, żebyś pukała.

- Przepraszam, ale nie pukam, odkąd Howard zagroził, że mnie zwolni za zbyt sztywne zachowanie.

Myra uśmiechnęła się kwaśno i wygładziła zakiet nad zgrabną, wzorzystą spódniczką. Jedno i drugie było projektu Huttona. W przedłużającej się ciszy uniosła wypielęgnowaną dłoń do sznura pereł na szyi i zaczęła przebierać po nich palcami. Spojrzała na błyszczący mosiężny zegar, stojący na biurku.

- Znowu bawiłaś się w policjantów i złodziei na strzelnicy? - spytała chłodno.

- Nie każdego stać na to, żeby dusić rabusiów sznurem pereł.

- Wszyscy pracownicy mają się stawiać w biurze o dziewiątej, jeżeli nie zostaną zawiadomieni o innych ustaleniach - warknęła Myra.

Christy pomodliła się w duchu o szybki powrót Howarda do zdrowia.

- Wiem o tym - powiedziała. - Wliczyłam sobie ten dzień do urlopu. Mam jeszcze do wykorzystania ponad miesiąc.

Uśmiech Myry był równie zimny i doskonały jak jej perły.

- Zamknij drzwi i usiądź, moja droga.

Christy wykonała polecenie.

- Wczoraj umarł Howard - oznajmiła szefowa.

Ból, który przeszył Christy, zaskoczył ją swoją intensywnością. Przez ostatnich dwadzieścia miesięcy Howard był trzy razy w szpitalu z powodu komplikacji związanych z AIDS. Za każdym razem dochodził do siebie i wracał do pracy, co prawda szczuplejszy i słabszy, jednak jak zawsze życzliwy i tryskający dowcipem. Jego podwładni nabrali pewności, że na przekór wszystkiemu Howard Kessler przeżyje, aż zostanie wynaleziony skuteczny lek przeciw jego chorobie.

Christy próbowała coś powiedzieć, ale nie mogła wydobyć głosu. Zamknęła oczy, usiłując się opanować.

- Jutro zostanę mianowana redaktorem naczelnym - ciągnęła Myra.

- Gratulacje - zdołała wykrztusić Christy.

Szefowa rzuciła jej przeciągłe spojrzenie i kiwnęła głową.

- Dziękuję - powiedziała oschle. - Miałśmy w przeszłości małe... hmm, nieporozumienia, ale jestem pewna, że teraz wszystko dobrze się ułoży.

Christy przytaknęła milcząco. Wciąż myślała o Howardzie i o swoich uczuciach wobec niego. Choć bardzo się różnili, jednakowo ich fascynował związek osobowości z upodobaniami estetycznymi.

- Trochę się teraz zmieni w firmie - mówiła dalej Myra. - Myślałam o twoim ostatnim tekście na temat diamentów. Chyba trochę za bardzo entuzjazmujesz się *art... art...*- Urwała, na próżno szukając w pamięci francuskiego słowa. Christy nie przyszła jej z pomocą.

- Wysły na jaw twoje prowincjonalne uprzedzenia do tradycji i europejskiego wyrafinowania - dokończyła wreszcie Myra.

Christy poczuła, że dłużej nie wytrzyma. Nie dość, że nowa naczelna właściwie ucieszyła się ze śmierci poprzednika, to jeszcze krytykowała jeden z najlepszych, jego zdaniem, artykułów Christy.

- Ten artykuł miał na celu wprowadzenie na rynek nowych projektantów biżuterii z wybrzeży Pacyfiku. Za bardzo chwaliłam nowe nazwiska, czy może okazałam się zbyt powściągliwa wobec rutyniarzy, którzy się u nas reklamują?

- Sugerujesz, że uległam naciskom reklamodawców? - oburzyła się Myra.

- Wcale nie muszą cię naciskać. Jak mawiał Howard na zebraniach personelu, masz specjalny dar do zachwalania

tego, co drogie i pospolite.

Myra zignorowała uwagę.

- Na razie możesz spokojnie odłożyć na półkę ten niepotrzebnie napastliwy tekst - ciągnęła szefowa. - Mam dla Ciebie znacznie ważniejsze zadanie.

Wyprostowała się, splotła drobne dłonie na biurku i czekała na reakcję podwładnej.

Christy bardzo się starała, żeby nie dać po sobie poznać, co naprawdę czuje. Przede wszystkim była zła na siebie. W swojej naiwności zakładała, że ciężka praca, a także opinia osoby inteligentnej i uczciwej zapewnią jej zawodową swobodę.

Jakże się myliła. Po dziesięciu latach harówki dla „Horyzontu” jej dalsze zatrudnienie w firmie wisiało na włosku. A dokładniej - zależało od widzimisię Myry Best.

- Brzmi jak propozycja nie do odrzucenia. Co to takiego? - odezwała się w końcu.

- Ostatnio nasz magazyn stał się nieprzewidywalny i chaotyczny - powiedziała pospiesznie Myra. - Nie możemy ciągle przeskakiwać z tematu na temat. Naszych czytelników nie interesują dziwaczne, mało ważne trendy i japońscy projektanci bez nazwiska, którzy może kiedyś wejdą na rynek, a może nie.

Spojrzała na Christy, która mruknęła coś wymijająco, unikając odpowiedzi.

- Musimy poświęcać więcej uwagi znanym projektantom - podsumowała Myra. - Odbiorcy rozpoznają tylko te nazwiska, które widzą na metkach.

- A tak się składa, że nazwiska z tych metek najczęściej się u nas reklamują. Zwykła przyjacielska przysługa - powiedziała cicho Christy. Przypomniała sobie, co mówiła Jo-Jo na temat metod robienia interesów w ich branży.

- Wpływy reklamodawców nie mają tu nic do rzeczy - odpaliła Myra. - Jeśli jeszcze raz zrobisz choćby aluzję na ten temat w redakcji albo poza nią, zostaniesz zwolniona. I gwarantuję ci, że w tym mieście nigdzie nie dostaniesz pracy w swoim zawodzie.

Christy nie miała co do tego żadnych wątpliwości. Koneksje Myry sięgały chyba samego Pana Boga. Ona zaś nie miała żadnych. Była jedynie dobrą stylistką i potrafiła swój dar wykorzystywać w pracy.

- Dobrze się zrozumieliśmy? - zapytała gniewnie szefowa.

- Całkowicie.

Zapadła pełna napięcia cisza. Po chwili Myra skinęła lekko głową i wróciła do swojego starannie przygotowanego wystąpienia.

- „Horyzont” jest jednym z największych magazynów mody na świecie. To oczywiste, że najbardziej wzięci kreatorzy trafiają na nasze strony. To oni wymyślają nowe style, które podbijają międzynarodowy rynek. Jednym z nich jest Peter Hutton. - Przerwała, by spojrzeć na Christy z ukosa. - Nie podzielasz mojego zdania - stwierdziła.

- Nie widziałam jego nowych projektów, więc jak mogę wydawać opinię?

Blade policzki Myry pokryły się rumieńcem.

- Może byś tak zaczęła wykorzystywać swoją irlandzką przenikliwość na mój użytek, a nie przeciwko mnie?

- Szkocką - sprostowała gładko Christy.

- Co?

- Pochodzę ze Szkocji.

- Nieważne - Myra niecierpliwie machnęła ręką. - „Horyzont” musi pójść w nowym kierunku. Właśnie ci wytłumaczyłam, jaki to będzie kierunek. Zajmiemy się wyłącznie największymi projektantami, a nie jakimiś japońskimi wyrobnikami bez nazwiska. Będziemy promować kolekcje kreatorów, których pozycja jest ugruntowana w świecie, a ich modele nosi się w ekskluzywnych dzielnicach Paryża, Nowego Jorku, Londynu i Rzymu. Ba, nawet w Los Angeles i Tokio.

Christy obiecała sobie, że nie będzie się sprzeczać, ale nie wytrzymała.

- Nikt nie umieściłby nazwiska Huttona na liście najpopularniejszych obecnie projektantów. Facet ledwo się utrzymuje na rynku.

- Bzdura

- Czyżby? Sieć detaliczna niechętnie patrzy na wyroby Huttona, a jego własne sklepy organizują wyprzedaże. Poza tym krążą plotki, że...

- Nonsens - przerwała zapalczywie Myra. - Ten świątek zawsze produkował bezpodstawne plotki. Hutton jest najszybciej rozpoznawanym nazwiskiem branży w Stanach. Jego znak firmowy jest widoczny praktycznie wszędzie.

- Rzeczywiście, wszędzie.

Myra skrzywiła się lekko. Musiała przyznać, choć niechętnie, że dyktator mody nie może jednocześnie uchodzić za elitarnego i sprzedawać się w każdym centrum handlowym.

- Peter zamierza właśnie zaproponować całkowicie nową linię - oznajmiła dobitnie.

Christy kolejny raz uchyliła się od odpowiedzi.

- Przejrzałam już niektóre tkaniny i motywy i jestem przekonana, że ta kolekcja okaże się jego największym jak dotąd sukcesem. „Horyzont” będzie miał na nią wyłączność.

Przysłuchując się tyradzie szefowej, Christy poczuła, że wszystko wymyka jej się spod kontroli. Myra zdecydowała już, jakie będzie ich stanowisko w sprawie kolekcji Huttona. Spodziewała się pochwał pod adresem autora, którego prace systematycznie traciły popularność, były pospolite i mało oryginalne.

- Wiem, że doskonale uchwycisz ducha nowego przedsięwzięcia Petera i wlejesz trochę entuzjazmu w czytelników - zakończyła Myra z triumfującym uśmiechem, który nie spodobał się Christy. Chciała zaprotestować, ale powstrzymała się na wspomnienie błagalnego głosu siostry.

W coś ty mnie wpakowała, Jo-Jo? - zadała sobie w duchu pytanie. Powinnam posłać tę zadowoloną z siebie lafiryndę do diabła, ale nie mogę. Jedyne, co mogę zrobić, to modlić się, żebym znalazła nową pracę, zanim Myra zabierze się do rujnowania mi opinii. Albo to to, żeby talent Huttona rozkwitł na nowo. Ale to by zakrawało na cud.

- Interesujący pomysł - powiedziała na głos. Zwykle tak reagowała na coś, co nie budziło jej zachwyty.

Myra uśmiechnęła się z nie ukrywaną ulgą.

- Dzięki za poparcie dla mojego nowego programu - powiedziała. - Twoje stosunki wśród elit bardzo się przydadzą naszemu piśmiu.

- I Huttonowi? - podsunęła Christy.

Myra zmarszczyła brwi.

- Twój bilet na samolot jest u Amy.

- Hutton nie zamierza się pokazać na Manhattanie?

- Nie. Pokaz przedpremierowy odbędzie się w Xanadu, gdzie narodziła się pierwsza wizja dzieła. Trochę to przypomina wizję poszukiwawczą Indian.

- Czy Indianie palili opium? - zapytała Christy.

- Co takiego?

- Coleridge palił opium, żeby się wprowadzić w stan natchnienia* - wyjaśniła.

Myra rzuciła Christy spojrzenie bez wyrazu i wróciła do swoich notatek.

- Spodziewam się twojego tekstu i zdjęć za trzynaście, nie... za dwanaście i pół dnia.

- Dwanaście dni to niewiele, żeby zebrać materiały do reportażu tak wielkiej wagi.

- Materiały znajdziesz razem z biletami. Jeśli się pospieszysz, do jutrzejszego odlotu zdobędziesz wszelkie niezbędne informacje. Jeśli nie, zawsze możesz poczytać w samolocie. Podróż drugą klasą jest taka nudna. A teraz wybac, ale mam jeszcze coś do zrobienia - zakończyła i zabrała się do przeglądania sterty kolorowych fotosów.

Christy bez słowa wyszła z pokoju. Zamknęła za sobą drzwi i spróbowała opanować drżenie rąk. Zrobiła kilka głębokich wdechów i poszła do swojego biura, redagując w myślach podanie o pracę i rozważając ewentualne oferty. Ich lista była zatrważająco krótka. Żeby się starać o posadę taką jak jej, należało mieć protektora w osobie życzliwego wydawcy. Christy właśnie swojego straciła. Znalezienie nowego zajęłoby dużo czasu, jeśli w ogóle było możliwe. Ludzie o tak bystrym umyśle jak Howard należeli do rzadkości.

Najpierw Jo-Jo i Xanadu, potem pomyślę o zmianie pracy, zdecydowała.

Christy czekała w hali odlotów i spoglądała co chwila na zegarek. Obok niej stała torba podróżna.

- Pospiesz się, Nick - mruknęła pod nosem. - Jeśli ta odprawa potrwa jeszcze chwilę, ledwie się zdążymy przywitać przed moim odlotem.

Nie byłby to pierwszy raz. Nick Warren pracował w banku inwestycji zagranicznych. Jego jedyną pasją było podpisywanie kontraktów. Ostatnie trzy tygodnie spędził w Londynie, powiększając stan swojego konta.

Christy spojrzała na zegarek i stwierdziła, że zostało jeszcze jedenaście minut. Okazja do rozmowy na lotnisku przeszła im koło nosa. Nie będzie czasu, żeby się porządnie przywitać, a co dopiero porozmawiać o siostrze, której istnienie ukrywało się do tej pory przed światem.

Pasażerowie pierwszej klasy wychodzili gęsiego z hali odpraw. Christy spostrzegła wśród nich Nicka. Zazwyczaj dbający o ubiór, dziś wyglądał nieszczególnie. Koszulę miał wymiętą, a spodnie jak wyciągnięte psu z gardła.

Kiedy podszedł bliżej, na jego twarzy pojawił się blady uśmiech.

- Wyglądasz na równie zmęczoną jak ja, Christy - odezwał się. - Tylko mi nie mów, że też nie spałaś całą noc.

Zdobyła się na wymuszony uśmiech. Powitanie Nicka było dokładnie takie jak on sam, uprzejme i pozbawione emocji. Christy pocałowała go lekko. Nick zrewanżował się chłodnym muśnięciem ustami czoła.

- Jak ci się udała podróż? - zapytała.

- Pozwoliła mi zapomnieć o gniewie, w jaki wpadłaś, kiedy powiedziałem, że nie pojedę z tobą na urlop - oznajmił z niekłamanej satysfakcją.

□ Samuel Taylor Coleridge (1772-1834) - angielski poeta i teoretyk sztuki, członek grupy „poetów jezior”, uznawany za jednego z twórców angielskiego romantyzmu (przyp. tłum.)

Uśmiech zniknął z twarzy Christy, jednak nie zamierzała wracać do nie dotrzymanej obietnicy spędzenia kilku dni razem. Miała nadzieję, że wspólny wyjazd okaże się przełomem w ich wzajemnych stosunkach. W pewnym sensie tak było, tyle że przełom nastąpił w przeciwnym kierunku.

- Słyszałem o Howardzie - powiedział Nick. - Przykro mi.

- Myrze nie jest przykro. Teraz ona jest szefem.

- Kiepsko dla ciebie, bo to niezbyt odpowiednia pora, żeby szukać nowej pracy. Wszyscy są ostrożni i ograniczają fundusze.

- Zauważyłam. Chodź, odprowadzę cię chociaż do kontroli paszportowej.

Dopiero teraz Nick zauważył torbę podróżną Christy.

- Wybierasz się gdzieś? - zapytał.

- Nowa misja. Reportaż w Kolorado.

Zmarszczył brwi.

- Ale przecież nie widziałem cię od tygodni.

Udało jej się nie przypomnieć mu, że był to jego własny wybór. Spojrzała na zegarek.

- Za jedenaście... nie, za dziesięć minut odlatuję na przedpremierowy pokaz nowej kolekcji Huttona. Przy dobrym wietrze powinnam być z powrotem za trzy dni.

- Raczej za trzy tygodnie - zirytował się Nick.

- Co za różnica. Sam też masz taką pracę.

Nick westchnął.

- Cóż, to tylko kwestia czasu.

- Co?

- Twoja praca. Oboje wiemy, że prędzej czy później sama odejdziesz albo Myra cię zwolni.

Miała ochotę się sprzeczać, ale wiedziała, że Nick ma rację. Podniosła torbę i ruszyła w stronę sąsiedniej bramki.

- Nie martw się - odezwał się, doganiając ją. - Mam dla ciebie niezłą ofertę. Zastanawiałaś się nad tym, o czym rozmawialiśmy w ubiegłym miesiącu?

Spojrzała na niego z ukosa.

- Masz na myśli ciepło domowego ogniska? - spytała lekko.

Nick wyglądał, jakby go to zabolalo.

- Mówiłem poważnie, Christy.

- Jeśli nie wsiądę do tego samolotu, Myra naprawdę mnie wyleje. To równie poważna sprawa.

- Nieprawda. - W głosie Nicka zabrzmiała twarda nuta. - Dużo ostatnio myślałem.

Christy nie zatrzymywała się. Liczyła, że w ten sposób uniknie dyskusji, Nick nie dawał jednak za wygraną.

- Nie mam żony, dzieci ani prawdziwego domu - powiedział. - Za tydzień kończę czterdzieści lat. To jest poważna sprawa. Cała reszta to bzdury.

- W takim razie dlaczego pojechałeś do Londynu po tym, jak mi obiecałeś, że...

- Mówiłem ci - przerwał zniecierpliwiony. - Ten kontrakt nie mógł czekać.

- A to, co jest między nami, może czekać?

- Do jasnej cholery, znowu to przerabiamy? Zarabiam sto razy tyle co ty. Rzuć pracę, to będziemy mogli spędzać więcej czasu razem.

- Masz rację, nie wracajmy już do tego.

- Stać mnie na to, żeby cię utrzymać - oznajmił dobitnie Nick. - Do diabła, mogę tanim kosztem utrzymać dwanaście takich jak ty.

- No to do dzieła, kochanie. Masz tydzień na to, żeby znaleźć dwanaście takich jak ja. Pamiętaj tylko, że jeśli naprawdę będą takie jak ja, zechcą utrzymywać się same.

- Niech to licho, dlaczego jesteś taka cholernie drażliwa na punkcie swojej pracy? - Przyciągnął zesztywniałą Christy i pocałował jej niechętnie wargi. - Jestem zmęczony podróżą, wyczerpany i potrzebuję domu, do którego mógłbym wracać. Bądź moim domem, Christy.

Christy poczuła się winna. Lubiła Nicka, ale nie wierzyła już w ich wspólną przyszłość. Jemu po prostu brakowało... namiętności.

Zaskoczyło ją to odkrycie. Do tej pory jego chłodny, nienaganny styl jej imponował. Jednak w ciągu trzech tygodni spędzonych samotnie na Fire Island miała dużo czasu na przemyślenia.

Nick nie był dla niej odpowiednim mężczyzną.

Odwróciła się i spojrzała mu w twarz, zła, że jak zwykle nie było czasu, żeby cokolwiek porządnie załatwić.

- Nie mogę się teraz wycofać - powiedziała. - Ta sprawa dotyczy mojej siostry.

- Nie wiedziałem, że masz siostrę.

Mina Nicka zdradzała lekkie zaskoczenie i kompletny brak zainteresowania.

- Nie widziałam jej dwanaście lat - wyjaśniła Christy.
- Więc po co ten pośpiech? Kilka tygodni więcej nie zrobi różnicy.
- Zdaje się, że ona ma napięty rozkład.
- Kolejna dziewczyna robiąca karierę?
- Jest pierwszą modelką Huttona.

Nickowi dosłownie opadła szczęka.

- Jo? Ta Jo?

- Tak.

- Nie do wiary! To fantastyczne! Nie mogę się doczekać, żeby ją poznać!

- Jo-Jo i ja nie rozmawiałyśmy ze sobą od czasów, kiedy wyjechałam z Wyoming i przyjechałam do Nowego Jorku.

Nick patrzył na nią. Christy wiedziała, że porównuje ją z Jo-Jo.

Ogarnął ją gniew. Nagle wiedziała już, dlaczego nigdy nie wspomina o swoim pokrewieństwie z seksowną modelką z reklamówek Huttona.

- Jest podobna do matki - zawiadomiła ponuro. - Ja odziedziczyłam urodę po rodzinie ze strony ojca.

- Wasza matka musiała być cudowna.

- Bo była. I tak jak Jo-Jo wykorzystywała ludzi.

- Mnie Jo mogłaby wykorzystywać, kiedy tylko imałaby ochotę - powiedział Nick, szczerząc zęby w uśmiechu.

Christy spojrzała na zegarek.

- Czym ją tak zdenerwowałaś?

- Dostałam stypendium. Kiedy się dowiedziała, że wyjeżdżam z Wyoming, wiodła ojca swojego chłopaka, zaszła w ciążę i namówiła go, żeby z nią wyjechał. Wyjeżdżając z miasta, ukradła złoty naszyjnik babci. Skandal zrujnował staruszce zdrowie, zmarła na wylew.

- Czy ten naszyjnik był bardzo cenny?

Christy skrzywiła się z niechęcią. Nicka bardziej niż uczucia interesowały pieniądze.

- Był wart nie więcej niż kilkaset dolarów.

- Więc jak to się stało, że Jo zaszła tak wysoko

- Nie wiem. Nie chciała ze mną rozmawiać, nie odpowiadała na moje listy. Wiem tylko, że miała skrobankę, przechodziła od faceta do faceta i zanim skończyła dwadzieścia jeden lat, stała się dziewczyną z okładek.

- Wcale mnie to nie dziwi. Taka twarz i ciało jak jej zdarzają się raz na sto lat. Zadzwoiłaś do niej, kiedy byłaś na urlopie?

- Nie, to ona zadzwoniła do mnie.

- Po co?

- Dobre pytanie, ale jeszcze nie znam na nie odpowiedzi.

Znowu spojrzała na zegarek.

- Muszę lecieć - rzuciła.

Odwróciła się i wmieszała w tłum pasażerów spieszących w kierunku terminalu.

3

Christy McKenna? - mruknął recepcjonista. - Nie, nie ma żadnych wiadomości.

- Dziękuję - odpowiedziała odkładając słuchawkę.

No cóż, dotarła na miejsce nawet szybciej niż w ciągu trzech dni, a naszyjnika jakoś nie widać. Nie mówiąc o Jo-Jo. Zirytowana, że znowu dała się nabrać, Christy sprawdziła, która godzina. Konferencja prasowa Huttona zaczynała się dopiero za kilka godzin. Miała mnóstwo czasu, żeby wziąć kąpiel, przebrać się i spokojnie zastanowić, dlaczego zawsze okazywała taką naiwność, kiedy w grę wchodziły sztuczki jej siostry.

Poczuła nagle, że nie zniesie dłużej siedzenia przy telefonie. W końcu nie była już nastolatką czekającą na zaproszenie na randkę. Chwyciła czarny żakiet i stukając obcasami zbiegła po schodach.

Na zewnątrz powitało ją bezchmurne niebo i gorące promienie słońca.

Wynajęty samochód stał na hotelowym parkingu. Ruszyła piechotą w stronę galerii sztuki, o której przeczytała w jednym z wetkniętych za telefon folderów reklamowych. Zastanawiała się, czy galeria sprawi jej równie miłą niespodziankę co hotel, po którym spodziewała się podłóg z linoleum, mebli z sękatą sosny i tandetnych tapet, a zastała eleganckie pseudowiktoriańskie wnętrza.

W połowie drogi przyszło jej na myśl, że całe Remington jest jak wiekowy dom przerobiony częściowo na drogi pensjonat. Niektóre odrestaurowane witryny sklepowe zdobiły witraże i ręcznie rzeźbione drewniane framugi. Inne zaś ostatni raz oglądały świeżą farbę pewnie jeszcze przed urodzeniem Christy.

Galeria mieściła się stosunkowo blisko, zresztą całe Remington nie było zbyt duże. Miasto miało tylko jedno

skrzyżowanie ze światłami i jedną asfaltową ulicę. Sklepy przy niej położone zaskakiwały wysokimi cenami i różnorodnością towarów.

Christy zatrzymała się przed wystawą butiku oferującego francuską bieliznę damską, włoskie okulary przeciwsłoneczne, wyroby tkackie z Ekwadoru i najnowszą biżuterię autorstwa Indian Navajo. Ta przedziwna mieszanka przypominała o tym, jak mały stał się świat.

Może jednak nowa propozycja Huttona mimo wszystko będzie dobra. Najciekawsze style mają często źródła w połączeniu różnych kultur.

Ta myśl złagodziła nieco napięcie Christy. Rozglądała się teraz po Remington ze zwiększonym zainteresowaniem. Sklep żelazny, jakich dziś się już nie spotyka... ludzie spieszący do jedyne go przejścia ze światłami... wszystko to ożywiało wspomnienia z dzieciństwa

Przed nią jakaś kobieta szła zmęczonym krokiem kelnerki po całym dniu pracy. Trzy uczennice piszczały i chichotały, ciągle na tyle młode, by wierzyć, że nie skończą jak ich matki. Dwaj kowboje, odziani w sprane dżinsy, znoszone buty i zawadiacko przekrzywione kapelusze, sztywno i z całkowitym lekceważeniem przepisów przechodzili ulicę przy czerwonym świetle.

Było też paru nie obeznanych z górami turystów, których strój wskazywał, że pochodzą raczej z Kalifornii lub Nowego Jorku niż z Kolorado. Kilku młodych mężczyzn próbowało wyglądać niczym z Dzikiego Zachodu, ale ich nowiutkim ubraniom brakowało śladów konnej jazdy, złej pogody i podrzędnej whisky.

Kowboje z Bożej łaski, pomyślała Christy. Naśladownictwo też powinno być umiejętność.

Zaparkowane w poprzek ulicy samochody stanowiły dziwną mieszankę. Drogie wozy z wielkiego świata i miejscowa zbieranina. Kilka egzotycznych egzemplarzy BMW, rangę roverów i japońskich pikapów między ogromnymi ciężarówkami i furgonetkami. Niektóre miały umocowane za tylną szybą strzelby. Tutejsze pojazdy były brudne, powgniatane i porysowane od częstego użytku. Przyjezdne miały obce numery rejestracyjne i połysk drogiego lakieru pod warstwą podróżnego kurzu.

Przed galerią stał wóz nie pasujący do żadnej z tych dwóch kategorii. Christy przyjrzała mu się bliżej, jak zwykle zaintrygowana wszystkim, co się wyróżniało z szarzyzny. Była to wprawdzie typowa jednotonowa ciężarówka, miała jednak nie jedną, lecz dwie pary drzwi. Zabudowany tył nadawał jej wygląd przerośniętego kombi, tyle że z drzwiami do załadunku zamiast klapy.

Ogromne opony i wysokie zawieszenie świadczyły o częstej jeździe w terenie. Potwierdzały to liczne rysy, wgniecenia i podłużne zadrapania. Wszystko z wyjątkiem przedniej szyby i bocznych lusterek oblepione było brudem, jednak karoseria pod warstwą kurzu wyglądała na zadbaną. Samochód miał lokalną rejestrację. Na masce chromowymi literami wytłoczono napis: „Suburban”.

No i proszę, znalazł się ktoś, kto nie pasuje ani do miejscowych, ani do turystów, pomyślała Christy.

Spojrzała jeszcze raz na samochód i skupiła uwagę na galerii. Wokół okien z grubego szkła wiły się dyskretnie zamontowane przewody alarmowe. Tekturowa wywieszka obwieszczała, że galeria jest czynna. Kiedy Christy wchodziła do środka, przywitał ją umieszczony nad drzwiami dzwoneczek i dobrze zbudowana Indianka o wyrazistych, pogodnych rysach. Miała na sobie sięgającą ziemi ciemnozieloną aksamitną spódnicę i rudawobrazową satynową bluzkę. Jej uśmiech rozjaśniał galerię niczym pochodnia. Mężczyzna przy ladzie z pewnością nie był tylko mamą imitacją kowboja, ale nie wyglądał też na prawdziwego ranczera. Nosił gęstą, krótko przystryżoną brodę i ciemnoszarego stetsona z niskim denkiem i średnim rondem. Kapelusz, najwyraźniej często używany, był pozbawiony wszelkich ozdób: muszelek i bażancich piór. W sam raz pasował do wizerunku miejscowego kowboja, podobnie jak niebieska koszula ze stalowymi napami zamiast guzików i znoszone dżinsy. Broda jednak zdecydowanie psuła efekt. Stopy mężczyzny zakrywała lada, Christy nie mogła więc stwierdzić, czy miał na sobie kowbojskie buty, czy może coś bardziej praktycznego.

Jeśli nawet odwzajemnił powitalny uśmiech Indianki, to pewnie dawno temu. Ostre rysy i wyraziste oczy nadawały mu dumny i posępny wygląd. Był wysoki, po trzydziestce, ciemnowłosy. Wyglądał na silnego i niewzruszonego.

- Czym mogę służyć? - zwróciła się kobieta do Christy.
- Tylko się rozglądam - odpowiedziała odruchowo dziewczyna.
- Gdyby mnie pani potrzebowała, mam na imię Veronica.
- Dzięki.

Veronica zajęła się ponownie kowbojem, który wniósł tekturowe pudło i ustawił je ostrożnie na ladzie. Christy zauważyła, że Indianka jest wyraźnie podekscytowana. Ciekawa powodów tego podniecenia, zbliżyła się do rozmawiających, przyglądając się jednocześnie eksponatom w galerii. Miała duże doświadczenie w odróżnianiu złych i dobrych dzieł wielu kultur i stylów.

- ...nie było... - dobiegły ją słowa Veroniki.

Dźwięk, jaki wydał z siebie mężczyzna, mógł znaczyć cokolwiek.

Christy bezwstydnie nadstawiła ucha.

- Danner mówił, że nie wracasz.

- Danner to gnojek - oznajmił czystym barytonem, przeciągając lekko samogłoski. Albo jest miejscowy, albo ma dobre ucho do naśladowania akcentów, pomyślała Christy, podpatrując ukradkiem, jak mężczyzna wręcza Veronice kopertę, odwraca się i wychodzi frontowymi drzwiami. Poruszał się lekkim krokiem sportowca lub miłośnika pieszych wędrówek, nie jak kowboj. Mimo kapelusza, koszuli i džinsów, na nogach miał zwykle, znoszone terenowe buty.

Christy obserwowała go przez całą drogę do drzwi. Zdawała sobie sprawę, że się gapi, ale nie potrafiła odwrócić wzroku. Widywała już przystojniejszych mężczyzn, na przykład Nicka, nigdy jednak nie spotkała nikogo, kto aż tak działałby na jej zmysły. Nie potrafiłaby wyjaśnić, co ją w nim tak pociągało.

Mężczyzna podszedł do czarnego suburbana. A więc facet, który „nie pasował”, był właścicielem wozu, który „nie pasował”.

Uwagę Christy przykuł teraz wiszący nad ladą, całkiem przyzwoity współczesny obraz; przedstawiał stylizowanego, jasnoniebieskiego kowboja na jaskrawym, czerwono-czarnym tle, które równie dobrze mogło przedstawiać Times Square co Las Vegas. Kowboj emanował intensywną męskością i nieodpartą siłą - cechami znacznie bardziej uniwersalnymi niż nowoczesna technika artysty.

Cofnęła się o krok i przyglądała obrazowi, który zafascynował ją w niewytłumaczalny sposób.

Dzwonek przy drzwiach oznajmił powrót mężczyzny, który wniósł kolejne pudło. Ustawił je na wprost Veroniki i zabrał się do rozpakowywania. Wyjął z kartonu pierwszy przedmiot, a Veronika odłożyła na bok trzymane w ręku papiery i gwizdnęła z zachwytem.

- Zrobiłeś zdjęcia na miejscu? - zapytała.

- A jak myślisz?

Właścicielka galerii roześmiała się.

- Myślę, że masz ich cały film.

Na chwilę zapadła cisza. Podziwiali trzymaną przez mężczyznę misę.

Christy przyglądała im się kątem oka, zaintrygowana entuzjazmem właścicielki galerii oraz sposobem, w jaki jej znajomy trzymał naczynie. Ujmował je tak delikatnie, jakby to był motyl albo pierś kobiety, a nie gliniana miska.

- Pokazywałeś ją jeszcze komuś? - zapytała Veronica.

- Na sprzedaż? Nie. Tylko Mikę z Mesa Verde rzucił na nią okiem.

- I co powiedział?

- Że szkoda, że to nie on ją znalazł.

Frontowe drzwi otworzyły się przy akompaniamencie dzwonka, by po chwili zatrzasnąć się z łoskotem. Do środka wkroczył duży, barczysty mężczyzna w białej koszuli i słomkowym kapeluszu. U ozdobnego pasa nosił kaburę, z której wystawała biała rękojeść rewolweru. Włosy miał przyprószone siwizną, na piersi zaś błyszcząca pięcioramienna srebrna gwiazda. Mężczyzna miał około pięćdziesiątki. Wyglądało na to, że polowania i konna jazda po bezdrożach to dla niego chleb powszedni. Był wielki jak tur.

- Dzień dobry, szeryfie Danner - odezwała się Veronika. - Co mogę dla pana zrobić?

- Możesz przestać skupować garnki od tego cholernego złodzieja, od... od tej kopalnianej hieny.

W przeciwieństwie do Dannera Christy stała wystarczająco blisko, żeby usłyszeć ciche przekleństwo, które wyrwało się z ust Veroniki.

Szeryf nie dostrzegł także zmiany, jaka zaszła w mężczyźnie trzymającym naczynie. Na jego odprężonej twarzy w jednej chwili pojawiła się drapieżna czujność.

Christy cofnęła się instynktownie.

Jedynym ruchem, jaki wykonał mężczyzna, było delikatne odłożenie misy na jej miejsce w pudełku. Kiedy się odwrócił, by spojrzeć na szeryfa, ani w jego wyrazie twarzy, ani w postawie nie pozostało nic z delikatności. Miał oczy wilka: złotobrazowe, pozbawione emocji, niewzruszone.

- Danner... - odezwał się po chwili.

- Chcę zobaczyć papiery na te garnki - zażądał szorstko szeryf.

- Nie wątpię.

Cisza się przedłużała, a do Dannera chyba dotarło, że jeśli on sam jej nie przerwie, nikt inny tego nie zrobi.

- Wyjmij je - zażądał.

Mężczyzna nie ruszył się. Zrobiła to Veronica. Zgarnęła papiery, które przedtem miała w ręku, i podała je Dannerowi nad ladą.

- Wszystko w porządku - powiedziała. - Notarialnie potwierdzony podpis właściciela gruntu, zdjęcia zrobione na miejscu i urzędowa mapa koordynująca znaleziska.

Szeryf błyskawicznie przebiegł wzrokiem papiery. Christy była pewna, że albo nie wie, na co patrzy, albo niewiele

go to obchodzi. Rzucił je z powrotem na ladę.

- Wszystko w porządku, prawda? - upewniła się właścicielka galerii, siląc się na lekki ton.

- Tym razem tak - warknął szeryf.

- Za każdym razem i dobrze pan o tym wie. Wszystko w mojej galerii pochodzi z legalnego źródła i jest wysokiej jakości.

Danner nie odpowiedział. Rozprawiał się już z Veronica, a teraz całą uwagę skupił na jej znajomym, który przyglądał mu się z chłodnym lekceważeniem.

- Rozczarowujesz mnie, chłopcze - odezwał się Danner.

Uśmiech mężczyzny wyraźnie mówił, że nie życzy sobie, by nazywano go „chłopcem”.

- Bo ciągle jeszcze żyję? - zapytał przeciągle.

- Bo nie masz na tyle rozumu, żeby trzymać się z dala od miejsc, w których cię nie chcą.

- Kiedy ostatni raz sprawdzałem, to był jeszcze wolny kraj.

- A mnie się zdawało - powiedział Danner - że facet, który kilka miesięcy temu dostał kulkę w płuco, powinien mieć na tyle rozsądku, żeby się tu więcej nie pokazywać.

Christy wzdrygnęła się na dźwięk beznamiętnego tonu szeryfa. „Kulkę w płuco”? Spojrzała na młodszego mężczyznę i dopiero w tej chwili zauważyła, że jego ubranie jest trochę za luźne, jakby stracił ostatnio na wadze. Po obu stronach ust widniały bruzdy bólu czy też gniewu, których nie zdołała ukryć nawet gęsta, krótko przyszyżona broda.

- Nie martw się o mnie. Potrafię przetrzymać najgorsze...

Danner skrzywił się.

- Czego tu chcesz?

- Tego co zawsze: żeby mnie zostawiono w spokoju, jak każdego innego praworządnego obywatela.

- Lepiej się stąd wynieś, bo inaczej z tobą zatańczę.

- A to niby dlaczego?

Danner wydawał się zaskoczony tym chłodnym pytaniem.

- Nie lubimy, jak się tu kręca mordercy - oświadczył bez ogródek.

- W takim razie dlaczego nie szukasz faceta, który próbował zamordować mnie?

Danner wyprostował się i oparł ręce na biodrach. Jego prawa dłoń powędrowała do kabury, jakby chciał się upewnić, czy broń jest ciągle na miejscu.

- Jestem szeryfem dopiero od kilku miesięcy. - odparł. - Ledwo zdążyłem zrobić listę twoich wrogów, na rozmowy z nimi nie starczyło mi czasu. A poza tym to był po prostu jakiś myśliwy, sam dobrze o tym wiesz.

Zęby młodszego mężczyzny błysnęły w krótkim, zimnym uśmiechu.

- Nic mi na ten temat nie wiadomo. A jeśli chodzi o twój napięty plan zajęć... miałbyś więcej czasu na dochodzenia, gdybyś się nie bawił w ochroniarza Xanadu.

- Słuchaj no, ty...

- Ale widzę, że udział w kampanii Huttona...

- ...sukinsynu! Nie masz...

- ...jest ważniejszy niż rozwikłanie jakiejś tam strzelaniny.

- ...prawa mnie przesłuchiwać! - zakończył wściekle Danner.

- Dziesięć tysięcy dolarów to kupa forsy w tym okręgu.

- A to co ma niby znaczyć? - domagał się wyjaśnień szeryf.

- Sam mi powiedz, szeryfie. To ty inkasujesz czeki Huttona.

- A nie Larry Moore? O to ci chodzi? Jesteś wkurzony, bo twój kumpel nie został szeryfem.

- Larry'ego nie można kupić.

Danner przechylił głowę na bok i zamrugał, jakby nie był pewien, czy dobrze usłyszał. Zatkanął kciuk za pas tuż nad kaburą, a jego dłoń spoczęła na rękojeści rewolweru.

Przyjaciel Veroniki zmierzył go wzrokiem i wykonał podobny ruch, wyraźnie przedrzeźniając szeryfa.

Christy wytrzeszczyła oczy. Nigdy w życiu nie widziała nie uzbrojonego mężczyzny, który z takim spokojem przyjmowałby groźbę strzelaniny. Najbardziej zbliżonym do broni przedmiotem, jaki miał przy sobie „cholerny złodziej”, była masywna sprzączka przy pasku, ozdobiona turkusem wielkości dolarówki.

- Nikt mnie nie kupił. Wybrali mnie do pilnowania, żeby takie typki jak ty nie wchodziły w drogę porządnym obywatelom - warknął Danner.

- Odsiedziałem swoje - odpowiedział gładko jego rozmówca. - Nie jestem nic winien ani tobie, ani stanowi Kolorado. Jedyną osobą, z którą mam niewyrównane rachunki, jest ten skurwiel, który mnie postrzelił i zostawił na pewną śmierć. A ja zawsze spłacam swoje długi, Danner.

- Lepiej uważaj, co mówisz, chłopcze, bo jeszcze ktoś się zdenerwuje i znów może się zdarzyć wypadek na

polowaniu.

Mężczyzna z brodą znieruchomiał. Szeryf zaczął się wycofywać. Po chwili jednak przystanął, a dłoń odruchowo zacisnęła mu się na rewolwerze.

Christy z przerażenia wstrzymała oddech. To się nie może dziać naprawdę, pomyślała. Jestem w galerii sztuki w dwudziestym wieku, a nie w jakimś saloonie na Dzikim Zachodzie.

- Usiłujesz mi coś powiedzieć, Danner? - zapytał mężczyzna.

- Powtarzam tylko słowa twojego lekarza. Remington nie jest zdrowym miejscem dla rekonwalescenta po postrzale. Dla wszystkich, z tobą włącznie, byłoby lepiej, gdybyś się po prostu zmył.

- Każdej zachodniej miejscinie potrzebny jest facet na bakier z prawem w charakterze atrakcji turystycznej. Zdaje się, że świetnie się do tego nadaję - odparł brodacze ze złośliwym uśmiechem. Ostentacyjnie odwrócił się plecami do szeryfa i powiedział do Veroniki:

- Przyjadę jutro, żeby pogadać o tych naczyniach.

Christy obserwowała go, gdy opuszczał galerię i wsiadał do samochodu.

Szeryf zaklął pod nosem i wyszedł bez słowa.

Kiedy już dzwonek nad drzwiami ucichł, Christy odetchnęła głęboko i z ulgą.

- Zdaje się, że przeciętny mężczyzna na Zachodzie niewiele się zmienił w ciągu ostatnich dziesięciu lat - odezwała się.

Veronica wybuchnęła śmiechem.

- Pewnie. To ci dopiero kawał mężczyzny, nie? Metr dziewięćdziesiąt kłopotów.

- Wyglądał na wyższego. To pewnie przez ten pistolet.

- Pistolet? Ach, masz na myśli Dannera. Tak, on ma prawie dwa metry, ale ja mówiłam o Cainie.

- O Cainie? - zapytała słabo Christy.

- O Aaronie Cainie.

Zdezorientowana Christy potrząsnęła głową. Więc to ten mężczyzna był facetem, o którym mówiła Jo-Jo.

- Gdybym lubiła zakłady... a tak się składa, że lubię... stawiałabym na Caina w każdej bójce.

Christy prawie nie słuchała. Gapiła się przez okno na człowieka, przed którym ostrzegała ją siostra.

- Czy postrzelili go dlatego, że kradł? - zapytała.

- Cain? Cain nie jest żadnym złodziejem, wbrew temu, co mówią te uczone bubki.

Christy wyglądała na równie oszołomioną, jak się czuła.

Veronica uśmiechnęła się i nie przestając mówić, zaczęła wynosić na zaplecze pozostawione przez mężczyznę pudła.

- Ludzie mają tu fioła na punkcie znalezisk po Anasazich* - powiedziała. - Jeśli ktoś ma dyplom jakiejś wymyślnej szkoły i wykopuje garnki, to jest archeologiem. Jeśli robi to samo bez dyplomu, nazywają go złodziejem grobowców.

Zniknęła na zaplecze, ale nie przeszkadzało jej to mówić dalej.

- A jeśli ktoś taki kopie na terenach publicznych, zostaje łowcą garnków i złodziejem.

- A kiedy zostaje się sukinsynem? - spytała niewinnie Christy.

Veronika znów się roześmiała.

- No cóż, Danner i Cain nigdy nie mieli sobie wiele dobrego do powiedzenia - stwierdziła, sięgając po kolejny karton. - Danner lubił rozkazywać, zanim jeszcze został szeryfem.

- Cain nie wygląda na faceta, który podporządkowuje się rozkazom pierwszego lepszego.

- Pewnie, że nie. Poza tym mieli z szeryfem małe nieporozumienie na temat modelki Huttona, tej cud blondynki.

Christy cieszyła się, że Veronica nie może zobaczyć jej reakcji. Była pewna, że doznany szok odbił się na jej twarzy. Zanim właścicielka galerii pojawiła się z powrotem, dziewczyna już się opanowała.

- Tej, którą nazywają Jo? - spytała ostrożnie.

- Dokładnie.

- O co poszło?

- Danner miał na nią ochotę, ale nic mu z tego nie wyszło. A ja kiedyś widziałam, jak Cain i blondyna gruchali wieczorem na plaży.

Jo-Jo i Cain? - pomyślała Christy. Przecież twierdziła, że facet jej nie cierpi.

- Dziewczyna Ignęła do niego jak pszczoła do miodu. Widziałam ich razem tylko raz, ale...- urwała.

Czyżby Cainowi udało się nauczyć jej siostrę, że są rzeczy, których nie można kupić za samą urodę? - przemknęło Christy przez głowę. Ta myśl ukazała jej nagle wszystko w innym świetle

Może to dlatego Jo-Jo zadzwoniła, a nawet była gotowa oddać naszyjnik. Może wreszcie dorosła i chciała

* Starożytna cywilizacja Ameryki Północnej rozwijająca się od około 100 roku naszej ery do czasów nowożytnych ze skupiskami na terenach od granicy stanu Arizona poprzez Nowy Meksyk, Kolorado i Utah. Indian Navajo *anasazi* oznacza „pradawni” (przyp. tłum.).

odbudować spalone mosty. Może Aaron Cain dokonał cudu i odmienił jej serce. Nie wyglądał wprawdzie jak Apollo, ale nie takie rzeczy się już zdarzały między kobietą i mężczyzną. Może Jo-Jo się zmieniła, może nauczyła się dzielić z innym człowiekiem i kochać. Może stała się tą osobą, która, jak zawsze miała nadzieję Christy, ukrywała się w głębi pięknej egoistki.

Czy rzeczywiście istniała ta łagodniejsza Jo-Jo, do której można dotrzeć przy odrobinie uczucia, zrozumienia i cierpliwości? Christy poczuła nieodpartą pokusę, żeby to sprawdzić. Ciężka nadziei na zaleczenie ran z dzieciństwa sprawił, że nagle nie mogła się doczekać spotkania z siostrą.

4

Puste ciężarówki zmierzające w góry, by przywieźć bydło na zimę, przemykały obok Christy, wprawiając w drżenie jej mały, wynajęty samochód. Kolejna rzecz, która się nie zmieniła, pomyślała niechętnie. Wielkie ciężarówki i wąskie drogi.

Po obu stronach dwupasmowej szosy, pomiędzy ogrodzeniami z kolczastego drutu ciągnęły się ścieżki prowadzące do starych farmerskich domów. Teraz było słonecznie, ale na ponadstuletnich murach widać było ślady zimy.

Christy dobrze знаła zapach tych domów. Pamiętała, jak trzeszczały w środku nocy przy każdym podmuchu wiatru z akompaniamentem uderzających o szyby gałęzi. Wiedziała doskonale, jak to jest być nastolatką wpatrującą się przez lży w lustro i pytającą Pana Boga, dlaczego dał jej rozum, a nie twarz i ciało, na widok których mężczyźni krążą wokół, śliniąc się jak psy.

Nieodparte piękno krajobrazu oderwało wreszcie jej myśli od siostry. Ostatni tydzień września w Remington był wyjątkowo pogodny. Przed oczami Christy rozpościerały się rozległe łąki, a dalej widniały wysokie góry. Osikowe zagajniki porastające strome zbocza złociły się już jesiennymi barwami. Nagie szczyty powyżej linii drzew mieniły się czerwienią, szarością i czernią. Ostry błękit nieba raził nie osłonięte oczy.

Okolica miała w sobie zniewalający urok. Christy nie potrafiła mu się oprzeć, chociaż miasteczko ożywiło w jej pamięci niewesołe wspomnienia z dzieciństwa. Jakaś jej część nadal rwała się w góry. Już jako dziecko uwielbiała ich obezwładniającą potęgę.

Christy zjechała z głównej drogi w prowadzącą do Xanadu wąską brukowaną alejkę. Na wprost ciągnął się bujny szpaler świerków. Wzdłuż chodnika, po obu stronach drogi biegł zygzakiem nowiutki metalowy płot, chroniący przed nieproszonymi gośćmi. Gdyby to nie wystarczało, w stylizowanej wiejskiej chacie na skraju zagajnika siedział strażnik.

Z bliska Christy szybko się zorientowała, że swojski wygląd chaty to tylko pozory. Cedrowy gont ukrywał zautomatyzowane centrum ochrony, połączone na wiele sposobów z resztą świata. Hutton nieźle bronił dostępu do swojej ziemi.

Strażnik wyszedł na zewnątrz. Miał na sobie nowiutkie niebieskie dżinsy. Biała koszula była równie nieskazitelna i z pewnością wykrochmalona. Podobnie jak szeryf Danner, strażnik był uzbrojony i nosił pięcioramienną gwiazdę. Napis na plakietce poniżej głosił, że mężczyzna nazywa się Sanders.

Christy przypomniała sobie uwagę Caina o szeryfie bawiącym się w ochroniarza Xanadu. Zastanawiała się, co sądzą mieszkańcy Remington o tym, że ich podatki idą na ochronę prywatności sławnego projektanta.

- W czym mogę pani pomóc? - odezwał się strażnik, nie siląc się na zbyt dużą uprzejmość. Zarówno ton, jak i cała postawa dowodziły, że nie zamierza być specjalnie pomocny.

- Christy McKenna z nowojorskiego „Horyzontu” - przedstawiła się.

Sanders wskazał na drogę, którą przyjechała.

- Reporterzy mają się zatrzymywać w mieście, w hotelowym centrum prasowym - oznajmił. - Bankiet dla prasy odbędzie się dopiero jutro wieczorem.

Christy zdjęła ciemne okulary i spojrzała na strażnika oczami, które miały teraz bardziej szary niż zielony odcień. Kiedy się odezwała, jej głos był równie chłodny jak głos Sandersa.

- Nie przyjechałam tu na bankiet, ale na osobiste zaproszenie pana Huttona.

Strażnik nie wyglądał na przekonanego. Zerknął do swojego notatnika i potrząsnął głową.

- McKenna, tak?

- Tak.

- Mam tu listę specjalnych gości, ale nie widzę na niej pani nazwiska.

Uśmiech Christy mógł zamienić wodę w lód.

- Proszę zapytać zwierzchnika.

Sanders sięgnął po umieszczony za drzwiami telefon. Wystukał numer i czekał.

Christy zastanawiała się nad powodem takiej hermetycznej ochrony w okręgu Remington. Na Zachodzie, który pamiętała z dzieciństwa, ludzie bez obawy zostawiali otwarte drzwi i bramy.

- Tu brama wjazdowa - odezwał się strażnik do słuchawki. - Mam tu niejaką panią McKenna z jakiegoś pisma w

Nowym Jorku. Mówi, że ma się spotkać z Huttonem.

Nie musiała słyszeć odpowiedzi, by zobaczyć jej natychmiastowy efekt.

Sanders rzucił Christy szybkie spojrzenie.

- Tak. Dobrze - rzucił do telefonu. Słuchał jeszcze chwilę rozmówcy.

- Tak. Tak jest, proszę pana. Natychmiast.

Rozłączył się i gwizdnął ostro przez zęby.

- Hej, Hammond! Wjazdowa i główna!

W słońcu pojawił się młody mężczyzna.

- Przepraszam panią, pani McKenna. Nikt nam tu nigdy nic nie mówi. Musi pani jechać prosto pod górę.

- Dziękuję.

- Hammond pokaże pani drogę. Jeśli ma pani jakiś bagaż, zajmiemy się n. Pan Hutton przygotował już dla pani jeden z gościnnych apartamentów.

- To nie będzie potrzebne. Mam pokój w mieście.

- Ale pan Hutton...

- Dziękuję za pomoc - ucieła Christy sprzeciw Sandersa. - Pan Hutton wie... a przynajmniej powinien wiedzieć... że jestem reporterką, a nie jego prywatnym gościem.

- No, tak. Oczywiście.

Sanders wycofał do chaty.

Strażnik o nazwisku Hammond wśliznął się na przednie siedzenie obok Christy. Wyglądał najwyżej na dwadzieścia lat. Nosił odznakę i broń, najwyraźniej jednak nie czuł się z nimi swobodnie.

Uciekał wzrokiem na boki, rzucając Christy szybkie, nieśmiałe spojrzenia.

- Prosto przez bramę, proszę pani - poinstruował, kiedy samochód zbliżył się do ciężkiej drewnianej bramy, która się po chwili otworzyła.

Droga biegła między dwoma szpalerami świerków, odgradzona metalowym płotem. Pomiędzy drzewami zieleniły się pastwiska. Christy zmarszczyła brwi. Było w tym wszystkim coś, co nie dawało jej spokoju. Nie potrafiła tego dokładnie nazwać, a jednak mimo całego piękna krajobrazu coś tu nie pasowało.

- Nieczęsto dostaję uzbrojoną eskortę - rzuciła niedbale. - Czyżby zachód był naprawdę aż tak dziki?

Hammond dotknął z zakłopotaniem rewolweru i potrząsnął głową.

- Nie, proszę pani.

Droga wspinała się na szczyt skalistego pagórka porośniętego cedrami i jałowcem.

- Pan Hutton po prostu lubi dobrze traktować swoich specjalnych gości - powiedział strażnik, kiedy wspinali się na wzniesienie.

- Więc jestem naprawdę specjalnym gościem?

- Tak.

- Wielu ich macie?

- Nie wiem, jestem tu nowy.

Nowy, ale na tyle przeszkolony, żeby w obecności reporterów trzymać język za zębami, pomyślała cierpko Christy.

Tłumiąc westchnienie, skoncentrowała się na obserwowaniu pejzażu, swobodnie poddając się wrażeniom.

Twarda nawierzchnia przeszła w świeżo usypaną żwirówkę. Droga przecinała wzniesienie, spadała uskokiem w wąską łąkę, po czym znów pięła się w górę wśród rozproszonych wysokich sosen.

Popołudniowe powietrze było przejrzyste jak kryształ. Christy otworzyła okno i wciągnęła głęboko znajomy zapach świeżej trawy, sosen, słońca i czystego powietrza.

Kątem oka dostrzegła cień szybującego na wietrze jastrzębia. Obserwując jego drapieżny wdzięk żałowała, że sama nie potrafi z taką łatwością pokonywać zmiennych wiatrów życia.

Ogon ptaka miał brunatnorudą barwę ognia.

- Jaki wspaniały kolor - zachwyciła się.

Hammond spojrzał najpierw na nią, a potem na jastrzębia.

- Czyżbyście byli spokrewnieni? - zapytał, uśmiechając się szeroko.

Kiedy po chwili dotarło do niej, o co chodzi, uśmiechnęła się spontanicznie, zupełnie nieświadoma zmiany, jaką uśmiech wywołał na jej twarzy. Nie uszła ona jednak uwagi jej przewodnika. Jego oczy zwęziły się nagle; spojrzał z typowo męską kalkulacją, która zdawała się znacznie dojrzała od jego chłopięcej twarzy.

Droga zaprowadziła ich na szczyt wzniesienia. Christy zahamowała odruchowo, chłonąc piękno rancza.

Dolina leżała pomiędzy dwoma rudawozłotymi pagórkami z piaskowca. Rozległy obszar Xanadu zajmowały w większości łąki i pastwiska. Ciemna zieleń trawy zdawała się miejscami wpadać w czerń. Strumienie obrastały dostojne wierzby i topole.

Strome zbocza doliny znaczyły pasy dorodnych bujnych osik, które odbijały się jasnożółtą barwą na tle błękitnego nieba i nieskazitelnej bieli chmur.

Imponujący budynek z drewna sekwojowego i szkła zaprojektowano niesymetrycznie, na wzór górskich szczytów. Osadzony na jednej z krawędzi doliny, zaskakiwał nietypowym nachyleniem kątów. Wysoko umieszczone okna z jednej strony wychodziły na góry, z drugiej na niebo. Poniżej, na równym gruncie rozciągały się rozległe zabudowania gospodarcze, rozmieszczone w sposób rozmyślnie chaotyczny, charakterystyczny dla japońskich projektantów.

Zabudowania znakomicie pasowały do dziewiczego krajobrazu, który podkreślał ich urodą jak dobrana oprawa podnosi piękno klejnotu.

- Wspaniale - oceniła krótko Christy. - Jak daleko ciągnie się teren rancza?

- W góry, aż do końca wzniesień. Trudno mówić o granicach przy tak wielkim gruncie. Cholerna szkoda, że to wszystko się marnuje.

Christy spojrzała zaintrygowana na strażnika.

- Tu nie ma ani jednej sztuki żywego inwentarza - wyjaśnił Hammond.

Zrozumiała nagle, co ją tak niepokoiło w cudownych łąkach i pastwiskach Wanadu.

- Chociaż ranczo jest jednym z najlepszych terenów wypasowych w tym stanie, jedyne krowy w tym miejscu to te, które upieką na jutrzejszy bankiet. Cała ta sytuacja pozbawiła pracy wielu ludzi.

Christy podejrzewała, że młody strażnik był jednym z nich.

- Bezżyteczne ranczo dla bezżytecznego bogacza? - podsunęła.

Hammond wzruszył ramionami, pozwalając nie zagospodarowanej ziemi mówić za siebie.

- Co się stało z bydłem? - zapytała Christy.

- Sprzedali. Pan Hutton pewnie nie lubi krowiego łajna na swojej pięknej farmie albo się boi, że krowy wejdą mu na cel i zainkasują parę kulek.

Rozgoryczenie Hammonda kazało mu porzucić ostrożność. Choć Hutton wypłacał mu pensję, chłopak otwarcie potępiał zmiany, jakich bogaty przybysz dokonał w Remington.

Christy usiłowała sobie wyobrazić wpływ milionów Huttona na społeczność miasteczka. Niektórzy z pewnością odczuwali zawiść i pretensje; inni prześcigali się, by zbierać okruchy z pańskiego stołu.

Na Manhattanie Peter Hutton był tylko jednym z wielu multimilionerów. Tutaj miał status kury znoszącej złote jaja dla całego hrabstwa.

Marszcząc czoło, Christy zwolniła hamulec i ruszyła w dalszą drogę przez ranczo, urzeczywistniające sen mieszczycha o „dobrze zagospodarowanym Zachodzie”.

Łądowisko dla śmigłowców i małych samolotów dowodziło, że właściciel jest zwolennikiem szybkiej i drogiej metody pokonywania przestrzeni.

Na przeciwnym krańcu łąki mieściła się strzelnica. Odległość tarcz pozwalała na strzelanie zarówno z pistoletów, jak i strzelb.

- Sześciostrzałówka z dwunastu kroków? - rzuciła ironicznie Christy.

Hammond uśmiechnął się nieznacznie.

- Hutton jest całkiem niezły z pistoletu jak na miastowego gogusia... eee, jak na faceta z miasta. Kilku jego chłopaków dobrze sobie radzi ze strzelbą.

- Zwłaszcza jak na miastowych gogusiów? - zapytała niewinnie Christy.

Młody strażnik wyglądał na zakłopotanego.

- No, tak.

- Niech się pan nie obawia, wychowałam się w Wyoming.

- Naprawdę?

Christy przytaknęła.

- W ogóle tego nie widać - stwierdził chłopak.

- Cóż... dzięki i za to.

Hammond roześmiał się.

- Co oni tam robią? - zapytała Christy wskazując na stajnię, przed którą uwijało się kilkunastu robotników.

- Drewniany parkiet do tańca. A tam dalej będą ustawione rożny. Jutro ma być nielicha impreza.

Nieopodal inna ekipa pociła się, obracając nad ogniem wołu na dzisiejsze, mniejsze przyjęcie. Sądząc po rozmiarach czterech kopców wilgotnej ziemi, jaką wykopano pod ogniska, miały się tu piec całe prosiaki.

Kiedy minęli zabudowania gospodarcze, droga poprowadziła ich pod okazałym żeliwnym łukiem w kierunku domu.

Christy ledwie zdążyła zaparkować i otworzyć drzwi, kiedy usiłujący wyglądać na kowboja siwy mężczyzna wyszedł jej na spotkanie. Nosił eleganckie białe buty, koszulę zapinaną na perłowe guziki i ciemne spodnie. Wbrew intencjom właściciela wyglądało to zabawnie.

- Pani McKenna? Jestem Ted Autry, zastępca szefa administracji Petera - przedstawił się.
Nie skorzystawszy z pomocy Autry'ego, Christy sama wysiadła z samochodu. Podała mu rękę i posłała zawodowy uśmiech.

- Zdążyła pani w samą porę, by się napić się wina - powiedział Autry. - Peter ma właśnie nieplanowane spotkanie z kilkoma znajomymi przy „Kolekcji sióstr”.

Christy spojrzała na pseudokowboja.

- Kolekcji sióstr? - spytała ostro.

- Przepraszam, zapomniałem, że nikt pani nie powiedział, jak powstał cały projekt. Myra Best chciała, żeby zachowała pani chłodne spojrzenie.

- Moje spojrzenie jest chłodne jak lód - uśmiechnęła się Christy.

Autry znał się na swojej robocie; natychmiast wyczuł rozdrażnienie w jej głosie.

- Peter oparł projekty na niezwykle odkryciach archeologicznych, jakich dokonał tu, w Xanadu - wyjaśnił z uśmiechem, bezskutecznie usiłując zarazić Christy swoim entuzjazmem. - Odkopał siedzibę dawnego plemienia Anasazi, która była poświęcona dwóm siostrom. Księżniczkom.

- A więc chodziło o królewskie siostry? - Ton Christy zachęcał do dalszej opowieści.

Autry zahałał się, wyraźnie unikając odpowiedzi.

- Przyjemność wyjaśnienia szczegółów pozostawię Peterowi - zdecydował. - On uwielbia opowiadać tę historię.

Poprowadził ją przez wypielęgnowany trawnik i drewniany ganek do ogromnego pomieszczenia, które zajmowało całe skrzydło domu. Półokrągłe sklepienie niemal trzy piętra nad ziemią potęgowało wrażenie, że znaleźli się w kościele. Dwie z trzech ścian wykonano ze szkła, trzecia była wyłożona przepiękną mozaiką z różnych gatunków drewna. Na środku wznosił się jak ołtarz wolno stojący kominek, który sięgał aż do sufitu. Za szklanymi ścianami rozpościerała się panorama gór. Łagodne popołudniowe słońce ozłacało wnętrze swoim blaskiem. Czerwonawa drewniana posadzka miała wspaniałą fakturę. Zręcznie porozstawiane oszklone gabloty, wypełnione bibelotami i przedmiotami sztuki użytkowej, przyciągały wzrok.

Ściany obwieszono obrazami, wśród których Christy wypatrzyła prace Caitlina, Bierstadta i Morgana. Był też nieduży O'Keefee, kilka niezłych akwarel i Charlie Russell ze swoimi charakterystycznymi żywymi kolorami.

To by tłumaczyło zaostrzoną ochronę, pomyślała cierpko dziewczyna. „Świątynię” ozdabiała kilka milionów dolarów w dziełach sztuki.

Dopiero teraz zwróciła uwagę na zapelniających wnętrze ludzi, skupionych wokół dużej szklanej gabloty ustawionej w najbardziej eksponowanym miejscu. Niektórych gości Christy rozpoznała od razu. Był wśród nich Tim Carroll, ciemnowłosy hollywoodzki aktor inkasujący dziesięć milionów dolarów za film; jego dziewczyna Shannon Prell, zarabiająca tyle samo dzięki rolom naiwnych blondynek, oraz Frank Rohlick, pisarz z Nowego Jorku, autor serii krwawych bestsellerów.

Choć nie знаła pozostałych, ich wymuskana pewność siebie dowodziła, że to bogate nieroby, których głównym celem jest dobrze się pokazać; opływająca w luksusy elita, reprezentująca „lepszą” część zachodniej społeczności. Nikt nawet nie podniósł wzroku, kiedy weszła Christy.

Dziewczyna spojrzała na Autry'ego. Mężczyzna przyłożył palec do ust, uśmiechnął się i gestem zaprosił ją do pozostałych.

- ...wszystko wskazuje więc na to, że te kobiety należały do arystokracji. Włożono im do grobu mnóstwo klejnotów: kilka kilogramów turkusów i sześć tysięcy gagatów. Tego żółwia wykonano ze skały łupkowej, jaką można spotkać tylko na Wyspach Królowej Charlotte w Kolumbii Brytyjskiej. Macicę perłową, z której zrobiona jest głowa, można spotkać wyłącznie w Kalifornii. Archeolodzy zdradzili mi, że gdzieś na terenie wykopalisk powinien być jeszcze jeden podobny żółw, bo siostry były prawdopodobnie kapłankami. Nawet nie wiecie, jak bardzo chciałbym go znaleźć.

Kiedy mówca się wyprostował, Christy rozpoznała Huttona. Projektant był wysoki, miał kędzierzawe włosy, klasyczne rysy modela i uśmiech człowieka, który lubi sobie dogadzać. Jego modulowany tenor przypominał głos aktora teatralnego, którym zresztą chciał kiedyś zostać, zanim się zorientował, że dużo więcej zarobi, ubierając bogate kobiety.

- To, co teraz oglądacie, to macica perłowa, której najbliższe skupiska znajdują się na Malibu - wyjaśnił.

Przez tłum przeszedł szmer. Pochylili się, żeby lepiej widzieć.

- Innymi słowy, ten żółw jest dowodem na to, że imperium Chaco potrafiło pokonywać tysiące kilometrów, by zdobyć tworzywo, a wizja artystyczna Indian pozwalała im tworzyć grobowce pod każdym względem dorównujące arcydziełom egipskim.

Hutton przerwał i posłał słuchaczom zawodowy uśmiech. Wpatrzone w niego kobiety odwzajemniły się tym samym.

Obserwując go, Christy zastanawiała się, czy Jo-Jo lubi przebywać z tym okazem męskiego wdzięku, czy raczej denerwuje ją konieczność współzawodniczenia z jego urodą.

- Trudno się dziwić, że jestem tak podekscytowany. Znaleźko nie tylko było dla mnie inspiracją do pracy twórczej, ale też okazało się prawdziwym przełomem w badaniu najstarszych preamerykańskich kultur. Do tego czasu cywilizacja Anasazi była niedoceniona. Dzisiaj ludzie będą musieli uznać fakt, że tysiąc lat temu istniało państwo rozciągające się od pustyni Nowego Meksyku aż po płaskowyż Kolorado.

Hutton rozejrzał się po sali, oceniając entuzjazm audytorium. Wyraz jego twarzy uległ zmianie, kiedy dostrzegł w tłumie Christy.

- Przepraszam na chwilę - zwrócił się do otaczających go osób.

Przeciął pomieszczenie, zmierzając w kierunku nowego gościa z dziwnie płynną gracją modelki na wybiegu. Choć posągowa uroda Huttona nie była w typie Christy, nie potrafiła się jej oprzeć, tak jak nie mogła się oprzeć dobremu dziełu sztuki. Jo-Jo działała na ludzi podobnie; gapili się na nią, nie mogąc uwierzyć, że taka fizyczna doskonałość może istnieć poza ekranem telewizyjnym, w realnym świecie.

- Christy? Już tyle razy o mało się nie spotkaliśmy, a dopiero teraz się i dowiaduję, że jesteś siostrą Jo. Nadal jestem w szoku.

Hutton ujął obie dłonie Christy i uściśnił je z wyraźną przyjemnością.

- Witam, panie Hutton.

- Tylko nie panie. Dla ciebie jestem Peter, a ja będę ci mówił Christy - zaproponował z uśmiechem.

Pierwszy raz w życiu Christy była wdzięczna losowi, że spędziła dzieciństwo w blasku urody swojej siostry. Gdyby nie to, z pewnością oniemiałaby na sam widok Huttona.

- Panie Hutton...

- Peter.

- Peter. Jesteś dokładnie taki, jak o tobie mówią. - Nie mogła nie odwzajemnić uśmiechu.

- Oj, mam nadzieję, że nie - mrugnął porozumiewawczo. - Ludzie opowiadają same okropieństwa, a zapominają o tych dobrych stronach.

Christy roześmiała się.

Peter pochylił się w jej stronę i odezwał się ściszym głosem:

- Na przykład Jo nigdy nie wspominała, że jesteś na swój własny sposób piękna.

- To Jo-Jo jest piękna. Ja tylko wyszłam na ludzi.

Tym razem Hutton się roześmiał; obejrzał ją dokładnie od stóp do głów.

- Nie mogę się z tobą zgodzić - odezwał się po chwili. - W końcu to ja uchodzę za eksperta od kobiecej urody.

Pociągnął ją za rękę w kierunku gabloty.

- Właśnie opowiadałem kilku znajomym o skarbach Xanadu. Nawet sobie nie wyobrażasz, jakie są wspaniałe.

Kiedy się zbliżył, ludzie spojrzeli na niego wyczekująco. Nie można ich było za to winić. Silna osobowość Huttona zniewalała wszystkich.

- Uwaga dzieciaki, powściągnąć niewyparzone języki. Nadchodzi prasa - zakomunikował.

Christy obserwowała reakcję obecnych z mieszaniną rezygnacji i rozbawienia.

- Jacy zszokowani! - ucieszył się Hutton. - Rozluźnij się, Tim, ta pani nie obsmaruje cię w jakimś szmatławym brukowcu.

Gwiazdor skrzywił się przy wtórze śmiechu całej reszty.

- Christy McKenna to klasa sama dla siebie. Jest ekspertem czy może raczej ekspertką w dziedzinie amerykańskiego gustu i stylistyki. Jeśli mi nie wierzycie, sięgnijcie po „Horyzont”.

Zebrani spojrzeli na Christy z większym zainteresowaniem.

- Shannon, zasłaniasz gablotę. Osobiście nie mam nic przeciwko temu, ale jestem pewien, że Christy wolałaby oglądać eksponaty niż twój zgrabny tyłeczek.

Śmiejąc się, aktorka odeszła na bok.

Christy w lot pojęła przyczynę zafascynowania gości wystawą. Wszystkie przedmioty były doskonale zakonserwowane i daleko im było do pewnego prymitywizmu, jaki na ogół cechował prace autorstwa ludów Anasazi. Turkusowe amulety i sznury gagatowych paciorków były filigranowe i nieskazitelnie oszlifowane. Wyroby garncarskie zaskakiwały zamierzoną nieregularnością wzorów, skomplikowane sploty wiklinowych koszy zapierały dech w piersiach. Groty strzał i inne narzędzia z kości lub kamienia były nie tylko funkcjonalne, ale i wspaniale wykonane. Najbardziej zachwycające było jednak to, że niektóre z przedmiotów użytkowych wzniosły się ponad ograniczenia formy, by stać się prawdziwymi dziełami sztuki.

- Co o tym sądzisz? - zapytał Hutton natarczywie.

- Genialne, żywiolowe, nadzwyczajne - skwitowała.

Szeroki uśmiech Petera zdradzał triumf i ulgę.

- A nie widziałaś jeszcze najlepszego.

Ustawił przed nią proste, wyściełane aksamitem pudełko z sekwoi. Kiedy się zawahała, podsunął je bliżej.

- Popatrz - zachęcił.

Na aksamicie spoczywał wizerunek żółwia wielkości dłoni. Skorupę zwierzęcia wykonano z czarnego szlifowanego gagatu, mocny łeb, kark i odnóża z macicy perłowej. Kołnierze na szyi i oczy były turkusowe. Ten unikatowy, precyzyjnie wykonany wizerunek roztaczał wokół siebie aureę długowieczności, mądrości i płodności.

Nie ulegało wątpliwości, że coś takiego mogła wydać na świat jedynie wysoko rozwinięta kultura.

- Czy nie jest cudowny? - zapytał Hutton.

- Owszem - odpowiedziała po prostu.

- Myślę, że ten przedmiot jest największym dziełem kultury Anasazi, jakie kiedykolwiek ujrzało światło dzienne - stwierdził Peter głosem ochryplym z wrażenia. - A według mnie, mamy tu do czynienia z największym dziełem starożytnych cywilizacji w ogóle.

Christy wypuściła powietrze, nie zdając sobie sprawy, że dotąd wstrzymywała oddech.

- Czy żółw pochodzi z Xanadu?

- Tak. - Głos Huttona złagodniał. - Wszystko, co jest w tej gablocie, pochodzi z jaskini, którą odkryliśmy w ubiegłym roku.

Christy pochyliła się, aby się lepiej przyjrzeć żółwiowi. Na jednej z łap brakowało małego kawałka masy perłowej. W pewnym sensie potwierdzało to autentyczność przedmiotu.

Niedoskonała, a więc prawdziwa, pomyślała Christy.

- Śmiało, dotknij go, potrzymaj - zachęcał Hutton, unosząc żółwia z zapierającą dech niedbałością.

Dziewczyna ujęła go z czcią, wodząc opuszkami palców po szlifowanej skorupie. Powierzchnia żółwia była gładka, chłodna, niemal bez żadnych połączeń. Perłową powłokę wykonano tak starannie, że Christy musiała bardzo się starać, żeby wyczuć, gdzie kończy się kamień, a gdzie zaczyna okładzina.

- Moi konsultanci archeologiczni twierdzą, że jaskinia była grobowcem dwóch królewskich siostr - wyjaśnił Hutton.

- W college'u mówiono nam, że Anasazi byli prostymi rolnikami - zdziwiła się Christy.

- Właśnie teraz, kiedy tu stoimy, przeredagowują podręczniki - odrzekł Peter. - Co roku odkrywano setki ich siedlisk na południowym zachodzie i na całym płaskowyżu Kolorado.

Słyszając podekscytowanie w jego głosie, Christy spojrzała na Huttona. Miał piękne oczy, których błękit przypominał górskie niebo.

- Najnowsza nowinka to odkrycie, że Anasazi mieli własne państwo. - mówił dalej Peter. - Ze stolicą w kanionie Chaco, w Nowym Meksyku. W dodatku utrzymywali system dróg.

Ani hipnotyzująca uroda Huttona, ani jego wyraźne podniecenie nie były w stanie na długo odwrócić uwagi oczarowanej Christy od żółwia.

- Nasi archeolodzy uważają, że jaskinia w Xanadu znajdowała się na północnym krańcu imperium. Stoimy więc niedaleko granicy jednego z największych starożytnych mocarstw świata - ciągnął Peter.

- Rany, to zupełnie jakbyśmy znaleźli grobowiec Tutenchamona w Koloido - wtrąciła Shannon.

- Czy ktoś ma zgodę na filmowanie? - zapytał Tim. - Myślę, że mógłbym i zrobić niezły kawałek kina.

Hutton uśmiechnął się, nie spuszczać wzroku z Christy. Dziewczyna ostrożnie odłożyła wiekowego żółwia na jego miejsce w nowoczesnym drewnianym pudełku.

- Odkrycie tego wszystkiego musiało być przejmujące. Nie mogę się doczekać, żeby zobaczyć jaskinię - powiedziała i natychmiast wyczuła niechęć w głosie mężczyzny.

- Przykro mi, ale to niebezpieczne - wyjaśnił Hutton.

- Z pewnością nie bardziej niż Manhattan nocą - zaproponowała Christy.

- Jest tak źle, że przestali kopać i umacniają ściany.

Podniosła wzrok wystraszona.

- Brzmi to dość poważnie.

- Bo jest poważne. Poza tym - dodał zawstydzony - archeolodzy skróciliby mnie o klejnoty rodzinne, gdybym tam wrócił. Do tej pory podnoszą krzyk o to, co wyniosłem. Ale przecież nie mogłem tam tego wszystkiego zostawić. I gdyby sufit się zawalił, pogrzebałby żółwia na wieki.

- Czy mogę przyjąć, że to właśnie on zainspirował twoją nową kolekcję? - zapytała Christy.

- Niegrzeczna dziewczynka - odparł Peter i pogroził jej palcem. - Do jutra nie masz prawa być reporterem. Dzisiejszy wieczór jest przeznaczony dla przyjaciół.

- Nie miałam zamiaru nikogo napastować. Tak naprawdę przyjechałam zobaczyć się z Jo-Jo. Gdzie ona jest?

Hutton posłał jej zaintrygowane spojrzenie.

- Nie widziałem jej od wczoraj - oznajmił. - Myślałam, że poleciała do Nowego Jorku, żeby się z tobą spotkać.

Cholera, znów tkwię w martwym punkcie. - Christy wyprostowała się na fotelu. Po przeszło godzinie spędzonej przy telefonie ramiona jej zeszytywniały, a mięśnie były napięte jak postronki.

Sprawdziła każde centrum informacji, każde połączenie i wszystkie możliwe miejsca, gdzie mogły się minąć z Jo-Jo. Równie dobrze mogła sobie oszczędzić wysiłku.

W redakcji „Horyzontu” nie zostawiono żadnej wiadomości. Wyrwany ze snu Nick oznajmił zrzędliwie, że nie było do niej żadnych telefonów. W agencji modelek również nie potrafili jej pomóc. Siostry nie widziano także w żadnym z jej ulubionych hoteli.

Usta Christy wykrzywiły się w gorzkim grymasie. Z zawziętą uprzejmością walczyła z centralą telefoniczną, aż w końcu udało jej się połączyć z prywatnym numerem, który podał jej wczoraj Hutton.

- Autry, słucham. W czym mogę pomóc?
- Tu Christy McKenna. Czy pan Hutton jest osiągalny? To raczej pilne.
- Dla pani zawsze, ale właśnie w tej chwili zabawia grube ryby, więc proszę go długo nie zatrzymywać.
- W porządku.
- Niech pani chwilę zaczeka.

Chwilę później Hutton podniósł słuchawkę i zapytał pospiesznie:

- Co się stało?
- Nie mogę nigdzie znaleźć Jo-Jo.
- Próbowałaś w hotelu w Beverly Hills?
- Tak. Nie pokazywała się tam od miesiąca.
- To może... zaczekaj chwilę. - Słyszała go teraz gorzej, jakby odsunął słuchawkę i rozmawiając z nią, jednocześnie rozwiązywał mały miejscowy kryzys.

- A w agencji modelek?
- Nie kontaktowała się z nimi przez ostatni tydzień.
- Nawet ze swoim agentem?
- Też nie.
- W takim razie może...

Głos Huttona znowu zniżył się do szeptanego dialogu z Autrym.

- Przepraszam - powiedział chwilę później do słuchawki. - Mamy tu niezły młyn.
- Nie martwisz się o Jo-Jo?

Hutton milczał przez chwilę. W końcu się roześmiał.

- To ma być żart, tak?
- Nie.
- Złotko, Jo skończyła trzydzieści lat. Owszem, pracujemy razem, ale w końcu ślubu nie braliśmy. Dziewczyna przychodzi i odchodzi, kiedy ma na to ochotę, podobnie jak ja.
- I nic ci nie mówi?
- Jeśli będzie chciała, żebym wiedział, gdzie jest, sama mi o tym powie. Do tego czasu równie dobrze możesz szukać wiatru w polu.

Stanowcza pewność w głosie Petera przekonała Christy, że miał z jej siostrą ostrą wymianę zdań na ten temat.

- Nie powinna brać udziału w dzisiejszym pokazie?
- Na prywatne pokazy wystarczą dziewczyny stale pracujące na wybiegu.
- A jutrzejszy pokaz dla prasy?
- Chyba... poczekaj chwilę. Lepiej sam z nim pogadam, Autry - usłyszała, a potem odezwał się głośniejsze: - Christy, muszę lecieć. Przyjdiesz dzisiaj?
- Nie wiem. W każdym razie będę na oficjalnym pokazie prasowym. - Ostatnie słowa wypowiedziała już do niemej słuchawki.

Wpatrywała przez chwilę w telefon, czując narastające zdenerwowanie. Przypomniała sobie, jak kiedyś nadąsana Jo-Jo wciągała ludzi w swoje zniknięcia.

Wyjdz z ukrycia, gdziekolwiek jesteś, pomyślała. Ale Jo-Jo tego nie robi. Przynajmniej dopóki nie będzie gotowa.

Christy poderwała się gwałtownie i zaczęła chodzić po pokoju. Żałowała, że w pobliżu nie ma basenu. Dwadzieścia długości z pewnością pomogłoby jej pozbyć się napięcia w całym ciele.

Przemierzywszy pokój trzy razy, wcale nie poczuła się lepiej. Potrzebowała powietrza. Przyjęcie w Xanadu z pewnością będzie lepsze niż wysiadanie w pokoju w oczekiwaniu na telefon, który najprawdopodobniej w ogóle nie zadzwoni.

Wzięła prysznic i włożyła czarne jedwabne spodnie, a potem obszerny sweter w tym samym kolorze. Całości dopełniły czarne buty na płaskich obcasach. Może ominie ją pływanie, ale w Xanadu jest za to wiele miejsca na

spacery. W każdym razie wolała świeże powietrze niż cztery ściany hotelowego pokoju. Skończyła pleść francuski warkocz i oceniła swój wygląd w lustrze. Efekt nie był zachwycający. Czerń pasowała wprawdzie do wszystkiego, ale wymagała odpowiednich dodatków. Christy zabrała ten komplet, spodziewając się, że rozjaśni posępną tkaninę naszyjnikiem babci. Naszyjnik jednak nadal znajdował się poza jej zasięgiem, a nie miała ze sobą żadnej innej biżuterii.

Narzuciła czarny płócienny żakiet i zeszła do recepcji. Po namyśle doszła do wniosku, że jazda samochodem nie jest warta zamieszania przed bramą wjazdową. Postanowiła więc zabrać się na ranczo z pozostałymi gośćmi, którzy zatrzymali się w hotelu.

Stała przed wejściem, wdychając chłodne wieczorne powietrze. Księżyc w pełni rozświetlał okolicę srebrzystym blaskiem, przesuwał się nad szczytami San Juan. Przed wejście nadjechała właśnie przysłana z Xanadu lśniącą białą furgonetka. Kierowca w kowbojskim kapeluszu wychylił się z samochodu i zapytał:

- Do Xanadu?

Trzy oczekujące pary zajęły tylne siedzenia, pozostawiając Christy miejsce obok kierowcy. Nie będąc w nastroju do rozmowy, zajęła się wyglądaniem przez okno. Jednak zanim dojechali na miejsce, wiele się dowiedziała o swoich współtowarzyszach podróży. Najgłośniejsi z całej szóstki byli bogaci kolekcjonerzy wyrobów Anasazi - neurochirurg z Seattle i jego małżonka. Podróżowali wspólnie z parą właścicieli galerii sztuki prymitywnej z Houston.

Christy przysłuchiwała się w milczeniu przechwałkom typowym dla opływających w forszę zbieraczy.

- Na wystawie w Tucson zapłacił dwadzieścia dziewięć tysięcy dolców za skorupę, w którą ja nie chciałbym się nawet odlać.

- To jeszcze nic. Howard licytował kosz, który poszedł za pięćdziesiąt trzy kawałki.

- No i co? Udało mu się?

- Cholera, pewnie, że tak. Facet zawsze dostaje, czego chce.

Podziwiając rozświetloną księżycową poświatą okolicę, Christy próbowała wyobrazić sobie, jakby to było: urodzić się i umrzeć w jednym miejscu, nie znając innego skrawka nieba i ziemi. Myśl ta wydała jej się wyjątkowo melancholijna w zestawieniu z rozmową o pieniądzach, która toczyła się za jej plecami.

- ...z grobowców ze Springville. To dopiero było coś!

- Turkusy?

- Całe mnóstwo, aż krzyknąłem z wrażenia, kiedy je zobaczyłem.

- I co?

- Były owinięte jak całun wokół siedmiu szkieletów.

Któryś z rozmówców zagwizdał z podziwem.

- Szkielety były kompletne?

- Tak. Poza kilkoma kośćmi śródstopia, które w końcu też się pewnie znajdują. Niektóre miały nawet włosy.

- To były kobiety czy mężczyźni?

- Kobiety.

- Rany Boskie! Dlaczego nikt mnie nie zawiadomił? Mam stałe zamówienia na kobiece szczątki. Nikt nie daje za nie więcej ode mnie!

- Te akurat nie są na sprzedaż.

- Gówno prawda. Wszystko jest na sprzedaż. Weźmy na przykład srebra, które miesiąc temu weszły na rynek. Obaj wiemy, gdzie je ostatnio widzieliśmy.

- Racja. Wiemy też, gdzie są teraz. Ci cholerni Japonce biorą ceny chyba z księżycy.

- Niemcy są jeszcze gorsi. Kupiliby wszystko Anasazich. Nawet ostatni zaszary garnek, którego nie warto rozdeptać.

- Shelby, na litość boską, czy nie mógłbyś choć przez dwie minuty mówić o czymś innym niż martwi Indianie i zachłanni obcokrajowcy?

Na tyłach furgonetki rozległ się wybuch śmiechu po tej długo wstrzymywanej skardze kobiety. Rozmowa zeszła teraz wprawdzie na tematy lokalne, jednak jej przedmiot się nie zmienił. Pasażerowie nadal rozprawiali o Kolorado, pokazie w Sedona, naczyniach, amuletach i inkrustowanej turkusami dziecięcej czaszce.

Christy obserwowała księżyc na szczycie wzgórza, wdzięczna losowi, że nigdy nie miała instynktu zbieraczki. Jedyną rzeczą, którą chciała mieć dla siebie, był naszyjnik babci.

Do diabła z gierkami Jo-Jo. Naszyjnik jest mój. Dostanę go choćby nie wiem co, pomyślała.

Towarzystwo z tyłu analizowało właśnie ceny nieruchomości w Telluride, Aspen, Santa Fe i Taos.

Christy zaczynała odnosić wrażenie, że Zachód przechodzi inwazję szabrowników czyhających na działki wykopaliskowe albo na wykup starych rancz. Przypomniała sobie młodego farmera, który przez miliony Huttona został pozbawiony ziemi i zmuszony do pracy w biurze szeryfa.

Ignorując rozmowę za plecami, zajęła się obserwowaniem uciekających za oknem srebrzystoczarnych cieni.

Księżycowa poświata odbijała w szybie jej twarz i krajobraz na zewnątrz.

Kiedy dojechali do Xanadu, jakieś trzydzieści par tańczyło już na drewnianym parkiecie, który Christy widziała rano w trakcie montażu.

Mniej więcej setka pozostałych gości - kolekcjonerzy, ludzie mody oraz świta Huttona - zebrała się wokół stołów zastawionych jedzeniem, winem i piwem. W pobliżu oświetlonego księżycem wybiegu, w miejscu, które niegdyś było pastwiskiem, teraz zaś starannie wypielegnowaną łąką, zaparkowano kilka śmigłowców. Inne krążyły wysoko w powietrzu, oczekując swojej kolejki do lądowania. Nieopodal czekał rangę rover, gotowy do przewozu nowo przybyłych.

Hutton pojawił się na chwilę w drzwiach stajni, rozmawiając z kimś niewidocznym z zewnątrz. Christy dotarła do sporego budynku o spadzistym dachu. Został przerobiony na tymczasową garderobę. W nerwowej atmosferze krawcowe i charakteryzatorki dokonywały ostatnich poprawek przed pokazem. Jo-Jo nie było wśród modelek. Operatorzy światła przeglądali scenariusz razem z mistrzem ceremonii. Miał być sprowadzony specjalnie na tę okazję aktor z Nowego Jorku.

Christy rzuciły się w oczy zwiewne tkaniny z wzorami w kształcie błyskawic, podobnymi do tych z naczyń Anasazi. Zauważyła również kilka sztuk biżuterii z turkusowymi, czarnymi i perłowymi ozdobami. Długa biała suknia z jedwabiu z motywami czarnych dziecięcych figurek zachwycała oryginalnością.

Hutton wypatrzył ją w tłumie i podszedł ze swoim firmowym uśmiechem na ustach.

- Jak to dobrze, że zdecydowałaś się przyjść - odezwał się. - Twoja obecność podnosi rangę wydarzenia.

- Dziękuję.

- Oprowadziłbym cię, ale...

- Nie ma sprawy - rzekła pospiesznie Christy. - Mam tylko jedno szybkie pytanie.

Hutton uniósł lekko brwi.

- Jasne, złotko.

- Znasz człowieka, który się nazywa Aaron Cain?

Oczy Petera zapłonęły.

- Tego drania? Kiedy ostatni raz o nim słyszałem, leżał w szpitalu w Grand Junction. A co?

- Teraz jest w Remington.

Hutton wykrzywił twarz w brzydkim grymasie, ale zaraz zapanował nad sobą.

- Nie na długo.

- Czy on może wiedzieć, gdzie jest Jo-Jo?

- Jo odwiedzała okoliczne slumsy. Wątpię jednak, żeby utrzymywała później kontakt z ich mieszkańcami. - Hutton wzruszył ramionami.

Ktoś go zawołał.

- Przepraszam, złotko. Złapię cię po pokazie. - Wycisnął szybki pocałunek na policzku Christy, by chwilę później zniknąć wśród kobiecych ciał i powiewających tkanin.

Unoszący się w powietrzu zapach pieczenia przypominał Christy, że o tej porze na Manhattanie byłaby już po kolacji. W samolocie jadła niewiele, a od przyjazdu do Remington w ogóle nic nie miała w ustach. Była zbyt zajęta albo za bardzo wściekła, może zresztą jedno i drugie. Teraz jednak wieczorny chłód i aromat pieczonych potraw przywróciły jej apetyt. Podeszła do stołów uginających się pod półmiskami rozmaitych zimnych mięs. Salaterki pełne chilli, sałatek i warzyw wypełniały wolną przestrzeń pomiędzy stertami świeżego chleba i tortilii. Całości dopełniały ogromne ilości schłodzonego piwa, białego wina dla mieszczuchów i szampana Dom Perignon, przeznaczonego dla tych, którzy byli na tyle naiwni, by sądzić że pasuje do chili.

Christy zjadła kawałek wieprzowiny, kromkę świeżutkiego pełnoziarnistego chleba i miseczkę fasolki z chili i melasą. Popiła wszystko mocnym miejscowym piwem.

Spodziewała się, że chłodna noc, zmęczenie podróży i wypity alkohol wprawiają co najmniej w odrętwienie; zamiast tego jednak posiłek dodał jej siłę, przywołując jednocześnie wspomnienia.

Odstawiła talerz i szklankę, po czym ruszyła w tłum na poszukiwanie jasnej głowy i wdzięcznego śmiechu siostry.

Kiedy zespół muzyczny zrobił sobie przerwę, robotnicy zabrali się do przygotowywania wybiegu. Grupki ludzi zaczęły się gromadzić w oczekiwaniu największego wydarzenia roku.

Christy przyglądała się takim przygotowaniom już wiele razy, więc wiedziała, że potrwać jeszcze co najmniej półtorej godziny. Poczula, że za chwilę wybuchnie. Cały tłumiony dotąd gniew i rozczarowanie nagle dały o sobie znać. Nie miała ochoty tkwić dłużej w tym miejscu i czekać na wejście swojej wielkiej siostry. Zabawa w ciuciubabkę straciła urok nowości wiele lat temu.

Wcisnęła ręce do kieszeni spodni i oddaliła się od migoczących świateł i roześmianych ludzi. Uszła trzysta metrów i znalazła się sama. Poczula ulgę. Nie miała siły, by jednocześnie grać rolę reporterki i zwyczajnej siostry boskiej Jo.

Chociaż raz chciałabym dać nauczkę mojej doskonałej siostrzyczce, pomyślała w bezsilnej złości. Jo-Jo wie, ile znaczy dla mnie ten naszyjnik. Dlatego zamachała mi nim przed nosem, kiedy się bała, że nie przyjadę. Teraz muszę go tylko znaleźć i zabrać. Będę się mogła nacieszyć widokiem jej miny, kiedy się wreszcie pojawi i zobaczy go na mojej szyi.

Jakieś trzysta metrów od miejsca, w którym się znalazła, stał pełen wdzięku główny budynek. Ścieżka prowadziła wprost do drzwi. Christy nie skorzystała z niej jednak w obawie, by nie natknąć się na ochroniarzy. Jej misja miała zbyt osobisty charakter, by chciała komukolwiek się tłumaczyć.

Wzniesienie, na którym stał dom, porastała trawa i nieliczne krzewy. Christy potknęła się kilka razy, zanim jej oczy przywykły do ciemności.

Świeże powietrze, wspinaczka i wypity alkohol sprawiły, że poczuła lekki zawrót głowy. Jasne światło księżyca pogłębiało tylko poczucie nierzeczywistości. Kiedy dotarła do otaczającego dom trawnika, oddychała z wysiłkiem. Mimo zapalonych świateł z wnętrza domu nie dochodził żaden dźwięk. W odległym końcu, z dala od oszklonych ścian sali wystawowej, znajdowała się kuchnia, wystarczająco duża, by obsłużyć restaurację. Na ścianach wisiały rondle. Kiedy Christy podeszła bliżej, zauważyła, że pomieszczenie jest puste. Prawdopodobnie cała obsługa była zajęta na zewnątrz. Reporterka poczuła się trochę głupio, że zdecydowała się wejść do środka. Zanim podeszła do otwartego okna, rozejrzała się nasłuchując. Gdzieś ze środka domu dobiegały dźwięki muzyki country. Poza samotnym głosem Merle Haggard panowała jednak zupełna cisza.

Drzwi kuchni były zamknięte na klucz. Christy obeszła budynek, próbując się dostać do środka którymś z tylnych wejść. Już miała dać za wygraną, kiedy jedna z klamek ustąpiła. Zamknęła cicho drzwi i rozejrzała się dokoła, badając teren.

Serce waliło jej jak młotem. Była przerażona jak mała dziewczynka. Ostatni raz tak się bała, kiedy Jo-Jo namówiła ją, by schowały pajaka w biurku nauczycielki.

Zanim odnalazła wreszcie korytarz prowadzący do skrzydła mieszkalnego, dwa razy zgubiła drogę. Przemoczone rosą podeszwy butów mlaskały o posadzkę, a ten dźwięk wydawał się Christy niemiłosiernie głośny. Korytarz zaprowadził ją do sali, w której były wystawione skarby Xanadu. W kominku płonął ogień tak duży, że z powodzeniem można by na nim upiec wołu. Pomieszczenie było puste.

Christy wycofała się i ruszyła innym korytarzem. Miała nadzieję, że zaprowadzi ją do apartamentów Huttona. Stąpając po cichu, zastanawiała się, czy Jo-Jo i Peter dzielą sypialnię.

Na ścianach holu wisiały obrazy. Każdy z nich był oddzielnie oświetlony. Zatrzymała się odruchowo, by przyjrzeć się jednemu z płócien. Spojrzała i przeszył ją chłód.

Obraz przedstawiał surrealistyczny pejzaż skalistej okolicy targanej burzą podczas zmierzchu. Na czerwono-brunatnym tle artysta umieścił paszcze krwiożerczych demonów, które w miejsce oczu i wykrzywionych okrutnym uśmiechem ust miały ludzkie czaszki. Wicher, który rozpętał zawieruchę, przedstawiono jako okrutną bestię rozgrzebującą ziemię piorunami niczym szponami drapieżnego ptaka. Gdziekolwiek pazur wiatru rozdarł ziemię, tam pojawiały się rażące bielą bezgłowe ludzkie szkielety. Ich ramiona z rozcapierzonymi palcami wyciągały się w kierunku brakujących czaszek, które pozostawały poza ich zasięgiem.

Pod względem techniki obraz był doskonały. Autor wykazał się niezwykłą umiejętnością operowania światłem i kolorami. Głównie to stanowiło o przerażającym efekcie, jaki wywoływało płótno. Reszty dopełniało wyraźne zadowolenie w okrutnym uśmiechu monstrum.

Christy odwróciła się, czując przebiegający wzdłuż kręgosłupa dreszcz. Trzymać w domu taki obraz to zupełnie jakby używać mumii w charakterze stolika do kawy, pomyślała.

Odwróciła się i uciekła od makabrycznego malowidła. Otwarte drzwi w końcu korytarza najwyraźniej prowadziły do jednego z pokoi gościnnych. Wnętrze miało kosztowny, lecz bezosobowy wystrój, charakterystyczny dla apartamentów w pięciogwiazdkowych hotelach. Panujący wszędzie nienaganny porządek sprawiał wrażenie, jakby pokój nigdy nie był używany.

Kolejne drzwi od strony korytarza były zamknięte na klucz. Christy spróbowała szczęścia z następnymi i weszła do dużego apartamentu. W garderobie „wisiały drogie męskie ubrania. Niewątpliwie należały do Huttona.

Po chwili uderzyła ją w nozdrza dziwna, jakby znajoma woń. Wciągnęła głęboko powietrze, próbując zidentyfikować zapach.

- Puder dla niemowląt? Nie... niemożliwe - mruknęła.

Znów pociągnęła nosem.

- Owszem, puder dla niemowląt.

Nawet z unoszącym się w powietrzu zapachem pudru pokój zachował zdecydowanie męski charakter. Urządzono go w czerwieni i czerni ze srebrnymi akcentami. Nad łóżkiem wisiało kolejne krwawe dzieło tego samego autora, którego płótno Christy widziała wcześniej w holu. Po całym pokoju porozstawiane były miniaturowe figurki szkieletów

podobnych do tych z obrazu. Dawało to iście piekielny efekt.

Boże, jak można spać w takim miejscu? - zastanowiła się Christy.

Drzwi do sąsiedniego pokoju były lekko uchylone. Christy pchnęła je i zajrzała do środka. Jedną ze ścian ozdabiała naturalnych rozmiarów zdjęcie nagiej Jo-Jo. Kombinacja barw ze zdjęcia: bieli skóry, różu ust i sutków, złocistych włosów i szmaragdowych oczu znajdowała odbicie w elementach wystroju wnętrza - różowym i złotym baldachimie łóżka i porzrzucanych w artystycznym nieładzie flakonach perfum w różnych odcieniach szmaragdu.

Wnętrze było zupełnie takie jak jego właścicielka - zmysłowe i zmienne w nastrojach.

- Mam cię, droga siostrzo. Tylko co teraz z tobą zrobić? - powiedziała do siebie Christy.

6

Christy ostrożnie zamknęła za sobą drzwi, ale zaraz doszła do wniosku, że lepiej będzie zostawić je otwarte na wypadek, gdyby miały zamek zatrzaszkowy. Zostawiła szparę szerokości palca, wzięła głęboki wdech i rozejrzała się w poszukiwaniu wyjścia na taras, takiego, jakie widziała w apartamencie Huttona. Pokój Jo-Jo nie miał jednak balkonu. Wszystkie okna były szczelnie zasłonięte.

Świetnie się składa, pomyślała. Przynajmniej nie będę widoczna z zewnątrz.

Podekscytowana podeszła do toaletki. Stała tam biała lakierowana szkatułka na biżuterię. Jak się spodziewała, nie było w niej nic godnego uwagi. Jo-Jo zawsze miała świadomość, że krzykliwe błyskotki raczej tłumią niż uwydatniają jej naturalną urodę. Christy poczuła się jednak naprawdę rozczarowana, kiedy nie znalazła w pudełku złotego naszyjnika.

Ty mała oszustko! Czyżbyś go oddała w zastaw? - pomyślała.

Za nic nie chciała dopuścić do świadomości faktu, że mogłaby nie odzyskać pamiątki po babci.

Skoro posunęłam się tak daleko, prędzej diabli mnie porwą niż podwinę teraz ogon i ucieknę bez sprawdzenia wcześniej wszystkich możliwych zakamarków, doszła do wniosku.

Nie pierwszy raz Christy rewidowała pokój siostry w poszukiwaniu „zakazanych owoców”. Miała jednak nadzieję, że przy odrobinie szczęścia nigdy więcej nie będzie musiała tego robić.

Ilość bielizny poupychanej w ozdobnej komodzie stylizowanej na Ludwika XIV była wystarczająca, by zaopatrzyć niejednego hollywoodzkiego butik. Christy pomacała dno szuflady - była to kiedyś ulubiona kryjówka Jo-Jo na małe przedmioty. Jej dłonie napotkały jednak tylko drewno, zadziwiająco chropowate jak na tak drogi mebel. Sprawdziła jeszcze szafki nocne, łóżko i materac, zanim skierowała się do drzwi garderoby. W zamku tkwił potężny, staromodny klucz. Kiedy go obróciła, drzwi ustąpiły.

Wnętrze przenikała ostra woń cedru. W porównaniu z pokojem, przesiąkniętym zapachem kremów, perfum i bielizny, była to przyjemna odmiana.

Christy poszukała po omacku i wreszcie natrafiła na kontakt.

- Święta Panienko - westchnęła. - Nie do wiary!

Jo-Jo zawsze uwielbiała ciuchy. Widać było, że nareszcie mogła swobodnie oddać się tej namiętności. Wszystkie ściany obszernej garderoby zawieszane były kostiumami, sukienkami koktajlowymi, spódnicami, swetrami, spodniami i strojami sportowymi.

Specjalnie zaprojektowaną wnękę wypełniały dziesiątki par butów, uszeregowanych według kolorów. Z tyłu upchnięto pełen komplet toreb i walizek od Hartmana. Te z miękkiej skóry były trochę poprzecierane, ale i tak zachowały elegancki wygląd. Nawet najpiękniejsze rzeczy kiedyś się zużywają.

W pomieszczeniu panował porządek, co oznaczało, że Jo-Jo musiała zatrudniać kogoś do pomocy. Sama nigdy nie miała cierpliwości, żeby po sobie sprzątać. Zazwyczaj zostawiała tę przyjemność babci albo siostrze.

Christy darowała sobie ubrania i podeszła do wbudowanej szafy. Trzy pierwsze szuflady wypełniały skarpetki wszelkiego rodzaju i koloru. Obmacała starannie zwinięte pary, ale nic nie znalazła, więc zajęła się dnem szuflad. W czwartej z kolei poukładano wykrochmalone koszule Huttona, utrzymane w pastelowej ulubionej tonacji Jo-Jo. Kolejna szuflada zawierała wyprasowane dzinsy. Christy nie doszukała się niczego. Ani śladu naszyjnika.

Jej zwinne palce o mało nie ominęły ukrytego na spodzie szóstej szuflady klucza. Zawahała się chwilę, rozczarowana, że to nie naszyjnik, a jednocześnie uradowana, że w ogóle coś znalazła.

To musi być coś ważnego. Może nawet pomoże mi odnaleźć naszyjnik, pomyślała.

Wyciągnęła szufladę i wyrzuciła ją do góry dnem. Znaleziony klucz mógł pasować do wszystkiego. Nie był nawet pozłacany. Zupełnie nie w stylu Jo-Jo. Nosił za to ślady częstego użycia, jakby przeszedł przez wiele rąk. Christy doszła do wniosku, że nie pasuje do żadnego z drogich mebli w pokoju siostry.

Zmarszczyła brwi i włożyła szufladę na miejsce, cały czas zastanawiając się nad przeznaczeniem klucza. Uniosła go pod światło. Wytarta powierzchnia nie pozwoliła odczytać wygrawerowanego napisu. Można było odcyfrować jedynie pojedyncze litery.

Odgłos kroków w korytarzu wdarł się nagle w panującą w garderobie ciszę. Christy błyskawicznie zgasła światło i

wstrzymała oddech. Czowała się jak dziecko w przypiływie odwagi przebiegające przez cmentarz.

Kroki zbliżyły się do drzwi i umilkły. Ktokolwiek nadchodził, zatrzymał się na korytarzu. Może to tylko znudzony ochroniarz, sprawdzający gabloty w sali wystawowej i makabryczne, choć niewątpliwie cenne malowidła na ścianach korytarza.

Oddychając niemal bezgłośnie, Christy nasłuchiwała. Z korytarza nie dobiegały żadne dźwięki. Otworzyła ostrożnie drzwi garderoby i przebiegła na palcach przez sypialnię aż do wyjścia na korytarz. Przyłożyła ucho do drzwi i wstrzymała oddech.

Nie słyszała nic poza biciem własnego serca. Z naszyjnikiem czy bez, pora się stąd zabierać, stwierdziła w duchu. Wsunęła znaleziony klucz do kieszeni spodni i nie chcąc się ponownie natknąć na demony w sypialni Huttona, ruszyła na korytarz. Sięgnęła do klamki i zauważyła na ścianie pokrętko do regulacji światła. Kiedy przekręciła ostrożnie gałkę, światło w pokoju przygasło. Powtórzyła manewr jeszcze kilka razy, aż wewnątrz pogrążyło się w całkowitym mroku.

Nacisnęła klamkę modląc się, by nie zgrzytnęła. Udało się. Odetchnęła z ulgą i uchyliła odrobinę drzwi, by wyjrzeć. Zobaczyła plecy olbrzymiego faceta, który zdawał się wypełniać sobą cały korytarz. Twarz zakrywało mu rondo dużego stetsona.

Kompletnie zaskoczona Christy zobaczyła, że intruz klęka przed drzwiami między sypialnią Huttona a salą wystawową. Kiedy poruszył ramieniem, w jego dłoni błysnął pęk metalowych prętów. Choć nigdy wcześniej nie widziała wytrychów, Christy była pewna, że ma okazję oglądać je właśnie teraz. Mężczyzna bezskutecznie próbował otworzyć zamek. Christy usłyszała 'brzęk metalu i ciche przekleństwo.

W głębi domu ktoś zamknął drzwi. Chwilę później na posadzce rozległy się ciężkie kroki. Duży facet czuł się na tyle swobodnie, by się nie przejmować hałasem. Kroki zmierzały z kuchni w kierunku sali wystawowej.

Włamywacz się wyprostował i przez chwilę nasłuchiwał. Szukając potencjalnej drogi ucieczki, spojrzął w dół korytarza w stronę Christy. Kroki zbliżały się niebezpiecznie szybko. Ich odgłos stłumił na chwilę jeden z dywanów. Wkrótce rozległy się ponownie na kafelkach, by po chwili całkowicie umilknąć.

Najwyraźniej jeden z ochroniarzy robił obchód. Nie trzeba było wielkiej inteligencji, by się domyślić, że kolejnym etapem będzie sprawdzenie obrazów w holu.

Intruz chyba doszedł do podobnego wniosku, bo poderwał się gwałtownie spojrzął w stronę, skąd słychać było kroki. Kiedy tylko się odwrócił, Christy ostrożnie puściła drzwi sypialni Jo-Jo i pozwoliła im się zamknąć. Z bijącym sercem popędziła do sypialni Huttona. Ucieczka przez balkon pozostawała jedyną szansą uniknięcia konfrontacji, która byłaby teraz nie tylko krępująca, ale i niebezpieczna.

Stojąc z ręką na klamce łączącej oba apartamenty, usłyszała odgłos otwierania i zamykania drzwi. Ktoś wszedł do sypialni Huttona, odcinając tym samym drogę ucieczki zarówno włamywaczowi, jak i dziewczynie.

Christy odwróciła się i po omacku znalazła drogę do garderoby. Gdy tylko dotarła do drzwi, natychmiast sięgnęła po tkwiący w zamku olbrzymi, staromodny klucz. Wyjęła go i bezszelestnie zamknęła za sobą drzwi. W ciemnym wnętrzu spróbowała włożyć klucz z drugiej strony. Ręka trzęsła jej się tak bardzo, że musiała sobie pomagać drugą. Na szczęście udało jej się umieścić klucz w dziurce i przekręcić go. Ktokolwiek chciałby teraz wejść do pokoju, napotkałby opór zamkniętych drzwi.

Nagle ciężki klucz upadł na dywan. Christy stała w ciemnościach, trzęsąc się cała od zwiększonej dawki adrenaliny. Była pewna, że łomot jej serca musi być słychać aż w stajni.

Drzwi prowadzące z korytarza do pokoju Jo-Jo otworzyły się i zamknęły. Christy usłyszała, że ktoś się potykał w ciemnościach. Nie miała wątpliwości, że to włamywacz.

Wstrzymała oddech i zapragnęła zapaść się pod ziemię.

- Jack, do jasnej cholery, gdzie jesteś?

- W sypialni Huttona. Jak korytarz?

- Wydawało mi się, że widziałem kogoś w pokoju Jo.

- Sprawdź to.

Jasna smuga wdarła się do pogrążonej w ciemnościach garderoby przez pustą dziurkę od klucza. Któryś z ochroniarzy zapalił światło. Równocześnie rozległy się krzyki i przekleństwa.

Zanim Christy zdążyła przyklęknąć, by wyjrzeć przez dziurkę, było już po wszystkim. Dwaj strażnicy stali naprzeciw włamywacza. Obaj nosili srebrne policyjne gwiazdy. Jeden z nich trzymał wymierzony w intruza rewolwer.

- Odwróć się, sukinsynu, i ręce na ścianę. No już, ruszaj się.

W głosie ochroniarza brzmiała groźba, poparta machnięciem chromowanego rewolweru. Więzień wzruszył ramionami i obrócił się twarzą do ściany.

- Sprawdź go, Jack.

Chłopak, który rano towarzyszył Christy, podszedł do mężczyzny i obszukał go.

- Właśnie szukałem waszego szefa - odezwał się nieproszony gość.

Kiedy włamywacz się odezwał, dziewczyna stwierdziła, że jest to przystojny Indianin o ciemnej karnacji. Szpeciła go blizna, która biegła spod oka aż po nasadę podbródka, czyniąc prawą część jego twarzy nieruchomą.

- Chrzanisz, Johnny - odrzekł starszy ochroniarz, który trzymał w ręku broń.

- Sam się przekonaj, stary.

- Nie truj - powiedział z niesmakiem Hammond - Hutton nigdy nie zaprosiłby do siebie takiego zasranego złodzieja jak ty. Gadaj, co tu robisz?

- Dajcie spokój, ja tylko...

Widząc, że Indianin zaczyna odwracać się od ściany, Hammond podszedł do niego i wymierzył mu cios w nerki.

- Nie ruszaj się - wysapał ochroniarz.

- Auu, Jack, przecież ci nie zwięję.

- Twarzą do ściany - rozkazał starszy strażnik, wymachując bronią.

Johnnny obejrzał się przez ramię, po czym splunął w kierunku swoich napastników.

Starszy z nich podszedł i uderzył go kolbą rewolweru w prawą stronę twarzy. Obok starej blizny pojawiła się nowa rana, z której trysnęła krew. Indianin pozostał niewzruszony. Wyglądał, jakby nic nie poczuł. Splunął krwią na dywan.

- Zróbcie to jeszcze raz, a naprawdę się wkurzę - zagroził.

- Skuj drania - rozkazał ochroniarz młodszemu koledze, przykładając broń do szyi intruza.

Tymczasem Hammond niezręcznymi ruchami wyjął z kieszeni kajdanki. Najwyraźniej bardziej był przyzwyczajony do zaganiania bydła niż łapania, złodziei. Jakoś sobie jednak poradził. Odciągnął rękę Johnny'ego na plecy i skuł mu prawy nadgarstek.

- Daj mi drugą rękę - zażądał.

Widząc, że Indianin się ociąga, kolega Hammonda wbił mu w gardło lufę pistoletu.

- Pospiesz się.

Johnny niechętnie opuścił lewą rękę i pozwolił dokończyć dzieła Hammondowi, który poprawił mu na dłoniach metalowe bransoletki.

- Ciaśniej - polecił starszy ochroniarz.

Hammond zacisnął obręczę, aż mocno wbiły się w ciało, po czym upewniwszy się, że Johnny nie jest w stanie się bronić, uraczył go kolejnym ciosem w okolice nerek.

- To za tę bójkę w barze w Montrose, kiedy rozwalileś czaszkę Shortiemu wyjaśnił.

Tym razem Johnny jęknął i osunął się na kolana.

- Jeszcze cię za to dopadnę, ty...

Słowa więźnia zagłuszył kolejny cios rewolwerem w zuchwę.

- Co tu robisz? - domagał się wyjaśnień starszy ochroniarz.

Jedyną odpowiedzią było przekleństwo wymamrotane w bliżej nie określonym języku. Po kolejnym uderzeniu pistoletem strażnik powtórzył pytanie:

- Co tu robisz?

Odpowiedziała mu cisza. Spojrzał na Hammonda, który wzruszył ramionami.

- Znam tego typu - odezwał się młodszy mężczyzna. - Możesz go tłuc, aż odpadnie ci ręka, a i tak nic nie powie, jeśli nie będzie chciał.

- Autry'emu się to nie spodoba.

Hammond ponownie wzruszył ramionami. Jego towarzysz wyjął krótkofalówkę i zaczął do niej mówić. Ochroniarz nie przejął się, kiedy Indianin splunął krwią.

- Tak, zawołaj Autry'ego. Powiedz temu sukinsynowi, że chcę z nim rozmawiać.

Włamywacz odsłonił w uśmiechu niezdrowe, zalane krwią zęby.

- Lepiej sprowadź tu także Huttona.

- Pan Hutton nie rozmawia z takimi jak ty.

- Powiedz mu, że chodzi o siostry Kokopelli, a przyleci w podskokach - oznajmił Johnny, spluwając znowu.

Ochroniarze wymienili zaintrygowane spojrzenia.

- Kokopelli!- ryknął Indianin. - Powiedz mu!

Strażnicy odeszli kilka kroków i zaczęli się szeptem naradzać. Starszy wzruszył ramionami, spojrzał na Johnny'ego i zmarszczył brwi. Hammond podszedł do Indianina i podniósł go na nogi.

- Albo pójdziesz sam, albo cię zaciągniemy.

- Pójdę, ale musicie sprowadzić Autry'ego.

- Pewnie, jak tylko trochę cię ostudzimy.

Popchnęli Johnny'ego przed sobą w kierunku korytarza.

Christy zaczerpnęła głęboko powietrza i ciężko przełknęła ślinę. Wypite niedawno piwo podchodziło jej do gardła. W

dzieciństwie była kilka razy świadkiem barowych bójek, nigdy jednak nie widziała, by z premedytacją bito bezbronnego człowieka. Fakt, że facet był włamywaczem, niczego tu nie zmieniał.

Kiedy głosy z zewnątrz umilkły, Christy obmacała na klęczkach dywan i odszukała klucz. Dopiero za trzecim podejściem udało jej się otworzyć drzwi. Po kolejnych trzech próbach zamknęła je z powrotem.

Na dywanie w sypialni zobaczyła krew Indianina. Poczuła, że żołądek podchodzi jej do gardła.

Czas zabierać się stąd jak najdalej, zdecydowała.

Chwilę później odzyskała panowanie nad sobą. Ominęła szerokim łukiem krwawą plamę, podkraśliła się do drzwi i zaczęła nasłuchiwać.

Gdzieś w odległej części budynku trzasnęły drzwi. Któryś z ochroniarzy wrócił z kuchni na korytarz. Męskie głosy niosły się wyraźnie po pustym domu.

- Chyba nie zamarnie na śmierć w tej chłodni, co? - zapytał Hammond.

- Przy czterech stopniach? Nie tak szybko. Ale jak go stamtąd wyciągniemy za pół godziny, zaraz zacznie inaczej śpiewać.

Strażnicy przeszli z kuchni do holu i zatrzymali się na wysokości sali wystawowej.

Christy cofnęła się od drzwi. Gdyby wyszła na korytarz, natychmiast by ją zauważyli.

- Popatrz tylko.

- Gdzie?

- Tam, widzisz? Ktoś musiał z nim być. Co?

- Jezus, Jack, idź do okulisty. Widzisz te ślady na posadzce? Są za małe jak na nasze albo Johnny'ego.

- Rany, są jeszcze mokre. Lepiej rozejrzyjmy się jeszcze raz.

- Tym razem zróbmy to dokładnie, bo inaczej Autry wykopie nas na zбитy pysk.

Christy wiedziała, że w garderobie nie jest już bezpieczna. Musiała wydostać się z budynku, i to jak najszybciej. Rzuciła się do drzwi łączących pokój Jo-Jo z sypialnią Huttona. Ciągłe były otwarte na oścież. Przebiegła przez sypialnię do drzwi balkonowych, za którymi czekała wolność.

Z początku nie mogła poradzić sobie z zasuwą. Mocno się naszarpała, zanim zamek ustąpił. Potem wydawało jej się, że drzwi są zbyt ciężkie dla jej drżących rąk. W końcu owiało ją chłodne i czyste wieczorne powietrze. Puściła się biegiem przez taras. Na krawędzi zawahała się przed dwuipółmetrowym skokiem w krzaki, ale kiedy usłyszała głos w sypialni Huttona, rzuciła się w dół. Nim zdążyła dobrze pomyśleć, spadła w zarośla.

Ziemia była świeżo skopana i miękka, więc zamortyzowała upadek. Christy podniosła się na nogi, potknęła o spryskiwacz i upadła, lądując w ozdobnych iglakach. Skuliła się pod gałęziami w strachu, że ochroniarze zaczną za nią wołać albo, co gorsza, strzelać. Modliła się, żeby jej czarne ubranie zlało się z pograżonymi w ciemnościach krzewami.

Wstrzymała oddech, kiedy usłyszała, że strażnik podchodzi do krawędzi nawisu.

- Widzisz coś, Jack? - zawołał z sypialni drugi mężczyzna.

- Tak mi się zdawało.

- Sprawdź przed domem, ja zobaczę z tyłu.

Hammond zaklął, lecz wykonał polecenie.

Bojąc się normalnie oddychać, Christy zaczęła, aż kroki nad jej głową umilkły. Dopiero wtedy zebrała się na odwagę, by wstać. Zbiegła w dół zbocza, za wszelką cenę chcąc uniknąć strażników. Na dole po prawej stronie rósł szpaler świerków. W oddali widać było światła wybiegu i spacerujące po nim zgrabne, długonogie modelki. Gdyby tylko udało jej się dotrzeć do stajni, od razu mogłaby się wmieszać w tłum. Nikt by się nie zorientował, że w ogóle wchodziła do domu. Jednak zalewające łąkę światło księżycy natychmiast by ją zdradziło. Ochroniarze musieliby ją zauważyć, gdyby poszła w tamtą stronę.

Pobiegła więc na lewo, w kierunku drzew. Kiedy już ukryła się w ich cieniu, kątem oka zauważyła jakiś ruch. Krzyknęła stłumionym głosem i próbowała uskoczyć na bok. Nie zdążyła jednak. Ciężka dłoń zakryła jej usta, tłumiąc okrzyk. Potężne ramię zacisnęło się wokół niej i pociągnęło w tył. Walczyła, ale napastnik podciął jej nogi i upadła twarzą do ziemi. Poczuła, że silne ciało przygniatają mocno, w końcu przestała się szarpać.

Próbowała krzyknąć, ale zabrakło jej tchu. Nie miała siły, by strącić z ust rękę mężczyzny. Zmusiła się, by leżeć cicho i czekać na rozwój wypadków.

Cały świat zawirował jej przed oczami, kiedy napastnik ze zdumiewającą łatwością obrócił ją na plecy. Delikatnie, lecz zdecydowanie skierował jej twarz do światła.

- Hmm... a więc trafiła mi się główna wygrana - powiedział miękko.

Christy nie zdołała rozpoznać pograżonej w cieniu męskiej twarzy, jednak natychmiast zidentyfikowała głos Aarona Caina.

Wyluzuj się. Ruda - powiedział Cain ściszym głosem. - Nic ci nie zrobię. Słyszysz?

Owszem, słyszała... tylko że jakoś mu nie wierzyła.

- Zabiorę teraz rękę. Radzę ci się jednak zastanowić, zanim krzykniesz. Słuchasz mnie?

Christy wolno kiwnęła głową.

Zęby mężczyzny błysnęły w krótkim uśmiechu.

- Bardzo dobrze. Ochroniarze Huttona to miejscowe chłopaki, górnicy, kowboje albo myśliwi. Biegasz całkiem nieźle jak na dziewczynę z miasta, ale z pewnością szybko by cię dopadli.

Rzeczowy ton Caina uspokoił nieco Christy. Zauważyła też, że nie trzymał jej mocniej niż to było konieczne, by się upewnić, że dziewczyna nie zdradzi ich krzykiem.

Niezdecydowanie kiwnęła głową.

- Nie zrobię ci nic złego - powtórzył mężczyzna. - Pomogę ci się stąd wydostać, jeśli o to ci chodzi. Czy tego właśnie chcesz?

Znowu kiwnęła głową.

Po chwili dłoń zatykająca jej usta uniosła się lekko. Christy zrobiła krótki, bolesny wdech. Jej ciało wygięło się w łuk, kiedy próbowała zaczerpnąć trochę powietrza w obolałe płuca.

Cain spojrzał jej w oczy. Były pociemniałe od strachu, a jednak wciąż ostrożne i bystre. Niechętnie odsunął się na bok i odczekał chwilę, żeby sprawdzić, czy Christy zechce uciec.

Nagle oswobodzenie przyprawiło dziewczynę o zawrót głowy dorównujący temu, który towarzyszył atakowi. Po rozgrzanym i ciężkim ciele Caina noc wydała jej się nagle wyjątkowo zimna i nieprzyjazna.

- Gotowa? - zapytał miękko.

- Czemu mi pomagasz? - szepnęła Christy.

Cain uśmiechnął się. Tym razem dziewczyna miała tyle przytomności umysłu, by zauważyć, że jego uśmiech był raczej chłodny niż pocieszający.

- Dobrze pytanie, Ruda. Kiedy już sam znajdę na nie odpowiedź, pierwsza się o tym dowiesz. Wrócił ci już oddech?

- Pracuję nad tym.

- Lepiej się pospiesz, bo chyba rozeszły się złe wieści.

Christy podążyła wzrokiem za spojrzeniem mężczyzny. Cztery latarki przeczesywały trawnik na wzgórzu, przy ścieżce prowadzącej do domu. W oddali widać było inne, które pojawiły się wraz z nadciągającymi na odsiecz strażnikami. Prędzej czy później ktoś musi zauważyć jej ślady na mokrym trawniku.

- Jestem gotowa - powiedziała szybko.

Cain nie tracił czasu na gadanie. Poderwał się na nogi, pociągając za sobą Christy. Niedbała pewność, z jaką to zrobił, była irytująca, bo przypominała, że kobieta w takiej sytuacji stanowi ciężar dla mężczyzny, nawet dla kogoś tak silnego jak Cain. Christy wyrwała się, kiedy wziął ją za rękę. A raczej próbowała się wyrwać. Uścisk Caina był równie skuteczny jak metalowa obręcz kajdanek.

- Uspokój się, Ruda. To ja znam drogę, nie ty.

- Mogę iść bez...

- Cicho.

W głosie Caina wyczuwało się nieugięty rozkaz. Choć miała ochotę się kłócić, Christy wiedziała, że nie jest to odpowiednia pora, by deklарować swoją niezależność. Pozwoliła milcząco, by poprowadził ją między drzewami.

- Idź za mną - polecił. - I postaraj się nie narobić hałasu.

Jego głos był ledwie słyszalny. Mężczyzna poruszał się w ciemnościach ze zwinnością wilka, pewnie krocząc sobie tylko znanym szlakiem.

Christy szła za nim, starając się mimo szybkiego tempa zachować ciszę. Denerwowało ją, że nie potrafi iść równie bezszelestnie jak przewodnik. Jej oddech stawał się coraz bardziej urywany.

Kiedy doszli do wąskiego parowu wypełnionego wodą, Cain się zatrzymał. Zagłębienie miało około półtora metra. Ześliznął się w dół strumienia, aż dotknął stopami twardego gruntu. Po chwili odwrócił się i sięgnął po swoją towarzyszkę. Chwycił ją pod ramiona, uniósł lekko nad ziemią i postawił na dnie rozpadliny.

Zaskoczona nagłym uściskiem Christy straciła równowagę i zachwiała się. Cain pomógł jej stanąć pewnie na nogach i delikatnie zwolnił uścisk. Wyraźnie poczuła dotyk jego dłoni na piersiach.

Nic w zachowaniu mężczyzny nie zdradzało, by był świadom intymności sytuacji. Zdążył już ruszyć dalej wąwozem.

- Ruszaj się, Ruda. Czy może wolisz, żebym cię niósł?

Zdusiwszy przekleństwo, Christy potruchtała za nim, czując, że brak jej tchu. Była wyprowadzona z równowagi i zła na siebie, na niego i na cały świat.

Cain zaczął na nią.

- Teraz naprawdę bądź cicho - powiedział ledwo słyszalnym głosem.

Christy kiwnęła głową. Szli obok siebie wzdłuż strumyka.

Gdzieś z prawej strony dobiegły ich męskie głosy. Christy zamarła, czując jednocześnie, jak zaczyna jej łomotać serce. Nawet nie próbowała się sprzeciwić, kiedy Cain chwycił ją za przegub i pociągnął w stronę cienia.

Błysnęły światła latarek. Nie towarzyszyły im jednak żadne okrzyki. Nikt nie znalazł na trawie śladów Christy.

Poczuła przejmujący chłód.

Cain pociągnął ją ponaglająco za rękę. Spróbowała równomiernie oddychać, by za nim nadążyć. Po pięciu minutach mężczyzna w końcu zwolnił.

Jego oddech też był lekko przyspieszony. Christy zastanawiała się, czy i jemu wysokość daje się we znaki. Przypomniała sobie, że nie tak dawno został postrzelony. Poruszał się zwinnie jak wilk i z pewnością był szybszy od niej, ale przecież nie był maszyną. Też musiał oddychać.

Świadomość tego trochę ją pocieszyła. Poczuła się nieco swobodniej w jego towarzystwie. Westchnęła głośno. Cain obejrzał się i spojrzał na nią pytająco. Uśmiechnęła się uspokajająco. Mężczyzna ścisnął jej dłoń i ruszył na przód.

Kilka minut później Cain wciągnął Christy w cień pobliskiej kępy drzew. Zanim zdążyła zaprotestować, wyszeptał jej wprost do ucha:

- Cicho. - Jego usta były tak blisko, że dziewczyna poczuła na szyi ciepło oddechu.

Miała ochotę zapytać dlaczego, ale nie sądziła, żeby zechciał odpowiedzieć. Stała więc obok niego w ciemnościach, czując z jednej strony jego rozgrzane ciało, z drugiej zaś dojmujący chłód. Nie słyszała nic poza oddechem swoim i Caina.

Poczucie intymności było niepokojące i podniecające zarazem. Nigdy wcześniej nie była w takim odosobnieniu z zupełnie obcym mężczyzną.

- W porządku - odezwał się Cain.

Chwycił Christy za rękę i ruszył do przodu. Kilkanaście metrów dalej, za zakrętem, ich oczom ukazał się niski, odkryty dżip. Pojazd akurat mieścił się w wąwozie.

- Twój? - zapytała szeptem dziewczyna.

- Twojego kumpla włamywacza - odparł.

- Co?!

- To jego dżip.

- On nie jest żadnym moim kumplem - oburzyła się.

- Ciii - uciszył ją.

- Ale...

- Później - przerwał bezwzględnie mężczyzna.

Ominął samochód i pomaszerował dalej, ciągnąc za sobą Christy. Jakies czterysta metrów przed nimi zamajaczyła między drzewami sylwetka jego ciężarówki.

Kiedy do niej doszli, Cain otworzył przed Christy drzwi od strony pasażera. Pomyślała, że w samochodzie nie pali się światło i że trzeba pokonać wysoki stopień, żeby się dostać do środka, ale natychmiast dłonie Caina zacisnęły się wokół jej talii. Nim zdążyła zaprotestować, bezceremonialnie posadzono ją na siedzeniu.

Cain zamknął ostrożnie drzwi, obszedł samochód i usiadł na miejscu dla kierowcy. Chwilę później odpalił silnik, wrzucił jedynkę i ruszyli w drogę.

- Nie zapomniałeś o czymś? - zapytała Christy

W samochodzie było tak ciemno, że ledwo widziała jego oczy, kiedy na nią spojrzał.

- O czym?

- O światłach.

Uśmiechnął się chłodno.

- Nie zapomniałem. Po prostu ich nie włączyłem - wyjaśnił.

Mimo ciemności prowadził samochód bezbłędnie, zręcznie omijając przeszkody na dniami strumienia. Poruszali się co najmniej dwa razy szybciej niż gdyby szli szybkim marszem.

Christy nie mogła oderwać wzroku od profilu Caina. Kosztowało ją wiele wysiłku, by nie gapić się na jego szczupłe dłonie, z niedbałą wprawą trzymające kierownicę.

Ujechali jeszcze kilka kilometrów wąwozem i skręcili w zakurzoną boczną drogę. Była mniej więcej tak samo niewygodna jak koryto strumienia. Koleiny ciągnęły się w górę i w dół skalistego wzniesienia, by w końcu doprowadzić ich do kolejnego kanionu.

Cain w dalszym ciągu nie włączał świateł. Zwolnił raz, gwałtownie wciskając hamulec, kiedy na drogę wyskoczył jeleń i przebiegł im tuż przed maską.

Christy zauważyła, że światła stopu również nie działają. Samochód był więc niemal całkowicie niewidoczny na nieoświetlonych wiejskich drogach.

I ten cholerny złodziej śmie mnie nazywać włamywaczką, pomyślała w duchu. Co za gbur.

Cain w końcu włączył światła i zwiększył prędkość. Ciężarówka zatrzęsała się i zaklekotała na twardym podłożu szosy.

- Nareszcie bezpieczni? - zagadnęła Christy.

- Prawie.

- Jak to się stało, że się rozdzieliliście z Johnnym? A może stałeś na czatach? - zapytała.

- Że co?

- Och, daj spokój. Jakoś nie chce mi się wierzyć, żeby Hutton kazał swoim gościom parkować w rowie pełnym wody. Cain chrząknął.

- Nie wszedłeś z Johnnym do środka - ciągnęła Christy - ale obserwowałeś dom. Nazwałeś go włamywaczem, a więc musiałeś wiedzieć, że miał ze sobą pęk wytrychów. Czy to nie wystarczy, żeby uznać cię za wspornika?

- Sama sobie to wszystko wykombinowałaś?

- Staram się, jak mogę.

- Dużo czasu spędzasz z rabusiami i facetami z kryminalną przeszłością? - zapytał mężczyzna.

Beznamiętny ton pytania sprawił, że musiała upłynąć chwila, zanim do Christy dotarło to, co usłyszała.

- O czym ty mówisz? - zapytała.

- Nie wydajesz się specjalnie zaniepokojona, a przecież jesteś w szczerym polu, w środku nocy, sam na sam z facetem, którego uważasz za złodzieja i o którym wiesz na pewno, że siedział kiedyś w pudle.

A więc jednak Cain zauważył ją w galerii, kiedy podsłuchiwała jego kłótnię z szeryfem Dannerem.

- A więc - ciągnął - albo przywykłaś do towarzystwa oszustów, albo jesteś jedną z tych kobiet, które tylko czekają, żeby się dobrać do spodni jakiegoś mordercy, bo chcą sprawdzić, czy różni się czymś od innych facetów.

Christy wciągnęła głośno powietrze. Chociaż mówił spokojnie, słowa Caina miały w sobie tyle gorczy, że poczuła się, jakby wymierzył jej policzek.

- Zatrzymaj się i daj mi wysiąść - zażądała ostro. - No już.

Mężczyzna zignorował ją. Kiedy sięgnęła do klamki, włączył automatyczny zamek.

- Wypuść mnie! - krzyknęła.

W jej głosie wyczuwało się narastającą trwożę. Nie mogła nic na to poradzić. Była coraz bardziej przerażona.

- Spokojnie - odezwał się Cain. - Jedziemy trochę za szybko na ucieczkę w locie. Skręciłabyś sobie kark. Poza tym nie ma potrzeby uciekać. Już mówiłem, że nie mam zamiaru zrobić ci nic złego.

Był najwyraźniej znudzony i zde gustowany. Christy nie potrafiła jednak zdecydować, czy to z jej powodu.

- Idź do diabła - powiedziała głośno.

- Złożyłem mu już kiedyś wizytę, skarbie.

Nie miała co do tego wątpliwości, ale jakoś nie bardzo dodało jej to otuchy.

- Czego ode mnie chcesz? - zapytała.

- Uratowałem ci tyłek. Mogłabyś okazać trochę wdzięczności.

- Nawet o tym nie myśl. Nie mam zamiaru wskoczyć z tobą do łóżka tylko dlatego, że...

- Potrzebuję informacji, a nie seksu. Jezus, dlaczego kobiety sądzą, że każdy facet marzy, aby się przespać z każdą napotkaną dziewczyną?

- Bo taka jest prawda - stwierdziła z przekonaniem Christy.

- Nie zawsze.

- Akurat!

Ku jej zaskoczeniu Cain roześmiał się.

- Powściągnij nieco nerwy, skarbie. Ze mną jesteś bezpieczna.

- Czy wyszłam na wielką idiotkę?

- Gdybym chciał cię zgwałcić, zrobiłbym to na ranczu, kiedy leżałaś pode mną na ziemi. Nawet mi się to podobało, zwłaszcza kiedy próbowałaś wziąć głębszy oddech.

Rzeczowy ton tego stwierdzenia zaparł Christy dech w piersiach. Wybuchnęła śmiechem, by po chwili gwałtownie zamilknąć, kiedy usłyszała w nim nutkę hysterii.

- Nie przywykłaś do tego, co? - zapytał po jakimś czasie Cain.

- Do czego? Do tego, że mnie porywają? Ano, nie.

- Do zwiększonej dawki adrenaliny - wyjaśnił ze spokojem. - Nie jesteś do tego przyzwyczajona. Nie wiesz, jak to jest. Na początku strasznie się wkurzasz, a potem, kiedy emocje nieco opadną czujesz się, jakby cię przejechała ciężarówka.

Christy wypuściła głośno powietrze.

- Jeszcze nie jestem na tym etapie.

- Opuść trochę, Ruda, a sama zobaczysz.

Samochód zjechał właśnie ze wzniesienia do rozległej doliny. Okolica wydała się Christy znajoma. Po chwili zorientowała się, że zbliżają się do Remington, tyle że z innej strony. Światła miasteczka migotały w oddali jak rój świetlików.

Cain kierował się w stronę świateł przez następnych kilka kilometrów, po czym nagle skręcił i zjechał w boczną zwirową drogę. Wjechali do lasu. Samochód warczał głośno, przemykając między świerkami niczym dziki zwierz.

Upewniwszy się najpierw, że w jej głosie nie brzmi niepokój, Christy zapytała:

- Dlaczego nie odwieziesz mnie z powrotem do hotelu?
- Bo to pierwsze miejsce, w którym będą cię szukać psy Huttona.
- A, ochroniarze. Chyba mnie nie widzieli.
- Jesteś pewna?

Christy zastanowiła się chwilę. Oczywiście nie mogła mieć pewności, że Hammond nie zobaczył jej, kiedy przebiegała przez taras. Ruda czupryna czasami bywała kłopotliwa.

- Nie jestem pewna - przyznała. - Dokąd jedziemy?
- Do mnie. Tam nikt nie będzie cię szukał. Jutro rano popytamy i zobaczymy. Jeśli będzie bezpiecznie, odstawię cię do hotelu.

- Czy ludzie Huttona nie nabiorą podejrzeń, kiedy się pokażę z tobą rano w mieście?

Zęby Caina błysnęły w uśmiechu na tle ciemnego zarostu.

- Wyciągną właściwe wnioski.
- Miłość od pierwszego wejrzenia, tak? - zapytała z ironią.
- Coś w tym rodzaju. Ruda - odparł.
- Wierzę ci na słowo.

Christy umilkła na chwilę, próbując jednocześnie wyglądać przez okno i obserwować w szybie odbicie Caina. Czują, że napięcie z każdą chwilą opada, pogrążając ją w stanie kompletnego odrętwienia.

Pięć minut później Cain skręcił w wąską drogę wiodącą wzdłuż szpaleru świerków do niewielkiego domku o metalowym dachu. Jego kształt rysował się wyraźnie w światłach samochodu. Przed wejściem zbudowano drewnianą zagrodę.

- A co z Johnnym? - zapytał Cain, wyłączając silnik. - Też uwierzysz mi na słowo?

- To znaczy?

Zamiast odpowiedzi wysiadł z samochodu i otworzył drzwi od strony Christy. Nie odsunął się jednak. Zagradzał jej wyjście.

- Nie stałem na czatach. Nie wiem nawet, czego tam szukał, zakładając, że w ogóle czegoś szukał.

- Możesz być pewien, że szukał - poinformowała zwięźle.
- Jak długo znasz Johnny'ego?
- W ogóle go nie znam. Nigdy wcześniej go nie widziałam.
- W takim razie skąd wiesz, że to był Johnny? - zapytał rzeczowo.

Christy zeszytywniała na wspomnienie klęczącego pod drzwiami Indianina.

- Większy od Dannera, bezwładna prawa strona twarzy, dość przystojny, z pękiem wytrychów? - opisała wlamywacza.

- To on - potwierdził Cain. - Ale skoro nigdy go nie spotkałaś, skąd wiesz, jak ma na imię?

- Jeden ze strażników nazwał go Johnnym.

Cain gwizdnął przez zęby.

- Aha, strażnicy. Złapali go?

- Tak - odparła.

Coś w głosie Christy zwróciło uwagę mężczyzny. Jego oczy błyszcząły intensywnie w świetle księżyca, kiedy na nią spojrział.

- Jak to było?

- Teraz moja kolej - rzuciła stanowczo.

- Słucham.

- Skoro nie byłeś z Johnnym, to po co go śledziłeś?

- Żeby zobaczyć, dokąd idzie - odpowiedział.

- Po czyjej ty jesteś stronie?

- Po swojej własnej. Co się stało, kiedy chłopcy Huttona znaleźli Johnny'ego?

- Dlaczego cię to interesuje?

- Bo myślę, że ten skurwiel Johnny to facet, który cztery miesiące temu próbował mnie zabić, strzelając mi w plecy.

Christy otworzyła usta, żeby coś powiedzieć, ale nie wydobył się z nich żaden dźwięk. Spróbowała raz jeszcze z równie marnym skutkiem.

Ręce Caina wśliznęły się jej pod pachy.

- Uwaga na stopień - ostrzegł. - Gotowa?

- Nie. Właśnie odkryłam, jak czuła się Alicja w Krainie Czarów, spadając do króliczej nory.

Tym razem uśmiech Caina był szczery.

- Ten stopień nie jest aż tak wysoki. Trzymaj się.

Podniósł ją i postawił na ziemi. Poczwała wprawdzie grunt pod nogami, jednak kolana odmówiły jej posłuszeństwa. Oparła się ciężko na ramionach Caina, próbując złapać równowagę.

Mimo przejmującego chłodu rękawy koszuli miał podwinięte aż do łokci. Christy czuła pod palcami ciepło jego silnych, owłosionych rąk. Pachniał sosnowym lasem i dymem z ogniska. Stali tak blisko siebie, że widziała żyłkę pulsującą na jego szyi.

W całkowitej ciszy słychać było jedynie szum wody i wiatr buszujący w gałęziach drzew. Christy przypomniały się dawne czasy. Wraz z nimi powrócił cały ból, z którym nie potrafiła dać sobie rady.

Jej ciało zalała fala obezwładniającego zmęczenia. Uświadomiła sobie, że wczepia się rękami w Caina, jednocześnie próbując go odepchnąć.

Przyjrzał jej się badawczo.

- Ruda?

- Przepraszam - odezwała się słabym głosem. - Zdaje się, że właśnie przejechała po mnie ta ciężarówka, o której mówiłeś.

Świat zawirował i wszystko znów wróciło na swoje miejsce. Christy spojrzała z niedowierzaniem na Caina, który ruszył naprzód, niosąc ją na rękach jak dziecko.

- Mogę iść sama - zaprotestowała.

- Lepiej będzie, jeśli cię wyręczone. Cała się trzęsiesz.

- Wcale się nie trzęsę.

Uśmiechnął się.

- W takim razie jak to nazwiesz?

Christy uświadomiła sobie, że on ma rację.

- Zimno mi. A ty wcale nie zmarzłeś. Jak ci się udało przyzwyczaić do zwiększonej dawki adrenaliny?

- W więzieniu.

- Za co siedziałeś?

- Za zabicie człowieka, tak jak mówił Danner.

- O Boże.

- Zbyt zmęczona, by wpaść w panikę? - spytał chłodno. - Świetnie. Trzymaj się, otworzę drzwi.

Odrętwiała Christy czekała, aż otworzy zamek. Kiedy weszli do środka, postawił ją ostrożnie na ziemi, ale nie wypuścił z objęć.

- Nie zemdleję - odezwała się poirytowana.

- Wyglądasz, jakbyś miała zamiar. Jesteś błąda jak ściana.

- Jestem rudzielcem. Poza tym jestem dużo silniejsza niż wyglądam.

Uśmiechnął się lekko.

- Ale masz chyba jakieś imię?

- Christy. Christy McKenna.

- Aaron Cain.

- Wiem.

- A prawda, z galerii - przypomniał sobie.

Podtrzymując jedną ręką Christy, sięgnął do ściany, by zapalić światło. Oczom dziewczyny ukazał się obszerny pokój, który bardziej niż mieszkanie przypominał połączenie warsztatu z muzeum. Pierwszą rzeczą, która zwróciła jej uwagę, był duży stół roboczy zagracony glinianymi naczyniami i ich szczątkami. Na kole garncarskim spoczywał na wpół sklejonny garnek wymalowany w figury geometryczne. Kilka tuzinów skorup o tych samych kolorach i wzorach oczekiwało swojej kolejki. Na przeciwległym krańcu stołu stała gotowa do wyczyszczenia gliniana miska wielkości patelni. Jeśli nie liczyć drobnych odprysków, była w całkiem dobrym stanie. Pod warstwą brudu prześwitywał skomplikowany wzór.

- Znów masz minę Alicji z Krainy Czarów - zauważył Cain.

- Jeśli w związku z tym zaproponujesz mi herbatę, to dam ci w zęby.

- To może brandy?

- Chętnie. - Christy nie odrywała wzroku od poupychanych w całym pomieszczeniu znalezisk. Odkryła wśród nich garnki, misy i kubki - czarne, szare, czerwone i białe. Wszystkie były bardzo stare i bardzo piękne, niektóre mogły uchodzić za prawdziwe dzieła sztuki.

Zachwycona tymi okazami nie znanej jej dotąd kultury, Christy wędrowała z miejsca na miejsce, zapominając o zmęczeniu. Przyglądała się wszystkiemu z rosnącym podnieceniem.

Obok przepięknych wyrobów Anasazich odkryła również dzieła sztuki współczesnych Indian, a nawet kilka przedmiotów należących niegdyś do białych osadników i ludzi zamieszkujących tereny pogranicza, między innymi kamienne topory, stalowe tomahawki i potężny drewniany łuk ze sterzącymi orlimi piórami.

Na półce obok błyszczącego zegara umieszczono osmolony od gotowania nad ogniem żeliwny kociołek. Nieopodal stały wiekowe skrzypce z wiśniowego drzewa. Zarówno instrument, jak i zdobiące ścianę obrazy miały popękany ze starości lakier. Malowidła przedstawiały pejzaże Zachodu takiego, jakim był przed dwustu laty.

W całym pokoju porozkładano kawałki skał i minerałów. Podobnych okazów Christy nie widziała nawet w Smithsoniańskim Muzeum Historii Naturalnej. Z każdego kąta wyzierały okruchy kwarcu starszego od najstarszej cywilizacji. Niektóre próbki były przejrzyste jak źródłana woda, inne matowe. Niewątpliwie jednak wszystkie miały wartość muzealną.

Christy podeszła do biblioteczki. Szklane drzwi odbijały sylwetkę dziewczyny i stojącego za nią Caina, który obserwował ją ze szklanką brandy w ręku. Chciała się odwrócić, ale w tej chwili książki całkowicie pochłonęły jej uwagę. Z ich dobrego stanu wywnioskowała, że są nowe. Po chwili nie była już taka pewna. Otworzyła szklane drzwi i wybrała znajomy tytuł z lektury szkolnej. Egzemplarz z kolekcji Caina był jednak znacznie starszy niż ten, który czytała w szkole. Rok wydania na tytułowej stronie uświadomił Christy, że trzyma w ręku pierwsze wydanie *Bandytów równin*. Książkę wydano prywatnym nakładem w tysiąc osiemset dziewięćdziesiątym trzecim roku w Wyoming.

- To skutki wojny w dystrykcie Johnson - wyjaśnił Cain, zbliżając się do dziewczyny. - Hodowcy bydła przegrali co prawda wojnę, ale próbowali później ograniczyć szkody, wykupując każdy dostępny egzemplarz książki.

Christy machinalnie kiwnęła głową, zbyt przejęta faktem, że trzyma w ręku kawałek historii.

- Michael Cimino usiłował przerobić tę wojnę na nowoczesną opowieść epicką - dodał Cain. - Tak powstał film *Wrota niebios*.

- Taka sama kłapa jak oryginał - stwierdziła Christy.

- Tak, tylko że na wojnie prawdziwi ludzie stracili życie, a Cimino stracił tylko reputację w Hollywood.

Jakaś nuta w jego głosie przypomniawszy Christy, że Cain wie coś na temat i, umierania. Ostrożnie zamknęła książkę i odłożyła ją na miejsce.

- Jeśli to naprawdę pierwsze wydanie, to książka musi być bardzo cenna - powiedziała, zmieniając temat.

- Rzeczywiście, jest bardzo cenna.

Christy pomyślała o zachłannych zbieraczach, których spotkała w drodze do Xanadu. Choć było to tylko kilka godzin temu, zdawało się, że od tego czasu upłynęły całe wieki. Czuła, że przekroczyła w życiu jakąś niewidoczną granicę.

- Jesteś kolekcjonerem? - zapytała.

Cain uśmiechnął się chłodno.

- Czy wyglądam na nadzianego faceta?

- Sądząc po twoich ciuchach, raczej nie. Ubranie można zmienić, ale chyba trudno znaleźć kogoś z tak dobrym okiem jak twoje. - Christy wskazała zgromadzone w pomieszczeniu skarby. - A może jesteś handlarzem?

- Tylko kiedy brakuje mi forsy albo dopóki nie znajdę czegoś lepszego.

Christy zastanawiała się, czy wybierając kobiety, również kierował się tą zasadą - „trzymaj się jednej, dopóki nie trafi ci się coś lepszego”. Jeśli tak, to z pewnością był potajnym kochankiem Jo-Jo. Fizyczną doskonałością jej siostra niewątpliwie dorównywała niejednemu muzealnemu eksponatowi.

- Solidnie wykonany przedmiot przetrwa znacznie dłużej niż jego twórca - odezwał się Cain. - Mocny garnek, wszystko jedno, żeliwny czy z gliny, jest jak ta ziemia. Trwa znacznie dłużej niż ludzkie życie i może znieść o wiele więcej.

- To prawda - zgodziła się Christy, zaskoczona beznamiętnym tonem, jakim Cain mówił o śmierci. - Tylko że większość ludzi nie lubi o tym myśleć.

- Większość ludzi w ogóle nie lubi myśleć - skwitował, podając dziewczynie szklankę brandy.

- Wypij, a ja rozpalę w kominku.

Christy podniosła do ust kruchy kryształ. Spróbowała trunku.

- Armagnac! - mruknęła zdziwiona.

- A czego się spodziewałaś, samogonu pachnącego tytoniem do zucia?

Christy odwróciła głowę w nadziei, że Cain nie zauważy rumieńca na jej policzkach. Rzeczywiście, nie spodziewała

się tak znakomitego trunku w zapasach cholernego złodzieja.

- Usiądź. - Cain zapraszającym gestem wskazał sofę. - Za chwilę rozpalę w kominku.

Kanapa była tak mała, że gdyby usiedli na niej oboje, z pewnością słyszeliby swoje oddechy. Okoliczności dwukrotnie już zmusiły Christy do takiej bliskości z Cainem. Myśl o kolejnej intymnej chwili wprawiała ją w drżenie.

Ominęła więc sofę i usiadła w głębokim fotelu przy kominku. Uświadomiła sobie, że to musi być ulubione miejsce Caina, bo fotel pachniał tak jak on. Christy wyczuwała las, dym, mydło i tę nieuchwytną, niesprecyzowaną woń, która była po prostu jego wonią. Ciekawe, czy on rozpoznaje mój zapach chociaż w połowie tak dobrze jak ja jego? - zastanowiła się, ale wyprowadziło ją to z równowagi. Nigdy dotąd nie myślała w ten sposób.

W ponurym nastroju pociągnęła łyk aramagnacu i poczuła orzeźwiające działanie znakomitego, mocnego trunku.

- Czegoś takiego nie można kupić w sklepach w Remington - zauważyła.

- Racja - zgodził się Cain

- Prawdę powiedziawszy, wydaje mi się, że podawali to dziś na imprezie u Huttona.

- Tak. To, co pijesz, też prawdopodobnie pochodzi z prywatnych zapasów Huttona.

- Jesteś z nim zaprzyjaźniony?

- Nie. - Cain odwrócił się, by dopilnować ognia.

- W takim razie to boska Jo musi być twoją... hmm... przyjaciółką - stwierdziła Christy.

- Wystarczy jedna dziwka Huttona za przyjaciółkę i człowiek przestaje poważnie traktować swoich wrogów.

Christy była zaszokowana pogardą brzmiącą w jego głosie.

- Brzmi to jak skarga odrzuconego amanta - powiedziała.

- To raczej ona może się czuć odrzucona.

- To znaczy?

- Dlaczego cię to interesuje, Ruda?

- Jestem reporterką - odparła pospiesznie. - Zadaję różne pytania.

- Jezu. Dziennikarka.

- W twoich ustach brzmi to gorzej niż „włamywaczka”

- Kochanie, sto razy wolałbym mieć do czynienia z uczciwą włamywaczka. Przynajmniej zawsze wiadomo, co takiej chodzi po głowie.

Wstał i podszedł do barku, który kiedyś musiał być lodówką. Wyjął butelkę w kształcie banjo, nalał sobie kolejną porcję i pochylił się nad ogniem. Z wprawą trzymał szklankę, ogrzewając ją w dłoniach. Jednocześnie cały czas obserwował Christy. Jego oczy miały kolor ognia, ale były chłodne, obserwowały obiekt, jakby próbowały zdecydować, czy jest godny uwagi, niebezpieczny, czy może zupełnie nieszkodliwy.

- Czy dziś wieczorem u Huttona pracowałeś nad kolejnym reportażem? - zapytał w końcu.

- Tak, to miał być reportaż z pokazu.

- A dokładnie, co to znaczy?

- Piszę dla „Horyzontu” - wyjaśniła Christy.

Cain nie odpowiedział.

- To magazyn mody - dodała.

- Widziałem go kiedyś.

- Ach, tak.

Pociągnęła kolejny łyk.

- A więc jesteś jeszcze jednym ze sługusów Huttona.

- Nie jestem na niczych usługach. Ani w życiu, ani w pracy. Jestem równie obiektywna w tym, co robię, jak krytycy wobec sztuki.

Cain zasalutował ironicznie szklanką.

- A więc po prostu mówisz kobietom, dlaczego powinny nosić towar Huttona, chociaż wygląda jak chłam z podrzędnego sklepu z tanią odzieżą.

Christy o mało się nie udławiła potężnym łykiem alkoholu. Próbuąc złapać oddech, śmiała się i kaszłała jednocześnie. Wreszcie otarła łzy i zauważyła, że Cain się jej przygląda. Tym razem jednak dostrzegła w jego oczach uśmiech.

- Nie zajmuję się chłamed - powiedziała ochryple. - Zostawiam to Myrze.

- A kto to taki? Kolejna modelka?

- Nie, moja szefowa, przynajmniej dopóki mnie nie wyleje.

- A ma zamiar?

Christy wzruszyła ramionami. Zdała sobie sprawę, że Cain niepostrzeżenie skierował rozmowę na jej temat. Teraz to on zadawał pytania. Zazwyczaj Christy na to nie pozwalała.

- Czy dziś wieczorem próbowałaś zdążyć przed konkurencją?
- Nowa kolekcja Huttona prawdopodobnie by ci się spodobała - powiedziała zaczepnie Christy. - Same motywy Anasazich.

Cain przechylił szklanę, wdychając przez chwilę aromat alkoholu. Pozwolił, by łyk złocistego trunku spłynął mu do gardła.

- Jesteś pewna, że Anasazich? - zapytał bez emocji.

- Tak.

- A skąd wiesz?

- Po prostu. Widziałam kolekcję - odparła Christy.

- Gdzie? W domu?

- Nie, w stajni.

- Chwileczkę, niech to sobie poukładam - powiedział Cain. - Przyjechałaś, żeby zrobić reportaż o nowej kolekcji Huttona, ale kiedy w stajni zaczął się pokaz, wcale cię tam nie było.

- Przegapiłam oficjalny pokaz, ale widziałam wcześniej niektóre tkaniny. Czernie, biele i szarości. Nietypowe wzory geometryczne, zupełnie takie jak na tej misie na stole.

- Pochodzi z późniejszego okresu - wyjaśnił Cain. Najwyraźniej domyślił się, że Christy usiłuje zmienić temat.

- Wszystkie motywy były uderzające, zwłaszcza dziwne dziecięce figurki - ciągnęła Christy.

- To Kokopelli.

Pełen napięcia głos i wymowne spojrzenie Caina przekonały Christy, że Kokopelli to coś więcej niż tylko wzór. Po chwili przypomniała sobie, że Johnny użył tego słowa jako argumentu, by sprowadzić Autry'ego. I Huttona. Najwyraźniej „Kokopelli” było słowem-kluczem. Zastanawiała się, czy Jo-Jo także o tym wie.

Posłuchał się nim Johnny, pomyślała. Cain sądzi, że to właśnie on go postrzelił. Z kolei Johnny jest powiązany z Huttonem, a Hutton z Jo-Jo. Czy to dlatego jej siostra boi się Caina? Czy to z jego powodu się ukrywa?

- Co to znaczy Kokopelli? - zapytała.

- To bożek Anasazich, garbus, który gra na fletni i ma niepohamowany apetyt seksualny.

- Symbol płodności?

- Raczej symbol nieposkromionej żądz.

- To dość dziwny wybór jak na motyw do damskiej kolekcji.

- Nie przy takim doborze modelek. Hutton dobrze wie, co sprzedaje, i wie jak to sprzedać.

Pogarda i jeszcze coś nieokreślonego w głosie mężczyzny sprawiły, że pomimo wypitej brandy i ognia w kominku Christy poczuła nagły chłód.

A jednak nie bała się Caina. Była czujna, ostrożna i wyprowadzona z równowagi, ale gdzieś w głębi czuła, że jej nie skrzywdzi. Przynajmniej fizycznie. Nie był typem, któremu zadawanie bólu sprawiałoby przyjemność.

W takim razie jak to się stało, że zabił człowieka? I czy to prawda, że ktoś chciał zabić jego?

Nagle Christy uświadomiła sobie, że cisza trwa już zbyt długo, a złoto-brązowe oczy Caina uważnie ją obserwują. Zaczęła więc mówić o pierwszej rzeczy jaka przyszła jej do głowy, nie związanej ze śmiercią ani z Jo-Jo.

- Tkaniny są oczywiście miękkie, nie tak sztywne jak glina, ale wzory Huttona wyglądają na nich całkiem niezłe. Są intrygujące, prymitywne, a jednocześnie skomplikowane dzięki odpowiednio wyważonej asymetrii.

Cain milczał.

- Po tych mdłych pastelach, jakimi nas raczył w ubiegłych sezonach, to naprawdę powiew świeżości.

- Nie lubisz go, co?

Christy poczuła się zakłopotana przenikliwością Caina. Zazwyczaj ludziom nie udawało się czytać w niej jak w otwartej księdze. Jej reakcje również na ogół były rozsądniejsze.

- Nie muszę go lubić, żeby o nim pisać.

- Spotkałaś się z nim kiedyś?

- Pewnie. Czemu pytasz?

- Większość kobiet mdleje z zachwytu na jego widok - powiedział Cain, uśmiechając się lodowato.

- Ja nie należę do tej większości.

- Chyba rzeczywiście. Ty jesteś kobietą, którą złapałem, kiedy uciekała na czworakach przed strażnikami Huttona.

Christy pociągnęła łyk armagnacu, czując, że gra na zwłokę. Wkrótce będzie musiała odkryć karty. Albo powie Cainowi prawdę, albo pośle go do diabła. Wolałaby raczej wyznać wszystko, i to nie tylko dlatego, że taki miała zwyczaj. Po prostu nie potrafiła dłużej walczyć z przekonaniem, że może mu zaufać. Przynajmniej w pewnym stopniu. Dopóki w grę nie wchodziła Jo-Jo.

Buchające z kominka płomienie wywoływały u Christy niemal tak samo silny efekt jak alkohol. Napila się jeszcze trochę i poczuła przepływające przez całe ciało fale ciepła. Zauważyła też nie całkiem przytomnie, że jej głowa wydaje

się wyjątkowo lekka. Uff, górskie powietrze i alkohol to potężna mieszanka. Christy odstawiła szklanę, która i tak już była pusta.

Cain nalał jej następną porcję.

- Dzięki - zaprotestowała. - Mam już dość.
- Alkohol skłania do mówienia prawdy, więc chyba jeszcze nie masz dość.
- Wypiłam już swoją dawkę na dzisiaj.
- To teraz wyłóż mi swoją dawkę prawdy na dzisiaj.

Zamrugła i uśmiechnęła się leniwie. Najlepiej ofiaruję mu same półprawdy, jak przystało na reportera, postanowiła w duchu.

- Szukałam Jo - powiedziała na głos.

Cain był wyraźnie zaskoczony. Christy uśmiechnęła się zadowolona, że w końcu udało jej się zburzyć jego kamienny spokój.

- Po co? - zapytał bez ogródek.
- W Nowym Jorku chodziły słuchy, że ona i Hutton nie są już tak blisko, jak kiedyś - wyjaśniła, starannie dobierając swoje półprawdy. - Pomyślałam, że może Jo poda mi kilka szczegółów na temat jego charakteru.
- Dlaczego szukałaś jej w domu?
- Nie było jej w stajni z resztą modelek. Gdzie indziej mogłaby być?

Cain nie odpowiedział.

- Mówi się, że Jo ma nowego kochanka - brnęła dalej Christy.

Mężczyzna napił się znowu. Cokolwiek myślał, nie sposób było wyczytać tego z jego twarzy.

- Wiesz, kto to może być?
- Połowa stanu Kolorado - odparł.
- Czyżbyś mówił z własnego doświadczenia?
- Z Jo-Jo? - zapytał sardonicznie. - Nigdy w życiu. Ta kobieta już dawno przestała być sobą.

Jo-Jo! Christy była wstrząśnięta. Wydawało jej się, że tylko ona nazywała siostrę imieniem z dzieciństwa. Wszystko jedno jak bardzo Cain jej teraz nienawidził. Jedno jest pewne, kiedyś zbliżył się do Jo-Jo na tyle, że opowiedziała mu o swoim dzieciństwie.

Przecież on może wiedzieć o mnie, pomyślała. Boże, w co ja się wpakowałam?

Niewiele myśląc, sięgnęła po szklanę. Nieopatrznie wzięła zbyt duży łyk i znowu musiała walczyć z napływającymi łzami.

- Jo-Jo? Tak ją nazywają? - zapytała wreszcie.
- Ona sama tak o sobie mówi.
- Naprawdę? Jest jakiś konkretny powód?
- Jo-Jo nie potrzebuje powodów - stwierdził Cain. - Uważa, że uroda jest wystarczającym usprawiedliwieniem dla wszystkiego, co robi.

- Powiedziała ci coś więcej o sobie?

- Dlaczego miałyby mi o sobie opowiadać? Po prostu chciała sprawdzić, jak to jest zrobić to z mordercą.

Christy wzдрыgnęła się. Odczuwała ulgę, a jednocześnie była przerażona.

- Nienawidzisz jej - zauważyła oskarżycielskim tonem.

Cain napił się i odstawił szklanę. Wokół jego ust pojawiły się ponure bruzdy.

- Dobra, Ruda. Nie znalazłaś w domu boskiej Jo, ale coś musiałaś chyba wywęszyć, skoro się tak wystraszyłaś.

- Widziałam - głos zadrzał jej na samo wspomnienie - ochroniarzy, którzy pobili Johnny'ego.

Zrobiło jej się zimno, kiedy przypomniała sobie ciosy pistoletem, uderzenia pięści i krew na dywanie. Zamknęła oczy i pociągnęła kolejny łyk mocnego trunku.

- Bili go na twoich oczach? - zapytał z niedowierzaniem Cain.
- Nie wiedzieli, że tam jestem.
- Gdzie się schowałaś?
- W garderobie Jo.
- Dlaczego go stłukli? - zapytał mężczyzna.
- Próbował się włamać do któregoś z pokoi. Grzebał kilka minut przy zamku, potem usłyszał ochroniarza i pobiegł do sypialni Jo, żeby się schować. Usłyszałam, że nadchodzi i schowałam się pierwsza.
- Musiał być niezły ten zamek.
- Czemu?

- Johnny jest dyplomowanym włamywaczem, w końcu trzy lata spędził w więzieniu. - Jak zwykle, na wzmiankę o więzieniu wyraz twarzy Caina stał się jeszcze bardziej niedostępny.

- Czego strażnicy chcieli od Johnny'ego? - zapytał po chwili.
- Chcieli z niego wyciągnąć, czego szukał.
- I co to było?
- Nie wiem - odparła. - Nie powiedział im.
- Dlatego mu dołożyli.
- Tak. I ... myślę, że się go bali.
- Mądrzy chłopcy. Johnny jest znany z tego, że potrafi znieść niezłe lanie, a jeszcze lepsze komuś sprawić.
- Dzisiaj to on inkasował ciosy. - Dziewczyna przełknęła ślinę. - Bili go pistoletem po twarzy.
- To niepodobne do Hammonda.
- To nie Hammond, to ten drugi. Widać było, że bardzo mu się to podobało. On ... to było ...

Christy napiła się pospiesznie, próbując się pozbyć opanowującego ją strachu i mdłości.

- Co było potem? - zapytał Cain. Jego głos był bardziej współczujący niż słowa.
- Johnny się wystraszył. Chciał rozmawiać z którymś z ludzi Huttona.
- Z kimś konkretnym?
- Z Autrym
- Równie dobrze mogliby przywiązać mu kamień u szyi i wrzucić go do rzeki.
- W rozmowie Autry wydał mi się całkiem sympatyczny, pomijając fakt, że wyglądał jak przebieraniec.
- Facet jest byłym agentem FBI.
- Teraz rozumiem, dlaczego ktoś taki jak ty nie mógłby mieć o nim dobrego zdania.
- „Ktoś taki jak ja” - powtórzył chłodno Cain. - Czyli były więzień?

Christy uciekła spojrzeniem w bok i wzięła kolejny łyk brandy. Kiedy podniosła wzrok, Cain intensywnie wpatrywał się w ogień. Dziewczyna bezwiednie podniosła szklankę do ust, usiłując odpędzić niepokój towarzyszący jej uparcie od chwili rozmowy telefonicznej z Jo-Jo.

- Ruda? - zapytał miękko mężczyzna. - Po co tak naprawdę poszłaś do domu Huttona?

9

Podczas gdy Christy usiłowała coś wymyślić, Cain obserwował ją z wyrazem zaciekawienia na twarzy. Zupełnie jakby byli na pierwszej randce, a on nie mógł się zdecydować, czy pocałować ją na pożegnanie, czy nie. Tak naprawdę jednak mężczyzna po prostu mierzył ją spojrzeniem, a jego oczy mówiły, że wie, iż dziewczyna kłamie. Nie wiedział tylko dlaczego.

Christy zamknęła oczy. To wszystko jedna wielka pomyłka. Alkohol, wysokość i nerwy dawały o sobie znać. Jej ciało przebiegł dreszcz. Zadygotała. Instynktownie objęła się ramionami, próbując się ogrzać ciepłem własnego ciała.

- Masz zamiar mi tu w końcu zemdleć? - zapytał Cain.

- N-nie - odparła słabym głosem. - Cholera, pewnie, że nie! Ja nigdy nie mdleję!

Poderwała się z krzesła i stanęła tyłem do Caina, chwiejąc się lekko na nogach. Zanim zdążyła wziąć kolejny oddech, poczuła jego ręce na swoich łokciach.

Był bardzo blisko. Prawie tak blisko jak wtedy, gdy przyciągnął ją do siebie w lesie podczas ucieczki. Christy pamiętała siłę jego uścisku. W tej chwili trzymał ją równie mocno, ale jednocześnie delikatnie.

- Opowiesz mi o swoich kłopotach, skarbie? - poprosił łagodnie.

- Zimno mi - odpowiedziała. - T-to wszystko.

Naprawdę było jej zimno. Przemarzła na kość.

Palce Caina zacisnęły się na chwilę. Wreszcie wziął głęboki oddech i puścił ją, zdając sobie sprawę, że Christy nie chce mu zaufać.

- W porządku. Ruda. Na razie niech będzie po twojemu, bo jak widać moje metody do niczego nie prowadzą.

- Co to znaczy?

- To znaczy, że jeśli ci zimno, mam coś w sam raz dla ciebie. Pójdiesz sama czy chcesz, żebym...

- Pójdę sama - przerwała mu pospiesznie.

- Do diabła, a miałem taką ochotę cię zanieść.

Żartobliwy ton Caina wprowadził Christy w osłupienie. Obrzuciła go przez ramię krótkim spojrzeniem. Uśmiech mężczyzny był równie ciepły jak odbijające się w jego oczach płomienie z kominka.

- Nie martw się - powiedział rozbawiony. - Jestem wprawdzie „cholernym złodziejem”, ale w towarzystwie porządnych kobiet zachowuję się jak dzentelmen.

Christy uśmiechnęła się niepewnie.

- Zapomniałeś kawałka o „kopalnianej hienie”.

Cain roześmiał się i potrząsnął głową.

- Przegadałabyś samego diabła, co?

Odpowiedziała uśmiechem.

- A co to właściwie znaczy „kopalniana hiena”? - zapytała.

- To ktoś, kto wydobywa najlepszą część złoża kopalni, ochłapy zastawiając jej legalnym właścicielom.

- A więc Dannerowi chodziło o twoje minerały? - spytała i zerknęła w kierunku zgromadzonych w pokoju okazów.

- Dokładnie, ale między nami mówiąc, wszystkie zostały wydobyte legalnie. Mam pozwolenie na wykopy w wielu tutejszych prywatnych kopalniach.

- Dlaczego w takim razie szeryf nazwał cię złodziejem?

- No właśnie, nie bardzo to do mnie pasuje. Wykopaliska na terenach prywatnych są całkowicie zgodne z prawem. Możesz spytać Huttona.

- Dlaczego akurat jego?

- Moje najlepsze okazy pochodzą ze starego rancza Donovana. Wykopałem je, zanim Hutton wykupił ziemię, zabarykadował się i sam wziął do roboty.

Christy przypomniawszy sobie przepiękne znaleziska, które widziała po południu w domu projektanta. Wcale się nie dziwiła, że Hutton chciał zatrzymać skarby rancza dla siebie.

Kiedy Cain wyprowadził ją na mroźne powietrze, poczuła się jak naga w swojej cienkiej jedwabnej bluzce i przewiewnym żakiecie.

- I to ma mnie rozgrzać? - zapytała.

- Zaufaj mi, Ruda. Przynajmniej w tym jednym.

Christy spojrzała w górę, ale w panujących ciemnościach zobaczyła tylko czarny zarys męskiej sylwetki. Szerokie ramiona przesłaniały niebo, oczy i twarz pozostawały w cieniu.

Cain nie nalegał jednak. Ręka spoczywająca na ramieniu dziewczyny czekała cierpliwie, aż Christy podejmie decyzję. Mogła spokojnie wrócić do bezpiecznego domku i ciepłego kominka albo zaufać mężczyźnie i podążyć za nim w noc.

- Dobrze - powiedziała po prostu.

Po chwili usłyszała, a raczej wyczuła oddech głęboki jak westchnienie. Palce Caina błędziły przez chwilę po ramieniu Christy, zanim ją puścił.

- Księżyc powinien wystarczyć, ale jeśli chcesz, przyniosę latarkę - odezwał się. Christy spojrzała na oblane srebrzystą poświatą górskie szczyty. Wysoko, ponad kępami drzew, pasma śniegu odcinały się bielą na tle ciemnego nieba.

- Nie chcę latarki - powiedziała. - Tęskniłam za takimi nocami - dodała z nutką zaskoczenia w głosie.

- Znudzona miastem?

- Owszem.

Nagle usłyszeli na końcu ścieżki jakiś ruch pomiędzy drzewami.

- Boisz się psów? - zapytał Cain.

- Nie.

Chwilę potem Christy zastanawiała się, czy przypadkiem nie pospieszyła się z odpowiedzią. Zwierzę, które się pojawiło na ścieżce, nie należało do gatunku wzbudzającego zaufanie. Ogromna długoucha bestia wyglądała raczej jak wilk niż jak najlepszy przyjaciel człowieka.

- Cześć, Moki - odezwał się Cain, kiedy pies podbiegł bliżej. - Mam nadzieję, że upolowałeś sobie coś na kolację, bo nic ci nie przyniosłem.

Zwierzę zamerdało przyjaźnie puszystym ogonem, kiedy mężczyzna podrapał je za uszami, lecz to Christy znalazła się w centrum uwagi psa.

- Nie podjeżdż do ciebie, jeśli go nie zachęcisz. Może nawet i wtedy nie. Jest sam, odkąd mnie postrzelili.

- Zostawiłeś go na pastwę losu?

- Lepiej, żeby był głodny i na wpół dziki, niż żeby go zamknęli w klatce. Nie wytrzymałby dłużej niż miesiąc uwiązany na łańcuchu. - Głos Caina mówił sam za siebie. Czas spędzony w więzieniu nauczył go nienawiści do zamkniętych miejsc i wszelkich więzów.

Moki był wychudzony i wyglądał dziko. Było jednak coś sympatycznego w jego pysku. Christy przykucnęła i wyciągnęła rękę w kierunku zwierzęcia.

- Witaj, Moki - powiedziała miękko. - To nie twoja wina, że nie lubisz obcych. Mnie nie musisz się obawiać. Nie zrobię ci krzywdy ani cię nie uwiężą. Nakarmiłabym cię nawet, gdybym miała coś do jedzenia.

Wabiony niskim, spokojnym głosem pies zbliżył się ostrożnie i obwąchał rękę dziewczyny. Po chwili trącił nosem dłoń Christy, domagając się pieszczot.

Roześmiała się lekko i pogłaskała go.

- Ty stary oszuście, wcale nie jesteś dużym złym wilkiem, co?

Moki wyszczerzył kły, wywołując następny wybuch śmiechu.

Cały czas mówiąc do niego po cichu, Christy drapała psa za uszami i po puszystym karku, rozkoszując się jego zdrową siłą. Ostatnio miała okazję głaskać tylko wymuskane miejskie psy z rodowodem i nerwicą z powodu zamknięcia w czterech ścianach.

- Chodź, Ruda - odezwał się po jakimś czasie Cain. - Jeszcze chwila i Moki roztopi się z miłości, ty za to zamarznie na kość.

- Ale on jest taki ciepłutki.

- Ja też jestem ciepłutki. Chcesz mnie podrapać za uszami?

Christy z uśmiechem potrząsnęła głową i podniosła się z kłęczek. Kiedy ruszyli w zarośla, Moki biegł tuż przy jej lewej nodze. Czowała się wyjątkowo bezpieczna, mając po obu stronach „męską” eskortę.

Kilka kroków dalej usłyszeli szum płynącej wody. Zbliżyli się do strumyka, którego nurt opływał niewielką skarpe, by po chwili zniknąć ponownie pomiędzy drzewami.

Cain podprowadził Christy do niedużego skalnego baseniku. Z początku dziewczynie wydawało się, że jest on częścią samego strumienia, zauważyła jednak, że wykładany kamieniami kanalik, który łączy go z zatoczką, jest raczej dziełem ludzkiej ręki. Basen miał ze sześć metrów szerokości, a woda w nim była przejrzysta, jakby skupiała całe światło księżyca. Nad powierzchnią unosiły się smugi pary.

- Gorące źródło? - zapytała Christy, nie dowierzając własnemu szczęściu.

- Jest ich mnóstwo dokoła. To tereny wulkaniczne.

Cain przyklęknął, sprawdził temperaturę wody i mruknął z zadowoleniem.

- Często marzyłem o tym basenie, kiedy leżałem w szpitalu - powiedział. - Nie mogłem się doczekać, żeby utopić w nim wszystkie bóle. Ta woda jest znacznie skuteczniejsza niż ta na dnie butelki.

Podszedł do szczytu basenu i zamknął dopływ wody ze źródła, używając w tym celu kamieni.

- Strumień wypływa z gór na wysokości około czterech tysięcy metrów. Woda w nim to nic innego tylko stopiony śnieg. Niewiele się po drodze nagrzewa. Dopiero w basenie robi się ciepła - wyjaśnił Cain i zaczął rozpinąć koszulę. Stał za daleko, by Christy mogła zobaczyć cokolwiek poza lśnieniem jego nagiej skóry w wątlym świetle księżyca.

- Cain...

- Jeśli jesteś zbyt nieśmiała na striptiz, zrób sobie z tego kostium kąpielowy - powiedział, rzucając w jej stronę własną koszulę.

Chwyciła ją odruchowo. Kiedy poczuła na materiale ciepło ciała mężczyzny, przebiegł ją nagły dreszcz, który nie miał nic wspólnego z panującym na dworze chłodem.

- A ty? - zapytała.

- Jestem przy tobie mniej więcej tak samo nieśmiały jak Moki.

- Moki ma futro.

- Ja też mam. - Zanim odwrócił się plecami do Christy, jego zęby błysnęły na chwilę w uśmiechu. - Krzyknij, kiedy będziesz gotowa. Tylko się pospiesz, bo strasznie wieje i jest cholernie zimno.

Christy spojrzała najpierw na parującą wodę, potem na Caina. Przypomniała sobie jego słowa: „Gdybym miał zamiar cię zgwałcić, zrobiłbym to, kiedy leżałaś pode mną na ziemi. W towarzystwie porządnych kobiet zachowuję się jak dżentelmen”.

- Cain?

- Tak?

- Czy według ciebie jestem porządną kobietą?

- Jesteś.

- Tak po prostu? Bez żadnych wątpliwości? Bez pytań o przeszłość?

- Tak po prostu.

Wciągnęła głęboko powietrze.

- Krzyknę, kiedy wejdę do wody - obiecała.

- Uważaj, od razu jest duży spadek. Po lewej stronie znajdziesz drewniane ławki z oparciem.

Trzęsąc się z zimna na mroźnym powietrzu, Christy zdjęła ubranie. Zawahała się na moment przy bieliźnie. Dwa paski czarnej koronki niewiele mogły zasłonić, za to krępowały ruchy. Zrzuciła więc wszystko i szybkim ruchem naciągnęła ciemną koszulę Caina, która sięgała aż za kolana. Rękawy zakrywały koniuszki palców. Przy ostatnim guziku stwierdziła, że w pośpiechu krzywo się pozapinała.

- Pięknie - mruknęła pod nosem i ostrożnie dała krok do basenu. Niemal całe dno wyłożone było rzeczonymi kamykami, których zaokrąglone krawędzie przyjemnie ocierały się o bosc stopy. Po pierwszym szoku gorąca woda okazała się ukojeniem dla skostniałych kończyn Christy.

Tuż pod powierzchnią zamajaczyły cienie ławek, o których wspomniał Cain. Siedzenia rozmieszczono na różnych

wysokościach, zgodnie ze stromym spadkiem dna basenu. Kiedy Christy usiadła na najbliższym z nich, woda się gała jej po szyję. Koszula rozpostarła się wokół jak balon. Dotyk ciepłej wody na nagiej skórze sprawił, że poczuła się lekka i wolna.

- Uuuu - jęknęła. - Boże, ale cudownie.
- Dajesz mi do zrozumienia, że już mogę wejść?
- Nie, jęczę z rozkoszy.
- Wolałbym już uciec z tego mrozu.
- Możesz wejść! Możesz wejść!

Cain roześmiał się.

- Pilnuj swojej koszuli, Ruda. Wchodzę.
- To twoja koszula, ale i tak jej przypilnuję.

Ciągle się uśmiechając, mężczyzna usiadł na kamieniu i zaczął rozwiązywać sznurowadła. Christy przyglądała się, jak zdecydowanymi, płynnymi ruchami zdejmuje buty i skarpetki. Gra światła i cienia na jego ramionach to odsłaniała, to podkreślała zdrową, męską siłę.

Rzeczywiście był owłosiony jak Moki, tyle tylko, że jego „futro” koncentrowało się na klatce piersiowej, by przejść w cienką linię na brzuchu i zniknąć za paskiem spodni.

Cain wstał i zaczął z wprawą rozpinać dzinsy. Kiedy je trochę zsunął, Christy zdała sobie sprawę, że się na niego gapi. On również miał tego świadomość, ale chyba w ogóle mu to nie przeszkadzało. Wkrótce spodnie wraz ze slipami opadły na tyle, by odsłonić kępę włosów między nogami.

Christy pospiesznie odwróciła wzrok.

- Zarabiałeś kiedyś, robiąc męski striptiz, czy co?
- Nie, ale wystarczyło mi kilka tygodni w szpitalu - odparł.

Usłyszała uderzenie metalowych guzików o kamienie, kiedy Cain rzucił spodnie na krawędź basenu.

- No wiesz, cewniki, baseny, mycie gąbką, co chwila inna pielęgniarka - dodał. - Po jakimś czasie „wstydy” to już tylko puste słowo.

Christy nie patrzyła już w tamtą stronę, ale usłyszała plusk wody i pomruk zadowolenia - znak, że Cain wszedł do basenu. Po chwili poczuła, jak siada obok niej na drugim końcu ławki.

- Okay, Ruda, już możesz patrzeć. Teraz zobaczysz tylko moje plecy.
- Nie jestem wcale taką świętoszką - zirytowała się dziewczyna, słysząc kpinę w jego głosie.
- A kto mówi, że jesteś?
- Ty.

- Nieprawda - zaprzeczył Cain. - Ale to dla mnie coś nowego spotkać kobietę, która potrafi się rumienić.

- Widocznie spotykasz się z niewłaściwymi kobietami.

- Raczej na odwrót. Odkąd Hutton objął władzę, jego luksusowe dziwki przebierają w miejscowych facetach jak w ulegalkach. Zwłaszcza Jo-Jo uwielbia

rozkładać nogi przed kowbojami, Indianami tudzież innym niebezpiecznym „elementem”, takim na przykład jak ja. - Pogarda w jego głosie wystarczyła, by w jednej chwili schłodzić wodę w basenie.

Christy odwróciła się w stronę mężczyzny, by zaprotestować, ale słowa zamarły jej na wargach, kiedy zobaczyła poszarpaną, ledwie zagojoną bliznę biegnącą wzdłuż kręgosłupa w stronę łopatki.

Po chwili blizna zniknęła w wodzie, kiedy Cain osunął się i zajął miejsce na niższej ławce.

- Jezu - westchnął ściszym głosem.

- Co się stało?

- Nic - odparł przez zaciśnięte zęby. - Tyle, że jest lepiej niż być powinno.

- Ale z ciebie cierpiętnik. Po prostu jest dobrze i koniec.

- Boże, dopomóż! Nie dość, że dziennikarka, to jeszcze filozof. - Zniknął na dłuższą chwilę pod wodę. Kiedy się pojawił z powrotem na powierzchni i zaczerpnął głęboko powietrza, zabrzmiało to, jakby delfin wynurzał się w środku nocy z morskich głębin. Po chwili Cain przeciągnął się energicznie, jakby próbował rozruszać zastałe po postrzale mięśnie.

- Nie trzeba było nosić mnie na rękach - zauważyła Christy.

Cain odwrócił się do niej.

- Jesteś znacznie lżejsza niż sztangi i hantle, które dźwigałem, żeby się doprowadzić z powrotem do formy - uspokoił ją z uśmiechem. - I znacznie przyjemniejsza do noszenia.

Rozleniwienie i lekko drwiąca nuta w jego głosie wydały się dziewczynie niebezpiecznie atrakcyjne. W dodatku przejrzysta spokojna woda w basenie nie pozostawiała nic do ukrycia. Jego nagie ciało odbijało księżycową poświatę niczym reflektor.

Christy zamknęła oczy, by uniknąć tego widoku, i skoncentrowała się na rozkosznym cieple w basenie.

- Tchórz, tchórz! - usłyszała kpiący głos Caina.

Pokazała mu język. Cain się roześmiał, zaczerpnął powietrza i dał nurka.

Wcale nie wyglądał na wyprowadzonego z równowagi. Christy odniosła wrażenie, że raczej podobała mu się jej powściągliwość.

- Cain? - odezwała się, kiedy pojawił się ponownie na powierzchni.

- Tak?

- Danner mówił, że nie powinieneś wracać w góry. Czy to prawda?

Mężczyzna nie kwapił się z odpowiedzią, Christy pomyślała, że zwyczajnie zignorował pytanie. Wiedziała, że nie powinna naciskać, ale potrzeba głębszego poznania Caina okazała się silniejsza niż zwykła reporterska dociekliwość.

- Cain? - spróbowała ponownie.

- Ten, kto do mnie strzelał, ktokolwiek to był, specjalizował się w polowaniu na jelenie.

- Nie rozumiem.

- Używał pocisków z miękkim czubkiem. Straciłem przez to kawałek prawego płuca.

Christy wydała zduszony okrzyk, żałując, że w ogóle zapytała.

- Specjalista pulmonolog twierdzi, że w każdej chwili może mi się pogorszyć i żebym lepiej przez jakiś rok czy dwa trzymał się z dala od gór.

- Dlaczego w takim razie wróciłeś?

- Chciałem się rozejrzeć, zanim spadnie śnieg.

- Ale...

- Dotąd nie miałem żadnych problemów - stwierdził Cain ucinając protest dziewczyny.

- Miałeś dość ciężki oddech, kiedy uciekaliśmy wąwozem.

- Ty też.

- Nie byłam na takiej wysokości, odkąd wyprowadziłam się z domu.

- A więc jesteś dziewczyną z Zachodu?

- Skąd ci to przyszło do głowy?

- Na Wschodzie nie ma takich wysokości.

Christy zawahała się, po czym wzruszyła ramionami.

- Masz rację, wychowałam się w górach.

- W Wyoming?

- Tak.

- A jednak wcale nie jesteś mieszczuchem - stwierdził Cain z satysfakcją, która zirytowała dziewczynę.

- To prawda, urodziłam się w Wyoming, ale wybrałam życie na Manhattanie. Jestem więc mieszczuchem całą gębą.

- Bujasz.

- Wcale nie!

Cain zaśmiał się cicho.

- Masz jakiegoś chłopaka, który tam na ciebie czeka? - spytał po jakimś czasie.

Christy bąknęła coś, co można było uznać za potwierdzenie.

- Też mieszczuch? - naciskał.

- Jak najbardziej. Pracownik banku inwestycji zagranicznych. Manhattan, Londyn, Tokio, Los Angeles, Bonn.

- Wychodzi na to, że facet więcej czasu spędza w samolotach niż z tobą.

- I na odwrót.

- Nowoczesny związek - podsumował Cain.

- Chyba tak - Christy ziewnęła, całkowicie odprężona.

Mężczyzna zanurzył się na chwilę. Kiedy się pojawił z powrotem na powierzchni wody, usiadł w milczeniu, pozwalając się uspokoić wzburzonym nerwom. Napięcie, którego Christy nawet nie była świadoma, powoli ustępowało. Basen Caina dorównywał podobnym źródłom, które odwiedzała w Europie. Z wyjątkiem może zapachu chloru. Tutaj tego brakowało.

Christy zamknęła oczy i oparła się o ławkę. Wsłuchiwała się w szum wody i odgłosy nocy. Wysoko nad ich głowami czarne niebo usiane było gwiazdami. W pobliskich drzewach buszował wiatr, niosąc wraz z szumem wody swoje szeptane tajemnice.

Westchnęła głęboko, odchyliła się do tyłu i rozłożyła ramiona, pozwalając im unosić się swobodnie tuż nad powierzchnią wody. Czowała się wspaniale jak nigdy dotąd. Nagle wydało jej się, że Jo-Jo, Hutton i cała reszta jej problemów jest oddalona o całe lata świetlne.

Za to Cain był bardzo blisko. Powinno ją to martwić, ale czuła się zbyt cudownie, by w tej chwili się nim

przejmować. W rzeczywistości ten człowiek nie był groźniejszy niż Moki. Cain uwielbiał swoje dzieła sztuki. Jego oczy zdradzały więcej niż słowa, kiedy rozmawiali o Bandytach równin. Można w nich było wyczytać hamowane podniecenie i żywą pasję, które przypominały Christy Howarda Kesslera, człowieka, który odkrył przed nią ścisły związek między ludzkimi emocjami a stylem życia.

Podobnie jak Howard, Cain dostrzegał powiązanie dzieła ludzkiej ręki z człowiekiem, który je stworzył. Związek ten był pierwotny, nieuchwytny, a jednocześnie pasjonujący, jeśli się chciało go odkryć. To właśnie on, a nie cena rynkowa przedmiotu liczyły się naprawdę.

„To proste, dzieła sztuki są skarbnicą wspomnień i emocji. A czymże jest ich materialna wartość, jeśli nie zabawką w rękach ludzi pozbawionych wyobraźni? Tylko bogacze poddają się modom. Ale to ci, którym brak pieniędzy, dają im początek”. Słowa Howarda odbiły się echem w głowie Christy, jakby dopiero co je usłyszała. Przyszło jej na myśl, że jej zmarły szef i Cain mieli ze sobą dużo więcej wspólnego niż można by przypuszczać. Jedno było pewne: obydwaj pozostali odporni na wdzięki Jo-Jo. Przynajmniej Cain tak twierdził.

Niedaleko nad ich głowami przeleciał z przytłumionym hurkotem odrzutowiec. Christy pomyślała o Nicku, który latał tak często, że jego organizm z pewnością nie rozpoznawał już własnego domu. Nick należał do tych nowo-czesnych mężczyzn, którzy nigdy nie okazują uczuć ani bólu, a większość czasu spędzają w samolotach, tysiące metrów nad resztą świata. Żadnego strachu, żadnego zaangażowania... jedyne co, go interesowało, to miesięczny wyciąg z konta. Dopiero teraz, wśród bezkresnych krajobrazów, w których się wychowała, Christy zrozumiała, jak bardzo ona i Nick do siebie nie pasowali. Kiedy już to sobie uświadomiła, wiedziała, że z nimi koniec. Nie chodziło tu o nic osobistego. Po prostu źle się dobrali.

Jej myśli uleciały niesione błogim ciepłem i gwiazdami na niebie. Poczowała się całkowicie zrelaksowana.

- Odręziejące, prawda? - zapytał Cain leniwie.

- Bardzo - ziewnęła. - Mój mózg całkiem się wyłączył.

Na chwilę zapadła cisza. Christy znowu ziewnęła.

- Co naprawdę robiłaś w domu Huttona? - zapytał od niechcenia mężczyzna.

Jego niedbały ton sprawił, że przez chwilę nie dotarło do niej, co powiedział. Kiedy zrozumiała wreszcie, o co mu chodzi, poczuła się manipulowana, i to w szczególnie nieprzyjemny sposób.

- A więc to dlatego byłeś taki miłutki - rzuciła wściekle. - Chciałeś mnie zmiękczyć przed kolejnym przesłuchaniem.

- Ruda...

- Mam na imię Christy - ucięła. - A w ogóle co cię to obchodzi?

- Sądzę, że wiesz coś, co może mi pomóc. Muszę rozgryźć, co łączy Huttona, Sekretne Siostry, Johnny'ego Dziesięć Kapeluszy i tę dziwkę, która kazała mnie zabić.

- Coo?

- To co słyszałaś.

- Masz na myśli Jo?

- Jedyłą i niepowtarzalną.

- Nie, to niemożliwe. Ona nie mogłaby!

- Doprawdy? A skąd ją tak dobrze znasz?

Christy umilkła i spojrzała na swojego przeciwnika. Nagi, silny i inteligentny, przywodził na myśl groźnego drapieżnika. Najpierw wmanewrował ją zręcznie w tę rozmowę, a teraz uważnie się jej przyglądał. W jego oczach ponownie zapaliły się zimne błyski.

- Szeryf Danner uważa, że to był wypadek - zaprotestowała Christy.

- Danner to zakłamany skurwiel.

- A co z całą resztą miasta? - nie dawała za wygraną. - Co oni sądzą?

- Że ktoś wybrał się na zwierzynę, a ja stanąłem na linii strzału.

- Ale ty w to nie wierzysz? Uważasz, że to Jo miała z tym coś wspólnego?

- Owszem.

- Ale dlaczego? Jaki mogłaby miałyby mieć powód? To niedorzeczne! - domagała się wyjaśnień Christy.

Cain rzucił jej krótkie spojrzenie.

- Właśnie o to miałem zapytać Johnny'ego - powiedział w końcu.

- Johnny'ego? On też jest w to zamieszany?

- Mówiłem ci. Myślę, że to on pociągnął za spust.

- Ale dlaczego? - upierała się Christy.

- Nie omieszkam go o to zapytać, kiedy go dopadnę.

- Może lepiej spytaj Jo, skoro naprawdę wierzysz, że maczała w tym palce.

- Tę kłamiwą sukę? Nie kiwnąłbym palcem, nawet gdyby ją przy mnie zarzynali. Ona świetnie o tym wie. Odkąd

wróciłem, w ogóle się nie pokazuje.

Christy otworzyła usta, ale nie miała pojęcia, co odpowiedzieć człowiekowi, który tak wściekle nienawidził jej siostry. Chłodu, który wdarł się nagle w jej serce, nie mogło ukoić nawet gorące źródło.

Wcale się nie dziwię, że Jo-Jo się wystraszyła i gdzieś się teraz ukrywa, pomyślała. Cain obarcza ją winą za wypadek, w którym tak naprawdę nikt nie zawinił.

Christy ani przez chwilę nie wierzyła, że jej siostra mogła być zamieszana w strzelaninę. Jo-Jo była co prawda rozpieszczoną egoistką, ale to nie czyniło z niej jeszcze morderczyni. Cain myli się co do niej, myślała gorączkowo. Muszę mu to tylko o udowodnić. Najprościej będzie, jeśli powiem mu wszystko, co sama wiem. Może z wyjątkiem tego, że Jo-Jo jest moją siostrą. Gdyby się o tym dowiedział, nie chciałby więcej ze mną rozmawiać. Jeśli się okaże, że Hammond widział mnie na balkonie, będę potrzebowała przewodnika, kogoś, kto dobrze zna teren i nie boi się odgłosu odbezpieczanej broni. Kogoś takiego jak Cain. Boże, ale się wszystko poplątało.

- Kokopelli - powiedziała na głos.

- Co Kokopelli?

- To coś więcej niż tylko jeden z kolejnych motywów na tkaninach Huttona.

Cain milczał.

- Johnny powiedział ochroniarzom, że chce rozmawiać z Autrym na temat Sióstr Kokopelli - ciągnęła Christy.

Mężczyzna zachowywał się tak cicho, jakby w ogóle nie oddychał. Po chwili z jego gardła wydobył się dźwięk, który zabrzmiał jak śmiech, a jednocześnie zduszone przekleństwo.

- Sukinsyn - powiedział. - Miałem rację.

- W czym? - zapytała Christy, uświadamiając sobie jednocześnie, że zamiast pomóc, może w ten sposób tylko zaszkodzić siostrze.

- W czym miałeś rację? - powtórzyła pytanie.

Cain znowu się roześmiał.

- Ach, rozumiem - rozłościła się Christy. - Typowy staromodny związek. Kobieta daje, mężczyzna tylko bierze. - Wstała gwałtownie i wyszła z basenu.

- Ruda, co do...

- Dzięki za lekcję pokory - przerwała szorstko. - Na chwilę zapomniałam, że miejscowi mężczyźni są głównym powodem, dla którego kobiety nie mogą się doczekać, żeby się wynieść na Wschód.

10

Szarawe światło poranka wdarło się na poddasze, okrywając wszystko bladą mgiełką. Christy budziła się powoli, czując obok siebie jakiś ruch. Coś opierało się o jej nogę. Na biodrze czuła przyjemne ciepło.

- Ty niewdzięczny sukinsynu, korzystaj, póki możesz, bo to się nigdy więcej nie powtórzy! - Mimo ostrych słów głos Caina był łagodny i rozbawiony. Moki uniósł łeb nad biodrem dziewczyny i merdając ogonem ruszył w stronę drzwi.

- Ruda, nie śpisz już? - zapytał Cain, zapalając światło. Stał w drzwiach z kłębem ubrań w jednej i kubkiem kawy w drugiej ręce.

- Idź do diabła - wymamrotała Christy.

- Nadal jesteś wkurzona, że nie odwiozłem cię wczoraj do miasta?

Rzuciła mu spojrzenie, które mogłoby zmrozić nawet jego gorące źródło.

- Rany - mruknął mężczyzna - może byśmy tak zakopali na chwilę topór wojenny?

- Prędzej rzucę się ze skały.

- No, cóż. Może w takim razie napijesz się chociaż kawy?

Christy spojrzała na parujący w dłoni Caina kubek. Po silnym aromacie zorientowała się, że zaparzył ją tak, jak to kiedyś robiła jej babcia. Kawa z pewnością była ciemna, mocna i gorąca. Jeśli się jej napije, na pewno rozjaśni jej się w głowie. Może nawet słońce pojawi się znów na niebie.

Usiłowała wymyślić jakiś sposób, żeby dostać kawę, nadal ignorując Caina. Jedno spojrzenie w jego błyszczące oczy wystarczyło. Już wiedziała, że jej się to nie uda.

- Daj tę kawę - warknęła.

- Nie ma za co.

- Och, przepraszam, jeśli zapomniałam o dobrych manierach. Rozumiem, że w dzisiejszych czasach porywaczom należy dziękować?

- Nie przynudzaj - powiedział spokojnie Cain. - Nie zrobiłem nic złego poza tym, że nie chciałem jechać po alkoholu górską drogą tylko po to, żeby odwieźć cię do hotelu.

- Czy to znaczy, że mogę mieć nieśmiałą nadzieję, że mnie dzisiaj wypuścisz?

- Ależ oczywiście. Możesz mieć nadzieję na wszystko. A może chcesz, żebym zadzwonił do Dannera i powiedział mu, że nie możesz się doczekać, żeby mu opowiedzieć o Johnnym, wyprawie do domu Huttona i o Kokopellim?

- Nie zrobiłbyś tego!
Żrenice Caina zwęziły się.

- Na twoim miejscu, Ruda, nie liczyłbym na to. Ktoś próbował mnie zabić i mam zamiar dowiedzieć się dlaczego.
Christy zamknęła oczy.

- Mamy jeszcze mały kłopot - stwierdził niedbale mężczyzna. - Nie powiedziałaś mi, dlaczego kręciłaś się po domu Huttona. Dopóki tego nie zrobisz, nie odwiozę cię do miasta.

Natychmiast otworzyła szeroko oczy. Cain uważnie jej się przyglądał, czekając, aż podejmie decyzję.

- Co jest na śniadanie? - zapytała przez zaciśnięte zęby.

- Owsianka. Włóż to na siebie. Twoje miejskie fatalaszki mocno się wczoraj postrzępiły, kiedy przechodziliśmy przez płot.

Podał jej naręczę ubrań. Białe dzinsy i sweter, pastelowoniebieska męska koszula i wiatrówka w biało-błękitne pasy bez wątplenia należały do Jo-Jo.

- Skąd je masz? - zapytała Christy.

Cain uniósł brew słysząc w jej głosie intensywną nutę emocji.

- Ostatnio Jo-Jo miała nadzieję zostać tu na dłużej, ale wyjechała w takim pośpiechu, że nie zdążyła się spakować. Ręka Christy zdrząła lekko, kiedy sięgnęła po ubranie. Chociaż lepsze niż to, co miała na sobie, dzinsy i sweter wcale nie były zbyt ciepłe. Nadawały się raczej na wiosnę.

- Nie martw się - uśmiechnął się sardonicznie Cain. - Oddałem je do dezynfekcji.

Christy wzięła głęboki oddech. Jo-Jo nigdy nie pokazywała się w wiosennych ciuchach później niż po pierwszym maju, musiała więc zostawić ubranie w domku Caina dość dawno temu.

- Nie będą pasować.

- Z tego, co widziałem zeszłej nocy, skarbie, mogę powiedzieć, że będą w sam raz.

Christy odwróciła się gwałtownie w stronę Caina, a jej włosy posypały się rdzawoczerwoną kaskadą.

- Co?!

- Kiedy wymaszerowałaś z basenu, moja koszula leżała na tobie jak druga skóra. Nikt ci nigdy nie mówił, że masz ładne nogi? I całkiem zgrabny tyłeczek.

- Nie do wiary! - Christy ze zdziwienia aż otworzyła usta.

- No właśnie, sam nie mogłem uwierzyć. Długo o tym myślałem, zanim poszedłem spać. Słuchaj, czy ty aby na pewno jesteś porządną kobietą?

- Robisz to specjalnie, żeby... żeby wyprowadzić mnie z równowagi!

Cain wyszczerzył zęby w uśmiechu.

- To działa w obie strony, skarbie. Śniadanie za pięć minut. Nie spóźnij się, bo oddam twoją porcję temu niewdzięcznemu kundlowi, który zajął moje miejsce w łóżku - oznajmił i wymaszerował z pokoju, zabierając ze sobą kawę.

Trzy minuty później Christy weszła do kuchni. Ku jej zaskoczeniu, Cain nie mylił się co do rozmiaru ubrań. Zostawiła wprawdzie odpięty guzik, żeby zmieściło jej się śniadanie, a nogawki były jakieś pięć centymetrów za krótkie, jednak cała reszta leżała jakby była szyta na miarę. Do lewej kieszeni spodni Christy włożyła klucz znaleziony u Jo-Jo.

- Buty i skarpetki leżą przy krześle - poinformował Cain, nie odwracając oczu od bulgoczącego na piecu garnka. - Sprawdź, czy będą dobre. Wybieramy się w dość trudny teren.

- Po co?

- Żeby sprawdzić, czy uda nam się wytropić Kokopellego i jego „siostry”.

Christy przyjrzała się solidnym butom do wspinaczki i białym skarpetom. Nie miała wątpliwości, że będą pasowały. Nosiły z Jo-Jo wspólne obuwie już od ósmej klasy. Tak naprawdę to Jo-Jo regularnie podbierała rzeczy z szafy Christy.

Mimo wszystko odegrała szopkę z przymierzaniem butów. Oczywiście były w sam raz.

- Czy więźniom wolno telefonować? - zapytała.

- Nie, jeśli będą wciąż marudzić, że są w więzieniu, podczas gdy doskonale wiedzą, że w każdej chwili mogą sobie pójść.

Christy zacisnęła zęby.

- Mogę skorzystać z twojego telefonu? - spróbowała ostrożnie.

- Jasne.

Podeszła do stojącego na blacie szafki aparatu i zadzwoniła do hotelu.

- Mówi Christy McKenna z pokoju numer osiem. Czy są dla mnie jakieś wiadomości?

- Tak, od pana Huttona.

- Proszę mi przeczytać.

- „Żałuję, że nie spędziłem z tobą więcej czasu. Jak ci się podobał pokaz? A może go nie widziałaś, bo byłaś zbyt zajęta zwiedzaniem rancza?” Podpisano: Peter.

Serce Christy zamarło na chwilę, po czym zaczęło bić szybciej. Czyżby to była zawołana sugestia, że Hammond mnie jednak rozpoznał? - przeraziła się. A może po prostu Hutton chce mnie zwolnić z obowiązku wypowiadania się na temat jego nowej kolekcji? - rozważała gorączkowo dziewczyna.

- Dziękuję - powiedziała sztywno. - Jest coś jeszcze?

- Tak.

- Proszę przeczytać.

- „Bibliotekarka mówi, że nie znalazła nic więcej na temat Huttona ani Xanadu. Zadzwoń, jak obejrzysz projekty”. Podpisano: Myra. Jest jeszcze jedna. Bez podpisu.

- Niech pan czyta - zniecierpliwiała się Christy.

- „Myślę o tobie. A ty myślisz o mnie?”.

Niech cię szlag, Jo-Jo! Dobrze wiesz, że tak, pomyślała.

- To wszystko?

- Tak.

- Nic więcej? Nikt o mnie nie pytał?

- Nie, proszę pani. Ale jest przecież jeszcze bardzo wcześnie.

Oschła uwaga recepcjonisty wywołała na twarzy Christy rumieniec. Przypomniała sobie, że dopiero co nastał błądy świt. Mieszkańcy miasteczka z pewnością świetnie orientowali się w „nieprzyzwoitych” porach przyjazdów i odjazdów gości Huttona.

- Dziękuję - powiedziała i odłożyła słuchawkę. - Jeśli Danner mnie szuka, robi to po cichu - zwróciła się do Caina.

- Jak to gliny - odparł.

- Chylę czoła przed twoją wnikliwą znajomością prawa i bezprawia.

- I tak trzymaj. Ruda, a oboje dobrze na tym wyjdziemy. - Cain zdjął garnek z ognia i zaczął rozdzielać owsiankę na dwa talerze.

- A gdzie się podziały smażone ziemniaki i jajka? A stek, racuszki i tosty? - przekomarzała się Christy. - Zdaje się, że Zachód całkiem schodzi na psy.

- Na tych wysokościach twoja krew ma przede wszystkim zaopatrywać cię w tlen, a nie męczyć się z trawieniem tłustego żarcia. Jeszcze mi za to podziękujesz.

- Aha, licz na to - mruknęła.

Cain postawił przed nią kubek kawy i usiadł naprzeciwko.

Jedli w milczeniu, ale całkiem przyjaznym. Choć niechętnie, Christy musiała przyznać, że ciężko jest wściekać się na faceta, który z takim zapałem opycha się gęstą papką. Jadła w tym samym tempie co on, dopóki nie przypomniała sobie o guziku od spodni. Po drugim talerzu Cain wstał i zaczął sprzątać ze stołu. Robił to wprawnymi ruchami człowieka przyzwyczajonego do kuchennych zajęć.

- Ja to zrobię. Ty gotowałeś - odezwała się Christy, w której obudził się nagle dawny nawyk rozdzielania obowiązków.

Uniósł na chwilę brwi.

- Wezmę parę rzeczy i zacznę grzać silnik - powiedział w końcu.

- Jak długo nas nie będzie?

- Ile trzeba. Prawdopodobnie cały dzień.

Christy już miała zaprotestować i powiedzieć, że musi zostać w pobliżu hotelu na wypadek, gdyby Jo-Jo próbowała się nią skontaktować. Przypomniała sobie jednak niedorzeczną wiadomość.

Niech sobie trochę poczeka, zdecydowała.

Ogarnięcie kuchni zajęło jej zaledwie kilka minut. Wycierała właśnie talerze, gdy usłyszała warkot budzącej się do życia ciężarówki.

Ranek był chłodny i spokojny. Lekki przymrozek zapowiadał rychłe nadejście zimy. Sweter, bluza i ortalionowa kurtka, które Christy miała na sobie, ledwo starczały, by zatrzymać ciepło. Oddech unosił się w mroźnym powietrzu jak dym.

Moki przemknął obok dziewczyny i potrucał w kierunku samochodu. Unosząca się z tyłu chmura spalin wyglądała jak gigantyczny oddech olbrzymiej bestii. Pies usiadł przy tylnych drzwiach i nastawił z nadzieją niesforne uszy w sposób znamionujący oczekiwanie i nadzieję.

- W porządku, stary - powiedział Cain i otworzył drzwi samochodu. Moki wskoczył do środka jednym zwinnym susem.

- Ciepło ci? - mężczyzna przyjrzał się Christy z podziwem, zatrzymując wzrok na jej obcisłych dżinsach.
- Na razie tak.
- Powiedz, kiedy zaczniesz marznąć. Z tyłu jest jeszcze jedna wełniana koszula. Możesz jej użyć jako płaszcz.-
Uśmiechnął się lekko. - Gdyby okazała się za duża, zmożemy ją, żeby się skurczyła i dopasowała do ciała.
- Obiecanki cacanki.

- Miło znów usłyszeć twój cięty język - roześmiał się Cain.
Wrzucił na siedzenie obok psa wypakowany skórzany plecak i zatrzasnął drzwi. Miał na sobie lekką puchową kamizelkę, grubą koszulę z długimi rękawami, dżinsy i mocne buty. Kapelusz zamienił na czarną wełnianą czapkę. Drugą taką samą wręczył Christy.

- W górach na pewno będzie wiało - powiedział. - No wiesz, jeśli ciepło ci w głowę...
- ...ciepło ci wszędzie - dokończyła za niego. - No i „lepiej nie zmarznąć niż się ponownie rozgrzewać”.
- Twoja mama wychowała mądre dzieci.
- Moja mama nie wychowała żadnych dzieci, ani mądrych, ani głupich. Ale dzięki za czapkę. Zmarznięte uszy to zmosfera mojego dzieciństwa.

Cain zawrócił ciężarówkę w stronę drogi, którą przyjechali ubiegłej nocy. Po wschodniej stronie wstawał świt, na zachodzie zaś gwiazdy powoli wtapiały się w fioletowy granat nieba.

Droga była niemal pusta. Cain włączył radio i nastawił miejscową stację. Poranne wiadomości dotyczyły głównie wydarzeń lokalnych. Podawano ceny bydła, informacje o robotach drogowych, knajpianych burdach i przejeżdżności zasypanych śniegiem przełęczy.

- Żadnych ciał w przydrożnym rowie - stwierdził Cain. - Żadnych tajemniczych zniknięć ani nieproszonych gości w domu Huttona.

Christy spojrzała na niego z ukosa.

- Albo Johnny'emu udało się ująć z życiem albo nie znaleźli do tej pory jego trupa - podsumował.

- Jest jeszcze przecież bardzo wcześnie - zauważyła dziewczyna, cytując słowa recepcjonisty.

Prognoza pogody okazała się znacznie ważniejsza niż same wiadomości. Zapowiadano silne wiatry z północy i zawieje śnieżne w wyższych partiach gór.

Kiedy zaczęto mówić o cenach pasz i przyszłości wieprzowiny, Cain wyłączył radio.

- Jak wysoko znajduje się miejsce, do którego jedziemy? - spytała Christy.

- Jak dotąd tego, czego szukamy, nie znajdowano wyżej niż dwa tysiące siedemset metrów.

- A czego my właściwie szukamy?

- Nie jestem pewien. Najprawdopodobniej jakiejś rudery i grobu.

- Cudownie... - wymamrotała Christy. - Potrafisz podnieść człowieka na duchu.

Silne podmuchy wiatru uderzały w karoserię samochodu. Do środka przedzierał się dojmujący chłód.

Christy otuliła się szczelniej kurtką. Nagle aż podskoczyła, gdy zimny nos trącił ją w ucho.

- To tylko Moki doprasza się o odrobinę uczucia - uspokoił ją Cain.

Odwróciwszy głowę, Christy zrozumiała, co miał na myśli jej towarzysz. Pies przeskoczył na tylne siedzenie z bagażowej części ciężarówki i rozsiadł się wygodnie na kanapie, lokując przednie łapy na desce rozdzielczej między Cainem a Christy. Położyła dłoń na kudłatym karku zwierzęcia i wsunęła palce w gęste futro, rozkoszując się jego naturalnym ciepłem.

- Co znaczy Moki? - zapytała.

- Miejscowi używali tej nazwy na określenie Anasazich, na długo zanim archeologowie ze wschodu przyjechali tu, by rozpocząć wykopaliska.

Polna droga doprowadziła ich do autostrady. Christy odwróciła się i obrzuciła ją szybkim spojrzeniem.

- Czy to przypadkiem nie ta sama droga, którą jechaliśmy wczoraj? - zapytała.

- Zgadłaś.

- Skąd ta pewność, że zgadywałam?

- Większość ludzi z miasta zupełnie nie orientuje się w terenie, jeśli się ich nie postawi na wyasfaltowanej i oznakowanej drodze.

Osiem kilometrów dalej na południe Cain skręcił z głównej drogi na szlak prowadzący poprzez porośnięte chaszczami równiny ku wzniesieniu z białego piaskowca.

- A teraz wiesz, gdzie jesteśmy? - zapytał.

- Niedaleko południowej granicy rancza Huttona.

- Dokładnie! Widzę, że życie w mieście nie całkiem stępiło twoje wyczucie kierunku i odległości.

- Po prostu miałam okazję obejrzeć dokładne mapy i plany terenu - przyznała się Christy.

- Świetnie. Odtąd możesz mnie ostrzegać, ilekroć będziemy w pobliżu ziemi Huttona. W ten sposób nie wjedziemy

dalej niż wjechaliśmy do tej pory.

- Myślałam, że Hutton ogrodził całą posiadłość.
- Próbował - wyjaśnił sucho Cain. - Ale na tyłach rancza, w miejscach gdzie płaskowyż przechodzi w ciąg tysięcy nie nazwanych kanionów i żlebów, Peterowi zabrakło, hmm... rozpiędu.
- Jak poprzedniemu właścicielowi...
- Donovanowi - odpowiedział Cain.
- ...udawało się zapobiegać ucieczkom bydła?
- Miejscowi ranczerzy pozostawiali kwestię ogrodzeń Bogu i urwisom. Pozostałe problemy rozwiązywano podczas ogólnego spędu.

Christy zmarszczyła brwi. Dawno już nie widziała miejsca, które nie byłoby zmierzone i odwzorowane na mapie z dokładnością do ostatniego centymetra.

- Gdzie masz mapę geologiczną? - zapytała.
 - W tylnej kieszeni spodni. Chcesz sobie po nią sięgnąć?
- Posłała mu spojrzenie spode łba.
- Jesteśmy niecały kilometr od granicy Xanadu. - Cain uśmiechnął się nieznacznie.
 - Kto jest właścicielem ziem po obu stronach drogi?
 - My.
 - Akurat.
 - Zarząd gruntów je dla nas wygospodarował. To miło z ich strony, nieprawdaż?

Christy roześmiała się.

- Pamiętaj, że masz mi dać znać, kiedy znowu wjedziemy na teren Huttona - przypomniał jej Cain.
- Łatwo było powiedzieć, trudniej wykonać. Po następnym kilometrze żwirówka przeszła w zwykłą boczną drogę, a następnie w koleiny, które doprowadziły ich przez ogołoconą wypasami łąkę do płytkiego kanionu.

Cain zwolnił i wrzucił napęd na cztery koła.

- Umiesz chyba prowadzić? - zapytał. - No wiesz, jakby coś mi się stało...
- Jeździłam ciągnikiem, zanim pierwszy raz włożyłam szpilki. Jest to jedna z tych rzeczy, z powodu których tęsknię za Zachodem. To znaczy jazda w ogóle, niekoniecznie ciągnikiem.

Twarz Caina rozjaśniła się w uśmiechu.

- Wolność czterech kółek - stwierdził z przekonaniem - to coś, czego mieszcuchy po prostu nie rozumieją. Tak jak ja nie rozumiem, w jaki sposób dwa miliony ludzi mogą codziennie schodzić po zasikanych schodach pod ziemię, by powierzyć swoje życie bandzie naćpanych portorykańskich motorniczych metra.

- Odezwowało się nieskalane sumienie białego przedstawiciela Zachodu - zakpiła Christy.
- Matka mojej matki urodziła się w Chihuahua. Babka ze strony ojca była z plemienia Siuksów. Pradziadkowie pochodzili ze Szkocji. Reszta to barwna mieszanka Amerykanów w trzecim pokoleniu - odparł Cain.

Dziewczyna przyjrzała mu się z zaciekawieniem.

- Nie mam kompleksów na punkcie swojego pochodzenia - wyjaśnił. - Jedyne mój życiowy problem to trudności z podejmowaniem decyzji. A na samą myśl o mieście robi mi się niedobrze.

Christy uderzył zdecydowany ton tego stwierdzenia.

- Czy to w mieście ... - zawahała się, niepewna, jak sformułować pytanie. - Czy to tam narobiłeś sobie kłopotów?
- Okrutny uśmiech Caina przywiódł jej na myśl wyszczerzone kły Mokiego.
- Tak, to właśnie w mieście zabiłem człowieka. A właściwie chłopaka.
 - Dlaczego to zrobiłeś?
 - A dlaczego po prostu nie przyjmiesz, że ot, tak sobie, do cholery?
 - Bo nie jesteś facetem, który zrobiłby to ot tak sobie, do cholery - odpaliła zniecierpliwiona Christy.
 - Chyba powinienem podziękować.

Cain zacisnął ręce na kierownicy i westchnął ciężko.

- Ja też byłem wtedy chłopcem - powiedział. - Rób miał dwadzieścia lat, ja dziesięć. To się stało w hałaśliwej, obskurnej spelunie w Oakland.

Christy czekała na dalsze słowa, nieświadomie wstrzymując oddech.

- Obydwa byliśmy studentami - opowiadał spokojnie Cain. - Sędzia nazwał to „wzajemną agresją”.
- Dlaczego w takim razie trafiłeś do więzienia?
- Zgodnie z prawodawstwem kalifornijskim „wzajemna agresja” podpada pod paragraf o zabójstwo.

W ciszy, która zapadła po ostatnich słowach, Christy usiłowała w możliwie najbardziej taktowny sposób sformułować kolejne pytanie.

- Jak długo byłeś w więzieniu? - zdecydowała się w końcu.

- Dwa lata, dwa miesiące i sześć i pół dnia - odparł.
Christy przyjrzała mu się, usiłując wyobrazić go sobie w więzieniu. Przychodziło jej to z trudem. Cain był przecież taki niezależny.

- Drugą połowę wyroku spędziłem w obozie pracy w Susanville, przy granicy z Oregonem. Zajmowaliśmy się leśnictwem.

- Przynajmniej... - Christy umilkła.

- ... nie byłem cały czas za kratkami? - dokończył Cain z goryczą w głosie. - No tak, zawsze to lepsze niż nic. Ale nie można tego nazwać prawdziwą wolnością.

Słyszając ton jego głosu, Christy pożałowała, że w ogóle podjęła ten temat.

Niewielki kanion zwęził się do ciasnego przesmyku, by po chwili przejść niespodzianie w szeroką, ponad kilometrowej długości dolinę. Po obu jej stronach na wysokość co najmniej stu pięćdziesięciu metrów wznosiły się rdzawo-białe ściany skalne.

Christy zaskoczyła nagła zmiana krajobrazu. Krawędzie wzniesień pełne były szczelin i zakamarków. Okolice przypominała jejaina: nieprzystępna i pełna niespodzianek, a zarazem na swój sposób pociągająca.

- No, jak tam, Ruda? Jesteśmy znowu na ranchu Huttona?

Christy przebiegła w myślach wszystkie dotychczasowe zakręty i westchnęła.

- Bez mapy i kompasu nie ma mowy, żebym zgadła - poddała się.

- Nawet z kompasem nie można być całkowicie pewnym. Pan Bóg widać nie miał czasu, żeby nanieść na te ziemie siatkę geodezyjną.

- To dlatego lubisz to miejsce - stwierdziła.

- Tu można poczuć się naprawdę wolnym - zgodził się Cain.

- Spójrz! - Christy wskazała palcem na lewo.

Stado ośmiu ciemnych jeleni rozbiegło się na boki, przerażone nagłym pojawieniem się samochodu. Przywódca zwierząt był olbrzymim samcem. Jego głowę wieńczył imponujący wieniec, jaki każdy myśliwy chciałby mieć w swojej kolekcji. Jeleń śmiało stawiał czoło niebezpieczeństwu, rycząc wyzywająco ze szczytu niewielkiego pagórka.

- Za miesiąc nie będzie już taki pewny siebie - odezwał się Cain.

- Czemu?

- Zacznie się sezon łowiecki.

- Aha, krwawe sporty. Witamy na Dzikim Zachodzie.

- Nie sądzisz chyba, że pieczeń na przyjęciu Huttona zgłosiła się na rożen na ochotnika?

Christy westchnęła.

- No, nie. Nie sądzę. I choć to wbrew założeniom bojowników o prawa zwierząt, muszę przyznać, że każdy jej kęs smakował wprost wyśmienicie.

- Supermarkety i foliowane opakowania pozbawiają człowieka poczucia rzeczywistości - roześmiał się Cain.

- W pewnym stopniu - zgodziła się Christy. - Chociaż nie wydaje mi się, żebyś ty był zdolny przejść zupełnie obojętnie obok jakiegoś świra czy pijaka na Manhattanie. Ja, niestety, musiałam się tego nauczyć.

- Czy życie w mieście jest tego warte?

- Z pewnością jest lepsze niż tam, skąd pochodzę.

- Nie wiedziałem, że życie na farmie jest takie złe - zdziwił się Cain.

- Bo nigdy nie byłeś biedną dziewczyną, której zamiast urody trafił się rozum - odparła zdecydowanie Christy. - Nie wychowywano cię w wiejskim piekle, gdzie mężczyźni gapią się na ciebie jak na konia do ujeżdżania albo jałówkę do hodowli. Żadnej godności. Ot, zwyczajnie, kolejne zwierzę na farmie.

- Ładne dziewczyny zawsze...

- Ja nie byłam ładna - oświadczyła spokojnie Christy. - To moja siostra miała wygląd, ja miałam tylko głowę na karku..

Cain był zaskoczony przekonaniem w jej głosie. Spojrzał na dziewczynę i odkrył, że wcale nie oczekiwała komplementów, przeciwnie, wierzyła w każde wypowiedziane przez siebie słowo.

- Twoja siostra musi być zabójczo piękna - powiedział po chwili.

- Owszem, jest. A ty? Masz rodzinę? Siostry? Braci?

- Tak. Rodzice mieszkają w San Francisco. Jedna siostra wyszła za mąż w Londynie za dyplomatę. Druga prowadzi kawiarnię w Seattle. Brat osiedlił się w Bostonie. Jest prawnikiem. Widuję się z nim podczas moich rzadkich wypadów do miasta po książki.

- To znaczy kiedy?- zapytała Christy.

- W zimie, kiedy jest tak piekielnie zimno, że nie ma nic innego do roboty. A twoja siostra?

- Co moja siostra? - zapytała nerwowo Christy.

Słyszając w jej głosie tłumione emocje Cain zerknął na nią z ukosa.

- Nie jesteście ze sobą zbyt blisko, co? - odezwał się współczująco.
- Nie w ten sposób, o którym myślisz. Chociaż w innych sprawach...

Cain czekał na dalsze wyjaśnienia.

- Rodzice zginęli, kiedy miałam osiem lat - ciągnęła Christy. - Nie żebym się tym specjalnie przejęła. Ojca tak często wsadzali do więzienia, że prawie w ogóle go nie znałam.
- To dlatego nie zwałaś na myśl o byłym więźniu?
- Ojciec był pijakiem. Matka zresztą dotrzymywała mu kroku. Bawili się przednio, dopóki nie wjechali pod pociąg z prędkością stu trzydziestu kilometrów na godzinę.
- Stracili szansę wychowania wspaniałej córki.

Christy odwróciła się i spojrzała ze zdumieniem w złotobrazowe oczy Caina.

- Kto cię wychowywał? - zapytał cicho mężczyzna.
- Babcia. Matka matki. Zmarła w tym samym roku, w którym opuściłam dom.
- A twoja siostra?
- Wdała się w matkę. Ma wiele wad. Ale...
- Ale? - podchwycił łagodnie.
- Jest wszystkim, co mi pozostało - powiedziała Christy, z trudem hamując wzruszenie. - Na całym świecie tylko ona jedna dzieliła ze mną pierwszą połowę życia, zna mnie taką, jaką byłam kiedyś. Bywały momenty, kiedy miałam ochotę ją udusić, kiedy chciałam wrzeszczeć na nią, żeby wreszcie dorosła, ale ... cóż, kocham ją.

Cain uśmiechnął się krzywo.

- To zupełnie tak jak ja i mój brat. Przez większość czasu nie potrafimy się dogadać, ale kiedy przyjdzie co do czego, gotowi jesteśmy bronić się nawzajem do upadłego.
- Otóż to - westchnęła Christy. - I za każdym razem macie nadzieję, że teraz wszystko już będzie dobrze. Że wszystkie nieporozumienia z przeszłości pójdą w niepamięć.

Nie zauważyła ani wymownego spojrzenia swojego towarzysza, ani tęsknej nuty we własnym głosie. Pochłonęło ją morze dziecięcych marzeń, równie głębokie jak jej potrzeba kochania i bycia kochaną. Do upadłego. Na śmierć i życie.

- Tym razem - odezwała się niespodziewanie mocnym głosem - na pewno będzie inaczej.

11

Co wiesz o Anasazich? - zapytał Cain.

Christy zamrugnęła, zdając sobie sprawę, że mężczyzna zadaje jej to pytanie już po raz drugi. Potrząsnęła głową, jakby chciała odepchnąć od siebie przeszłość. Wiedziała jednak dobrze, że od wspomnień nie można uciec.

- Wiem, że miejscowi nazywali ich Moki - powiedziała.

Cain uśmiechnął się lekko.

- Peter wygłosił mi wczoraj po południu małą pogadankę - dodała. - Na temat wszystkich nowych teorii dotyczących imperium Anasazich w dorzeczu San Juan.
- Cała wiedza Huttona na ten temat mogłyby się zmieścić w jednoakapitowym wycinku z pierwszej lepszej gazety.
- Stwierdził autorytatywnie „cholerny złodziej”.
- Tak się składa, że ten „cholerny złodziej” ma doktorat z archeologii.

Christy zaniemówiła z wrażenia.

- Jak mówiłem, niewiele jest tu w zimie do roboty - zakończył oschle.
- Mam się do ciebie zwracać „doktorze Cain”?
- Co to za pytanie? Nie studiowałem po to, żeby się świat dowiedział, że coś tam wiem. Chciałem się czegoś nauczyć dla samego siebie.

Christy przekrzywiła głowę i zaczęła przyglądać się towarzyszowi podróży, jakby był niezwykłym przedmiotem o nieznanym pochodzeniu i intrygująco złożonej strukturze.

- Patrzysz na mnie, jakby mi nagle wyrosły rogi - powiedział po chwili Cain.
- Przeprowadzam analizę kulturową.
- Tylko nie zapomnij po sobie posprzątać, jak skończysz.

Christy uśmiechnęła się potrząsając głową.

- Chyba nie będę musiała - powiedziała. - Już się zdradziłeś. Nie jesteś ani kowbojem z ciężką gadką, ani głupkowanym barowym zabijaką. Całkiem z ciebie cywilizowany człowiek pod tą...
- Nic z tego - przerwał jej ostro Cain. - Żaden tytuł nie zrobi ze świńskiej skóry jedwabiu.
- Rzeczywiście nie, ale odpowiedni ornament nawet z najtwardszej derki może uczynić dzieło sztuki. A najbardziej interesujące i najtrwalsze wzory często pochodzą właśnie z mieszanki kultur.

Zręcznym ruchem kierownicy Cain wyminął wyrwę w drodze.

- Historia ludzkości - powiedział. - Teza, antyteza, synteza. W razie potrzeby powtórzę.
- Razem z garnkami i kośćmi studiowałeś też chyba filozofię.
- Jak już mówiłem, zimy są długie.
- W czym się specjalizujesz? - zapytała Christy.
- Zgadnij.

Dziewczyna uśmiechnęła się.

- A więc czym, według pana, panie profesorze, zajmowali się Anasazi podczas długich zimowych wieczorów?
- Poza rzeczami oczywistymi? - spytał rzeczowo. - Znalazłem małe szlifowane kawałki kości, które mogły służyć za pionki w jakichś grach.
- Żadnych śladów pisma?
- Cain potrząsnął głową.
- Z pewnością mieli rozbudowaną tradycję przekazów ustnych - wyjaśnił po chwili. - Indianie Pueblo do tej pory kontynuują tę formę. Wszystko to objęte jest jednak ścisłą tajemnicą.
- Szamani?
- Szamanki.

Uśmiechnął się, widząc zainteresowanie na twarzy dziewczyny.

- Matriarchat stwierdziła z satysfakcją. - Ci Moki wcale nie byli głupi.
- Nic mi nie wiadomo o matriarchacie. Podejrzewam, że była to raczej kwestia podziału ról. Kobiety sprawowały prawdopodobnie opiekę nad jedną, mężczyźni nad drugą połową wszechświata.
- Dobry Boże! Nieabsolutystyczne podejście do wszechświata - powiedziała z ironią Christy. - Dlaczego sądzisz, że Anasazi byli aż tak oryginalni?
- Współczesne plemiona Pueblo mają podobny system. Każda z płci pełni jednakowo ważną rolę w podtrzymywaniu istnienia klanu i wszechświata.
- *Jin i jang* - szepnęła dziewczyna, jakby mówiła sama do siebie. - Najsubtelniejszy i najpotężniejszy zarazem symbol, jaki wydała ludzkość. Oczywiście, ponieważ wymyślili go Chińczycy, kobiety otrzymały tylko krótszą jego część.

Cain wybuchnął szczerym śmiechem.

- Tylko w wersji pisanej. Sam w sobie symbol jest neutralny. Element męski znajduje się wewnątrz tego, co uosabia kobiecość. Kobięcy natomiast wewnątrz tego, co męskie.

Christy rzuciła mu kolejne zdumione spojrzenie.

- Anasazi byli wysoko rozwiniętą cywilizacją - powiedział Cain. - Ich imperium rozciągało się na obszarze całego dorzecza San Juan.

Christy rozejrzała się po okolicy, próbując sobie wyobrazić otaczające ją ze wszystkich stron olbrzymie mocarstwo. Gdziekolwiek nie spojrzała, na całej powierzchni płaskowyżu widniały wierzchołki gór. Bezkresną równinę porastały kępy cedrów i olbrzymie krzewy szałwi. Pomiędzy nimi wiły się strumyki obrośnięte przy brzegach wierzbami i olchami.

Plemiona Anasazi zamieszkiwały niegdyś wszystkie te miejsca. Jednak ich domy, wbudowane głęboko w urwiska, odnaleziono też na południowych i zachodnich obrzeżach Kolorado, w miejscach, gdzie zjedzone erozją skały pozostały po sobie ciąg wzniesień rozdzielonych wąskimi, głębokimi kanionami.

- Trudno uwierzyć, że w dorzeczu San Juan istniało kiedyś imperium - odezwała się Christy.
- Nie było to takie imperium, o jakim myślisz - wyjaśnił Cain. - Jak sama nazwa wskazuje, imperium powinien rządzić cesarz. Nie sądzę, by tak było w tym przypadku.

Christy odwróciła się w stronę mężczyzny. Im dłużej przebywała w jego towarzystwie, tym bardziej ją fascynował. Było to dość niezwykle uczucie. Większość ludzi, których dotąd spotykała, działało na nią dokładnie odwrotnie. Jej znajomi zazwyczaj tracili przy bliższym poznaniu.

- Myślę, że należy tu raczej mówić o nieformalnej dominacji - ciągnął Cain - czymś w rodzaju połączonego systemu wspólnot, którego główny ośrodek znajdował się w kanionie Chaco.
- Gdzie to dokładnie jest?
- W północno-zachodniej części Nowego Meksyku. Znajdujemy się teraz na najdalej wysuniętym na północ krańcu imperium Anasazich, czy też, jak wolisz, w strefie bezpośrednich wpływów.

Christy zmarszczyła brwi, starając się przypomnieć sobie coś, o czym czytała wiele lat temu.

- Myślałam, że północną granicą ich siedlisk było Mesa Verde - powiedziała w końcu.
- Naukowcy też tak sądzili. Ale miejscowi wiedzą swoje. Nie można tu wyjść na zwykły spacer, żeby nie natknąć się na jakieś skorupy. Cain zwolnił. Samochód toczył się teraz przez głębokie koleiny.
- W takim razie jakim cudem nikt do tej pory nie odkrył śladów obecności Anasazich? - zapytała Christy.

- Nie szukali, to i nie znaleźli - podsumował zwięźle.
- Skoro tak, to dlaczego my szukamy?
- Kilka lat temu władze zarządziły, że nie wolno urbanizować ani zagospodarowywać terenów, na których znajdują się ślady obecności przedmiotów mogących zainteresować archeologów.

Na czole dziewczyny pojawiła się pionowa zmarszczka..

- I co w związku z tym? - zapytała.

- To, że za każdym razem, kiedy ktoś zamierza wybudować drogę na jakieś odludzie, żeby dłużej na nim w poszukiwaniu ropy, albo gdy Wojskowy Korpus Inżynieryjny egzekwuje prawo stawiania tam na wszystkim, co jest większe od strugi moczu, nagle zaczyna się znajdować mnóstwo skorup, garnków i resztek budowli.

- Że co?! - krzyknęła zaskoczona Christy.

- W dorzeczu San Juan są tysiące stanowisk archeologicznych. Setki tysięcy, prawdę mówiąc. Do diabła, siedemset lat temu w niektórych częściach tej krainy żyło więcej ludzi niż dzisiaj.

- A więc żegnajcie tamy i wieże wiertnicze.

- Naprawdę w to wierzysz? - Cain posłał Christy przeciągłe spojrzenie.

Skrzywiła się.

- Chyba nie. Muszą więc jakoś obchodzić prawo?

- Tak, innymi prawami. Ekipy budowlane wzywają archeologów, żeby przeszukali teren.

W pewnej chwili opony samochodu zagrzechotały ciężko. Moki skrobał pazurami w poszukiwaniu oparcia, podczas gdy samochód pokonywał mozolnie kolejny nierówny odcinek drogi. Ku wyraźnemu rozbawieniu Caina Christy objęła ramionami ogromne cielsko psa.

- Jeśli przeszukiwane miejsce wygląda obiecująco - podjął wątek mężczyzna - archeolodzy uwijają się jak szaleni, by uratować cokolwiek, zanim do akcji wkroczą buldożery, albo zanim skończy się budowa tamy i okolica zostanie całkowicie zalana.

- Często się to zdarza? - zapytała Christy.

- Tak często, że jest na to nawet specjalna nazwa: „archeologia ratunkowa”.

- Brzmi dość ponuro.

- Lepsze to niż nic - stwierdził Cain. - W samym dorzeczu San Juan prowadzi obecnie badania około pięciuset zawodowców, a im więcej znajdują, tym więcej odkrywają nowych miejsc do zbadania.

Ciężarówka wjechała właśnie na nieco bardziej wyrównany teren. Cain nieznacznie przyspieszył. W pewnym momencie droga przeszła w zwykłą ścieżkę.

- Odkryto między innymi sieć dróg sięgających od Utah aż do tej części Kolorado - odezwał się Cain.

- Prawdziwych dróg? Takich jak rzymskie drogi w Anglii i Szkocji?

- Dokładnie takich. Dziesięć metrów szerokości i proste jak od linijki, wszystko jedno czy w dolinach, czy wzdłuż grzbietów górskich. W zbyt stromych miejscach wycinano schody.

- Od razu widać, że drogi budowała męska część struktur przywódczych plemienia - oznajmiła z przekonaniem Christy. - Kobiety są na tyle inteligentne, by omijać przeszkody.

Uśmiech błysnął nieskazitelną bielą na tle krótko przyciętej, czarnej brody Caina. Christy zapragnęła nagle oglądać go częściej.

- Anasazi zbudowali drogi na długo przed przybyciem Hiszpanów - wyjaśnił mężczyzna. - Nie musieli zawracać sobie głowy pojazdami na kołach ani zwierzętami pociągowymi.

- To jak sami dawali sobie radę?

- Prawdopodobnie mieli niewolników - odparł - chociaż większość gości z uniwersytetu powiesiłaby cię na suchej gałęzi za samo rozważanie takiej możliwości. Niektórzy wolą utrzymywać, że niewolnictwo wymyślili biali.

Christy roześmiała się.

- Czyżbyś kończył studia korespondencyjnie?

Śmiejąc się cicho, Cain pokręcił głową.

- Rzeczywistość nie spełnia czasem naszych oczekiwań - powiedział po chwili. - Anasazi nie byli wcale prostymi „szlachetnymi dzikusami”. Mimo nieznamości pisma i metalurgii stworzyli niepowtarzalną, wysoko rozwiniętą cywilizację. Astronomowie znaleźli dowody, że kanion Chaco mógł być wykorzystywany jako olbrzymie obserwatorium słoneczno-księżycowe.

- Takie jak Stonehenge? - spytała zaskoczona.

- Działało na tej samej zasadzie, ale używało innych środków. W każdym razie oba powstały z tych samych powodów.

- Religijnych?

- Chodziło raczej o przetrwanie. Przy krótkim sezonie uprawnym określenie najlepszej pory siewu jest kwestią życia

lub śmierci.

Christy kiwnęła głową. Bardziej niż obserwowanie okolicy interesował ją siedzący obok mężczyzna. Podekscytowanie w jego głosie przypominało jej własne zachowanie na tropie nowego stylu, czegoś, co wychodziło poza ramy mody i ocierało się o sztukę.

Christy przyknęła oczy i usadowiła się wygodnie w fotelu, zasłuchana w głęboki głos Caina. Mówił o czymś, co kochał - było to najzupełniej oczywiste.

- Codziennie pojawiają się coraz to nowe informacje - ciągnął. - I to w ilościach, których uniwersytety nie są w stanie porządnie usystematyzować. Cholera, ledwie sobie z tym radzą! Nawet „cholernych złodziei” zapraszano czasem na konferencje naukowe i proszono o zreferowanie własnych odkryć. Trzeba im jednak wszystko tłumaczyć z naszego na profesorskie, robić dokumentację i tak dalej. Do typków z uczelni nie trafia jakoś przekaz ustny.

- Skoro są w stanie cię ścierpieć, muszą desperacko potrzebować twoich informacji - zauważyła Christy.

Cain roześmiał się rozbawiony.

- Otóż to - potwierdził. - Znaleźliśmy w siedliskach Anasazich przedmioty pochodzące z handlu, które musiały tu przybyć z miejsc odległych o tysiące kilometrów.

- Między innymi muszle i macicę perłową - podsunęła Christy.

Cain posłał jej spojrzenie pełne aprobaty.

- Tak, a także miedziane dzwonki i papuzie pióra ze środkowego Meksyku - dodał. - Szlaki handlowe wiodły więc przez obszar trzech tysięcy kilometrów.

- Niezły kawał imperium. Co się z tym wszystkim stało? Gdzie się to wszystko podziało?

- Tego nie wie nikt.

Christy zamrugnęła.

- Dlaczego?

- Brak przekazów pisemnych. Wiemy tylko, że imperium zaczęło chylić się ku upadkowi w dwunastym wieku, w okresie, gdy wspólnota Chaco osiągnęła apogeum rozwoju. - Zamilkł na chwilę. - Tu gdzieś znajdują się Siostry. I tu zjedziemy z drogi.

- Z jakiej drogi? - wymamrotała Christy.

Cain zwolnił i zredukował bieg. Następnie skręcił w prawo i zaczął wjeżdżać wprost na zbocze z piaskowca.

- Cain!

- Za dużo czasu spędzasz w mieście. Trzymaj się, skarbie. To tylko tak groźnie wygląda.

Zniszczony erozją skalny stok prowadził na szczyt kolejnego pagórka. Zdejmując nogę z gazu, Cain pozwolił ciężarówce toczyć się z własną prędkością. Samochód przechylał się mocno na boki. Zbocze, na które wjeżdżali, było tak strome, że spoza maski samochodu wystawał jedynie skrawek nieba.

Dopóki suburban nie wdrapał się na szczyt wzniesienia, Christy jedną ręką wczepiła się kurczowo w drzwi, a drugą w sierść Mokiego.

- Niedługo Moki zacznie się zastanawiać, jak sobie do tej pory dawał radę bez ciebie - stwierdził Cain.

Częściowo zatarty szlak wiodł poprzez cedrowy zagajnik. Pomimo wybojów droga prezentowała się nieco lepiej niż podjazd żlebem.

- To w górze to właśnie Siostry - poinformował Cain.

Christy odwróciła gwałtownie głowę.

- Co takiego?

- Siostry. Tak przynajmniej niektórzy je nazywają.

Wskazał dwie skalne iglice górujące trzydzieści metrów nad płaszczyzną wzniesienia. Niczym masywne wieże wyrastające spośród gęstwiny cedrów, Siostry stanowiły pozostałości dawno nie istniejącej, większej formacji skalnej.

- To tam jedziemy?

- Tak.

- Jak daleko jeszcze?

- Kilkanaście kilometrów.

Skalne kolumny wznosiły się blisko siebie i były mniej więcej tego samego kształtu, różniły się jednak kolorem. Mniejsza, górująca majestatycznie nad okolicą, była z rdzawego piaskowca. Barwa drugiej przechodziła u wierzchołka w biel.

- Ciężko je dojrzeć z dołu, nawet jeśli nie jest tak pochmurno jak dziś - stwierdził Cain. - Przeważnie widać tylko tę białą. Ale kiedy już dotrzemy na miejsce, będziesz mogła sięgnąć wzrokiem aż po Arizonę i Nowy Meksyk.

Napięcie malujące się na twarzy Caina, gdy spoglądał na Siostry, było niemal namacalne. Wyglądał jak wilk, który właśnie dojrzał kolejną ofiarę.

- Czemu Siostry są dla ciebie aż tak ważne? - zapytała Christy.

- Mam pewną teorię dotyczącą Anasazich, a właściwie powodu, dla którego osiedlali się w tak trudno dostępnych miejscach. Jeśli mam rację, to na ; szczyty, bliżej gór znajdziemy ślady ich siedlisk.

- Oczywiście chcesz je znaleźć pierwszy.

Cain zerknął na Christy.

- Przeszkadza ci to? - spytał.

- Jestem po prostu staromodna - powiedziała po chwili. - Miejsca znalezisk archeologicznych powinni badać profesjonaliści, a nie łowcy skarbów. Nieważne jak dobrze wykształceni.

- Zgodziłbym się z tobą, ale to wcale nie jest takie proste.

Christy uniosła brwi, ale nic nie powiedziała.

- Do większości z tych miejsc profesjonaliści nie dotrą jeszcze przez parę ładnych lat, jeżeli w ogóle dotrą - wyjaśnił spokojnie Cain. - Tylko niektóre wykopaliska znajdują się na terenach państwowych. Większość mieści się na gruntach prywatnych, na polach uprawnych albo w górach.

- Ale przecież...

- Co niby ma zrobić miejscowy rolnik, gdy podczas wiosennej orki pola pod fasolę natknie się na jakąś skorupę na swojej najbardziej urodzajnej ziemi?

- Skontaktować się z uniwersytetem - odparła Christy.

- A potem co? Czekać w nieskończoność, aż pojawią się ludzie z uniwersytetu i przeprowadzą badania? Zwłaszcza że ani władze stanowe, ani federalne nie mają dość pieniędzy, żeby sfinansować właściwy przebieg wykopalisk, a nawet uporządkować dokumentację już odkrytych miejsc.

Christy się skrzywiła. Może i mieszkała w mieście od dziewiętnastego roku życia, nadal jednak pamiętała, że na wsi życie jest regulowane przebiegiem pór roku.

- Z siewem i sadzeniem nie można czekać - powiedziała.

- To jest właśnie to, co współcześni rolnicy i pradawne plemiona Anasazi mają ze sobą wspólnego - przytaknął Cain. - Krótki okres wegetacji. Jeśli rolnik się dowie, że jego znalezisko spowoduje wyłączenie gruntu z użytku na całe lata, to zamknie gębę na kłódkę, natychmiast wszystko zaorze i posieje fasolę.

- W tym miejscu do akcji wkraczają „archeolodzy ratownicy”.

- Właśnie. Nie jest to może idealne rozwiązanie, ale też i nie najgorsze. My zdobywamy coś nowego, a rolnik może sobie dalej zarabiać na chleb na swojej ziemi.

Christy pomyślała o motywach tkanin do kolekcji, które Hutton zaczerpnął ze znalezisk w swojej posiadłości. Po prostu poszedł i wziął sobie to, co wykopano, lekceważąc protesty wynajętych archeologów.

Jego metoda również nie była idealna. Christy przypomniała sobie jednak przepięknego zółwia i uznała, że nie jest pewna, czy potrafiłaby zostawić go w ziemi w oczekiwaniu na ekspedycję naukową z uniwersytetu. I prawdopodobnie stracić go na zawsze pod zawałonymi ścianami.

Cain zatrzymał samochód przed wąwozem, który przecinał skalistą powierzchnię wzniesienia.

- Koniec jazdy - zakomunikował. - Dalej pójdziemy pieszo.

„Siostry”, jak je nazwał Cain, nadal pozostawały w odległości ponad kilometra. Byli już jednak na tyle blisko, by zobaczyć gładką powierzchnię kolumny z czerwonego piaskowca. Biała iglica, choć wyższa i mniej masywna, usiana była serią pęknięć i szczelin wszędzie tam, gdzie prześwitywał kamień. W kilku miejscach fragmenty skały odpadły, upodabniając kolumnę do dziwacznie pokręconego garbusa.

Gdy tylko Christy otworzyła drzwi ciężarówki, Moki jednym susem przesadził jej siedzenie i wyskoczył na zewnątrz. Zanim wygramoliła się z samochodu, pies odbiegł kilkanaście metrów, obwąchał i obsikał rozłożysty cedr, po czym przytruchtał z powrotem.

Wiatr ze świstem targał kępą pobliskich sosen i jałowców. Skłębione chmury rozstały się nagle i czerwoną iglicę zalało złociste światło. Chwilę później chmury ponownie zasłoniły niebo.

- Piękny poranek na wspinaczkę - odezwała się zrędliwie Christy, gdy dołączył do niej Cain.

- Miej pretensje do swojego przyjaciela Petera. Moglibyśmy podjechać znacznie bliżej, gdyby nie był tak cholernie drażliwy na punkcie naruszania granic swojej posiadłości. Jesteśmy teraz przy granicy Xanadu. To, co rozciąga się dalej, jest własnością rządu. Naturalnie Hutton dzierżawi te ziemie, więc wydaje mu się, jak zresztą każdemu właścicielowi rancza na Zachodzie, że ma na nią wyłączność.

Cain zszedł po zboczu do rowu, przed którym zostawili ciężarówkę. Chwilę później wdrapał się na drugą stronę i ruszył przed siebie.

Moki zeskoczył na pobliski głaz, dał susa na przeciwległy brzeg wyrwy i z gracją podążył za swoim panem. Mężczyzna zniknął wkrótce za ścianą zarośli, nie racząc się nawet obejrzeć i sprawdzić, jak Christy radzi sobie na trudnym terenie.

To mnie odczytywać go łowcą skarbów, stwierdziła w duchu dziewczyna. Z mniejszą wprawdzie gracją niż

Moki, ale jakoś zdołała się przedostać na drugą stronę wąwozu. Podczas wspinaczki mroźny podmuch rozwał jej włosy. Zapięła kurtkę, naciągnęła kaptur i ruszyła biegiem, by dogonić Caina.

Jej towarzysz maszerował z niedbałym wdziękiem, w rozpiętej kamizelce i czapce zsuniętej na tył głowy. Na tle szarych chmur jego oczy lśniły jak odłamki bursztynu. Mimo pozornej bez troski Cain był wyraźnie spięty. Christy zaniepokoiła się.

- Coś nie w porządku? - zapytała.

Posłał jej zaskoczone spojrzenie.

- Na razie nie.

- Spodziewasz się, że coś pójdzie nie tak?

- Nie, ale kiedy tu byłem ostatnio, też się nie spodziewałem.

- Kiedy to było?

- Tego dnia, kiedy mnie postrzelono.

Christy przebiegł dreszcz, który nie miał nic wspólnego z mroźną aurą. Odczekała chwilę, ale Cain nie odezwał się więcej.

- Postrzelono cię właśnie tutaj? - spytała po chwili.

- Nie, bliżej Sióstr.

- Co wtedy robiłeś?

- Szedłem przez zagajnik, tak jak teraz.

- I ktoś cię tak po prostu postrzelił? Bez ostrzeżenia?

Cain przytaknął.

- Dlaczego? - spytała Christy.

- Jeśli wierzyć Dannerowi, pomyliłem się temu komuś z jeleniem.

Rzuciła mu szybkie spojrzenie. Z pewnością nie przypominał jelenia.

- To całkiem możliwe - powiedziała. - Bóg jeden wie, ilu sztukom bydła zdarza się to w sezonie łowieckim.

- To nie był sezon łowiecki.

- A może zabawiałeś się w „cholernego złodzieja”?

- Wiesz, Ruda, może dla ciebie brzmi to zabawnie, ale kradzież to przestępstwo. - Głos Caina brzmiał bezbarwnie. -

Były więzień może trafić ponownie do pudła, jeżeli podniesie z tej ziemi choćby jedną zafajdaną skorupę, nie mając na to oficjalnej zgody właściciela gruntu.

- Przepraszam.

W odpowiedzi spojrział na nią spode łba. Wymamrotał coś pod nosem, ściągnął czapkę i przeganiał długimi palcami włosy.

- Jestem na tym punkcie trochę przewrażliwiony - mruknął w końcu. - Nie mam pozwolenia, żeby tu kopać. Hutton nie wpuszcza na swoją ziemię nikogo, a Zarząd Gruntów nie pozwala na wykopaliska i koniec.

- To po co tu przyjechaliśmy?

- Na państwowej ziemi wspinaczka nie jest zabroniona. A my właśnie się wspinamy. Jeśli podniesiesz choćby jeden kamyczek, dopilnuję, żebyś odłożyła go z powrotem.

- Dlaczego łazimy akurat tutaj, skoro tak cię to niepokoi? - dopytywała się Christy.

- Ponieważ mam nadzieję znaleźć dowody potwierdzające moją teorię na temat zasięgu skupisk Anasazich.

- A konkretnie co chciałbyś znaleźć?

- Ruiny, szczątki naczyń, cokolwiek - odpowiedział.

- Dlaczego szukamy akurat tutaj?

- Jezu, zawsze zadajesz tyle pytań?

- Jestem...

- ...dziennikarką - dokończył za nią. - Tak, zauważyłem.

Przez kilka następnych minut maszerowali w milczeniu.

- No i? - zagadnęła Christy.

- No i co?

- Dlaczego sądzisz, że znajdziesz tu ślady Anasazich, skoro nikt inny tak nie uważa?

- Dam ci kopię mojej pracy doktorskiej, to sobie o tym poczytasz - odciął się.

Westchnęła i spróbowała jeszcze raz z innej beczki.

- Może postrzelił cię ktoś z konkurencji? Jakiś zawistny archeolog, amator albo profesjonalista?

Cain roześmiał się.

- Cóż - odparł. - Na pewno ma to więcej sensu niż bajeczka o jeleniu! Większość archeologów znakomicie radzi sobie z polowaniem na garnki, ale jeśli chodzi o ruchome cele, są raczej beznadziejni.

- No więc kto to w końcu był?
 - Ktokolwiek to zrobił, był na tyle dobry, by trafić z trzystu metrów.
 Christy chwyciła Caina za ramię.
 - Skąd wiesz, z jakiej odległości strzelał? - zapytała.
 - Poczulem, że odrzuca mnie w tył. Leżałem na ziemi, usiłując dojść, co się właściwie stało, kiedy usłyszałem huk wystrzału.
 Z ust Christy wyrwał się zduszony okrzyk. Bezwiednie przesunęła dłonią po ramieniu Caina. Wyglądało to niemal jak pieszczota.
 - Między uderzeniem kuli a odgłosem wystrzału minęły niecałe dwie sekundy. To daje jakieś trzysta metrów - dokończył spokojnie Cain i ruszył przed siebie.
 - Oznacza również - dodał po chwili - że osoba, która mnie postrzeliła, używała broni z celownikiem.
 Christy zastanawiała się gorączkowo. Mijając pobliskie drzewo, zerwała niewielką gałązkę cedru. Lekko gorzkawy aromat zielonych igieł przypomniał jej zapach garderoby Jo-Jo. Wzdrygnęła się na to wspomnienie i odrzuciła gałąź.
 - Jak dobrze widać przez celownik z takiej odległości? - spytała.
 - Z pewnością można odróżnić człowieka od jelenia, zwłaszcza jeśli stoi na otwartym terenie.
 - A czy można rozpoznać, kto stoi?
 Cain zastanowił się chwilę.
 - Można - powiedział wreszcie - ale tylko jeśli się wcześniej widziało tę osobę z bliska.
 - Wiesz, co to znaczy? - spytała ze zgrozą Christy.
 - Wiem. Ktokolwiek mnie postrzelił, dobrze wiedział, kim jestem. To nie był przypadek, Ruda. To była po prostu próba morderstwa.

12

Christy zamarała, niezdolna ruszyć w dalszą drogę. Uświadomiła sobie właśnie sens słów Caina.
 Do tej pory nie wierzyła, że strzelanina mogła być czymś więcej niż nieszczęśliwym wypadkiem. Sądziła, że Cain przesadzał, opowiadając o tym zajściu. Chciał ją po prostu przekonać, że nie był to pechowy zbieg okoliczności, ale zaplanowany zamach. No i wygląda na to, że ktoś go świadomie chciał zamordować.
 Nawet teraz Christy miała problemy z przyjęciem tego do wiadomości. Nikt nie morduje przecież bez powodu, a Cain nadal nie miał pojęcia, dlaczego do niego strzelano.
 A jednak wszystko to się zdarzyło, nie ma co do tego cienia wątpliwości. Dowodem była blizna na ciele mężczyzny.
 Za długo mieszkałam w mieście, stwierdziła ze smutkiem Christy. Łatwiej mi zaakceptować przypadkową przemoc niż myśl o zaplanowanym morderstwie.
 - Hej - machnął jej przed oczami Cain.
 Drgnęła zaskoczona i spojrzała na niego.
 - Gapisz się, jakby mi wyrosły rogi - uśmiechnął się.
 - Nie każdego dnia spotykam faceta, który mówi mi spokojnie, że ktoś próbował go sprzątnąć.
 - Nie mówię tego po raz pierwszy - zauważył Cain.
 - Za to ja pierwszy raz w to...
 - ...uwierzyłam? - dokończył.
 Christy skinęła głową.
 Odwrócił się od niej.
 - Do diabła, Cain! Jak byś się czuł, gdyby zupełnie obca osoba powiedziała ci, że ktoś próbował ją zabić, a wszyscy inni myśleli, że to wypadek?
 Po chwili wahania Cain odgarnął ręką włosy, włożył czapkę i zerknął przez ramię na Christy.
 - Chodź - zakomenderował. - Musimy jeszcze kawałek podejść, zanim lunie, inaczej przemokniemy do suchej nitki.
 Moki wyskoczył spośród drzew i podbiegł do nich z wywieszonym językiem i radosnym błyskiem w oku.
 Widać było, że pies uwielbia swobodę i otwarte przestrzenie. Zwierzę trąciło nosem dłoń Caina i odtańczyło przed Christy taniec radości.
 - Czego on chce? - zapytała dziewczyna.
 - Niewiele. Towarzystwa, kiedy jest samotny albo kiedy chce się z kimś podzielić swoją radością.
 Zanim Christy zdążyła cokolwiek odpowiedzieć, Cain ruszył przed siebie sprężystym krokiem. Moki szczełnął z zachwytem i rzucił się do biegu. Podążyła w ich ślady.
 Choć słońce przygrzewało jedynie w miejscach osłoniętych od wiatru, a dokoła panował dojmujący chłód, Christy podobało się czyste, mroźne powietrze i kłęby chmur przesuających się z wolna po niebie.
 Na szczytach gór wznosiły się kępy ozłoconych jesienią osiek. Stada jeleni z pewnością zaczęły się już gromadzić w wyższych partiach, przygotowując się do corocznej wędrówki w doliny.

Myślałaś, że zostawiłaś to wszystko za sobą, przemknęło Christy przez myśl. A to cały czas tutaj było i czekało na ciebie o kilka głupich godzin jazdy z Manhattanu. I zawsze już tak będzie.

Kiedyś ta myśl napelniłaby ją przerażeniem. W tej chwili Christy odczuwała jedynie spokój i zadowolenie, których nie potrafiła sobie wytłumaczyć, podobnie zresztą jak nie mogła zrozumieć, dlaczego Cain tak bardzo ją pociąga. A jednak uczucie to było nie mniej realne niż ziemia, na której stali.

Kiedy zbliżyli się do gęstej kępy drzew, Moki zwietrzył świeży ślad i ruszył w głąb zagajnika. Nagle usłyszeli przeraźliwy hałas. Spośród sosen rozleciała się na wszystkie strony chmara niewielkich błękitnych ptaków. Ich ciemnoniebieskie pióra przybierały miejscami kolor przejrzącej śliwki.

Cain i Christy obserwowali z uśmiechem niespokojny lot ptaków, które mknęły pod wiatr niczym ruchliwe, błękitne iskierki. Sformowawszy stado przeleciały jeszcze kilkaset metrów, po czym zapadły w kolejną kępę sosen, by nasycić się do woli słodkimi nasionami szyszek.

Cain schylił się i podniósł z ziemi ciemnobłękitne piórko. Jakby mimo woli przyłożył je do rudych włosów Christy. Dostrzegła w jego oczach, że sprawiło mu to przyjemność.

Nagle, jakby nie zdając sobie sprawy z tego, co robi, Cain rozluźnił palce, pozwalając piórku unieść się na wietrze.

- Wolne i szczęśliwe - odezwał się mając na myśli ptaki. - Ale jeśli chcą przeżyć, mają jeszcze sporo do zrobienia przed zimą. Tutaj nie dostaje się obiadu za darmo.

Przywołał Mokiego i podjął przerwany marsz. Christy upewniła się, dokąd poleciało piórko, podeszła do krzaka, o który się zaczepiło, zdjęła je i schowała do kieszeni.

Kiedy zbliżyli się do Sióstr, usłyszeli lekki świst prądów powietrznych zataczających kręgi wokół białej iglicy. Zawodzenia wiatru przypominały trochę dźwięki fletu. Należały do dawnego świata, w którym ludzie i duchy byli sobie znacznie bliżsi, choć z pewnością nie było to spokojne sąsiedztwo.

Moki wyłonił się z zarośli i zaczął iść przy nodze Christy. Cain zwolnił i rozejrzał się uważnie wokół.

- Co się stało? - zapytała po chwili dziewczyna.

- Coś mi tu nie pasuje.

- Na przykład co?

- Gdybym wiedział, nie szukałbym.

Christy przyjrzała się Siostram i otaczającemu je surowemu krajobrazowi. U podnóża skalnych kolumn leżały drobiny pokruszonego białego i czerwonego piaskowca. Cały ten nieład wyglądał jednak najzupełniej naturalnie. Spękane skały przez lata były narażone na wyniszczające działanie wody i wiatru. Dokoła rozciągał się wierzchołek wzniesienia, którego gładka powierzchnia przypominała świeżo pozamataną podłogę.

Im dłużej Christy przebywała w tym miejscu, tym lepiej rozumiała zmienne rytmy natury. Choć piaskowiec mógł się wydawać niezwykle trwałe, w rzeczywistości kamień był ulotny jak wszystko na świecie. Wiatr i niepogoda panowały tu niepodzielnie, zamieniając skałę ziarnko po ziarnku w unoszony porywistymi podmuchami czerwony pył.

Podobnie działo się z roślinami. W osłoniętych miejscach cedry i sosny trzymały się prosto i zdrowo. Na otwartej przestrzeni, gdzie wiatr hulał bez przeszkód, powykręcane pnie drzew przywodziły na myśl wyniszczone upływem lat ciała starców.

Cain podszedł do niewielkiego skalnego występu znajdującego się w odległości około stu metrów od podnóża białej iglicy. Sprawdził położenie półki i wdrapał się na szczyt.

Christy obserwowała go w milczeniu.

- Stąd strzelał zabójca - odezwał się.

- Skąd wiesz?

- Gdybym ja chciał zabić kogoś chodzącego wokół Sióstr, strzelałbym właśnie z tego miejsca.

Cain przeszedł się kilka razy wzdłuż skalnej półki, aż znalazł miejsce z obu stron osłonięte metrowymi głazami. Osunął się w zagłębienie, naśladując ruchy snajpera, który szuka w szczelinie dogodnego miejsca do oparcia lufy.

Po chwili obrał najlepszą pozycję, uniósł wyimaginowany sztucer i zamarkował kolejno wystrzał i przeładowanie broni. Powiódł wzrokiem za torem lotu łuski, zeskoczył w miejsce, gdzie powinna była upaść, i zniknął z widoku, szukając czegoś między głazami.

Stojąc samotnie w podmuchach wiatru, Christy oczekiwała na powrót Caina. Wydawało jej się, że minęły całe wieki, zanim jego głowa wyłoniła się z zagłębienia między skałami. Zeskoczył na dół z wyrazem ponurego triumfu na twarzy.

- Trzydziestka ósemka, tak jak myślałem - oznajmił.

W jego rękę spoczywał niewielki metalowy przedmiot. Cain położył go na dłoni Christy.

- Łuska - wyjaśnił.

Kiwnęła głową. Widziała w dzieciństwie wiele podobnych kawałków metalu, zniszczonych długim leżeniem pod gołym niebem. Łuska, którą przyniósł Cain, błyszczała jednak nowością, nietknięta jeszcze niszczącymi siłami natury.

- Od razu mi lepiej, kiedy pomyślę, jakie wnikliwe dochodzenie przeprowadził Danner w sprawie mojego wypadku - stwierdził sarkastycznie Cain. Zabrał łuskę z dłoni Christy i wrzucił ją do kieszeni koszuli.

- Nie powinieneś jej w coś owinać? - zapytała. - Może ktoś inny zrobi z niej użytek w sądzie, skoro szeryf nie odróżnia własnego tyłka od nagrzanego słońcem skały.

Cain błysnął zębami w uśmiechu, lecz natychmiast spochmurniał.

- Połowa myśliwych w południowo-zachodnim Kolorado używa winchesterów tego kalibru - powiedział. - Dopóki nie znajdę broni i motywu, nic nie działo.

- Ktoś próbował cię zabić!

- Zdaje się, że wreszcie mi uwierzyłaś.

- Owszem - potwierdziła krótko.

- Zabójca nie działał w pojedynkę - oznajmił Cain.

- Skąd ta pewność?

Mężczyzna obrzucił Christy dziwnym spojrzeniem.

- Nie zapominaj, że tam byłem, Ruda.

- Oddalony o trzysta metrów, bez lornetki. Leżałeś na plecach i zastanawiałeś się, co ci się stało. Jak, do jasnej cholery, możesz być pewien, że ktoś zrobił to celowo, a tym bardziej, że Jo maczała w tym palce? - zagalopowała się Christy.

Cain był tak zaskoczony gwałtownością jej wybuchu, że nie zdobył się na odpowiedź.

- Podobno nigdy nie byliście kochankami - brnęła dalej Christy. Do strachu dołączyły inne skomplikowane uczucia, których nie potrafiła nazwać ani nie chciała na razie analizować. - Jaki motyw mogła mieć Jo, żeby cię zabić?

Cain zmrużył oczy.

- Znowu mi nie wierzysz?

- Wierzę, że ktoś próbował cię zabić - odpowiedziała. - Ale ciężko mi uzmysłowić sobie, że jakikolwiek facet mógłby odrzucić taką dziewczynę jak Jo.

- Jej też trudno było w to uwierzyć. Ale ja nie miałem już wtedy dziewiętnastu lat.

- A co to ma ze sobą wspólnego?

- Rozsądnemu facetowi wystarczy jedna Jo-Jo na całe życie - wyjaśnił ogólnikowo Cain. - Mnie się taka przytrafiła, kiedy miałem dziewiętnaście lat.

Pociemniałe nagle oczy mężczyzny ostrzegały przed zadawaniem dalszych pytań.

Christy zignorowała przestrożę.

- Zupełnie bez sensu. - podsumowała.

- A może byś mi po prostu zaufała?

- Dlaczego ty nie spróbujesz zaufać mnie?

W ciszy, która zapadła po tych słowach, słychać było tylko zawroźnienie wiatru wokół skał.

- Jo-Jo wzięła mnie w obroty, tak jak to robiła z każdym innym facetem w wieku od osiemnastu do dziewięćdziesięciu ośmiu lat - przerwał milczenie Cain. - Była wyraźnie zaintrygowana, kiedy się okazało, że nie jestem nią zainteresowany. Rozmawialiśmy.

Wstrzymując oddech, Christy czekała na dalszy ciąg.

- Pod całą jej urodą ukrywało się małe, przerażone dziecko, tyle że trzeba było kopać cholernie głęboko, żeby przebić się przez tę skorupę.

- Czego się bała?

- Starości, brzydoty, przemijania - Cain wzruszył ramionami. - Cokolwiek to było, jeśli nie mogła kontrolować tego seksem, przerażało ją.

Ciche westchnienie Christy zagłuszył wiatr.

- Przychodziła do mnie czasami - mówił dalej Cain - żeby się tu przespać, bo Hutton akurat się na nią wkurzył. Tak przynajmniej mi mówiła.

- Nie wierzyłeś jej?

- Nie sądzę, żeby umiała odróżnić prawdę od kłamstwa. Dla niej najważniejsze było, żeby jej słowa odnosiły pożądaną skuteczną.

- A więc sądzisz, że przysłała tutaj, bo nie mogła się doczekać, żeby dobrać ci się do tyłka? - spytała z powątpiewaniem Christy.

Usta Caina wykrzywiły się w uśmiechu.

- Jo-Jo poszłaby ze mną do łóżka bez namysłu, gdybym ją tylko poprosił - odparł. - Ale nie o to jej chodziło.

- To znaczy, że naprawdę bała się Huttona?

Cain znowu wzruszył ramionami.

- Interesowały ją moje znaleziska z terenów Anasazich.
- Co takiego!?! - zdziwiła się Christy.
- No właśnie, mnie też to zaskoczyło. Ale naprawdę ją to ciekawiło, zadawała mnóstwo pytań.
- Więc pozwoliłeś jej zostać.
Cain kiwnął tylko głową.
Christy przypomniała sobie, jak podsumował potrzeby Mokiego: „Nie trzeba mu wiele. Wystarczy, żeby ktoś mu towarzyszył, kiedy czuje się samotny lub pragnie podzielić się swoją radością”.

Cain chciał się dzielić swoją pasją archeologiczną. Jo-Jo chciała słuchać.
- Zeszłej zimy - powiedział - wróciłem z podróży i nakryłem ją w swojej chacie z pilotem odrzutowca Huttona. Wykopałem ich natychmiast, aż się za nimi kurzyło.
Christy drgnęła.
- Później odkryłem, że moja kolekcja ceramiki Anasazich jest mocno przerzedzona - dodał.
- Myślisz, że to Jo zabrała?
Mężczyzna przytaknął.
- Dlaczego modelka zarabiająca najlepiej na świecie miałaby kraść zabytki archeologiczne? - zapytała Christy.
- Jo-Jo taka właśnie jest - skrzywił się lekko Cain. - Kiedy widzi coś, co chciałaby mieć, po prostu to sobie bierze.
Christy pomyślała o naszyjniku babci. Jo-Jo zabrała go, choć nie kierowała nią chęć zysku. Liczyła się jedynie strata, jaką odczuje Christy. Miał to być bezpośredni odwet na kimś, kogo Jo-Jo nie potrafiła sobie podporządkować.
- Czy ta ceramika przedstawiała jakąś wartość?
- Dla mnie owszem. Była kluczowym dowodem na potwierdzenie mojej teorii dotyczącej systemów osadniczych Anasazich. Rada naukowa przyjęła już moją pracę, kiedy nagle przepadły najważniejsze dowody. Na szczęście akademickie honory nie mają dla mnie znaczenia, bo gdyby tak było, to...
- ... ta sprawa zniszczyłaby ci resztę życia - dokończyła Christy.
- Z pewnością by mi nie pomogła. Nawet po załączeniu dokumentacji zdjęciowej z miejsca znalezisk opublikowanie rozprawy zabrało mi spory kawał czasu.
- To dlatego nienawidzisz Jo.
- Nie.
- W takim razie dlaczego?
- Odpuść sobie, Ruda.
- Nie mogę - sprzeciwiła się twardo.
Przez długą chwilę Cain przyglądał się Christy wzrokiem pozbawionym wyrazu.
- Jo-Jo lubiła, kiedy mężczyźni się o nią bili - powiedział wreszcie bezbarwnym głosem. - Wkrótce po tym, jak ją wyrzuciłem, natknąłem się na nią w barze w Montrose. Johnny Dziesięć Kapeluszy ślinił się na jej widok bez opamiętania, ale jej to nie wystarczyło. Stawała na rżęsach, żebym zwrócił na nią uwagę. W końcu usiłowała doprowadzić do tego, żebym się o nią pobił z Johnnym.
Christy zastygła w bezruchu. Całe ciało bolało ją z napięcia.
- Co się wtedy wydarzyło?
- Johnny aż się rwał do rękoczynów. Cholera, pobiliby się nawet o złamanego centa. Ale ja już dawno z tego wyrosłem. Nie zamierzałem wdawać się w burdę tylko po to, by dać komuś w pysk na życzenie kolejnej kłamliwej dziwki. Wyszedłem.
Christy przebiegł dreszcz.
- Kolejnej? Ta bójka w Kalifornii... poszło o kobietę?
Cain nie odpowiedział. Nie musiał. Zanim przymknął oczy, ukrywając przed nią swoje uczucia, Christy dojrzała w nich zaciekle gniew i ból.
- Teraz rozumiem, dlaczego nienawidzisz Jo - powiedziała po chwili. - Ale...
Cain spojrzał na nią chłodno i z dystansem. Christy wzięła głęboki wdech, starannie dobierając kolejne słowa.
- Czy to, że Jo chciała sprowokować cię do bójki z Johnnym - spytała cicho
- stanowi wystarczający powód, żeby podejrzewać ją o próbę morderstwa?
- Rozejrzyj się tylko - odpowiedział Cain.
Już miała zaprotestować, w końcu zmieniła jednak zdanie i zrobiła to, o co ją prosił. Nie dostrzegła oczywiście niczego, czego nie widziałyby już wcześniej.
- W jaki sposób ktoś mógłby śledzić mnie aż do tego miejsca, po czym ukryć się w niszy bez zwrócenia na siebie mojej uwagi? - zapytał rzeczowo Cain.
Christy rozejrzała się jeszcze raz. Odwróciła się do niego i pokręciła głową.
- Parę dni po tym zajściu w barze Jo-Jo zadzwoniła do mnie - odezwał się ponownie Cain.

Christy ogarnął nagle dziwny bezwład. Zapragnęła, by Cain przestał mówić, by nie opowiadał jej więcej niż chciała wiedzieć o tym ślicznym małym aniołku, którym była kiedyś jej siostra.

- Przeprosiła mnie za zabranie misy z rysunkiem Sióstr i Kokopellego z fletem - ciągnął Cain. - Powiedziała też, że znalazła w pobliżu skał ruiny jakiejś budowli.

- Niemożliwe.

Mężczyzna nie zwrócił uwagi na nagłą chrypkę w głosie Christy. Przeżywał na nowo swój dramat, kiedy leżał na ziemi bliski śmierci, oddychając mroźnym powietrzem z przedziurawionym kulą płucem.

- Powiedziała, że chce zbadać te ruiny, ale nie ma...

- Nie... - wyszeptła Christy.

- ...czasu, więc w ramach przeprosin daje mi wolną rękę.

- To musi być jakaś pomyłka.

- Jasne, że pomyłka. Popęłnił ją mój niedoszły zabójca.

- Jo jest egoistką i potrafi być okrutna, ale nie wierzę, że mogłaby zrobić coś takiego. Po prostu nie wierzę. - Słowa uwięzły jej w gardle, gdy zobaczyła, że Cain wpatruje się w nią niczym drapieżnik w nową ofiarę.

- Mówisz, jakbyś świetnie ją znała - zauważył.

- Bo tak jest - usłyszała swój własny głos Christy. Dodała pospiesznie: - Mam na jej temat tak samo pękata teczkę jak o Huttonie.

Cain uniósł brwi.

- Poza tym - dodała - trudno się pogodzić z faktem, że piękne jest tylko to, co widzimy na wierzchu. Nie mogę uwierzyć, że Jo...

W uśmiechu mężczyzny nie było ani odrobiny radości.

- Tak... Mnie też było ciężko. Ale przyswoilem sobie tę wyświechtaną prawdę już w wieku dziewiętnastu lat. Piękny jest ten, kto pięknie czyni.

Christy otworzyła usta w niemym proteście

- Jeśli o mnie chodzi - zakończył Cain - kobiety takie jak Jo-Jo są brzydkie jak noc. Jeszcze jakieś pytania?

- Nie - odparła zrezygnowana.

- Świetnie. Sprawdźmy, czy uda się nam znaleźć te ruiny.

- Może o nich też ci nakłamała?

- Możliwe, ale to na pewno nie kłamie.

Wyciągnął rękę. W jego dłoni spoczywał kawałek glinianej skorupy wymalowanej w czarne pasy.

- Gdzie to znalazłeś?

- Tam - machnął ręką.

- Kiedy?

- Na chwilę przed postrzałem.

13

Idź po tej stronie - zarządził Cain, wskazując wznoszącą się wprost ku niebu czerwoną iglicę. Christy udała się bez słowa w jej kierunku.

- Szukaj piktogramów albo petroglifów - dodał.

- Jasne... - wymamrotała pod nosem. - Niestety, nigdy nie pamiętam, które są które.

- Piktogramy są namalowane, a petroglify wykute w skale.

- Dobra, już wiem.

Dziewczyna ruszyła w stronę przeciwną niż Cain, przyglądając się uważnie nieregularnej podstawie czerwonej kolumny. Ani na gruzowisku, ani na samej skale nie było widać żadnych znaków.

- Masz coś? - zapytała, widząc nadchodzącego z przeciwka Caina.

- Nie. Sprawdźmy jeszcze białą Siostrę.

Przy wtórze przenikliwego zawrodozenia wiatru okrążyli drugą iglicę. Na niej również nic nie znaleźli.

- Niech to szlag! - zaklął Cain. - Tego się właśnie obawiałem. Są zbyt odkryte przed wiatrem.

- Co?

- Skały. Nawet jeśli Anasazi zostawili tu jakieś malowidła, wszystko dawno przepadło. Erozja.

Christy przyjrzała się zarysom kamiennych Sióstr, które wznosiły się obok siebie od wielu tysięcy lat.

- Jak one wyglądały tysiąc lat temu? - zapytała.

- Mniej więcej tak samo jak teraz. Dla skały tysiąc lat to niewiele.

- A ten rysunek na misie?

- Co rysunek?

- Jak był usytuowany?

Cain popatrzył na nią w skupieniu. Nagle kiwnął głową.

- Niezły pomysł. Ruda. - Odwrócił się i zaczął iść tak szybko, że Christy musiała prawie biec, by nie zostać w tyle.

- Dokąd idziemy? - zapytała.

- Zmienić punkt widzenia.

Christy westchnęła sfrustrowana. Cain uśmiechnął się i dotknął lekko jej policzka. Pieszczota była tak delikatna i nieoczekiwana, że dziewczyna nie zdążyła nawet zareagować.

- Spośród obecnie żyjących plemion najbliższym spokrewnieni z Anasazi są Indianie Pueblo ze wschodnich rejonów Nowego Meksyku - powiedział Cain jak gdyby nigdy nic. - Ich szamani mają tylko jedno zadanie: każdego dnia śledzić, gdzie wstaje słońce.

Cain wspiął się po niewysokiej grani na kolejną skalną półkę. Na szczycie wzniesienia było ich całe mnóstwo. Widok skal przywodził na myśl zastygłe na mrozie wzburzone morze. Czuby kamiennych fal rozkruszał stopniowo nieubłagany żab czasu. Wiatr wieńczył dzieło, rozrzucając dokoła szerokie skalne stopnie.

- Daj rękę - odezwał się Cain. - Jest bardziej stromo niż myślałem.

Po chwili jego dłoń zacisnęła się wokół jej nadgarstka. Wciągnął Christy na skałę z siłą zadziwiającą u człowieka, który niedawno został postrzelony.

A przecież postrzał był faktem. Christy widziała bliznę i ból wykrzywiający twarz Caina, kiedy napinał pewne partie mięśni.

- Najważniejszym dniem w kalendarzu solarnym Anasazich był dzień przesilenia słonecznego - odezwał się.

Christy podążyła za jego spojrzeniem. Mężczyzna wpatrywał się w skalną ścianę z taką uwagą, jakby spodziewał się znaleźć tam co najmniej mapę prowadzącą do ukrytego skarbu.

- Czego szukasz? - zainteresowała się.

- Jakiegokolwiek wskazówki, że dla Anasazich było to wyjątkowo ważne miejsce. Jeśli to prawda, musiało być związane właśnie z rytuałami słonecznymi.

- No to mamy pecha. Znowu się chmurzy.

Cain uśmiechnął się przełomie.

- Do południa się przejaśni.

Christy spojrzała w górę i stwierdziła, że jej towarzysz ma rację. Słońce wznosiło się coraz wyżej, pokonując na swojej drodze kłęby chmur. Nawet za ich mglistą zasłoną tarcza słoneczna lśniła tak oślepiającym blaskiem, że można było na nią spoglądać tylko przez krótką chwilę.

Kiedy podeszli jeszcze kawałek, słońce znalazło się dokładnie pomiędzy wierzchołkami Sióstr. Cain zatoczył łuk w lewo, zrobił kolejnych kilka kroków, po czym zatrzymał się i spojrzał na skały. Czerwona iglica całkowicie przesłaniała teraz tarczę słońca. Mężczyzna przesunął się o jakieś dwa metry i wyciągnął rękę ku szczelinie pomiędzy Siostrami.

- W dniu przesilenia słońce wstaje mniej więcej w tym miejscu - powiedział, wskazując na wschód.

- Skąd wiesz?

- Jestem szamanem - odparł z godnością. - Chodź.

Ramię w ramię przemierzali omiatany wiatrem płaskowyż i skierowali się ku miejscu oddalonemu o jakieś pół kilometra. Kiedy znaleźli się u podnóża kolejnych kamiennych stopni, Cain wspiął się pierwszy i podał Christy dłoń. Moki wskoczył za nimi. Stał teraz w ostrych podmuchach wiatru, machając dumnie kudłatym ogonem. Cain oparł dłonie na ramionach dziewczyny i obrócił ją w kierunku pozostawionych w tyle Sióstr.

- W dniu letniego przesilenia słońce wschodzi dokładnie między iglicami - powiedział. - To miejsce musiało mieć dla Anasazich szczególne znaczenie. Gdzieś niedaleko na pewno jest tu *kiva*.

Każdym nerwem ciała Christy czuła ciężar i ciepło spoczywających na jej ramionach dłoni.

- Co to jest *kiva*? - spytała ochryple.

- Pępek świata.

Zerknęła przez ramię na Caina. Stał tak blisko, że czuła ciepło jego oddechu na policzku. Uśmiechnął się.

- *Kiva* to także okrągłe pomieszczenie wykopane w ziemi, zadaszone cedrowymi belkami i uszczelnione gliną.

- Dlaczego w ziemi? Czy nie prościej byłoby wznosić tu naziemne konstrukcje?

- Możliwe. Ale dla Anasazich ważniejsze było przekonanie, że w wielkiej wędrówce ku niebu ich plemiona wywodzą się ze świata podziemnego. Schodzenie i wychodzenie z *kivy* miało symbolizować tę wędrówkę.

Christy zmarszczyła brwi.

- Więc *kiva* była rodzajem świątyni?

- Mogła być świątynią, miejscem spotkań, siedzibą wodza klanu. Każdą z tych rzeczy.

- Albo żadną z nich? - podsunęła dziewczyna.

Cain znów się uśmiechnął.

- Albo żadną - zgodził się. - Naprawdę wiemy tylko, że *kivy* były dla Anasazich miejscem szczególnym. Zadawali sobie dużo trudu, by wykopywać je niedaleko zabudowań mieszkalnych. Indianie Pueblo robią podobnie do dziś.

Zwolnił uścisk na ramionach Christy i odwrócił się w poszukiwaniu dowodów na to, że kiedyś, przed wiekami, w tym miejscu żyli i umierali ludzie.

Ich oczom ukazała się jedynie chropowata powierzchnia wzniesienia, usiana miejscami zielenią oraz odłamkami czerwonego piaskowca porozrzucanego dokoła przez silne poddmuchy wiatru. Christy stała na skalnej półce tuż przy krawędzi wyżłobionego w skale głębokiego kanionu. W dole rozciągała się przepaść.

- Jak sobie radzisz na wysokościach? - spytał Cain.

- Mieszkam na czterdziestym trzecim piętrze.

- Potrafisz przeżyć, kiedy zepsuje się winda?

- Jakoś sobie radzę.

- To dobrze. Chodź.

Zeskoczył pierwszy ze skalnego występu. Kiedy Christy ruszyła za nim, uniósł ją do góry tak jak wtedy, gdy uciekali przed ochroniarzami Huttona. Znowu poczuła niebezpieczny dotyk jego dłoni na piersiach. Zanim ją puścił, zobaczyła w jego oczach, że tym razem zareagował tak, jak każdy mężczyzna w podobnej sytuacji.

Moki szczechnął donośnie ze szczytu skalnej półki.

- Sam tam wlałeś - przypomniał mu Cain - to teraz złaź.

Pies zaskomlał, zakręcił się w kółko, po czym podbiegł do krawędzi platformy i zeskoczył. W drodze na dół trącił niewielki występ skalny, który odpadł, przygniatając zaskoczony zwierzę do ziemi. Moki poderwał się, otrząsnął i przebiegł jeszcze raz po skale.

- Czy to się na coś przyda?

Cain odwrócił się w stronę Christy. Dziewczyna podnosiła coś z ziemi w miejscu, w którym odłamek skały podniósł tuman zastygłego kurzu.

- Co to jest? - zapytał.

- Coś, co nie pasuje mi do całej reszty - odparła.

Wyciągnął dłoń i Christy położyła na niej znaleziony przedmiot. Cain starł z niego warstwę kurzu i uśmiechnął się. Białą powierzchnię ozdabiał czarny szlaczek.

- To kawałek jakiegoś naczynia! - zawołała Christy. Jej oczy błyszczały z przejęcia.

- Pierwszy, który znalazłeś? - zapytał mężczyzna próbując powstrzymać uśmiech.

Skinęła głową tak gwałtownie, że rude loki wymknęły się spod czapki.

- Skąd to się wzięło? - zapytała. - Nie widzę tu nigdzie żadnych ruin.

- Zapewne jakiś Anasazi robił to samo co my teraz. Wszedł sobie na skały, żeby się trochę rozejrzeć, i przy okazji upuścił jakieś naczynie. On poszedł dalej, a skorupy zostały.

Christy spojrzała z zadumą na gładką powierzchnię wzniesienia.

- Wspaniałe uczucie, prawda? - zapytał miękko Cain. - Choć przez chwilę dzielić coś z człowiekiem, który urodził się całe wieki przed tobą.

- Rzeczywiście - odrzekła Christy. Zabrzmiało to niemal jak westchnienie,

- Szkoda tylko, że nie znaleźliśmy tej skorupy na ziemi Billa Moore'a. On z pewnością nie miałby nic przeciwko temu, żebyś ją sobie zatrzymała - powiedział Cain.

- To znaczy, że właściciel gruntu, na którym stoimy, by mi na to nie pozwolił?

- Właśnie. Jeśli to zabierzesz, popełnisz przestępstwo. A wtedy Federalni dobiorą ci się do tyłka i będą cię ścigać do końca dni twoich.

Christy rozejrzała się dokoła.

- To wszystko tutaj to ziemie państwowe?

Cain skinął głową.

- W którym miejscu zaczyna się Xanadu? - zapytała.

- Gdzieś tam przy krawędzi wzniesienia.

- Gdzie dokładnie?

- O to trzeba by spytać inspektorat gruntów. Ranczo Huttona to w dużej części dzierżawione pastwiska.

- Ale on przecież nie hoduje bydła.

- Gotów jest nawet płacić, żeby inni trzymali swój przychówek z daleka - stwierdził Cain. - Chodź, poszukamy reszty garnka.

Christy przyjrzała się zwilgotniałej, brunatnej ziemi w miejscu, gdzie upadł odłamek skały. W utworzonej wyrwie pozostało wprawdzie trochę pyłu, nie tyle jednak, by ukryć pozostałości naczynia.

- Tutaj nic nie ma - powiedziała z zalem, odkładając na miejsce znaleziony kawałek.

- Pierwsza zasada, jeśli chodzi o garnki: im niżej się zejdzie, tym więcej ich można znaleźć - roześmiał się Cain przemierzając gładką powierzchnię piaskowca, który oddzielał niższą platformę od krawędzi wzniesienia. Ponad kanionem rozciągał się potężny skalny występ. Wiatr w tym miejscu wiał jeszcze silniej, lecz zdawał się mniej mroźny, jak gdyby powietrze w wąwozie zachowało resztki letniego ciepła.

Christy podeszła do Caina i krzyknęła zaskoczona. Dno kanionu znajdowało się głęboko w dole. Tuż ich pod stopami przefruwały kleksy kruków. Ptaki unosiły się na wietrze, nawołując się z przenikliwym piskiem.

Christy doznała nagle uczucia wyjątkowej lekkości. Miała wrażenie, że jednocześnie wznosi się i opada. Zupełnie bezwiednie zrobiła krok w kierunku przepaści.

Dłoń Caina zacisnęła się mocno wokół jej ramienia. Zamiast jednak odciągnąć dziewczynę w tył, stanął tuż za nią.

- To dopiero jest coś, prawda? - zapytał. Jego głos był cichy, spokojny i dobiegał z bardzo bliska.

- To... niesamowite.

- Anasazi też uwielbiali szczyty wzniesień - odezwał się po chwili Cain. - Na pewno żalowali, że muszą stąd odejść. Nigdzie na świecie nie ma drugiego takiego miejsca.

Delikatny poranny wietrzyk uniósł się z dna wąwozu jak ciche westchnienie.

Zmysły Christy przystosowały się powoli do rozciągających się dokoła ogromnych przestrzeni. Porastające krawędź skalnej ściany drzewa z daleka zdawały się tylko kępą krzewów. Wąska ścieżka w rzeczywistości była większą drogą. Bezkształtne dno kanionu okazało się nierówne i pofałdowane. Wypełniały je liczne głązy wielkością co najmniej dorównujące chacie Caina.

Podobnie jak wszystko w naturze, powierzchnia krawędzi wzniesienia była niesymetryczna. Pomniejsze poboczne żłoby ukazywały się wszędzie tam, gdzie skałę wydrążył czas i pogoda.

Niewielki występ, na którym stali Cain i Christy, był jedynie małą nieregularnością na powierzchni rozległego pasa kamiennych głązów z licznymi urwiskami i kanionami wypełnionymi ciszą i słońcem.

- Czy to nie za duże miejsce na to, żeby szukać czegoś tak małego jak garnek? - zapytała dziewczyna.

- Nie idziemy w dół. Poszukamy... to znaczy ja poszukam... tuż poniżej występu.

Christy wykonała lekki ruch do przodu i wyciągnęła szyję, próbując spojrzeć w dół.

- Moim zdaniem, na to samo wychodzi - stwierdziła zdecydowanie. - Jeśli są tam jakieś pomieszczenia czy coś w tym rodzaju, to będą umieszczone tuż nad pod zwisającą skałą. Z dala od wiatru i zmiennej pogody.

Odwróciła się, żeby sprawdzić, czy Cain przypadkiem się z nią nie drażni. Jednak dostrzegła w jego twarzy zaangażowaną powagę, która towarzyszyła mu zawsze, kiedy opowiadał o czymś, co kochał.

- Chcesz powiedzieć, że Anasazi wykuwali sobie mieszkania w skałach? - zapytała.

- Nie. Wyżłobienia powstawały naturalnie. Indianie po prostu wypełniali je na nowo.

- Nie rozumiem.

- Wyobraź sobie dwie kamienne płyty - zaczął Cain, trzymając dłonie jedna nad drugą równoległe do ziemi. Christy kiwnęła głową. - Ta z wierzchu opiera się na spodniej, by utrzymać się w pionie - tłumaczył. - Jeśli spodnia płyta jest bardziej krucha, szybciej eroduje i w ten sposób tworzy się jama albo płytka jaskinia. Wszystko łącznie z dachem jest więc z litej skały.

- Mieszania stworzone przez samą Matkę Naturę. Super.

- Tak, dopóki wszystko nie runie pod ciężarem stropu.

- A często się to zdarza?

- Nie w ciągu jednego ludzkiego życia. Za to na przestrzeni tysiąclecia dość często, jak sądzę.

Christy wzdrygnęła się.

- Nie brzmi to zbyt pokrzepiająco.

- Życie jest jak hazard, skarbie. Jedyne, czego można być pewnym w tej grze, to że nikt nie zejdzie ze sceny żywy.

- Ale z ciebie dowcipniś - mruknęła. - Jak mają wyglądać te zabudowania, których szukamy?

- Prawdopodobnie będą to rumowiska skalne, tyle że o dość dziwnych kształtach. Wygląda to trochę tak, jakby ktoś spiętrzył płyty chodnikowe, żeby sobie wybudować podjazd, po czym nagle się rozmyślił.

Na twarzy Christy odmalowało się wyraźne rozczarowanie. Widząc to, Cain pociągnął delikatnie za jeden z jej rudych loków.

- To wcale nie była zła wiadomość - odezwał się. - Gdyby były tu jakieś dobrze zachowane ruiny, ktoś dawno już by je znalazł i umieścił na mapie, splądrowawszy najpierw wszystko do ostatniego kamienia.

Wpuścił powoli z palców niesforny lok i odwrócił się, by spojrzeć w dół na pływające w powietrzu kruki.

- Jest zbyt blisko południa, by liczyć na to, że cień ułatwi nam zadanie - stwierdził. - Szukaj tuż przy obrzeżu kanionu, tam, gdzie biała skała styka się z taką w kolorze twoich włosów.

Christy wzięła głęboki oddech i z trudem odwróciła wzrok od mężczyzny, który z każdą chwilą coraz bardziej ją pociągał. Zajęło jej chwilę, zanim skupiła się na swoim zadaniu i zapomniiała o delikatnym dotyku dłoni Caina na

swoich włosach.

- Rozglądaj się za pochyłymi formacjami skalnymi z czarnymi i szarymi odbarwieniami - polecił Cain. - Anasazi palili drewno i rzucali popioły i śmieci na dno wąwozu.

- Masz na myśli takie wąskie, podłużne smugi? - zapytała Christy.

Cain podążył za jej spojrzeniem.

- To tylko smuga węgla - odparł. - Odpady po Anasazich powinny raczej układać się w stosy. - Nagle wychylił się do przodu. - Takie jak te! - zawołał, wskazując palcem w dół.

Jakieś sześćdziesiąt metrów poniżej, w pobliżu rumowiska, przed wejściem do niewielkiej jaskini zamajaczyła ciemna plama.

- Widzisz? - zapytał Cain.

- Widzę! Jest jeszcze jedna tam, na lewo.

- Będzie jakieś trzydzieści metrów - zgodził się. - Popatrz na tę kępę chwastów. - Podniecenie w jego głosie przykuło uwagę Christy.

- Chodzi ci o to, co rośnie wokół tej drugiej sterty śmieci? - upewniła się.

- Tak. To tak zwane Moki-chwasty.

- Dlaczego tak się je nazywa? Czyżby Anasazi je jedli?

- Nie - odpowiedział Cain. - Ale rosną na ich wysypiskach śmieci.

- A więc to tam są ruiny?

- Powinny być. Tam albo gdzieś w pobliżu.

Marszcząc brwi, Cain przyglądał się jeszcze przez chwilę obrzeżom parowu. Nic więcej nie zwróciło jednak jego uwagi. Po chwili zdjął niewielki plecak, wyciągnął z niego lornetkę i skierował ją na ścianę w okolicach kępy zielonych Moki-chwastów.

- Jeśli są tu jakieś ruiny, muszą być cholernie dobrze ukryte - wymamrotał pod nosem. - Albo całkiem zniszczyła je erozja.

Zamilkł i nadal uważnie oglądał ściany kanionu.

- Czego teraz szukasz? - zapytała Christy.

- Zejścia na dół.

- Na dół? Przecież jesteśmy nad przepaścią!

- Zauważyłem.

Christy umilkła, a Cain skończył badać powierzchnię skały. Chwilę później wręczył jej lornetkę i plecak.

- Po drodze na dół jest cała masa występów i półek skalnych - oznajmił. - Zostań tu, a ja spróbuję zejść na dół.

- Ale przecież mogę...

- Mowy nie ma - przerwał kategorycznie. - Zostajesz.

Widząc wyraz buntu na twarzy dziewczyny, Cain westchnął.

- To będzie cholernie ciężkie zejście. Nie wiem, czy sam dam radę.

- Mnie przynajmniej nie postrzelili w ubiegłym roku. Pozwól mi chociaż spróbować.

- Nic z tego. Nie potrafisz nawet dobrze ocenić swoich ograniczeń.

- A ty potrafisz? - odparła Christy.

- Owszem, potrafię.

Rzuciła Cainowi wściekle spojrzenie. Mężczyzna potrząsnął tylko głową.

- Słuchaj - powiedział. - Jeśli ze mną pójdziesz, będę musiał cię pilnować jak kwoka piskląt, bo nie poprosisz o pomoc, nawet jeśli będzie ci potrzebna. Jest zbyt stromo na takie zabawy. Moglibyśmy oboje zrobić sobie krzywdę.

Pokonana Christy przymknęła oczy. Wiedziała, że nie może zmusić Caina do zrobienia czegoś, co uważał za niebezpieczne. Nie mogła też wymagać, by wyciągał ją z kłopotów, w które sama się pakowała.

Choć z drugiej strony na pewno nie pozwoliłyby, żeby zrobiła sobie krzywdę. Przeciwnie, mogła zawsze liczyć na jego pomoc. Cain po prostu już taki był.

- Cholera, trudno! - poddała się dziewczyna.

- Przykro mi.

- Jak się znudzę, zawsze mogę porzucać w dół kamieniami - zauważyła słodko.

- To lepiej się nie nudź, skarbie. - Cain pochylił się i pocałował Christy szybko i mocno. Zanim zdążyła złapać oddech, odwrócił się i zniknął w wąwozie.

Christy podeszła ostrożnie do krawędzi urwiska. Obserwowała, jak Cain toruje sobie drogę poprzez niewielki ustęp skalny prowadzący do stromego zbocza porośniętego kępą sosen i cedrów. Poruszał się po niebezpiecznym gruncie z zadziwiającą szybkością, zupełnie jakby się do tego urodził.

- Jezu, ten facet zachowuje się jak kozica górską - szepnęła Christy. Puls jej przyspieszył, kiedy Cain opuścił się z

platformy na pierwszą nie porośniętą ścieżkę i zaczął natychmiast osuwać się w dół ku kolejnemu, znacznie większemu spadkowi.

- Cain! - wrzasnęła Christy.

W tym samym momencie mężczyzna złapał równowagę, odskoczył na bok i znalazł oparcie na twardym gruncie.

Trzęsącymi rękami Christy podniosła do oczu lornetkę. Zobaczyła śliską stromiznę, rozciągającą się przed niewielkim skalnym występem. Pobliska jaskinia była jednak pusta. Christy przyglądała się, jak Cain przeszukuje miejsce, starając się znaleźć jakieś skorupy lub resztki budowli, cokolwiek, co mogłoby świadczyć o tym, że kanion zamieszkiwany był kiedyś przez człowieka.

- Masz coś? - zawołała, nie mogąc dłużej znieść nerwowego oczekiwania.

- Jeszcze nie - odrzyknął z dołu Cain i wszedł głębiej do jaskini. Christy straciła go na chwilę z oczu.

- Te odbarwienia to nie są pozostałości po śmieciach - zawołał po chwili. - Po drugiej stronie jest strumień biegnący aż na szczyt wzniesienia. Woda wymyła całą jaskinię.

Christy patrzyła rozczarowana, jak Cain rusza w stronę kolejnej skalnej jamy. Kiedy zniknął za rumowiskiem, podbiegła do krawędzi urwiska w nadziei, że stamtąd będzie miała lepszy widok. Jedyne, co zobaczyła, to majaczące w oddali drzewa, które z tego miejsca zdawały się nie większe niż pinezki.

- Boże, stąd jest już chyba tylko krok do wieczności - szepnęła do siebie, cofając się o krok.

Po chwili usiadła pod rozłożystym cedrem. Chociaż nic stąd nie widziała, mogła przynajmniej słyszeć od czasu do czasu kroki Caina.

Nagle pojawił się Moki, dysząc radośnie po szybkim biegu. Usadowił się w pobliżu dziewczyny na skale.

Christy rozejrzała się po surowej okolicy. Na południu ponad kłęby chmur wyłyła ogromna jaśniejąca tarcza słońca. W oddali, na tle jaskrawego błękitu nieba, majaczyły szczyty gór.

Z pomrukiem zadowolenia rozpięła kurtkę, oparła się o drzewo i pozwoliła, by słońce delikatnie pieściło jej twarz. Chwilę później pojawiły się chmury sprawiając, że cała okolica zamigotała jak w kalejdoskopie. Z na wpół przy-
mkniętymi oczyma Christy pograżyła się w błogim stanie półświadomości. Betonowy świat miejskiej tandety odpływał powoli z jej pamięci. Jego miejsce zajął świat żywiołów: ziemi, słońca, wiatru i czasu.

Nagle jakiś cień zmałował ten spokój. Z początku Christy się wydawało, że to tylko kolejna przechodząca chmura. Kiedy się podniosła i rozejrzała, okazało się, że zaszło słońce. Biała Siostra rzuciła długi cień, który z pewnością nie miał zamiaru się podnieść.

- A zaczynało być tak przyjemnie - mruknęła pod nosem Christy.

Z ociąganiem podniosła się na nogi w poszukiwaniu słońca. Moki ruszył za nią, nie spuszczać z niej oka, kiedy rozglądała się po okolicy. Jakies sto metrów na lewo gorący jaskrawy promień odbijał się od piaskowca jak ostrze ogromnego noża. Dopiero po chwili Christy się zorientowała, że słońce przeciska się właśnie między wierzchołkami Sióstr. Olbrzymi snop światła kierował się wprost na szczyt skarpy, pod którą znajdował się Cain.

Otrząsnęła się z wrażenia i przypomniała sobie, że Anasazi wyznawali kult słońca.

Ciekawe, jak zareagowaliby na coś takiego? - zastanowiła się. Przestraszyliby się, czy uczcili to wspaniałe zjawisko? Jedno jest pewne, nie mogliby przejść obok niego obojętnie.

Christy ruszyła naprzód i stanęła w słońcu. Z Mokim u boku podeszła ścieżką do urwiska. Nagle zobaczyła pod stopami barwne wzory. Dreszcz emocji przebiegł jej po plecach. Dotarło do niej, że ma przed sobą prastare malowidło. Obrzeże kanionu zdobiła figurka przygarbionego chłopca grającego na flecie.

14

Tutaj! - krzyknęła Christy, kiedy w odpowiedzi na jej wołanie Cain zaczął wdrapywać się z powrotem na szczyt parowu. - Pospiesz się, bo zaraz zniknie w cieniu!

- Wolisz, żebym to ja zniknął na wieki w wąwozie? - odburknął, łapiąc ciężko oddech.

Nie zaprotestował, kiedy Christy chwyciła go za rękę i dosłownie wciągnęła na górę. Słońce powędrowało odrobinę dalej, jakby tylko po to, by jeszcze bardziej podkreślić skalną inskrypcję.

- Sukinsyn! - skwitował Cain głosem pełnym czci.

Przysiadł na piętach i delikatnie przesunął palcami po chropowatej powierzchni skały. Rysunek był niewyraźny i częściowo zniszczony erozją, niewątpliwie przedstawiał jednak sylwetkę Kokopellego, kipiącego życiem bożka seksu.

Promień słońca padał wprost na jego magiczny flet.

Cain spojrzał na Christy. Jego oczy również były pełne blasku i życia.

- Przynosisz mi szczęście - odezwał się.

- A co ma z tym wspólnego szczęście?

- Wszystko. - Mężczyzna odwrócił się w stronę Sióstr i spojrzał na zegarek. - Dokładnie południe - stwierdził.

- I co z tego?

- Wiesz, jaki dzisiaj mamy dzień?

Christy zastanowiła się przez chwilę.

- Dwudziesty pierwszy września? - zapytała w końcu. Ton zdradzał, że nie przywiązuje do tej daty większej wagi.
- Właśnie. Przesilenie zimowe. Słońce znajduje się dokładnie nad równikiem, a dzień zrównuje się z nocą. - Pelen przejścia głoś Caina fascynował Christy nie mniej niż odnaleziony przed chwilą petroglif.

- Przyjrzyj się uważnie. Najwyższy snop światła przecina flet Kokopellego dokładnie w południe w dniu przesilenia.
- Sądzisz, że Anasazi o tym wiedzieli?
- Gdyby tam, gdzie mieszkasz, sezon wegetacji był tak krótki, że ledwo starczał na wyhodowanie zboża lub fasoli, ile byś dała, żeby się dowiedzieć, kiedy dni są dłuższe, a kiedy krótsze?

- Co najmniej jedną dziesiątą całych zbiorów - odrzekła sucho.

Cain uśmiechnął się.

- Czyli zwyczajową ofiarę składaną w hołdzie bogom. Przypuszczam jednak, że cena spokoju Anasazich była znacznie bardziej wyśrubowana.

Znowu przebiegł palcami po figurce. Siła i delikatność jego dotyku przypomniawszy Christy sposób, w jaki trzymał w rękach misę, kiedy widziała go po raz pierwszy w galerii.

W betonowym świetle miejskiej tandety byłoby to nie dalej niż wczoraj. W świetle żywołów - słońca i wiatru - wydawało jej się, że od tego czasu upłynęły całe wieki.

- Skarbie?

Christy wstrzymała oddech. Zdała sobie sprawę, jak często Cain zwraca się do niej tym pieszczotliwym słowem. I jak naturalnie brzmi ono w jego ustach.

- Słucham - odezwała się szeptem.

- Dotykałaś tego?

- Nie. Zaczęłam cię wołać, gdy tylko go zobaczyłam.

Na tle ciemnej brody Caina zabłysnął uśmiech i zgasł po chwili. Mężczyzna przyjrzał się skalnemu pyłowi na swoich palcach.

- Co się stało? Nie jest autentyczny? - zaniepokoiła się Christy.

- Owszem, jest. I to tak bardzo, że ktoś próbował go zetrzeć. Gdyby nie mocne słońce, prawdopodobnie nigdy byś go nie zobaczyła.

- Dlaczego ktoś miałby niszczyć prehistoryczny zabytek sztuki? Z czystej głupoty?

- Możliwe. Ale mogło chodzić nie tyle o zniszczenie Kokopellego, co o ukrycie czegoś innego - wyjaśnił Cain i rozejrzał się dokoła, by sprawdzić, czy niczego nie przeoczyli.

Nagle zwrócili głowy w kierunku, skąd rozległo się groźne ujadanie Mokiego.

- Spadł? - przeraziła się Christy.

- Wątpię - odparł Cain, ale ruszył za dziewczyną w stronę krawędzi skarpy.

Moki stał jakieś dwadzieścia metrów pod nimi, wymachując ogonem niczym flagą bitewną, i spoglądał na nich wyczekująco. Widząc, że się nie ruszają, szczechnął niecierpliwie.

Christy rzuciła Cainowi niespokojne spojrzenie.

- Gdyby spadł, na pewno nie machałby ogonem ani nie odstawiał tańców - stwierdził spokojnie jej towarzysz. - Musi być jakieś inne zejście w dół.

- A może to Kokopelli wskazywał drogę do tego zejścia?

- Możliwe. I może dlatego ktoś próbował starszka zlikwidować. Chodź.

Cain przemierzył kilka razy powierzchnię wzniesienia, aż w końcu dotarł do niewielkiej rozpadliny w piaskowcu.

- Nie jest źle - stwierdził.

- Cain? - odezwała się Christy z prośbą w głosie.

- Najpierw sam sprawdzę - usłyszała w odpowiedzi.

Nie odzywając się więcej, patrzyła, jak Cain znika w skalnej szczelinie. Po chwili jej uszu dobiegło przekleństwo i odgłos spadających kamieni. Już myślała, że znowu będzie musiała czekać sama, kiedy jej towarzysz pojawił się z powrotem.

- Wygląda to dużo lepiej niż mi się na początku zdawało - zakomunikował. - Nadal masz ochotę zabawić się w kozicę?

Christy posłała mu w odpowiedzi zachwycony uśmiech.

- W takim razie podaj mi plecak - polecił Cain.

Kiedy już włożył go z powrotem, wyciągnął do niej rękę. Podała mu dłoń i ześliznęła się w rozpadlinę.

- Mam cię - powiedział, chwytając ją w ramiona. Przytrzymał Christy, dopóki nie znalazła oparcia dla nóg, po czym rozluźnił uścisk, uśmiechając się lekko. - Mógłbym nawet polubić wspinaczkę w twoim towarzystwie. Patrz teraz pod nogi, bo możesz mieć kłopoty - ostrzegł.

- Ty chyba też - odparła Christy.

Cain odwrócił się ze śmiechem, by poprowadzić ją dalej wzdłuż ściany wąwozu. Rozpadlina wcisnęła się teraz w lukę pomiędzy dwoma głazami z piaskowca. Wolna przestrzeń utworzyła tunel oświetlany słońcem. Mimo ostrzeżenia Christy potknęła się kilka razy na nierównym podłożu.

- Cholera - zakłęła pod nosem.

- Właśnie. Takie schody to prawdziwe przekleństwo dla kogoś przyzwyczajonego do równiutkich stopni.

- Ty to nazywasz schodami? - zapytała zdziwiona Christy.

- Przypatrz się dobrze powierzchni. Widzisz te wyżłobienia?

Zerknęła w bok.

- Owszem, widzę - odparła.

- To ślady kamiennego młota. Zostawił je jakiś biedny skurczybyk, któremu kazano wykuć schody w litej skale.

Christy szła powoli i ostrożnie. Nie potykała się już tak często, kiedy dostosowała tempo kroków do odległości między kamiennymi stopniami,

- Uwaga na niski strop - ostrzegł Cain zgięty w pół przed wejściem do tunelu.

Christy też musiała się pochylić.

- Jak tak dalej pójdzie, będziemy musieli iść na czworakach - stwierdziła.

- I to już niedługo - zgodził się.

Dobiegające z przodu radosne ujadanie Mokiego zapowiadało koniec tunelu. Ostatni odcinek Cain i Christy musieli pokonać tak jak pies - czołgając się „na czterech łapach”. Cain, ze swoimi szerokimi ramionami, by nie utknąć w szczelinie musiał się przeciskać bokiem, ciągnąc za sobą plecak.

- Bardzo sprytnie - sapnął, przeciskając się przez przewężenie. - W takiej fortecy dziesięciolecie mógłby z powodzeniem odeprzeć atak całej armii za pomocą kija.

- W szkole uczyli mnie, że Anasazi byli spokojnymi, pokojowo nastawionymi farmerami.

- Twoi nauczyciele musieli być niedobitkami hipisowskiego pokolenia lat sześćdziesiątych - stwierdził rozbawiony Cain. - Nie sądzisz chyba, że Anasazi budowali domy na urwiskach dlatego, że lubili sobie popatrzeć, jak dzieci i starcy wpadają w przepaść.

- Dzięki tobie zaczynam myśleć, że mieszkanie na skałach to czysta przyjemność.

Cain wyciągnął rękę w jej stronę.

- Złap się.

Christy zrobiła, o co prosił, i natychmiast została wyciągnięta przez skalny przesmyk na światło dzienne. Zauważyła od razu, że wokół nic nie ma. Nic oprócz błękitu nieba.

- Spokojnie - powiedział Cain, kiedy zrobiła gwałtowny ruch w tył. - Nie ma tu wiele miejsca.

Christy jęknęła cicho.

- W porządku? - zapytał mężczyzna.

- Daj mi chwilę, żebym się mogła przyzwyczaić do myśli o chodzeniu w powietrzu.

- Raczej po skale.

- Coś takiego, a już prawie dałam się nabrać. - Christy westchnęła przeciągle i spojrzała na Caina, który przyglądał jej się badawczo.

- Nic mi nie jest - uspokoiła go. - Naprawdę. - Wzięła kolejny głęboki oddech. - I chyba wiem, o co ci chodziło. Trzeba mieć naprawdę dobry powód, żeby żyć na skałach. Jedyne, co mi przychodzi do głowy, to walka o przetrwanie. Nic innego nie jest warte takiego ryzyka.

Moki podskakiwał na nierównym terenie jak piłka, zapraszając ich, by szli za nim. Biegł teraz wprost na Christy. Cain wykonał szybki ruch ręką, który przyniósł mniej więcej taki sam efekt jak szarpnięcie smyczą. Moki zatrzymał się gwałtownie. Stał teraz jak wrośnięty w ziemię.

- Imponujące - pochwaliła dziewczyna.

- Byłby z niego dobry pies myśliwski - zgodził się Cain.

- Ale ty nie lubisz polować?

- Byli skazańcy nie mogą nosić broni. - W jego rzeczowym tonie nie było goryczy. Zanadto był zajęty studiowaniem skały.

- Jeszcze parę kroków - zdecydował. - Idź za mną i rób dokładnie to co ja. Dokładnie. Jakbyś była dzieckiem i mnie przedrzeźniała, tyle że na poważnie. Zrozumiałaś?

- Tak.

Cain wbił wzrok w Christy, jakby sprawdzał, w jakim stopniu dziewczyna skłonna jest współpracować. Po chwili uśmiechnął się.

- Pocałowałbym cię jeszcze raz, Ruda, ale to źle wpływa na mój zmysł równowagi.

- Mojemu też nie pomaga - przyznała i ruszyła przed siebie, stąpając bardzo ostrożnie. Tylko wiara w możliwości Caina pchała ją do przodu. Do swoich własnych nie miała zbyt wielkiego zaufania. Stawiała stopy na śladach swojego towarzysza. Dokładnie na nich.

Powoli przeszli około piętnastu metrów. Kątem oka Christy dostrzegła, że ścieżka zbacza ze stromego uskoku i wiedzie w górę ku ostro nachylonej ścianie, która musiała się kiedyś obsunąć i uderzyć o dno kanionu.

- Czyżbym tylko ja zauważyła, że pod nami nic nie ma? - zapytała niespokojnie Christy.

- Nie patrz w dół. Patrz na skały - poradził Cain. - Zwłaszcza tutaj.

Zatrzymał się i wskazał miejsce, od którego kamienne stopnie zmieniły szerokość.

- Zmień stopę - polecił Christy. - U większości ludzi prawa noga jest prowadząca. Prowadź lewą, a znajdziesz się w kanionie.

Szybkie spojrzenie na Caina przekonało Christy, że mówi poważnie.

- Lewa stopa, tak? Dobrze, niech będzie lewa. Ale dlaczego? Źle odmierzyli stopnie, czy co?

- Stara sztuczka. To jakby kazać komuś, kto chodzi małymi kroczkami, dawać zniecka wielkie susy. Dla najeźdźców był to powód nieustannej zgrzyoty.

- I twierdzisz, że oni byli pokojowo nastawieni, tak? - zapytała poważnie Christy.

- Dokładnie. Anasazi byli żywiącymi się owocami, spokojnymi neandertalczykami. Co do jednego.

Dziewczyna prychnęła.

- Chciałabym cię zobaczyć na uczelni, kiedy studiowałaś.

- To dopiero była zabawa - uśmiechnął się leniwie Cain.

Christy patrzyła uważnie pod nogi i zmieniała krok, kiedy było trzeba. Na początku nie szło jej zbyt dobrze, ale szybko złapała rytm. Kiedy pokonali kolejne piętnaście metrów, Cain się zatrzymał.

- A niech mnie - powiedział ściszym głosem. - Nic dziwnego, że nic tu nigdy nie znaleźli. Zobacz, jaki wielki jest ten odłamek.

- Odłamek?

Pokazał coś z przodu. Dopiero teraz Christy zrozumiała, że mówiąc „odłamek” miał na myśli ogromną skalną płytę z piaskowca, wielkości boiska do koszykówki i grubości niemal dwóch metrów.

- Niezły ten twój „odłamek” - stwierdziła.

Platforma musiała odpaść od krawędzi urwiska i runąć około dwunastu metrów w dół na dno kanionu. Z punktu widzenia geologii zdarzenie nie było zbyt odległe w czasie. Obrzeża skały zdawały się jaśniejsze i mniej zniszczone erozją niż cała reszta wzniesienia.

- Uważaj na stopnie - odezwał się ściszym głosem Cain.

Wąska ścieżka wiodła wprost ku krawędzi odłamanej skały.

- Koniec trasy? - zapytała rozczarowana Christy.

- Może tak, może nie. Spójrz w górę.

Jakieś dwa metry nad ścieżką w ścianie wąwozu zobaczyła puste miejsce, jakby kawał piaskowca oderwał się i upadł tuż przy wejściu do jaskini. Wyrwa była całkowicie zacieniona.

- Czy to jest...? - zapytała Christy, z wrażenia nie mogąc złapać tchu.

- Jak cholera.

Nie odrywając oczu od skały, Cain wyciągnął dłoń. Kiedy dziewczyna podała mu swoją, uściśnął ją mocno i roześmiał się z zadowoleniem. Christy mu zawtórowała. Zupełnie zapomniała o swoim lęku i o tym, że stoi na szczycie wysokiej, nagiej skały. Nie musiała się bać, bo wiedziała już, co to znaczy wlatywać jak ptak nad prastarą, niewzruszoną ziemią.

Przed nimi wyłoniła się z cienia sztuczna ściana, dobudowana ręką człowieka.

- Zobacz, jak grube są te wsporniki - zauważył Cain.

- Jakie wsporniki?

- Te cedrowe bale podtrzymujące strop.

Moki stanął na krawędzi odłamanej platformy, jakby zachęcając, by do niego dołączyli. Nie szczekał jednak ani nie próbował do nich podbiec. Jak przystało prawdziwemu psu myśliwskiemu, obserwował ręce swojego pana, czekając na dalsze polecenia.

Rozkaz „leżeć” spowodował wyraz takiego rozczarowania na pysku zwierzęcia, że Christy omal się nie roześmiała.

- Nie chcę, żeby wpadł do *kivy* przez, dach albo żeby roztrzaskał jakieś naczynie, goniąc szczury - wyjaśnił Cain.

- Szczury?

- Nie takie jak w Nowym Jorku. Tutaj są tak zwane Moki-szczury, które żerują w ruinach i na rumowiskach.

- Szczury! Mam nadzieję, że Moki jest częściowo terierem.

- Moki jest częściowo wszystkim.

Kiedy podeszli do odłamanej skały, gdzie czekał na nich pies, Cain złapał Christy za nadgarstek.

- Poczekaj - powiedział. - Ruiny bywają zdradliwe. Ściany są często niestabilne, a dach *kivy* może być zmurszały. Nie mówiąc o samej jaskini.

Zmierzył wzrokiem masywny skalny odłam, który wieki temu runął w dół, odcinając dostęp do jaskini. Na obu końcach płyty pozostały tylko dwie niewielkie szczeliny. Piaskowcowy gład wyglądał, jakby trzymał się na włosku i mógł w każdej chwili ponownie odpaść. Gdyby tak się stało, pociągnąłby za sobą znaczną część skarpy.

- Nie podoba mi się to - ocenił zwięźle Cain.

- Ale i tak idziesz?

- Idę.

- To ja też.

Odwrócił się do niej, żeby zaprotestować, ale patrząc na Christy, ocenił, że nie ma szans.

- Dobra, skarbie. Tylko, do cholery, uważaj, gdzie stawiasz nogi.

Cain ruszył przez rumowisko ku wejściu do jaskini. Skały wydawały się stabilne, zupełnie jakby umocniły się podczas upadku.

Byli już w połowie drogi na rampę, kiedy jeden z gładów oderwał się od sterty i runął w dół, odbijając się tuż pod nogami Christy.

Cain spojrzał na dziewczynę.

- „Gdzie ty Kajus, tam i ja Kaja” i tak dalej - warknęła Christy przez zaciśnięte zęby.

- A co się stało z tą tchórzliwą dziewczyną z basenu?

- Odkryła, że ma skrzydła i nauczyła się latać.

Cain potrząsnął głową i zrobił krok w stronę wejścia do jaskini. Po chwili przywołał gestem Christy. Z zacienionego wnętrza powiało lekkim chłodem. Kiedy dziewczyna dotarła do szczeliny, dostrzegła po drugiej stronie wąty promyk światła.

- Poczekaj chwilę aż oczy przyzwyczają ci się do ciemności - poradził Cain. - Daj mi znać, kiedy zaczniesz coś widzieć.

Już niedługo Christy mogła rozejrzeć się po skalnym wnętrzu.

- Boże święty - szepnęła zachwycona.

- Amen.

W jaskini zachowało się dobrze utrzymane pomieszczenie mieszkalne, właściwie nietknięte poza zwaloną ścianą przy wejściu. „Pokoje” ciągnęły się przez jakieś trzydzieści metrów. Budowla miała dwie lub trzy kondygnacje, w zależności od kąta nachylenia stropu.

- Czy to naprawdę jest aż tak wspaniałe, czy tylko mnie się tak wydaje?

- To jest cholernie wspaniałe. Zupełnie jakbyśmy się przenieśli w czasie. Na całym południowym zachodzie nie ma drugiej tak dobrze zakonserwowanej jaskini.

- Ile to może mieć lat?

- Nie wiem na pewno, ale wejście wygląda jak to w Mesa Verde. Czyli połowa dwunastego wieku. Rozkwit imperium Chaco, a jednocześnie początek okresu upadku.

Cain jeszcze raz rozejrzał się dokoła. Lewą ręką zrobił nieznaczny gest i Moki natychmiast przebiegł obok nich, kierując się w głąb jaskini.

- Zmieniłeś zdanie co do Mokiego? - zapytała Christy.

- Tak. Pies zdecydowanie lepiej wyczuje niepewny grunt. Będzie mu też łatwiej się wykaraskać, jeśli coś się obsunie.

- A może się obsunąć?

- Pewnie, że może. Takie wielkie ruiny... aż dziw, że to się w ogóle jakoś trzyma. I nie, nie ma mowy, żebyś ze mną poszła, jeśli zdecyduję się wejść do środka.

Jedno spojrzenie na jego twarz przekonało Christy, że lepiej będzie, jeśli poczeka i zacznie się sprzeczać dopiero, kiedy nadejdzie odpowiednia pora.

Moki pojawił się w szczelinie, machając ogonem. Podmuch wiatru z głębi jaskini przywiał nagle okropny fetor.

- Faj - skrzywiła się dziewczyna.

- Zdaje się, że znalazł gniazdo szczurów.

- Wspaniale. - W głosie Christy nie było entuzjazmu.

Cain roześmiał się cicho.

- Mam nadzieję, że nic ci się nie stanie, jeśli się trochę ubrudzisz. Nie sprzątało tu prawie tysiąc lat - zauważył i przesunął się na rodzaj niskiej półki, która kiedyś biegła wzdłuż jaskini. Wykuty kamień był masywny i mocny.

- Pokój dziecienny trzyma się całkiem nieźle - stwierdził.

- Pokój dziecienny? A, chodzi ci o to, że tu jest niski strop. Tak go właśnie nazywali?

- Ja go tak nazywam. - Mężczyzna rozejrział się. - Musiał to być jeden z pierwszych pokoi, jakie zbudowali.

- Skąd wiesz?

- Pełno tu teraz śmieci. Anasazi często zagracali stare izby, a na ich miejsce budowali nowe. Czasami chowali w nich zmarłych, a bywało, że wyrzucali ich na zewnątrz razem z resztą odpadów.

Christy zmarszczyła brwi.

- W zależności od pozycji społecznej zmarłego?

- Niektórzy mówią, że tak. Ale większość ma inne zdanie.

- A ty co o tym sądzisz?

- Na wysypiskach razem z ludzkimi szczątkami nie znaleziono nigdy żadnych przedmiotów związanych z pochówkiem. Na takie rzeczy można się natknąć tylko w pomieszczeniach jaskiń.

- A więc chodziło o status społeczny.

- Tak mi się wydaje, ale jestem przecież tylko cholernym złodziejem i łowcą skarbów.

Cain spróbował przejść trochę dalej, ostrożnie sprawdzając podłoże i uważając na każdy krok. Kiedy nic nie odpadło, zawrócił do Christy.

- Co byś powiedziała, gdybym kazał ci zostać? - zapytał.

- Zostałabym... przez chwilę.

- Jak długą chwilę?

- Dopóki nie odwróciłbyś się plecami.

Cain zmrużył oczy.

- Tak właśnie myślałem.

- Przecież sam mówiłeś, że przynoszę ci szczęście. Nie chcesz chyba, żeby cię nagle opuściło.

Uśmiechnął się wyrozumiale.

- W porządku, mój rudowłosy talizmanie. Masz poruszać się cicho jak duch. Nie ufam tej skale za grosz. Przysięgłbym, że coś tapnęło, kiedy się o nią oparłem.

Cain ruszył naprzód. Christy ostrożnie podążyła za nim, podpierając się jedną ręką o ścianę. Skala była chłodna i przyjemna w dotyku, ale nawet bez ostrzeżenia Caina nie miała ochoty jej zaufać.

- Wygląda mi to na blok mieszkalny - odezwała się po jakimś czasie.

- Coś w tym rodzaju.

Z wyjątkiem pokaźnej sterty patyków oraz kupy gruzu, drugi pokój, do którego weszli, okazał się pusty. Wypełniająca wewnątrz ostra woń stęchlizny była wyjątkowo przytłaczająca.

- Żerowały tu tysiące pokoleń szczurów, dodając swoją część do tej kupy śmieci - powiedział Cain. - Co mi przywołuje na myśl Nowy Jork. Z tą różnicą, że tutaj aż tak nie śmierdzi.

- Nie wiedziałam, że w Nowym Jorku śmierdzi.

- W lecie wręcz cuchnie.

- Mówisz, jakbyś spędzał tam trochę czasu - stwierdziła Christy.

- Tylko wtedy, kiedy muszę.

Klepisko w drugim pokoju było równe i stosunkowo czyste. Cain dał nurka w głąb i poczekał, aż oczy mu przywykną do panujących wewnątrz ciemności. Dziewczyna ruszyła za nim, trzymając się bardzo blisko.

Po jakimś czasie, kiedy przyzwyczaili się już do mroku, mogli się swobodnie przyjrzeć szczegółom. Ściany pokrywała warstwa czerwonej gliny. W miejscach, gdzie ochronna powłoka odpadła, widać było poukładane na krzyż patyki.

- Wierzbina - odpowiedział Cain na nieme pytanie Christy.

- Zobacz, jakiś wzór - zauważyła nagle dziewczyna.

Wskazała nieregularną mozaikę białych kamyków, ułożonych w niezwykle grubej warstwie zaprawy.

- To chyba nie umacniało murów, ale miało cieszyć oko - stwierdziła.

- Podobnie jak te malowidła.

Christy znieruchomiała i spojrzała w górę. Rzeczywiście, wyższą część ścian wymalowano we wzory podobne do tych, które widziała wcześniej na naczyniach.

- Przyjrzyj się dobrze tynkom. Widzisz te odciski rąk?

Podeszła bliżej do ściany. Cain miał rację. Warstwa gliny była pokryta licznymi śladami. Christy przyłożyła do jednego z nich swoją dłoń. Ręka, która zbudowała pokój, była znacznie mniejsza i miała krótsze palce. Christy czuła się dziwnie z dłonią w zagłębieniu, które było śladem kogoś żyjącego niemal tysiąc lat przed nią.

Wolną ręką powiodła po ścianie, próbując poprzez dotyk wyobrazić sobie, jak wyglądało życie tamtych ludzi.

- Tyle czasu upłynęło - szepnęła. - A jednak... to takie ludzkie.

Cain przykrył swoją dłonią rękę Christy, jakby chciał ocenić różnicę. Gest ten wydał się dziewczynie bardzo

intymny.

- Tak - powiedział po prostu. - To bardzo ludzkie.

Christy zalała fala gorąca. Czuła się nieswojo, zawieszona pomiędzy przeszłością i teraźniejszością.

- I nikt nie dotykał tego miejsca przez tysiąc lat - odezwała się.

Cain miał już odpowiedzieć, kiedy coś przykuło jego wzrok.

- Niech to szlag - zaklął wściekły i zabrał rękę z dłoni Christy. Pochylił się, podniósł coś z ziemi i uniósł do światła.

- No nie - zaprotestowała dziewczyna z rozczarowaniem w głosie.

- No tak.

Cain trzymał bez wątpienia „nowożytny” niedopałek.

- Nie może mieć więcej niż sześć miesięcy albo rok - ocenił, czytając maleńki napis na ustniku. - Dunhill.

- Dunhill? - zapytała Christy. - Kto to taki?

- Nie kto, tylko co. To marka papierosów. W Remington ich nie sprzedają. Ludzie na Zachodzie lubią zwykłe papierosy. Tylko ktoś przyjezdny może tu takie palić.

Tym razem Christy przebiegł chłodny dreszcz. Wróciło wspomnienie złotowłosej czternastolatki, która zobaczywszy reklamę papierosów w jakimś piśmie tak długo zatruwała życie miejscowym chłopakom, aż któryś zdobył dla niej paczkę.

- Znasz... - odchrząknęła. - Znasz kogoś, kto pali dunhille?

- Zgadnij.

- Jo - szepnęła.

Nie było to pytanie, ale Cain i tak odpowiedział.

- Właśnie. Marzenie większości tutejszych kowbojów.

Zaklął cicho, wyrzucił peta i wytarł ręce o spodnie.

- No dobrze, chodźmy zobaczyć, ile szkód zdążył tu narobić jej chłoptaş.

- Hutton?

- Wątpię. Kiedy ją ostatni raz widziałem, uganiała się za Indianami, a nie za facetami przebranymi za kowbojów.

15

Cain cofnął się do pierwszego pomieszczenia. Szybko, jakby już mu nie zależało, czy zniszczy coś po drodze, przeszedł wzdłuż niskiej ściany, zaczynając od wejścia. Zatrzymywał się przy każdym otworze, by zajrzeć w głąb ciemnej czeluści.

Tylko raz wszedł głębiej do jednego z pomieszczeń. Kiedy się pojawił chwilę później, niósł kilka skorup, które pokazał Christy.

- Zabrali wszystko z wyjątkiem tego - oznajmił. - Widocznie uznali, że to nic nie warte.

Ołamki pasowały do siebie idealnie. Co prawda bez uchwyty, jednak skorupa była nadal glinianą warząchwią.

Cain wypuścił z dłoni naczynie, pozwalając mu z łoskotem upaść na ziemię. Christy już chciała zaprotestować, ale umilkła, kiedy zobaczyła, jak Cain wyciera dłonie o spodnie... zupełnie jakby dotykał czegoś parszywego. Nie było chyba lepszego sposobu, by okazać pogardę dla Jo-Jo i jej współników.

Christy przyglądała się przygnębiona, jak Cain wdrapuje się po schodkach na wyższą kondygnację budowli. Pomieszczenia były tam mniejsze. Niektóre ściany pociemniały od dymu. Wnętrza świeciły pustką. Poza nadtłuczonym glinianym kubkiem i kilkoma kolbami kukurydzy, które doskonale się zachowały w suchym powietrzu, pokoje były doszczętnie splądrowane.

Wiedziony instynktem i doświadczeniem Cain znalazł drogę do kilku pokoi ulokowanych na prawo od najstarszych pomieszczeń. Dotarł wreszcie do pozostałości sali w kształcie litery L.

Christy na dole ruszyła w tym samym kierunku. Pokonała niską ścianę i wtedy usłyszała głuche sieknięcie, zupełnie jakby nadepnęła na ducha. Oskoczyła do tyłu bardziej zaskoczona niż przerażona.

- Uwważaj! - krzyknął Cain. - Pod spodem jest prawdopodobnie *kiva*. Bądź ostrożna na dachu i starali się utrzymać równowagę.

Christy weszła na dach, rozglądając się za lepiej oświetlonymi miejscami. Wypatrzyła metaliczny błysk i odważyła się podejść w jego stronę.

Gdyby Cain nie opowiedział jej wcześniej o zwyczajach Anasazich, przeoczyłaby pewnie służący za wejście podłużny, ciemny otwór w podłodze. Wystawała z niego kilkunastometrowa metalowa drabina.

- Tu jest drabina - zawołała.

- Nie ruszaj się - krzyknął Cain. Zeskoczył z góry i ruszył w jej kierunku, omijając niepewny dach *kivy*.

Moki zajrzał do środka przez jedną ze szczelin okiennych. Był okropnie brudny i wyraźnie z siebie zadowolony. Położył łeb na kamiennym parapecie i w skupieniu obserwował swojego pana.

Cain pogrzebał w stercie śmieci, aż znalazł kawałek cedrowej kory. Wyjął z kieszeni zapalnik i zapalił jedną. Kora

szybko się zajęła żwawym płomieniem. Wkrótce ściany jaskini zalało migotliwe światło.

Cain nachylił się ze swoją prowizoryczną latarką nad otworem w podłodze i zajrzał do wnętrza *kivy*.

- Wyczyszczona do szczytu - odezwał się przez zaciśnięte zęby.

Christy przemknęła pod ramieniem Caina, by pierwszy raz w życiu obejrzeć *kivę*. Wątle światło odsłoniło zakurzoną, okrągłą komórkę pod niskim chropowatym sufitem, podtrzymywanym przez cztery kłocowate filary. W nierównych ścianach *kivy* wykuto liczne wnęki.

- Wyglądają jak ślady po krzyżach - zauważyła Christy.

- Zgadłaś, Ruda. Właśnie patrzysz na świątynię Anasazich, z tym, że jej relikwie zostały sprzedane niedowiarkom.

Słabnące światło z kory odsłoniło coś błyszczącego na podłodze *kivy*.

- Potrzyj - odezwał się Cain, wręczając Christy pochodnię. Pokazał, jak mają trzymać, i zsunął się w dół po drabinie. Chwilę później zapalił kolejną zapałkę, przyłożył ją do knotu lampy naftowej i umieścił na miejscu szklany klosz.

Christy upuściła korę, która coraz bardziej parzyła ją w palce. Płomień zgasł, zanim upadła na ziemię.

- Chodź tu na dół - zawołał Cain. - Zobaczysz, co robią prawdziwi cholerni złodzieje i łowcy skarbów.

Zeszła po drabinie do pomieszczenia, które zdawało się pulsować od wściekłego gniewu Caina. Christy nie musiała się długo zastanawiać nad powodem jego złości.

Ziemia *kivy* była skopana i poryta szpadlami. Jeden z podtrzymujących sufit filarów został bez wyraźnego powodu porąbany siekierą. Szczątki glinianych naczyń wały się wszędzie, wymieszane z kurzem i dwudziestowiecznym plastikowym śmieciem.

Cain przyklęknął i podniósł z ziemi garść skorup, by przyjrzeć im się dokładniej.

- Można to było ocalić. A oni po prostu wywalili wszystko, co nie było całe - powiedział i ze złością odłożył skorupy na miejsce. Kiedy podnosił się z klęczek, dostrzegł na ścianie jakiś wzór. Malowidło biegło wokół całego wnętrza. To, co z niego teraz pozostało, przedstawiało Kokopellego w różnych pozach i wcieleniach.

- Nigdy czegoś takiego w życiu nie widziałem - odezwał się ściszym głosem Cain.

- Czego?

- Takiego malowidła. To musiało kiedyś biec przez cały pokój.

- Czy to coś niezwykłego? - zapytała Christy.

- Samo malowidło? Nie. Ale to, że się zachowało, to prawdziwy cud. A te bandziory posiekały to jak drewno na opał i wywaliły.

Christy przyklęknęła w miejscu, gdzie wśród śmieci widać było resztki malowidła. Poskładała niektóre pasujące do siebie kawałki. Po chwili zaczął się z nich wyłaniać czarno-biały, skomplikowany i oryginalny wzór. Był jak namalowana wiadomość przekazana z jednego milenium w drugie; prehistoryczny, a jednak dziwnie znajomy. Po chwili Christy zorientowała się, dlaczego.

- Wygląda to zupełnie jak jeden z motywów w kolekcji Huttona - stwierdziła przygnębiona.

- I co, opiszesz to w swoim magazynie, Ruda? - zapytał gorzko Cain. - Opowiesz tym wszystkim wystrojonym gogusiom jak Hutton ograbił bezcenne siedlisko Anasazich, żeby znaleźć inspirację do kolekcji tandetnych fatalaszków?

Christy skrzywiła się, słysząc jego gorzki ton, ale zamilczała. Zbeczeszczenia tego miejsca nie można było niczym usprawiedliwić.

Cain wziął lampę, uniósł ją wysoko i zaczął z bólem szacować straty po jatce, jaką urządzono w tym prastarym miejscu.

- Boże, tak bym chciał zobaczyć, jak to wszystko przedtem wyglądało - powiedział cichym, pełnym napięcia głosem.

- Możliwe, że nigdzie na świecie nie ma drugiej tak dobrze zachowanej *kivy*. A teraz...

Christy zamknęła oczy, nie mogąc znieść widoku bólu na twarzy Caina.

- Stracone. Wszystko stracone. Nic już tego nie wróci - warknął mężczyzna i kopnął górę śmieci, spomiędzy których wypadł kawałek cienkiego sznurka przyczepionego do skrawka tkaniny.

- To but - wyjaśnił Cain. - Sandał z juki. Nie jest może tak rzadki jak fragmenty ubrań czy indyjskie pióra, ale to i tak cud, że się mimo wszystko zachował.

Zacisnął pięści i wziął głęboki oddech.

- A te dranie wyrzuciły go jak jakiś bezwartościowy śmieć - dodał. - Zastanawiam się tylko, co stąd zabrali. Musiała to być niezła działka. I pomyśleć, że sprzedali to wszystko za kilka tysięcy dolców tylko po to, żeby uszczęśliwić małą, zakłamaną sukę. Chryste, gdyby Johnny nie był taki głupi, chyba nawet byłoby mi go żal.

- Johnny Dziesięć Kapeluszy?

- Tak. To właśnie ten nieprzeciętny kretyn był wybrańcem Jo-Jo w tym czasie, kiedy mnie postrzelili. Oczywiście to było pół roku temu. Od tego czasu miała już pewnie stu takich jak on.

Potępienie w głosie Caina odbiło się echem w całym pomieszczeniu. Był jak ksiądz rozjuszony na swoich grzesznych parafian. Christy na próżno próbowała znaleźć słowa, które mogłyby złagodzić jego złość.

Niepowtarzalne, unikatowe skarby zostały bezpowrotnie stracone wyłącznie z powodu ludzkiej zachłanności. Gniew był nie tylko usprawiedliwioną, ale i najbardziej naturalną reakcją na ten akt barbarzyństwa.

Christy chodziła od niszy do niszy w nadziei, że znajdzie jakieś przedmioty związane z tradycją religijną Anasazich. W piątej z kolei wnęce natrafiła na niewielki fragment czarnego kruszcu, z którego wykonano małe paciorki, prawdopodobnie będące częścią naszyjnika. Cokolwiek to jednak było, zostało zniszczone. Pozostał tylko jeden mały element, przeoczony w pogoni za pieniądzem.

Obracała w palcach okrągły kamyk, który okazał się miły i gładki w dotyku.

- Czy istnieje jakiś sposób, by uratować to miejsce? - zapytała cicho.

- Nie ma. Równie dobrze mogli tu wjechać koparką - odparł Cain.

- Może coś przeoczyli.

Cain wykonał nieokreślony gest.

- Pewnie, niektóre garnki można by poskładać do kupy. Ale cała wiedza o tym miejscu została bezpowrotnie utracona.

Christy rozejrzała się z przygnębieniem po stercie śmieci wymieszanej z zabytkami.

- Podłoże jest roztrzaskane - powiedział Cain. - Stare popioły z ogniska wymieszali z nowszymi. Nie sposób nawet ustalić przybliżonej daty. To wszystko bezwartościowy chłam. Totalna klęska.

Jeszcze raz zaświecił lampą wokół *kivy* w nadziei, że znajdzie coś, co uszło uwagi plądrujących. Wokół lampy widać jednak było tylko ciemne ściany i migoczące kształty, jakby sylwetki wydobyte z kamiennych ścian. Christy przeszył dreszcz. W tym miejscu z pewnością były duchy. Niektóre przyjazne, inne zaś okrutne, podobne do tych, które widziała w sypialni Huttona.

- Wszystkie te nisze... - odezwał się Cain. - Nie widziałem tylu poza Pueblo Bonito.

- A gdzie to jest?

- W kanionie Chaco.

Przyglądał się w milczeniu jaskini. Wreszcie wydał dźwięk, który mógł być oznaką gniewu lub bólu. A może jednego i drugiego.

- Nie znaleziono do tej pory żadnych ruin tak daleko wysuniętych na północ. Sądząc z rozmiarów, to miejsce było dla Anasazich szczególnie ważne. Nigdy się jednak nie dowiemy dlaczego. - Cain opuścił lampę tak szybko, że światło zaczęło niespokojnie migotać.

- Widziałem już wszystko, co chciałem zobaczyć. Więcej nie zniosę - powiedział i ruszył z powrotem w kierunku drabiny. Christy podążyła za nim.

Lampa rzucała teraz lepsze światło na ogrom zniszczenia. Skalne zabezpieczenie nie wystarczyło, żeby ochronić siedzibę starożytnych Indian.

Cain przechodził z pokoju do pokoju. Gdziekolwiek spojrzął, widać było ślady wykopanych i wyniesionych z jaskini przedmiotów. Ten, kto je zabrał, nie przywiązywał żadnej wagi do ich historycznej wartości. W świecie złodziei i łowców skarbów liczyły się tylko pieniądze.

W kącie jednego z pomieszczeń Cain i Christy natknęli się na wpełzawalą ścianę, która zdawała się z trudem podtrzymywać konstrukcję.

- Jeżeli musisz tu wejść, uważaj, żeby niczego nie potrącić. To miejsce może się w każdej chwili zawalić - ostrzegł Cain i podszedł bliżej. Po chwili wypuścił nerwowo powietrze. Tynną ścianę jaskini pokrywało całkiem młode drewno.

- Nie podchodź bliżej.

- Dlaczego? - zapytała Christy.

- Wygląda na to, że jakiś dureń usiłował podeprzeć skałę wykałaczkami.

Cain podkręcił knot i skierował się w stronę sterty śmieci w najdalszym krańcu jaskini. Tym razem Christy została na miejscu. Dotarło do niej, co miał na myśli Cain. Z rękami w kieszeniach obserwowała go, kiedy stąpał ostrożnie po niepewnej drewnianej konstrukcji. Koniuszkami palców obracała w dłoni okrągły paciorek. Jego gładki dotyk przynosił ulgę.

W pewnej chwili zimny psi nos trącił rękę Christy. Moki najwyraźniej zarzucił na chwilę polowanie na szczury. Nie zważając na piach i kawałki słomy poprzylepiane do jego sierści, wyjęła ręce z kieszeni i zanurzyła je w ciepłym futrze psa.

Po jakimś czasie Moki odbiegł, by położyć się na pobliskiej skale. W panującym mroku był prawie całkiem niewidoczny. Tylko jego oczy błyszczały momentami w świetle lampy Caina.

W końcu pan Mokiego zakończył oględziny i wrócił do Christy. Wyglądał dość ponuro.

- I co? - zapytała dziewczyna.

- Jest tam niewielki odłam skalny. Ma około pięciu metrów kwadratowych i wygląda jakby był zawieszony w powietrzu. Z tyłu znalazłem szczelinę, przez którą można by się przedostać dalej.

Christy zacisnęła pięści w nagłym ataku klaustrofobii.

- A wsporniki? Na pewno wytrzymają? - zapytała nerwowo.

- Ci, który tu byli przed nami, znali się co nieco na górnictwie. Zbudowali rodzaj rusztowania, które zabezpiecza skałę przed upadkiem.

Christy wstrzymała oddech w oczekiwaniu na dalsze wyjaśnienia. Cain jednak nic więcej nie powiedział.

- Nie lubię, jak się mnie trzyma w nieświadomości - odezwała się ostro dziewczyna. - Ignorancja nie jest błogosławieństwem.

- Ta płyta waży pewnie ze dwadzieścia ton - wyjaśnił Cain. - Nie można czegoś takiego podeprzeć trzema belkami na krzyż.

Christy wzięła głęboki oddech.

- Dokończ.

Cain rzucił jej zdziwione spojrzenie.

- Gdyby skała była twoim jedynym zmartwieniem - wyjaśniła - od razu zaciągnąłbyś mnie do jaskini, o niczym nie wspominając.

Uśmiechnął się.

- Widzę, że całkiem nieźle mnie znasz, skarbie.

- Na tyle dobrze, żeby się domyślić, że nie mówisz mi całej prawdy.

Ręka Christy zacisnęła się w kieszeni, kiedy natrafiła na klucz Jo-Jo. Ona też nie była z Cainem całkiem szczerą.

- Ten odłam podtrzymuje drugą płytę - wykrztusił w końcu Cain. - Wygląda na to, że pokonał długą drogę na dół. Wyrwa w urwisku jest tak duża, że Anasazi wykuli w niej spizarnie.

Cain przeczesał ręką włosy, zrzucając przy okazji czapkę. Roztargnionym gestem włożył ją do kieszeni spodni.

- Strop jaskini może w każdej chwili opaść - oznajmił bez ogródek. - Ta druga płyta jest jeszcze większa niż głaz blokujący wejście. Jeśli zleci, obudzi nieboszczyków aż w Denver.

Christy spojrzała odruchowo na sufit, który rozpościerał się nad nimi jak baldachim. Powierzchnia piaskowca była pociemniała od sadzy i dymu z niezliczonych ognisk. Nosila też liczne ślady wilgoci.

- Wygląda na taką ... mocną.

- Kiedyś była mocna. Ale zawsze powstają jakieś pęknięcia. Wtedy woda dostaje się do środka i rozpuszcza substancje zespalaające drobiny piaskowca. W zimie woda zamarza, pogłębiając szczeliny jeszcze bardziej. Reszta to już tylko sprawa grawitacji.

Christy usiłowała wyobrazić sobie to niszczące działanie sił natury: wodę, która drążyła skałę lub zamarzając w zimie, rozłupywała ją na dwoje. Kropla po kropli, rok po roku. W końcu wystarczy jedna chwila i potężny głaz odłamuje się i odpada. A kiedy cichnie ostanie echo upadku, wszystko wraca do równowagi i cały proces zaczyna się od nowa.

- Chcesz powiedzieć, że nie powinniśmy tam wchodzić? - zapytała.

- Mówię tylko, że nie chciałbym się tu znaleźć podczas burzy.

- Jest aż tak źle?

- To kwestia przypadku. Skoro do tej pory sufit jakoś się trzymał, może jeszcze przez chwilę się nie zawali.

Christy się wzdygnęła.

- Jeśli zechcesz wyjść na zewnątrz, możesz być pewna, że nie będę miał ci tego za złe - powiedział Cain.

- A ty?

- Wypatrzyłem coś na obrzeżach budowli i chcę się temu lepiej przyjrzeć - odpowiedział. Podniósł lampę i skierował się z powrotem do skalnego odłamu, który przywalił jedno z pomieszczeń.

Po chwili wahania Christy ruszyła za nim. Moki przyglądał się tylko, nie przejawiając większej ochoty towarzyszenia swojemu panu.

- Czego tym razem szukamy? - zapytała Christy.

- Podejrzewam, że jest jeszcze jedna *kiva* przy drugiej szczelinie okiennej. Wygląda na to, że sufit trochę się zapadł, kiedy spadł odłam. Ktoś spędził dużo czasu, kopiąc po jednej stronie.

Druga *kiva* znajdowała się daleko za głównymi izbami. Światło lampy odkryło jej całkowicie zrujnowany cedrowy sufit. Filary, które go kiedyś podtrzymywały, popękały na pół. Niemal całe wnętrze zasypane było gruzem. Przed niewielkim tunelem przy jednej ze ścian ziemianki zebrał się spory kopiec skalnego pyłu. Tunel obniżał się nad zniszczoną kopułą dachu, by umożliwić dostęp do pomieszczenia wielkości mniej więcej budki telefonicznej.

Cain i Christy przyklękli, by zajrzeć w głąb *kivy*.

- Ten, kto to kopał, musiał mieć jaja z żelaza - mruknął Cain, patrząc na ogromną stertę drewnianych bali i

pokruszonych skał.

- Do czego im to było potrzebne? - zapytała Christy.

Jej towarzysz zbliżył się ostrożnie do tunelu.

- Wygląda na to, że coś tam przechowywali - powiedział, kierując lampę na pograżone w ciemnościach zakamarki. - Schodzili w dół poniżej podłogi *kivy*, zupełnie jakby...

Nagle zaklął cicho, sięgnął do środka i zdrapał odrobinę ziemi. Z początku Christy wydawało się, że natrafił na kolejne naczynie, kiedy jednak wyciągnął znaleziony przedmiot i podał go jej, natychmiast pojęła, że to coś zupełnie innego. Wyrzebana rzecz miała dziwny, niepokojący kształt.

Kiedy tylko Cain odwrócił się ponownie w jej stronę, Christy skwapliwie oddała mu jego znalezisko.

- Zabieraj to ode mnie - skrzywiła się.

- Nie podoba ci się?

- Nie.

Cain podniósł lampę i chrząknął.

- Tak jak myślałem - stwierdził spokojnie. - Kość.

- Ludzka?

- Nasada kości udowej.

Christy nie mogła powstrzymać grymasu obrzydzenia.

- Często takie znajdujesz?

Cain potrząsnął głową, odłożył kość na bok, po czym zdrapał kolejną porcję pyłu.

- Zastanawiam się, gdzie może być reszta szkieletu. Ten grób tutaj jest największym grobem Anasazich, jaki kiedykolwiek widziałem - dodał, wyrzucając na powierzchnię następną partię ziemi. Kopał jeszcze chwilę, ale niczego nie znalazł. Otwór pogłębił się jednak na tyle, że w pewnym momencie Christy zauważyła w głębi coś jaskrawego. Przesunęła bliżej lampę i krzyknęła:

- Zobacz!

- Widzę - odparł spokojnie Cain i pochylił się ostrożnie, by wygrzebać płaski zielony kamień, nie większy niż znaczek pocztowy.

- Jezu, turkus - szepnął nabożnie. - Ten złodziej, który był tu przed nami, musiał się nieźle nachapać.

Cain obrócił kamień do światła tak, by i Christy mogła mu się przyjrzeć. Wielkością i kształtem turkus przypominał fragment cudownego żółwia Huttona.

- Gdyby to nie był turkus, dałabym sobie rękę uciąć, że ten kamień pochodzi z kolekcji Huttona.

- Co masz na myśli?

- Ludzie Petera znaleźli gdzieś na ranczu żółwia z macicy perłowej wyłożonego turkusem. Z tym, że tamten turkus był nienaruszony, więc to nie może być jego fragment.

- W takim razie dłaczę to, co wykopałem, przypomina ci tamtego żółwia?

- Bo ma dokładnie taki sam kształt i kolor jak wyściółka na jego główce. Taki sam dziwny wielokąt.

Cain w zamyśleniu obrócił w rękę kawałek turkusa. Kształt kamienia był rzeczywiście niespotykany. Choć wcześniej zabronił tego robić Christy, schował przedmiot do kieszeni.

- Możesz opisać tego żółwia? - zapytał.

- Pewnie, że mogę. W końcu opisywanie różnych rzeczy to mój zawód. Miał cztery łapy, ale cofnięte, tak że widać było właściwie tylko pazury. Odwłok był nie większy niż pudełko papierosów. Obrzeża z macicy perłowej. Głowa i kark wysunięte, mówiąc dosadnie, w kształcie penisa. Oczy i kołnierzyk z turkusa. Skorupa z macicy perłowej.

- Coś jeszcze?

Christy zmarszczyła brwi.

- Był wielkości mojej dłoni, skomplikowany w kształcie, z wieloma krzywiznami. Właściwie przeznaczony do oglądania tylko z jednej strony. Ten, kto go wykonał, miał dobrą rękę. I było w nim coś ...

- Co takiego?

- Chodzi o to, że ten żółw nie jest tylko zręcznie ułożoną mozaiką. Ktokolwiek go stworzył, musiał być artystą. Tylko dzieła sztuki tchną takim życiem i mądrością. I pozostają tak długowieczne.

Cain westchnął przeciągle.

- Chciałbym go kiedyś zobaczyć. Z tego, co mówisz, to pewnie jakiś przedmiot kultu jednego z zasobniej szych klanów.

- Całkiem trafne spostrzeżenie jak na białego - usłyszeli nagle za sobą ponury głos.

Cain sięgnął po lampę i uniósł ją nad głową, rzucając snop światła na intruza. Z cienia wyłonił się Johnny Dziesięć Kapeluszy. W jednej z wielkich dłoni trzymał rewolwer. Z palcem na spuście mierzył prosto w Caina.

Witaj, Johnny - odezwał się Cain i gwizdnął przeciągle. - Widzę, że ktoś cię niezłe załatwił.

- Nie podchodź bliżej! - warknął Indianin.

- Nigdzie się nie wybieram - odparł chłodno Cain.

Christy przyglądała się całej scenie szeroko otwartymi oczami. Nie potrafiła zrozumieć, jakim cudem jej towarzysz zachowywał spokój. Cain rzucił jej ukradkowe spojrzenie. Jego wzrok zmroził dziewczynie krew w żyłach.

Kiedy Johnny odwrócił się, by zerknąć na nią przez ramię, Cain wykonał szybki ruch ręką, jakby chcąc ostrzec Christy, żeby się nie ruszała.

- Ktoś cię ściga? - zwrócił się do Indianina.

- Odsuń się od tej dziury - rozkazał Johnny. - Postaw lampę na skale i trzymaj łapy tak, żebym mógł je widzieć.

Cain ostrożnie wykonał polecenie i odsunął się. Obserwował Indianina zimnym wzrokiem drapieżnika, który czeka na kolejny ruch swojej potencjalnej ofiary.

- Nie żebym musiał się ciebie obawiać - wyjaśnił z pogardą Johnny. - Na pewno nie dałbyś mi rady. Udowodniłeś to, zanim cię postrzelili.

Christy zastanawiała się, jak Johnny mógł nie zauważyć u Caina pełnej gotowości do walki. Dziewczyna odczuwała ją niemal boleśnie, każdym nerwem ciała.

- Niektóre rzeczy po prostu nie są warte bijatyki - wyjaśnił Cain. - Na przykład kawałek damskiego tyłka.

- Zamknij się - warknął Johnny, podniósł broń na wysokość klatki piersiowej i wymierzył ją prosto w głowę Caina.

Christy znieruchomiała ze strachu. Wydawało jej się, że wylot lufy jest wielkości co najmniej tunelu kolejowego, kolor zaś mroczny jak sama śmierć. Na Cainie nie robiło to większego wrażenia. Jego twarz nie zdradzała żadnych emocji.

Spojrzała ponownie na Johnny'ego. Indianin też gapił się na nią intensywnie. Cain zrobił krok, jakby chciał ściągnąć na siebie jego uwagę.

- Nie ruszaj się! - polecił oschle Johnny.

- Spokojnie, stary. Jesteś na prochach, czy co? - padła odpowiedź Caina.

Indianin potrząsnął głową na znak protestu.

- Dawno już rzuciłem to gówno - powiedział.

- I dobrze - uznał Cain. - Bo to tylko wywołuje paranoję.

Johnny mrugnął i wierzchem dłoni starł z czoła pot i krew. Lufa jego rewolweru nawet nie drgnęła.

- To ty tak załatwiłeś to miejsce? - zapytał Cain.

Johnny odchrząknął.

- Teraz pewnie sprzedajesz wszystko za działkę prochów?

Indianin rzucił mu wściekle spojrzenie.

- No cóż - ciągnął jego przeciwnik wzruszając ramionami. - Ostrzegałem cię przecież, jak dużo forsy może pochłonąć ta dziwka Huttona.

W odpowiedzi Johnny wydał stłumiony odgłos, który zabrzmiał niemal jak śmiech. Przesunął się niezgrabnie do przodu, jakby próbował onieśmielić Caina swoją olbrzymią posturą.

Odwrócił się przy tym tak, że odsłonił przed Christy niewidoczną do tej pory część twarzy. Dziewczyna krzyknęła bezwiednie. Johnny wyglądał jak żywy trup. Był cały posiniaczony, a policzki i szczękę pokrywały niezliczone Strupy i szramy. Niektóre rany jeszcze krwawiły. Lewa ręka Indianina zwisała sztywno i bezwładnie.

- Nie wyglądasz najlepiej - stwierdził spokojnie Cain.

- Wyglądam lepiej niż ty będziesz wyglądał, jeśli zaraz się nie zanikniesz i nie będziesz stał spokojnie.

Johnny machnął w powietrzu rewolwerem.

Cain uniósł ręce w górę.

- Nie jestem aż tak głupi, żeby rzucać się z gołymi rękami na faceta z bronią - zapewnił.

- Do diabła, znając ciebie, nie odważyłbyś się nawet, gdybym nie miał broni - rzucił pogardliwie Indianin.

- No, proszę. I kto to mówi?

- O co ci chodzi?

- Powiedz no, Johnny, jak się czuleś strzelając komuś w plecy? - odpowiedział pytaniem Cain. - Pozwoliło ci to zapomnieć, jaki z ciebie dureń, że płacisz za kawałek tyłka, który każdy kowboj w okręgu Remington miał za darmo?

Johnny zrobił krok do przodu, potknął się i wpadł na bryłę piaskowca, która sięgała mu aż do pasa. Oparł się ciężko o głaz, jak staruszek sadowiący się wygodnie w fotelu na biegunach. Po chwili odsłonił w szerokim uśmiechu szczękę pełną powybijanych zębów.

- Więc myślisz, że to ja - zwrócił się rozbawiony do Caina i splunął śliną wymieszaną z krwią.

Cain obserwował Indianina, oceniając swoje szanse.

Christy stłumiła okrzyk. Johnny stał za daleko, a broń była zbyt niebezpieczna. Gdyby Cain czegoś próbował,

zginąłby, zanim by zdążył zrobić choć krok.

Dopiero w tym momencie zauważyła, że to nie w strzelbę, lecz w Johnny'ego wpatruje się jej towarzysz. Dotarło do niej, że nawet bez broni Cain może się okazać wyjątkowo niebezpieczny.

- Ile stąd wyniosłeś, Johnny?- zapytał od niechcienia, jakby rozmawiał z dobrym znajomym. Tylko jego oczy zdradzały napięcie i przyglądały się Johnny'emu z jadowitą intensywnością.

- Kto powiedział, że w ogóle cokolwiek wyniosłem? - odparł hardo Indianin.

Cain roześmiał się, nie był to jednak przyjazny śmiech.

- Te ruiny były dla kultury tym, czym złoto dla kopalni - odezwał się. - Teraz została tu tylko kupa bezwartościowych śmieci. To w twoim stylu. Zniszczyć całe miejsce dla kilku cennych naczyń. Znam cię, Johnny. Całe San Juan nosi ślady twojej działalności.

Indianin wytarł usta ręką, która natychmiast pokryła się krwią i brudem.

- Masz trochę wody? - zapytał.

- W plecaku - wyjaśnił Cain.

- Gdzie go masz? - Indianin rozejrzał się dokoła.

Korzystając z okazji, Cain wykonał w tym czasie krok do przodu.

- Na plecach - odpowiedział - Zaraz go zdejmę i..

- Nie! Nie ruszaj się, draniu! Nie ufam ci! - podniósł głos Johnny. - Nikomu już nie wierzę!

- Nic się nie bój - uspokajał Cain. - Wszystko w porządku. Panujesz nad sytuacją. Wszystko masz pod kontrolą. - Indianin obrzucił jaskinię błędnym wzrokiem. Spojrzał na Christy, jakby dopiero teraz ją zauważył. W jego oczach pojawiło się zaskoczenie.

- Hej! - powiedział - Czy ja cię przypadkiem skądś nie znam? Chodź no tu.

- Nie ruszaj się, Ruda - polecił Cain. - Nawet o centymetr.

Johnny kiwnął głową jak pijany, który nie bardzo wie, co się dzieje. Powoli skoncentrował się na Cainie.

- Co to za dziwka? - zapytał.

- Nikt, kim musiałbyś się przejmować - wyjaśnił spokojnie Cain. - Pójdzie sobie na spacer, kiedy my będziemy wspominać stare dobre czasy.

Johnny przemyślał sprawę i splunął znowu.

- Nie - powiedział ostro. - Paniusia nigdzie nie pójdzie. Ja nie ufam nikomu.

- A powinieneś, zwłaszcza że potrzebujesz pomocy - stwierdził rzeczowo Cain i zrobił dwa kroki do przodu, zanim Johnny zdążył zareagować.

- Cofnij się albo przedziurawię cię na wylot! - zażądał Indianin.

Cain stanął co prawda w miejscu, Christy zauważyła jednak, że cały czas rozważał ponowny ruch.

- Nadal potrzebujesz pomocy - spróbował jeszcze raz.

- Dranie.

Ostatnia uwaga Indianina była raczej ogólna niż skierowana bezpośrednio do Caina. Za to broń Johnny'ego cały czas była wymierzona w jego pierś.

W pewnym momencie Indianin zakasłał.

Cain posunął się parę centymetrów do przodu.

Johnny kolejny raz splunął w ciemność.

- Nigdy nie powinienem był się zadawać z tymi dupkami ze Wschodu, którzy mają gogusiowate maniery i wyszukane prochy - wymamrotał Indianin. - Od tamtej pory ciągle mam problemy z głową.

Johnny znowu zakasłał, a Cain przesunął się kolejnych kilka centymetrów w jego stronę.

Christy stała tak sztywno, że z napięcia bolały ją wszystkie mięśnie.

Jesteś już za blisko, Cain. Nie próbuj niczego, bo on cię zabije, myślała gorączkowo.

Chciała ostrzec go na głos, nawet gdyby na nic się to nie zdało. Cain zdawał sobie sprawę z szans powodzenia równie dobrze jak ona. A nawet lepiej. W końcu to w niego była wycelowana broń.

- To Hutton kazał ci tu kopać? - zapytał.

- Do diabła - warknął Johnny, robiąc zamaszty ruch rewolwerem - to ja znalazłem to miejsce i wykopałem garnki. To wszystko moje dzieło. Całkiem niezłe jak na drobnego czerwonoskórego złodziejaska, no nie? To ci da nauczkę, Cain. Tobie i wszystkim twoim przemądrzałym koleśkom z uczelni. Spóźniliście się. Znaleźliśmy tę ruinę z Jo na długo, zanim tu przyszliście.

Christy zamarała na dźwięk imienia siostry. Johnny przestał już nawet zwracać uwagę na to, że Cain zbliża się do niego centymetr po centymetrze.

- A znaleźlibyście ją, gdybym nie powiedział Jo, że w okolicy Sióstr coś musi być? - zapytał spokojnie Cain.

Christy wbiła paznokcie w dłonie.

Johnny utkwiał wzrok w przeciwniku i otarł dłonią usta. Po chwili wyszczerzył zęby w uśmiechu jak mały chłopiec.

- Nie, nie znaleźlibyśmy. Ale nie musiałem się specjalnie wysilać. Pozwoliłem tobie myśleć, a Jo węszyć. Zrobiła cię na szaro i wyciągnęła z ciebie wszystko.

- Naprawdę?

- To ona znalazła skarb Sióstr - stwierdził szorstko Johnny - Myślisz, że teraz jeszcze kogoś obchodzi, co ty wiesz na ten temat?

- A jak to się stało, Johnny, że plujesz krwią? Co? Jak to było?

- Wszystko diabli biorą - odparł ponuro Indianin. - Ludzie umierają i będą umierać.

Nagle zaczął nucić niskim, fałszywym głosem. Niezrozumiale, bełkotliwe słowa sprawiły, że ze strachu włosy Christy stanęły dęba.

- Potrzebujesz pomocy - zwrócił się Cain do Indianina.

- Człowieku, chodzi tylko o to plugastwo. Muszę tego trochę zabrać i zmywam się stąd, się zanim mnie dorwają.

- Kto ma cię dorwać?

- Szeryf. Ale nigdy mnie nie dostanie. Za dobrze znam prawo w tym stanie. Równie dobrze jak ty, Cain.

Johnny roześmiał się, zakasłał i splunął.

Cain przesunął się w tym czasie o kilka centymetrów.

- Na twoim miejscu - odezwał się Indianin - pojechałbym na południe i przeczekał tam jakiś czas. Oni chcą mnie zabić, a ciebie o to oskarżyć.

Christy rzuciła Cainowi szybkie spojrzenie. Jego twarz pozostała niewzruszona. Wyglądał na spokojnego i odprężonego. I był o krok bliżej Johnny'ego.

- Oni? - zapytał. - To znaczy kto?

- Sam się przekonasz. Poczujesz to na własnej skórze. Ja nie mam zamiaru żadnego z was więcej oglądać.

Nagle Johnny spostrzegł, że Cain jest za blisko. Wyprostował się i podniósł broń.

- Cofnij się!

- Przecież tylko próbuję ci pomóc.

- Nie potrzebuję twojej pomocy. Mam już własny plan. Zajmę się tym draniem Autrym i całą resztą. Potrzebuję tylko trochę świństwa z tej dziury, a moi kumple z Zarządu Gruntów się mną zajmą.

Johnny przerwał, wziął głęboki oddech i zaśmiał się jak demon z jednego z obrazów Huttona.

- Masz przyjaciół w Zarządzie? - zdziwił się Cain. - To ci dopiero nowina.

- Dobrze, nie? Całe życie kradłem garnki na cudzych gruntach, a teraz moją jedyną nadzieją jest pieprzone biuro do spraw zarządu ziemią.

Johnny sięgnął zranioną ręką do kieszeni i wyciągnął woreczek z konopi, w którym zazwyczaj sprzedaje się turystom kamyki z siedlisk Anasazich.

- Wyrzecz mi kilogram świństwa z tej dziury - zażądał Johnny, wskazując głową *kivę* - i spadam stąd. Jeśli masz jakieś pytania, możesz je zadać Dannerowi. Jest jakieś piętnaście minut za mną. - Rzucił torebkę w stronę Caina. - Napelnij ją.

Cain złapał woreczek jedną ręką, jakby się wahał.

Nie, on wciąż jest za daleko. Nie rób tego! - pomyślała Christy.

Cain musiał chyba dojść do podobnego wniosku. Powoli ruszył w stronę *kivy*, gdzie składano kiedyś ludzkie szczątki. Osunął się do zagłębienia i zaczął napelniać małą torebkę ziemią.

- Ile szkieletów tu było? - zapytał.

- Dwa.

Johnny zbliżył się do grobowca, żeby sprawdzić, co robi Cain.

- Kobiety czy mężczyźni?

- Dwie kobiety. Najpiękniejsze grobowcowe cacka, jakie kiedykolwiek widziałem. Takie turkusy i agaty, że o mało się nie posikałem ze szczęścia.

Christy stała bez ruchu u podnóża góry połamanych belek, próbując nie zwracać na siebie uwagi. Kątem oka obserwowała każdy ruch Johnny'ego.

Moki powoli wyczołgał się z cienia. Szykował się do skoku niczym ogromna, żywa sprężyna, która tylko czeka na moment wyswobodzenia.

Serce Christy łomotało tak mocno, że Johnny chyba musiał je słyszeć.

- Wszystko oddaliście Huttonowi? - zapytał Cain.

- Sam zabrałem wszystko, co mi wpadło w ręce, ale jednego nie zdążyłem wykopać.

Johnny przetarł oczy. Miał wyraźne problemy z podniesieniem lewej ręki.

- Jestem pewien, że dorwała to ta mała dziwka. Huttona też pewnie załatwiła.

Cain przestał kopać.
- Kto, Jo?
Johnny nie odpowiedział.
- Wiesz, gdzie ona teraz jest? - Christy nie potrafiła się powstrzymać przed zadaniem pytania.
Indianin odwrócił się, by na nią spojrzeć.
- Jeśli ma trochę rozumu - odparł - to dawno już jej tu nie ma. Autry zabije ją, jak tylko ją dorwie.
- O Boże, nie - jęknęła Christy.
Johnny zwrócił uwagę na emocje w jej głosie i zaczął się jej uważnie przyglądać.
- Czy ja cię przypadkiem nie znam? - zapytał po raz drugi.
Christy szybko odwróciła wzrok.
Cain patrzył na nią z coraz większym zrozumieniem... i wściekłością.
- Zaczekaj no chwilę - odezwał się Johnny. - Ty jesteś jej siostra, ta ruda reporterka z Nowego Jorku.
Christy poczuła nagły dreszcz.
- Autry myśli, że byłycie z Jo w zмовie przy tej robocie - oznajmił Johnny. - Ona zresztą zaaranżowała to tak, żeby na to wyglądało. Na twoim miejscu też bym zniknął.
- Z nikim nie byłam w zмовie - oświadczyła stanowczo Christy.
Johnny roześmiał się znowu, zakasłał i splunął krwią.
- Nie mój interes - odezwał się po chwili - ale Hutton wydusi z ciebie prawdę w ten czy w inny sposób. Facet uwielbia tłuc ślicznotki w takie miejsca, gdzie nie widać śladów, a potem posypywać je niemowlęcym pudrem.
Christy czuła na sobie wzrok Caina, nie potrafiła się jednak zmusić, by na niego spojrzeć. Mężczyzna stał nieruchomo, z twarzą ukrytą w głębokim cieniu.
- Wiesz, gdzie jest Jo? - spróbowała jeszcze raz Christy.
- Dlaczego pytasz? Czyżby i ciebie wystawiła do wiatru?
- Coś w tym rodzaju.
- Prawdziwa z niej zmija, co?
Christy zrobiła krok w stronę Indianina. Johnny odwrócił się odruchowo, żeby wymierzyć broń w dziewczynę. W ten sposób odsłonił się przed Cainem.
Poniewczasie zorientował się, że nie może jednocześnie osłaniać się przed Cainem i mierzyć w Christy.
- Odsuń się - warknął do dziewczyny.
Zamiast posłuchać, Christy przysunęła się jeszcze o krok, zmuszając Johnny'ego, by wybierał między nią a Cainem.
- Domyślasz się, gdzie mogła pojechać Jo? - zapytała jeszcze raz błagalnie.
Nie odważyła się spojrzeć na rewolwer, którym Johnny celował to w nią, to w Caina.
Nagle Indianin zdecydowanym ruchem skierował broń w stronę Christy.
- Przejdź na tę samą stronę co Cain!
W tej samej chwili dziki, warczący cień wyskoczył z ciemności i rzucił Johnny'emu do gardła.
Indianin był tak zaskoczony, że nie zdążył strzelić. Mógł tylko podnieść zranioną rękę w obronnym geście.
Cain zaczął się wspinać do nich, tylko dał Mokiemu sygnał do ataku. Gdy dotarł na górę, szczęki Mokiego zacisnęły się na nadgarstku Johnny'ego.
Indianin wrzasnął, zwinął się i upadł pod ciężarem psa. Miał jeszcze tyle przytomności, że zdołał się przysunąć do karku zwierzęcia.
Niecałe trzy sekundy po ataku Mokiego w jaskini rozległ się huk strzał.
Christy była tak ogłuszona, że nie słyszała nawet własnych krzyków. Zdawało jej się, że trwa to całe wieki. W dodatku oślepił ją błysk z lufy. Przez kilka przerażających sekund odróżniała tylko zamazane kształty i słyszała w głowie nie kończące się echo wystrzału.
- Na ziemię - usłyszała.
Bez zbędnych ceregieli Cain odepchnął Christy na bok, poza linię ognia. Wciąż huczało jej w głowie, kiedy szukała po omacku kamienia na tyle dużego, by można go było użyć przeciwko Johnny'emu.
Indianin cisnął ciało Mokiego na bok, jakby pies ważył nie więcej niż cień, odwrócił się, podniósł broń i wycelował w pierś Caina.
Cain nie miał się czym bronić, a nie było sposobu, by dotarł do Johnny'ego, zanim ten pociągnie za spust.
Christy krzyknęła z bezsilnej wściekłości.
Indianin drugi raz wystrzelił, ale komora okazała się pusta. Cain nie dał Johnny'emu szansy przeładowania broni. Rzucił się na niego z taką samą zażartą wściekłością jak przed chwilą.
Johnny użył rewolweru jak pałki. Uderzenie spadło na ramię Caina, który upadł na ziemię. Johnny natychmiast spróbował naładować broń, ale zraniona ręka odmówiła mu posłuszeństwa.

Palce Christy zacisnęły się na kamieniu wielkości jabłka. Johnny przeklinał, jedną ręką mocując się z bronią, a Cain z wysiłkiem stawał na nogi; w tym momencie cisnęła kamieniem w Indianina. Odległość była niewielka, a cel duży. Johnny dostał w bok twarzy. Krzyknął oszołomiony i cofnął się instynktownie, próbując uniknąć kolejnego ciosu. Cain ruszył w pościg i złapał Johnny'ego tuż przy oknie jaskini, w pobliżu krawędzi ogromnej skalnej płyty.

Mężczyźni znikli wśród skał w zwartym uścisku.

Z głębi jaskini dobiegło przeraźliwe drzenie, bardziej wyczuwalne niż możliwe do wychwycenia uchem, zupełnie jakby masy skalne powoli się obsuwały. Drewniane belki ugięły się i zaczęły pękać. Nagle wszystko ucichło.

Ściskając w rękę kolejny kamień, Christy dotarła do krańca jaskini w samą porę, by zobaczyć, jak Cain zadaje krótki cios w prawe ramię Johnny'ego. Ręka Indianina całkiem zwiotczała.

Broń uderzyła o skałę, odbiła się i ześliznęła ze stromego zbocza na brzeg pionowego uskoku. Parę sekund później zniknęła bezpowrotnie na dnie przepaści.

Z okrzykiem wściekłości Johnny rzucił się na Caina i całym ciężarem przycisnął go do skalnego podłoża. Nie zważając na kontuzję ręki, zamknął przeciwnika w miażdżącym uścisku.

Szamotali się teraz na krawędzi przepaści, nieuchronnie zmierzając do katastrofy. Zdawało się, że żaden z nich nie zauważył możliwości upadku, który mógł się okazać bardziej niebezpieczny niż jakikolwiek przeciwnik.

W końcu Cain uderzył mocno Johnny'ego w szczękę, próbując go ogłuszyć. Indianin był na tyle przytomny, by opuścić broń i ochronić krtań. Odsłonił jednak przy tym lewą stronę twarzy. Zadane przez Caina krótkie uderzenie czołem złamało mu nos. Przy następnym ciosie w to samo miejsce Johnny zaczął krzyczeć, co nie zmusiło go jednak do rozluźnienia żelaznego uścisku.

Przekręcił głowę, by chronić zmiążdżony nos. Cain szarpnął się gwałtownie, uwolnił jedną z rąk i chwycił Indianina za gardło. Johnny zaczął się krztusić, ale nie zrezygnował z walki.

- Poddaj się - wysapał Cain. - Nie wygrasz... i dobrze o tym wiesz.

Johnny opuścił głowę i skulił się, udając, że walczy o oddech. Jego przeciwnik wstał z wysiłkiem i wsparł się pod boki oddychając ciężko.

- Uważaj! - krzyknęła Christy.

Cain odwrócił się w samą porę, by zobaczyć, że Johnny sprężył się, chcąc się na niego rzucić. Spróbował schylić głowę i zrobić unik. Prawie mu się udało. Indianin całym swoim ciężarem zawisł na plecaku Caina.

Siła impetu Johnny'ego mogła zagrozić Cainowi, spychając go na krawędź kanionu. Udało mu się jednak w porę odeprzeć atak.

Johnny poszybował z urwiska jak masywne piskłę za wcześniej wypuszczone z gniazda. Kilka sekund później zniknął w otchłani. Towarzyszył temu przerażający, monotony krzyk, który wkrótce raptownie ucichł.

- Odejdź od tego urwiska - nakazała Christy. - Do diabła, Cain! Cofnij się! To niebezpieczne!

Mężczyzna zbliżył się do niej powoli. Jego oczy lśniły zimnym blaskiem. Radość z przetrwania mieszała się w nich ze świadomością, że oto przed chwilą przyczynił się do śmierci człowieka.

Po chwili Cain skoncentrował się na Christy. Blask w jego oczach zbladł. Dziewczyna wzdrygnęła się na dźwięk pogardy w jego głosie.

- Nie musiałem się wysilać, żeby zdezynfekować ubranie, zanim ci je dałem, prawda?

17

Nic ci się nie stało? - zapytała sztywno Christy.

Cain bardzo szybko podniósł się na nogi i bez słowa ruszył z powrotem do jaskini.

- Słyszałam trzask belek zaraz po wystrzale - odezwała się. Chwyciła lampę i udała się za Cainem.

- Moki gdzie tutaj jest - przerwała po chwili milczenie.

- Wiem.

- Moki - zawołała łagodnie Christy - gdzie jesteś, piesku?

Cichy skowyt dochodził z nie oświetlonego kąta pomieszczenia.

Kiedy Christy skierowała w stronę odgłosu, Cain wyrwał jej lampę z ręki i podszedł szybko do psa.

- Spokojnie, staruszk - przemówił łagodnie klękając na ziemi. - Zobaczmy, jak to wygląda.

Moki leżał bezwładnie, najwyraźniej za słaby, aby się poruszyć. Jednak na dźwięk głosu Caina ogon psa zaczął się ociężale kiwać.

- Potrzyj to - polecił szorstko mężczyzna.

Christy wzięła od niego lampę i uniosła ją do góry. Podbrzusze psa pokrywała ciemnobrunatna krew.

Blask światła zdrzął, opadając i unosząc się na przemian.

- Trzymaj równo, do diabła - warknął Cain.

- Staram się.

Mężczyzna podniósł wzrok na Christy. Dziewczyna cała się trzęsła. Lewą ręką podtrzymywała prawą, aby utrzymać

lampę nieruchomo. Była blada jak ściana, a po policzkach spływały jej łzy.

- Jeśli masz zamiar zemdleć, odstaw najpierw lampę - powiedział Cain i odwrócił się z powrotem do psa.

Christy syknęła przez zęby, gdy mężczyzna delikatnie obmacywał Mokiego. Zwierzę zawył i cofnęło się odruchowo, ale nie stawiało oporu.

- Bliżej - warknął Cain.

Kiedy Christy pochyliła się do przodu, światło padło na podłużną ranę na barku Mokiego, z której wystawała biała kość.

Christy odstawiła z łoskotem lampę.

- Jeśli zemdlejesz, zostawię cię dokładnie w tym miejscu, gdzie upadniesz - uprzedził Cain.

- Idź do diabła.

Głos Christy był równie nieugięty i chłodny jak Caina. Mężczyzna spojrzał na nią zdumiony. Zdarła z siebie kurtkę i podała ją Cainowi.

- Na co mi to? - zapytał.

- Nie tobie, tylko Mokiemu.

Cain chwycił lampę i przytrzymał ją nad głową, całkowicie ignorując kurtkę.

- Psy doznają szoku tak samo jak ludzie - stwierdziła stanowczo Christy - Okryj go tym.

Cain wstał, zrzucił plecak i ściągnął koszulę. Jego plecy pokrywały liczne zadrapania i siniaki - wynik krótkiej, lecz gwałtownej walki z Johnnym.

Złożył koszulę i delikatnie przyłożył ją do rany Mokiego. Nie patrząc na Christy, wziął kurtkę, którą mu podawała i owinął nią psa.

Kiedy wreszcie spojrzał na Christy, dziewczyna żałowała, że to zrobił.

- Nie miałam odwagi ci powiedzieć, że Jo-Jo jest moją siostrą - odezwała się.

- A to czemu, do diabła? Gdybyś mi powiedziała, to kto wie, może Johnny jeszcze by żył.

- Wątpię - odpowiedziała krótko. - Nie grzeszył zdrowym rozsądkiem.

Cain zajął się ponownie Mokim. Uwijał się szybko, bo w pomieszczeniu było zimno, a pies wyglądał na bardzo słabego.

Christy musiała się mocno starać, by pohamować gniew.

- Cain, przecież ja cię w ogóle nie znałam - powiedziała szybko. - Nie wiedziałam, jakim jesteś człowiekiem. Plotki nie były dla ciebie zbyt pochlebne.

- Tak, tak, oczywiście - odrzekł z przekąsem Cain.

- A... Jo-Jo ostrzegła mnie, że jesteś niebezpieczny.

- Cholera, Johnny miał rację. Cokolwiek ta suka knuje, siedzisz w tym razem nią.

- Nieprawda! To ona do mnie zadzwoniła. Powiedziała mi, że mnie potrzebuje, że musi się ze mną zobaczyć. Nie widziałam się z nią przez wiele lat. Jak mogłabym ją zawieść?

- Próbowalaś kiedyś powiedzieć „nie”? - zapytał z ironią Cain. Wyjął z plecaka nóż i odciął wąski kawałek materiału z kurtki Christy.

- A gdyby twój brat do ciebie zadzwonił - ciągnęła dziewczyna. - Co byś zrobił?

Cain, używając zaimprovizowanej tasiemki, obwiązał rękawami szyję Mokiego. Potem zabezpieczył całość węzłem. W końcu popatrzył na Christy. Z jego oczu nie można było nic wyczytać.

- Zabiłem dwóch ludzi - powiedział twardo. - W obydwu przypadkach zamieszana w to była mała, zakłamaną zdzira.

Christy wzięła głęboki oddech i rozejrzała się po ciemnym wnętrzu. Jo-Jo i Hutton splądrowali przy pomocy Johnny'ego tysiąc lat historii. Zapewne bili się teraz o swoje łupy. Nie obchodziło ich, kto przy tym ucierpiał.

- Chciałabym - powiedziała cicho - żeby to wszystko się nie stało. Gdybym tylko wiedziała, jaką cenę przyjdzie zapłacić, nigdy bym nie cię w to nie wciągnęła.

- Zatrzymałem cię ostatniej nocy, bo myślałem, że potrzebujesz pomocy - oznajmił Cain, jakby w ogóle nie słyszał jej słów. - Ca za farsa. Czy Jo-Jo przysłała cię, żebyś skończyła to, czego nie mógł zrobić Johnny?

- Mylisz się co do mnie. I to bardzo.

Cain zignorował zapewnienia Christy. Przemawiał czule do Mokiego, jakby chciał uśmierzyć jego ból łagodnym głosem i delikatnym dotykiem. Wreszcie wsunął ręce pod psa i podniósł go ostrożnie.

Moki zaskowyczał i zaczął się wrywać, ale kilka cichych słów uspokoiło go.

- Znalazłem jakieś płócienne worki na dole, tuż przy drabinie - odezwał się Cain. - Przynies je. Zaczekam na ciebie na górze.

- Jakim prawem mnie osądzasz, jeżeli...

- Przynies to cholerne płótno - wrzasnął wściekle.

Christy chwyciła lampę, zeszła po drabinie, złapała worki i wdrapała się z powrotem.

Kiedy dotarła do płyty, która zagradzała wejście, Cain wspinał się po hałdzie gruzu. Jakoś mu się udawało nie potykać o nierówności.

Dziewczyna wzięła głęboki wdech. Ciekawa była, jak Cain radzi sobie ze wzburzonymi nerwami. Nogi Christy już się nie trzęsły, ale wysoki poziom adrenaliny ciągle przyprawiał ją o drżenie rąk.

Zmuszając się do równego oddechu, odstawiła lampę, wepchnęła zwoje płótna do plecaka, założyła go na plecy i ruszyła w ślad za Cainem, który szedł już po zdradliwych schodach, wykutych w piaskowcu przez Anasazi.

Nagle skała przed Cainem rozprysła się dokoła na tysiące odłamków. Jednocześnie rozległ się tępy huk wystrzału z potężnej strzelby.

Christy znieruchomiała za ogromną piaskowcową płytą, która prawie w całości zasłaniała wejście do niszy.

Cain nie miał takiej osłony. Pognął po schodach tak szybko, jak tylko się dało. Jednym dla niego ratunkiem była szczelina od strony wzgórza, prowadząca do tunelu.

Druga kula uderzyła o skałę tuż pod jego stopami. Potem trzecia i jeszcze jedna.

W ciemnościach pod skalnym występem Christy wstrzymała oddech i zaczęła się modlić. Wydawało się, że minęły całe wieki, zanim Cain dotarł do schronienia w tunelu, położył Mokiego na ziemi i wturlał się do środka, pociągając za sobą psa.

Strzały padały, dopóki mężczyzna ze zwierzęciem nie znikli z pola widzenia atakującego.

Christy przyłgnęła do skały i spojrzała w dół kanionu, starając się rozpoznać napastników. Kilkaset metrów niżej, przy zaparkowanym samochodzie, stał jakiś człowiek, opierając o dach strzelbę. Promienie słoneczne odbijały się ostro od celownika. Na dachu pojazdu widniały wielkie litery: BSR.

Dziewczyna widziała już taki samochód w Remington. Prowadził go wtedy szeryf Danner,

Kolejny pocisk odbił się od skały w miejscu, gdzie jeszcze przed chwilą stał Cain. Potem jeszcze jeden. W końcu strzały ucichły. Mężczyzna cofnął się nagle, otworzył drzwi samochodu, rzucił broń na siedzenie i wsiadł do środka. Półciężarówka ruszyła szybko, pozostawiając za sobą gęsty tuman kurzu. Wkrótce samochód zniknął za zakrętem.

Christy nie czekała dłużej. Wbiegła na oślep po schodach, chcąc bezpiecznie dotrzeć do tunelu. Z trudem precyzyjnie się do środka razem z plecakiem.

Caina nigdzie nie było.

Christy zebrała siły i zaczęła pełznąć na czworakach najszybciej, jak umiała, nie zważając na ból w rękach i kolanach. Gdy tylko dotarła do miejsca, gdzie mogła wstać, pobiegła w stronę ostatniego stromego kamienia, który odgradzał ją od krawędzi skały.

Tutaj także nie było Caina.

Christy zauważyła jednak na ścianie ślady krwi. Potrząsnęła głową. Trudno było uwierzyć, że Cainowi udało się wdrapać z rannym psem na skałę wyższą od niego samego.

Spojrzała raz jeszcze na zakrwawioną ścianę. Zeszła tędy wcześniej tylko dzięki pomocy silnych ramion Caina, które ściągnęły ją na dół.

Nie miała najmniejszych szans, by wspiąć się na górę sama.

Mimo wszystko rzuciła się na skałę, próbując znaleźć jakieś nierówności, których mogłaby się chwycić lub oprzeć o nie stopę. Spadła trzy razy. Za każdym razem podnosiła się i próbowała od nowa.

Właśnie miała spaść po raz czwarty, kiedy dwie zakrwawione ręce chwyciły ją za nadgarstki.

- Uspokój się, zanim zrobisz sobie krzywdę - rozkazał Cain. - Mamy jeszcze godzinę, zanim Dannerowi uda się ściągnąć posiłki.

Christy spojrzała w górę. Cain nadal spoglądał twardo i nieprzychylnie, ale jej nie zostawił. Wciągnęła głęboko powietrze, próbując nabrać sił.

- Dziękuję - powiedziała drżącym głosem.

- Za co?

- Że mnie... nie zostawiłeś.

Cain zmrużył oczy i przyjrzał się twarzy Christy. Skórę dziewczyny pokrywał kurz. Miejscach drobnych zadrapań znaczyły ślady krwi. Żrenice miała tak rozszerzone, że trudno było rozróżnić kolor tęczówki.

- Po lewej stronie jest szczelina - powiedział sztywno - a po prawej wybrzuszenie. Widzisz je?

- Widzę.

- Wsadź but w to pęknięcie.

Wykonała polecenie.

- Teraz podciągnij się i znajdź prawą nogą drugą szczelinę.

Gdy tylko Christy uniosła się odrobinę, zaczął ją wciągać. Kiedy próbowała na oślep znaleźć oparcie pod prawym butem, Cain wyciągnął ją ze szczeliny jak korek z butelki.

Natychmiast ją puścił. Stała sztywno; mięśnie miała napięte, objęła się ramionami, jakby było jej zimno.

Cain odwrócił się, wziął Mokiego na ręce i ruszył w stronę ciężarówki. Christy odetchnęła głęboko i poszła za nim. Zanim dotarła do samochodu, była pewna, że już nigdy nie odzyska normalnego oddechu. Zdjęła plecak i rzuciła go na ziemię. Płócienne worki rozwinęły się jak brudna flaga.

Spojrzenie Caina wyrażało zdziwienie, że w ogóle zawracała sobie głowę plecakiem. Mężczyzna podniósł płótno, otrzepał je szybkim ruchem i rozłożył na podłodze bagażowej części ciężarówki. Delikatnie ułożył psa na jednej połowie, a drugą go owinął, aby zapewnić zwierzęciu jak najwięcej ciepła.

Moki nawet nie zaskomlał ani się nie poruszył.

- Żyje? - zapytała przerażona Christy.

- Na razie tak, ale droga przez tunel i wspinaczka wyczerpała go i zemdłał. Tym lepiej dla niego.

Christy jęknęła cicho i wspięła się na przyczepę, aby usiąść przy Mokim.

- Chodź do przodu - powiedział krótko Cain. - Mamy przed sobą ciężką jazdę.

- Wiem. Będę pilnować, żeby Mokim zanadto nie rzucało.

Cain popatrzył na nią dziwnie, mruknął coś pod nosem i wszedł do kabiny. Chwilę później byli już w drodze.

- To Danner strzelał? - zapytała po jakimś czasie Christy.

- Tak. Jest jedynym facetem, który nosi biały kapelusz i jeździ ciężarówką Biura Szeryfa Remington.

- Ale dlaczego to robił?

- Myślę, że widział, jak zabiłem Johnny'ego - wyjaśnił Cain.

- Ale przecież to była samoobrona!

- Danner może o tym nie wiedzieć. A nawet jeśli wie, prawdopodobnie nic go to nie obchodzi. W tym mieście postawili już na mnie krzyżyk. Zabijając mnie, Danner uzna, że spełnił swój obowiązek i zrobił przysługę lokalnej społeczności.

- Jezu Chryste! Co to za miejsce? - skomentowała cierpko Christy.

- Takie samo jak każde inne. Miejscowe gliny wiedzą, kto tu jest ważny. Danner robi to pod warunkiem gwarancji, że uda mu się z tego wywinąć przy użyciu pieniędzy Huttona.

- To co zrobimy?

- Najprawdopodobniej za godzinę Danner dotrze do miejsca, z którego skontaktuje się przez radio z innymi glinami - odpowiedział Cain. - Jeżeli nie uda nam się dotrzeć do autostrady na czas, zastawią na nas blokadę.

Christy przestała zadawać pytania i skoncentrowała się na opiece nad rannym psem. Gdy dotarli do gładkiej asfaltowej nawierzchni, sprawdziła opatrunek.

Koszula Caina i jej kurtka były zupełnie przesiąknięte. Christy nie wiedziała, ile krwi Moki już stracił i na jaką stratę można było jeszcze pozwolić. Wiedziała tylko, że pies długo już nie wytrzyma.

- Wyrzucę cię na tyłach hotelu, żeby nikt nie zauważył - poinformował Cain.

Christy była zaskoczona, że się w ogóle odezwał. Przez całą dotychczasową drogę milczał jak grób.

- Najpierw zajmijmy się Mokim - oparła stanowczo i zamknęła oczy, starając się opanować. Właściwie nie wiedziała, co tak naprawdę powinna zrobić. Wiedziała tylko, że musi odnaleźć Jo-Jo.

Wpakowałaś mnie w niezłe bagno, siostrzyczko, pomyślała. Musisz mnie teraz jakoś z tego wyciągnąć. Caina oczywiście też. Na samą myśl o tym ciarki przeszły jej po plecach. Zastanawiała się, czy jej siostra była w stanie komukolwiek pomóc, nawet samej sobie.

Jo-Jo, potrzebuję cię po raz pierwszy w życiu. Przystań się przede mną ukrywać, błagała w myślach Christy.

- Jak tylko Moki będzie bezpieczny - powiedziała na głos - muszę wykonać parę telefonów.

Cain spojrział na nią w lusterku. Nawet jeśli o czymś pomyślał, zachował to dla siebie.

Klinika dla zwierząt znajdowała się pod Remington, w małej mieścinie składającej się z wyblakłego budynku kliniki, stacji benzynowej, sklepu wielobranżowego i kilku domków stojących wzdłuż autostrady. Puste okna sklepu powlekała gruba warstwa brudu. Najwyraźniej od lat był zamknięty. Na stacji benzynowej węże z dwóch dystrybutorów posepnie nurzały się w kałuży. Jedyną żywą istotą okazał się brudny czarny pies.

Cain zatrzymał ciężarówkę za budynkiem, tak aby nie było jej widać z autostrady. Podniósł Mokiego razem z zakrwawionym płótnem. Christy ruszyła za nim. Popatrzył na nią srogo.

- Ty nigdzie nie idziesz - powiedział zwięźle. - Dziewczyna z rejestracji jest największą plotkarą w okolicy.

Christy wróciła do samochodu i usiadła na miejscu obok kierowcy.

Piętnaście minut później Cain wyszedł z kliniki. Zatrzymał się na chwilę, by włożyć pożyczoną koszulę. Popołudniowy blask słońca rozświetlił sinoróżową bliznę na środku jego pleców i drugą podobną na klatce piersiowej.

Christy przeraził widok ran Caina w świetle dnia. Wciąż zadawała sobie pytanie, jak udało mu się przeżyć.

Jej towarzysz wyglądał na wyczerpanego i wściekłego jednocześnie. Gwałtownymi ruchami wcisnął koszulę w spodnie. Wsiadając do samochodu, zamasyżuje zatrzasnął drzwi.

- Co z Mokim? - zapytała od razu Christy.

- Mocno się wykrwawił - powiedział Cain.
 Popatrzył na Christy i zaraz odwrócił wzrok, jakby nie mógł znieść jej widoku.
 - Dopiero po pięciu minutach doktorowi Tuckerowi udało się znaleźć żyłę, w którą mógłby się wkluć - wyjaśnił ściszonego głosem.
 Christy także odwróciła wzrok. Nienawiść Caina sprawiała jej ból.
 - Ale żyje? - zapytała pospiesznie.
 Cain kiwnął tylko głową.
 - Czy Moki jest tak samo twardy jak jego pan? - szepnęła Christy.
 Cain spojrzał na nią zaskoczony. Dziewczyna wyglądała przez okno.
 - Twardszy - odparł.
 - A więc wyjdzie z tego. Tobie się udało, prawda?
 - Powiedzmy, jeśli nie brać pod uwagę tego, że boska Jo-Jo wkrótce pewnie wpędzi mnie do grobu.
 Cain przekręcił kluczyk w stacyjce i zaczął cofać.
 - Muszę wykonać parę telefonów - powtórzyła Christy.
 - W jakim celu?
 - Żeby znaleźć Jo-Jo.
 - Po co?
 - Na litość boską, Cain! Ona jest moją siostrą i ma teraz kłopoty.
 - Ty też masz kłopoty.
 Christy wzruszyła niecierpliwie ramionami.
 - Kiedy ją ostatnio widziałaś? - zapytał po chwili Cain.
 - Kilka lat temu.
 - Kiedy? - powtórzył zirytowany.
 - Dziesięć, nie... dwanaście lat temu. A może trzynaście?
 Odwróciła się do Caina i machnęła energicznie dłonią umazaną krwią Mokiego.
 - Nie pamiętam - powiedziała. - Co to, do diabła, za różnica? Ona jest moją siostrą.
 Cain rzucił dziewczynie krótkie spojrzenie i z powrotem skoncentrował się na drodze.
 - Młodsza siostrą - stwierdził raczej niż zapytał.
 - Tak - potwierdziła Christy.
 Westchnął i potrząsnął głową.
 - Lepiej wracaj do Nowego Jorku, Ruda - odezwał się w końcu. - Jo-Jo nawarzyła więcej piwa niż jej starsza siostra da radę wypić.
 Christy wyglądała bez słowa przez okno. Na próżno usiłowała zdławić strach, który ścisnął jej gardło.
 - Słyszałaś chyba, co powiedział Johnny? - zapytał Cain.
 - Johnny mówił wiele różnych rzeczy.
 - Jo-Jo zrobiła coś Huttonowi.
 - Jo-Jo zrobiła coś wielu ludziom - odparła z trudem Christy.
 - Hutton może sobie wyglądać jak pieprzony anioł, ale tak naprawdę żaden z niego przyjemniaczek.
 Christy przypomniała sobie demony na obrazach wiszących w jego korytarzu
 - Wiem - szepnęła.
 - Jedź do domu, Ruda. Niech twoja siostra sama po sobie posprząta.
 - Nie jest w tym zbyt dobra - odparła cicho dziewczyna. - Poza tym prosiła mnie o pomoc. Potrzebuje mnie.
 - Raczej chce cię wykorzystać. A to duża różnica - sprostował Cain.
 Nagła zmiana jego tonu sprawiła, że Christy nareszcie mogła się nieco rozluźnić.
 - W takim razie chyba nie wierzysz, że jestem współniczką Jo-Jo, w... cokolwiek to jest? - zapytała.
 Cain westchnął i zaraz zaklął.
 - Jestem pewien, że Jo-Jo nie usiadłaby z tyłu - powiedział - by chronić krwawiącego psa przed wstrząsami, pochlipując przy tym z cicha. Gównu by ją to obchodziło.
 W głosie Caina nadal słychać było pogardę, kiedy mówił o Jo-Jo. Christy przymknęła oczy i zacisnęła pięści, wbijając paznokcie w dłonie.
 - Nie możesz być tego pewien - zaprotestowała.
 - Nie mogę? Nie widziałas jej od dziesięciu czy dwunastu lat. Ja widziałem i Johnny też.
 - Wy jesteście mężczyznami.
 - Jo-Jo nie przeszłaby nawet na drugą stronę ulicy, gdybyś wołała o pomoc - stwierdził chodno Cain.
 - Nie wierzę - szepnęła dziewczyna.

- Jezu, Ruda. Przejrzyj w końcu na oczy i zrozum, jaka naprawdę jest twoja siostra. Bo z pewnością nie taka, jak byś chciała!

- Mogłam do niej dotrzeć - powiedziała poważnie. - Mogłam do niej dotrzeć, kiedy nikt jej nie rozumiał. Zamiast tego wyjechałam wtedy na wschód...

Cain zacisnął dłonie na kierownicy tak mocno, że na jego kostkach pojawiły się białe plamy.

- Więc czujesz się winna, że ją porzuciłaś - stwierdził ponuro.

- Tak.

- I uważasz, że jesteś odpowiedzialna za to, kim się stała.

Christy zamknęła oczy. Spod jej ciemnych rzęs spływały łzy.

- Tak - odparła cicho.

- To największy stek bzdur, jaki kiedykolwiek słyszałem - oznajmił Cain, wybijając każde słowo. - Jo-Jo jest na tyle dorosła, by samodzielnie odpowiadać za to, kim jest i kim nie jest.

Christy nie odpowiedziała.

- Lepiej się stąd wynieś. Ruda. Wysiadaj, póki jeszcze możesz. Nie pozwól, żeby Jo pociągnęła cię za sobą w to bagno.

- Nie mogę się odwrócić od własnej siostry - odparła cierpko. - Tak jak ty nie zostawiłeś Mokiego, kiedy uciekałeś przed pociskami.

- Jezu - syknął Cain. - Mam cię wywalić na środku drogi?

- A potem co? Sam będziesz szukał Jo-Jo?

Lekkie drzenie powiek mężczyzny uświadomiło Christy, że tak właśnie zamierzał zrobić.

Christy nie chciała, żeby Cain znalazł jej siostrę. Za bardzo nienawidził Jo-Jo. Gdyby mieli ją odszukać, to tylko razem.

18

Co zamierzasz teraz zrobić? - zapytała Christy. Zanim odpowiedział, skręcił w boczną, bardziej zakurzoną drogę.

- Muszę się zobaczyć z przyjaciółką.

- Gdzie?

- W Remington.

- To może być niebezpieczne - ostrzegła Christy.

- Nie bardziej niż przebywanie w moim towarzystwie, kiedy Danner da rozkaz, żeby strzelać.

- Sama do tego doszłam, kiedy dokoła fruwały odłamki skał.

Cain roześmiał się mimowolnie.

- Niezły z ciebie numer, skarbie.

Christy popatrzyła na niego niepewnie.

- Tylko mi nie mów jaki - odparła. - Mam dość mocnych wrażeń jak na jeden dzień.

Mężczyzna mruknął coś pod nosem i potrząsnął głową.

- Co dalej, jak już spotkasz się z tą przyjaciółką? - zapytała Christy.

- Zacznę się rozglądać.

- Za Jo-Jo?

- Tak.

Cain skręcił w kolejną wiejską ścieżkę.

- Gdzie jej zaczniesz szukać?

- Coś wymyślę.

- Ja już wymyśliłam.

Cain nic nie odpowiedział.

- Nie chcesz wiedzieć, co wymyśliłam? - zapytała po chwili Christy.

- A ile mnie to będzie kosztowało?

- Będziemy działać razem, dopóki jej nie znajdziemy.

Cain spojrzał na nią ostro.

Wstrzymała oddech.

- Zdajesz sobie sprawę z tego, że Danner jest już w zasięgu fal radiowych? - zapytał.

Christy kiwnęła głową.

- Nie wiem, jak długo jeszcze uda mi się pozostać poza zasięgiem miejscowych stróżów prawa - ciągnął Cain. - W każdym razie albo będę musiał polować jak wilk, albo uciekać jak zając.

- Jakoś nie widzę cię w roli zajączka wielkanocnego.

- A ja nie mogę sobie wyobrazić, jak taka kobieta jak ty może być siostrą... - urwał nagle. - Bóg ma niezłe poczucie

humoru, skarbie.

Usta Christy wykrzywiły się w niezdecydowanym uśmiechu.

- Więc? - zapytała po chwili.

- Więc co?

- Umowa stoi? Dam ci wskazówki i razem poszukamy Jo-Jo.

- Wiesz, że finał tych poszukiwań może ci się nie spodobać.

- Chyba ... - Christy wzięła głęboki oddech - chyba jednak zaryzykuję.

Na twarzy Caina pojawił się chłodny uśmiech.

- Skąd wiesz, że możesz mi zaufać? Może wyciągnę z ciebie informacje, a potem wyrzucę gdzieś na poboczu? - zapytał.

- Lubię ryzykować.

- Cóż, Ruda, nie masz wyjścia - westchnął Cain i wyjrzał przez okno.

- Dobijamy targu? - spytała Christy, nie mogąc dłużej znieść ciszy.

Cain skinął głową.

Odetchnęła głęboko i pogrzebała w kieszeni dzinsów. Po chwili wyciągnęła klucz i uniosła go pod światło.

- Wiesz, co tym można otworzyć? - zapytała.

Cain spojrzał najpierw na klucz, potem na Christy i znów na drogę.

- Tak - odezwał się. - Chyba wiem. Skąd go masz?

- Znalazłam w pokoju Jo-Jo.

- Niemożliwe, żeby Hutton o nim nie wiedział. Znał każdą jej rzecz.

- Ale nie tę. Klucz był na dnie szuflady w jej garderobie.

- Skąd wiedziałaś, gdzie szukać?

- Ostatnie sześć lat pobytu w domu spędziłam na szukaniu różnych zakazanych owoców w pokoju Jo-Jo.

Cain zdjął rękę z kierownicy i wyciągnął ją po klucz. Christy nie chciała go oddać.

- Skoro mi nie ufasz, lepiej działaj na własną rękę - powiedział w końcu.

Niechętnie rozluźniła palce. Cain bez słowa sięgnął do zwisającego ze stacyjki breloczka. Zdjął jeden z kluczy i przyłożył go do klucza Jo-Jo.

Były niemal identyczne.

- Nie rozumiem - powiedziała Christy.

- Za długo siedziałaś w mieście.

- Dobra, masz rację, ale co to, do diabła, ma wspólnego z kluczami?

- Niektórzy ludzie na wsi wyjmują pocztę ze skrytek pocztowych otwieranych takimi właśnie kluczami.

- Chcesz powiedzieć, że nie dostarczają bezpośrednio poczty do Xanadu? - zapytała z niedowierzaniem Christy.

- Oczywiście, że dostarczają. To właśnie daje do myślenia. Czegóż to się spodziewała Jo-Jo, że aż chciała to ukryć przed Huttonem? odparł Cain i rzucił Christy klucz.

Parę minut później skręcił w wąską zakurzoną drogę biegnącą przez jakieś ranczo. Nieopodal wznosił się zniszczony wiatrem dom otoczony kilkoma potężnymi wiązami.

- Zaczekaj tu - odezwał się Cain.

Christy przyglądała mu się, kiedy szedł w stronę domu. Dotarł do drzwi i zapukał. Otworzyła mu kobieta w nieokreślonym wieku. Miała ciemnobrązowe włosy z lekkimi pasmami siwizny i szeroki, pogodny uśmiech. Właścicielka rancza głośno cmoknęła gościa w policzek, objęła go i wpuściła do środka.

Kilka minut później Cain pojawił się z naręczem ubrań i papierową torbą wypchaną jedzeniem. Podstawił torbę za przednim siedzeniem, położył ubrania na kolanach Christy i wsiadł do samochodu.

- Przebierz się w to po drodze - polecił.

- A ty?

- Postaram się nie wjechać z wrazenia w krzaki.

Christy nie potrafiła powstrzymać śmiechu.

- Chodziło mi - wyjaśniła spokojnie - o twoje ubranie.

- W tym miejscu facet w brudnych portkach nie budzi sensacji.

- Tam, skąd pochodzę, kobiety chodzą tak samo brudne jak mężczyźni.

- Ale nie noszą chyba jasnych markowych dzinsów?

- Masz rację.

- Rozbieraj się - rzucił krótko Cain. - Nie zobaczę niczego, czego bym już wcześniej nie widział.

- Akurat, możesz o tym tylko pomarzyć - odcięła się.

Mężczyzna zaśmiał się i zakrył ręką oczy od strony pasażera.

Christy ściągnęła brudne ciuchy i włożyła miękką, wyblakłą koszulę w szkocką kratę, którą zdobył dla niej Cain. Zrzuciła też buty i skarpetki, po czym pozbyła się brudnych dżinsów i wciągnęła niebieskie levisy, równie miękkie i spłowiałe jak koszula.

Wszystko to było trochę za luźne, leżało jednak całkiem dobrze. Christy przełożyła zawartość kieszeni do nowych spodni, włożyła skarpetki i buty i odwróciła się w stronę Caina.

- A jednak zobaczyłem coś nowego - odezwał się głosem niewiniątka.

- Co?

- Niezła bielizna, Ruda.

- Wypchaj się.

Cain odchylił głowę do tyłu i roześmiał się.

- Lubię się z tobą droczyć nawet bardziej niż z moją młodszą siostrą - powiedział.

Christy zignorowała tę uwagę. Wyjęła ze schowka swoją torebkę, którą schowała tam, zanim ruszyli w drogę.

Nie mogła się z nią teraz pokazywać. Torebka była mała, elegancka i zupełnie nie pasowała do wiejskich warunków. Dziewczyna wyjęła pieniądze, dowód osobisty i karty kredytowe i wsunęła je do kieszeni. Potem przejrzała pozostałe rzeczy przyniesione przez Caina. Chustka bandanka, kamizelka w serek i sprany, czerwony podkoszulek zamykały kolekcję.

- Komu powinnam za nie podziękować? - zapytała.

- Angie.

- To twoja przyjaciółka?

- Tak.

- Chyba naprawdę musi nią być, skoro pożyczca ciuchy innej twojej ..hmm, przyjaciółce.

Cain popatrzył na Christy spod oka.

- Angie jest taka jak wszyscy. Czasami bywa samotna, więc gotuje mi obiad i wysłuchuje moich nudnych wywodów o Anasazich.

Christy mruknęła coś niewyraźnie.

- Czasami ja rąbię jej drzewo na opał - ciągnął Cain - a ona prasuje moje koszule w zamian za douczanie jej starszego dzieciaka. Angie nigdy nie nauczyła się czytać książek, ale za to świetnie zna się na ludziach.

Policzki Christy oblały się rumieńcem.

- Wcale nie miałam na myśli... no wiesz.

- Pewnie, że miałam. Więc ci mówię. Angie jest przyjaciółką, a taką znacznie trudniej znaleźć niż dupę do łóżka.

Cisza, która zapadła po tych słowach, panowała aż do momentu, gdy Cain wjechał do Remington jedną z piaszczystych drózek przecinających dolinę. Trzymał się z dala od głównej ulicy, jechał przez miasto nie oznakowanymi bocznymi drogami. Zatrzymał się w alejce półtorej przecznicy od rynku.

Przez lukę między dwoma biurkami Christy ujrzała drugie piętro gmachu sądu okręgowego i tyły kilku innych budynków przy centralnym placu miasta. Na jednym z nich powiewała amerykańska flaga, unoszona delikatnym podmuchem popołudniowego wiatru.

- To poczta - powiedział Cain wskazując flagę. - Musisz tylko wykombinować, która skrytka należy do Jo-Jo.

- Nie było numeru na...oczywiście, że nie. Zauważyłabym go. Cholera. Ile jest tych skrytek?

- Około setki.

Christy obejrzała klucz z obu stron, na próżno wypatrując numeru.

- Boże, setka.. - potrząsnęła głową.

- Zaczynij od końca numeracji - poradził Cain.

- Kryje się za tym jakiś konkretny powód?

- Skrytki z niższymi numerami od lat należą do tych samych rodzin.

- No tak, to ma sens. Ale czy ludzie nie nabiorą podejrzeń, jeśli spędzę dziesięć czy piętnaście minut, próbując otworzyć skrytkę?

- Byliby znacznie bardziej podejrzliwi, gdybym ja się do tego zabrał. Mam tę samą skrytkę od dziesięciu lat. Większość ludzi w tym mieście wie o tym. No i znają mnie tu.

- Tutaj chyba wszyscy wszystkich znają. Dlatego ja na pewno będę rzucać się w oczy.

- Wielu letników i pracowników sezonowych wynajmuje te skrytki. W ogóle na jesieni jest duży ruch ludności.

Christy wyglądała na niezdecydowaną.

Cain wyciągnął rękę w stronę klucza.

- Nie - zaprotestowała odsuwając dłoń - Na pewno ktoś by cię zauważył, Cain. Wszystkie kobiety w mieście oglądają się za tobą.

Cain spojrział na nią dziwnie.

- To szczerza prawda - bąknęła pod nosem. - Chodzi pewnie o to, jak się nosisz. - Sięgnęła po klamkę. - Ten twój cholerny arogancki chód...

Urwała w pół słowa i krzyknęła zaskoczona, kiedy Cain wciągnął ją z powrotem na siedzenie.

- Zapomniałaś o czymś - powiedział.

- O czym?

Długie palce Caina wśliznęły się we włosy dziewczyny.

- O nich. Płomiennie rudych i cholernie pięknych.

- Mówisz o moich włosach? - spytała Christy.

- Tak, o twoich włosach. Wyglądają jak ogień, a w dotyku są chłodne i delikatne jak jedwab. Jeśli ich nie zakryjesz i nie wyjdiesz szybko z ciężarówki, to cię pocałuję, a wtedy żadne z nas nie da rady wstać. A to nie byłoby zbyt rozsądne, prawda?

- Ale... ja nie mam żadnej czapki - szepnęła Christy.

Nadal patrząc jej w oczy, Cain wyciągnął z pożyczonych ubrań apaszkę. Złożył ją w trójkąt, owinął włosy dziewczyny i zawiązał z tyłu głowy. Delikatny dotyk długich palców na wrażliwym karku Christy sprawił, że zadrżała z emocji.

- Lepiej leć już, skarbie. No, szybko.

Christy znalazła na oślep klamkę, otworzyła drzwi i wysiadła.

- Jak skończysz, spotkamy się tam. - Cain wskazał na tylne wyjście pobliskiego budynku.

Christy przeczytała napis na szyldzie: „Gospoda Pod Kroplą Rosy”

- Postaraj się, żeby nie zabrało ci to zbyt wiele czasu. Ja muszę jeszcze wrzucić samochód gdzieś do rowu. Szukaj mnie z tyłu - powiedział Cain.

Dała mu znak, że zrozumiała, i ruszyła pospiesznie aleją w stronę uliczki, na której znajdowała się poczta. W mieście panował teraz znacznie większy ruch niż poprzedniego dnia. Parking przed supermarketem był zapchany po brzegi. Jacyś podróżni wysiadali właśnie z autobusu linii Greyhound. W cieniu olbrzymiego drzewa biwakowała grupa rowerzystów.

Ani miejscowi, ani turyści nie zwracali na Christy najmniejszej uwagi. Po części było to zasługą jej ubioru. Kobieta w starych dzinsach, koszuli w kratę i bandanie nie rzuciła się w oczy w takim miejscu jak Remington.

Christy zauważyła, że sama czuje się dość naturalnie. Doskonale знаła rytm życia małego miasta. Wiedziała, jak zareagować na przelotne spojrzenie kowboja i jego żony, aby przekonać ich, że jest tu nowa, ale nie obca.

W holu poczty wyczuwało się ostry zapach tytoniu do fajki. Ktoś złamał zakaz i palił w miejscu, gdzie sortuje się listy. Klientką przy okienku była Indianka o ostrych rysach i pięknych, opadających na plecy czarnych warkoczach.

Nikt nie spojrzał na Christy.

Przeszła za róg, do mniejszego pomieszczenia, w którym znajdowały się skrytki, i w duchu przyznała Cainowi rację. Miała przed sobą co najmniej setkę małych schowków. Sala była całkiem pusta. Na podłodze wały się porzucane listy.

Christy zabrała się do pracy, rozpoczynając od skrzynki z numerem setnym. Klucz z łatwością wsunął się w zamek, nie dawał się jednak przekręcić. Podobnie było z numerem dziewięćdziesiąt dziewięć i dziewięćdziesiąt osiem.

Klucz zgrzytał lekko za każdym razem, kiedy dziewczyna próbowała z nową skrytką. Wydawało jej się, że ten odgłos brzmiał jak dowód przestępstwa, choć nikt poza nią najwyraźniej nie zwracał na to uwagi.

Christy zdążyła sprawdzić jeszcze trzy skrytki, kiedy usłyszała odgłos kroków. Zastaniając numer ciałem, tak by nikt nie mógł go zobaczyć, spróbowała otworzyć kolejną skrytkę.

Bez skutku.

Prostując się, minęła brzuchatego mężczyznę, który szedł do swojej skrytki.

Po drugiej stronie pomieszczenia wisiał telefon. Wyjęła drobne z kieszeni i udała się w jego stronę. Najpierw zadzwoniła do hotelu.

- Mówi Christy McKenna. Czy są dla mnie jakieś wiadomości?

Krótki wdech i chwila ciszy w słuchawce utwierdziły ją w przekonaniu, że dobrze zrobiła, nie wracając do hotelu po swoje rzeczy.

- Eee... gdzie pani jest, pani McKenna?

- W Pocatello - skłamała gładko. - Jakies wiadomości?

- Pan Hutton chciałby się pilnie z panią widzieć.

- Jak to miło. Coś jeszcze?

- Eee...

Christy odłożyła słuchawkę. Po chwili wahania wyjęła kartę telefoniczną i wykręciła numer do Nowego Jorku.

- „Horyzont”, słucham?

- Cześć, Amy - powiedziała Christy. - Widzę, że pracujesz po godzinach.

- Tak jak Myra. Dobrze, że się odezwałeś. Szefowa obgryza ściany. Peter Hutton chce się z tobą spotkać, i to jak najszybciej.

- Słyszałam. Jeszcze jakieś wiadomości?

- Zapytaj swojego chłopaka, Nicka.

- Nicka? Dlaczego?

- Myra kazała mi dawać jego numer telefonu wszystkim, którzy do ciebie dzwonią.

Christy ogarnęła złość.

- Ach tak.

- Co mam powiedzieć Myrze? - zapytała Amy.

- Cokolwiek. Możliwości są nieograniczone.

- Co takiego?

- Chyba psuje się połączenie - odparła Christy. - Słabo cię słyszę. Oddzwonię.

Rozłączyła się i wykręciła numer do biura Nicka.

- Cześć, Nick. Słyszałam, że zostałeś moją osobistą sekretarką.

- Christy! Gdzie jesteś?

- Ostatnio bardzo często słyszę to pytanie. Czy ktoś oprócz Huttona i Myry pytał o mnie?

- Ted Autry.

- On jest od Huttona.

- Aha, jeszcze ktoś, kto twierdził, że jest szeryfem albo kimś w tym rodzaju. Dostał mój numer od Myry. Na miłość boską, co się do diabła dzieje?

- Zdaje się, że autorytet Myry zawiódł - odparła wymijająco. - Ktoś jeszcze mnie szuka?

- Ja - powiedział Nick. - Myślisz o mnie?

Christy zamarła.

- Co powiedziałaś?

- Kochanie, pytam, czy myślałaś o mnie ostatnio. Bo ja myślałem o tobie cały czas.

- O Boże, to byłeś ty, nie Jo-Jo!

- Co?

- Zostawiłeś mi wiadomość w hotelu?

- Oczywiście.

Christy oparła się o telefon, próbując zwalczyć strach na samą myśl o słowach Johnny'ego.

„Ludzie umierają i będą umierać”.

- Więc jak, Christy?

- Co? - szepnęła nieprzytomnie.

- Myślisz o mnie? - dopytywał się niecierpliwie.

- W tej chwili myślę o Jo-Jo.

- Jo-Jo? O twojej siostrze?

- Tak. Dzwoniła może do ciebie?

- Nie. Kiedy ją poznam?

Christy skrzywiła się.

- Jeżeli się zdarzy, że będziemy we trójkę w tym samym pokoju, dopilnuję, żeby została ci przedstawiona.

- Bomba!

- Nie ekscytuj się tak. Nie sądzę, żebym jeszcze kiedyś chciała przebywać w jednym pomieszczeniu z tobą.

- Co?

- To koniec, Nick - oznajmiła znudzona. - Do widzenia, adiós, ciao, dziecino. Znikam. Jesteś wolny. Przeszliśmy do historii.

- O czym ty mówisz?

- Nie każ mi tego powtarzać.

- Czy to ma coś wspólnego z człowiekiem o nazwisku Cain? - zapytał ostro Nick.

- Skąd ... - Christy urwała w pół słowa.

- To o niego chodzi, prawda? - naciskał Nick

- Nie. Chodzi o to, że ty i ja nie...

Nick zignorował jej odpowiedź.

- Autry ostrzegał mnie przed tym Cainem. Uważa, że niezły z niego pies na panienki - powiedział z goryczą. - Zwłaszcza na te z Nowego Jorku, które szukają pamiętek po Dzikim Zachodzie.

Christy nic nie odpowiedziała.

- Christy?

- Przeważnie jesteś fajnym facetem, Nick. Znajdź sobie panienkę, która przeważnie będzie cię kochać.

- Christy, nie...

Odwiesiła słuchawkę, zanim Nick zdążył dokończyć. Przez dłuższą chwilę wpatrywała się tępo w telefon. Wreszcie się wyprostowała i ruszyła w stronę skrytek, które zdawały śmiać się jej prosto w twarz.

Nikt nie wybierał poczty ani się nie gapił. Christy spróbowała otworzyć jeszcze tuzin skrzynek, przekręcając kluczyk najciszej, jak się dało, by nie wzbudzić podejrzeń urzędników, którzy segregowali listy po drugiej stronie ściany.

Do pomieszczenia weszły dwie kobiety z zaróżowionymi od wiatru policzkami. Były ubrane podobnie jak Christy i rozmawiały z ożywieniem. Kiedy jedna z nich otwierała skrytkę, druga spojrzała badawczo na dziewczynę, jak zwykle kobieta przypatruje się innej kobiecie.

Christy poczuła się niezręcznie. Opuściła pomieszczenie, przeszła na drugą stronę ulicy do sklepu z artykułami metalowymi i udawała, że ogląda wystawę, chociaż tak naprawdę obserwowała wejście poczty.

Minutę później kobiety wyszły, wsiadły do półciężarówki i odjechały. Christy ponownie spojrzała na przeciwną stronę ulicy. Nagle zauważyła znajomą ciężarówkę zaparkowaną przed budynkiem sądu na miejscu zarezerwowanym dla szeryfa.

Danner wysiadł zza kółka i poszedł w kierunku swojego biura. Po chwili dołączył do niego mężczyzna w garniturze pasującym raczej do faceta z Wilshire Boulevard albo Madison Avenue niż do mieszkańca Remington.

Z początku Christy nie rozpoznała Autry'ego, który najwyraźniej zrzucił z siebie kostium kowboja razem z sosem barbecue. Teraz wyglądał na tego, kim naprawdę był, czyli wysoko opłacanego prywatnego glinę.

Christy zwalczyła nieodpartą pokusę ucieczki. Danner mógł jej nie zauważyć tam na górze, ale Autry ścigał ją na polecenie swojego szefa. Przyglądając się obu mężczyznom, Christy podejrzewała, że jedyną różnicę między nimi stanowiło to, że Danner został wybrany przez mieszkańców miasteczka.

Christy odwróciła twarz, upewniła się, czy chustka zakrywa dokładnie jej rude włosy, po czym przebiegła na drugą stronę ulicy. Kiedy dotarła do chodnika przed pocztą i już miała wejść do holu, obok ciężarówki Danner zaparkował patrol policyjny z kogutem i znakami policji stanowej.

Z bezpiecznej odległości Christy obserwowała policjanta drogówki, który wysiadł i dołączył do dwóch mężczyzn. Danner od razu zaczął coś mówić z dramatyczną gestykulacją. Wskazał na wzgórze, gdzie wznosiły się Siostry, i zrobił falujący ruch ramieniem.

Christy nie miała wątpliwości, że szeryf opisuje śmierć Johnny'ego Dziesięć Kapeluszy i oczywiście wkład Caina w tę tragedię.

Umundurowany policjant podszedł do samochodu i wyjął mikrofon krótkofalówki, żeby się połączyć z komendą.

Boże, pomyślała Christy. Słowo dotrze tam z prędkością światła. Musimy się stąd zmywać. Ale najpierw muszę znaleźć ten przeklęty zamek pasujący do klucza Jo-Jo.

Hol był znowu pusty. Christy zabrała się ze wściekłą energią do rozpracowywania skrytek. Nie zważając na nic, próbowała zamek po zamku.

Kiedy młoda matka z wózkiem przysła odebrać swoją pocztę, Christy podniosła wzrok i uśmiechnęła się.

- Zapomniałam zakichanego numeru - powiedziała przeciągle.

Kobieta uśmiechnęła się ze współczuciem.

- Może pani opuścić siedemdziesiąt dziewięć. Jest mój.

- Dziękuję.

Christy znowu zaczęła wciskać klucz w kolejne dziurki, próbując go przekręcić.

Klucz przekręcił się w zamku skrytki numer siedemdziesiąt trzy.

19

Skrytka była tak pełna, że Christy musiała się niezle napocić, żeby wyciągnąć z niej gruby plik listów, spiętych dwiema solidnymi gumkami.

- Nieczęsto odwiedzasz to miejsce, co, Jo-Jo? - mruknęła do siebie ponuro. Nie wątpiła, że jej siostra potrafiłaby przemknąć do skrytki niezauważona, udając turystkę. W końcu wychowała się w małym zachodnim miasteczku. Christy wiedziała jednak, że Jo-Jo wyjątkowo nie lubi pozostawać nie rozpoznana.

No dobrze, zobaczmy, co też tak bardzo chciałaś ukryć przed światem w tej skrytce? - zastanowiła się Christy.

Pierwszy ze stosu listów zaadresowany był do Christy Jody McKinley.

Wielkie dzięki, Jo-Jo. Jak to miło, że o mnie pomyślałaś.

Nazwisko McKinley, tak jak imię Jo, było w połowie prawdziwe, w połowie zmyślone.

W pewnej chwili Christy usłyszała kroki zbliżające się z głównego holu. Szybko wcisnęła listy pod pachę, zamknęła skrytkę i przekręciła klucz. Nikt nie poświęcił jej większej uwagi, kiedy wychodziła z budynku i przechodziła na

drugą stronę ulicy do wejścia „Gospody Pod Kroplą Rosy”. Z szafy grającej dobiegał głos Merle Haggard. Nie zważając na drażniące ucho dźwięki, Christy weszła do środka i przebiegła wzrokiem wzdłuż baru w poszukiwaniu Caina. Różne szmerane typy odwzajemniły jej spojrzenie z typowo męskim zainteresowaniem w oku. Luźna koszula nie wystarczyła, żeby zakryć kobiece kształty Christy.

Poniewczasie przypomniała sobie, że Cain ma czekać na nią w tylnej części lokalu i ruszyła przed siebie.

- Hej, złotko, szukasz kogoś? - zadał jej pytanie kowboj w zsuniętym na tył głowy kapeluszu, spod którego wystawała gęsta czupryna koloru słomy. Facet był na swój sposób przystojny i doskonale o tym wiedział. W rękę trzymał na wpół opróżniony kufel pilsnera. Na barze stały już trzy puste. Towarzysz blondyna był niezłe wstawiony.

Christy rzuciła przystojniakowi krótkie spojrzenie. Wydawało jej się, że jest w nim coś znajomego. Przyjrzała się też koleżce kowboja. Obaj przypominali jej o przeszłości i mężczyznach, którzy patrzyli na kobiety jak na inwentarz, o którym się dyskutuje, czasami zachwala i często wykorzystuje. Kiedyś podobne spojrzenia i uwagi wprawiały ją w gniew, bo podejrzewała, że mężczyźni mogą mieć rację. Teraz wiedziała już, że się mylą.

Odwzajemniła pełne uznania spojrzenie kowboja i uśmiechnęła się z rozbawieniem.

- Spóźniłeś się - rzuciła od niechcenia. - Już znalazłam.

Na twarzy mężczyzny pojawił się uśmiech szczerego uznania.

- Gdybyś zmieniła zdanie, wiesz, gdzie mnie szukać - odezwał się.

- Założę się, że twoja żona też to wie oparła Christy.

Towarzysze przystojniaka i on sam gwizdnęli pełni podziwu. Nikt więcej nie zaczepiał Christy, kiedy się przeciskała do tylnych stolików. Kiedy podeszła do Caina, spojrzał na nią znad kufła piwa. Zimny, badawczy blask jego oczu zdawał się przenikać na wskroś jak laser. Christy przyjrzała się z niepokojem mężczyźnie siedzącemu obok. Nieznajomy był tego samego wzrostu co Cain, ale z pewnością nie osłabił go postrzał i długotrwała rehabilitacja. Spojrzał na Christy i uśmiechnął się zachęcająco, ale bez podtekstów.

- To twoja znajoma? - zapytał.

Cain potwierdził skinieniem.

Jego kompan wstał, zdjął kapelusz i zaczął, aż zostanie przedstawiony. Na koszuli błysnęła pięcioramienna gwiazda.

Christy, lekko zdezorientowana, spoglądała to na odznakę stróża porządku, to na Caina. Przez chwilę poczuła się jak w pułapce, zupełnie jakby znowu znaleźli się w jaskini.

- Christy McKenna, a to Larry Moore - powiedział w końcu Cain. - Jest policjantem w Remington i bratem właściciela rancza w pobliżu Sióstr.

Christy dała Cainowi spojrzeniem do zrozumienia, że najwyraźniej postradał zmysły. Mężczyzna uśmiechnął się, odgadywając jej myśli.

Moore zerwał z głowy kapelusz i uklonił się zamaszyście. Miał ogorzałą skórę i pięknie utrzymane długie wąsy. Poruszał się z zadziwiającym wdziękiem jak na faceta o tak solidnej posturze. Brzuszek prawie wylewał mu się na spodnie.

- Bardzo miło panią poznać - powiedział. - Cain jest wyjątkowo ostrożny, jeśli chodzi o dobór przyjaciół.

Christy uciekła wzrokiem od Caina, przełknęła ślinę i powiedziała:

- Cała przyjemność po mojej stronie, panie Moore.

- Larry - sprostował gładko.

- Larry - powtórzyła dziewczyna i rozejrzała się niepewnie dokoła. Większość stolików była pusta, ale i tak pozostało jeszcze kilka osób, które mogłyby podsłuchać coś z ich rozmowy.

Cain zrobił jej miejsce obok siebie.

- Siadaj - powiedział. - Nawet w ciuchach Angie stawiasz tu wszystkich mężczyzn na bacność.

- Akurat - wymamrotała speszona.

- Uwierzyłabyś, gdybym powiedział, że większość, a nie wszystkich? - szepnęła, kiedy wsuwała się na ławkę obok niego.

- Prędzej uwierzę, że przeholowałaś z tequilą.

Cain w milczeniu wskazał nie dopity kufel piwa. Kiedy Christy usiadła, schował jej pod chustkę jeden z niesfornych rudych loków. Zarówno gest, jak i uśmiech były dziwnie poufale.

Rewolwer Moore'a huknął o stół, kiedy policjant sadził się po drugiej stronie stołu.

- No i? - zwrócił się Cain do Christy.

Popatrzyła na niego zdezorientowana.

- Co ze skrytką? - dodał.

- Zająłem się nią.

- Co w niej...

- Nie ma mowy - przerwała mu. - Teraz moja kolej. Mogę z tobą zamienić dwa słowa na osobności? - Nie było to pytanie, ale żądanie.

- Larry to przyjaciel - zapewnił Cain.

- To miło.

Christy spojrzała na odznakę Moore'a. Stróż prawa uśmiechnął się do niej.

- Nie musi się pani mną martwić - odezwał się. - Jestem po stronie Caina.

- A mnie raczej wygląda na to, że jest pan po stronie szeryfa - odparła chłodno.

- Prędzej pobratałbym się z hieną - zaprotestował Larry. - Dla jego wysokości szeryfa jestem tylko nędznym darmozjadem, którego należałoby zwolnić.

- Danner próbował wkupić się w łaski rady miejskiej, żeby przejąć patrol w Remington - wyjaśnił Cain.

- Na szczęście miałem wystarczającą liczbę głosów, żeby ostudzić na razie Jego zapal - dodał Moore. - Inaczej byłbym bezrobotnym obibokiem jak Cain.

- Już nim jesteś - odgryzł się przyjaciel. - Gdyby nie zbłąkane koty, które trzeba ściągać z drzew, albo goście zatraskający kluczyki w samochodach, w ogóle nie miałbyś co robić.

- Dlatego właśnie rada miejska przyjęła ofertę Danner'a - stwierdził policjant - Nie mogli sobie jakoś wyobrazić, że trzeba płacić ludziom za takie rzeczy, jakie ja robię.

Christy spoglądała na obu mężczyzn z niedowierzaniem. Mimo gwiazdy lśniącej na piersi Moore'a i nieciekawej przeszłości Caina łączyła ich najwyraźniej szczerą przyjaźń.

- Nie przejmuj się - powiedział Cain. - Jeśli o mnie chodzi, Larry jest jedynym uczciwym stróżem prawa w całym południowo-zachodnim Kolorado.

Twarz Moore'a rozjaśniła się, gdy usłyszał komplement.

- Właśnie. Jestem też najgorzej opłacanym stróżem porządku w Kolorado. Zdaje się, że jedno z drugim ma bezpośredni związek.

Cain spojrzał na Christy.

- No dalej, wal śmiało, skarbie.

- Mam nadzieję, że wiesz, co robisz.

- Wiem.

- Strasznie mi ulżyło - powiedziała kwaśno Christy - zwłaszcza, że Danner stoi przed pocztą i gawędzi sobie ze stanowym policjantem Kolorado.

- O, w mordę - syknął Cain.

- Jest z nim ten najemny glina Autry? - zapytał Moore. Ściągnął wargi, jakby miał ochotę splunąć.

- Owszem, jest. Podjechali razem, kiedy stałam przed pocztą. Ten policjant dołączył chwilę potem. Myślę, że szeryf przedstawił mu pełny raport o...

Urwała w pół zdania i zerknęła na Caina.

- Powiedziałem mu o Johnnym - uspokoił ją.

Christy znowu dostrzegła w jego oczach świadomość, że zabił człowieka. Chwyciła go za rękę i powiedziała zapalczywie:

- To nie była twoja wina.

- Co z tego, kiedy facet nie żyje - odparł ponuro Cain. - Co zrobił ten stanowy?

- Połączył się z kimś przez radio.

Mężczyźni wymienili spojrzenia.

- To wam znacznie ograniczy swobodę ruchu - stwierdził Moore. - Podniosą alarm we wszystkich czterech stanach. Za godzinę będziecie cholernie gorącym towarem.

- Masz tu wynajęty samochód? - zwrócił się Cain do Christy.

- Tak, ale Autry i Danner mnie też ścigają. Dzwonili do redakcji w Nowym Jorku i do mojego byłego chłopaka.

Cain rzucił Christy ostre spojrzenie.

- Byłego?

- Byłego - powiedziała.

- Wiedzą, że jesteś ze mną?

- Autry coś podejrzewa. Ostrzegał Nicka, jaki to z ciebie pies na kobiety, a zwłaszcza na panienki z Nowego Jorku, które chcą sobie przywieźć pamiątkę z Dzikiego Zachodu.

Moore parsknął śmiechem i potrząsnął głową, ale zaraz spoważniał.

- Jeśli coś podejrzewają - odezwał się - wyślą ogon za samochodem Christy.

- Cudownie - powiedział z przekąsem Cain.

- Nie ujedziecie nawet dwustu kilometrów, kiedy was przygwoźdzą - ciągnął policjant. - Nie ma mowy, żebyście

dotarli do Albuquerque.

- Dlaczego do Albuquerque? - zapytała Christy.
- Larry dał mi namiar na śledczego z Biura Zarządu Gruntów.

Dziewczyna zmarszczyła brwi.

- Po co?

- Być może, facet będzie umiał wytłumaczyć, do czego Johnny'emu była potrzebna ziemia z grobowca.

- A na co nam się przyda ta wiedza?

- Przekonamy się na miejscu. - Cain popukał palcem w pakiet listów pod pachą Christy. - Masz tam coś, czym chciałabyś się z nami podzielić. Ruda?

Położyła paczkę na stole.

- Nie wiem. Nie spodziewasz się chyba, że stałam na środku poczty i czytałam cudzą korespondencję.

- Tutaj też jej lepiej nie czytajcie - poradził rzeczowo Moore. - Macie co prawda w Remington wielu przyjaciół, ale Hutton ma znacznie więcej pieniędzy.

- Właśnie. - Cain przyjrzał się listom, zgarnął je i odwrócił się do Christy. - Nie możesz zostać ze mną. To zbyt niebezpieczne - powiedział.

- Bzdura.

- Larry dopilnuje, żebyś trafiła w bezpieczne miejsce.

- Nie.

- Wiesz, że mógłbym poprosić posterunkowego Moore'a, żeby cię na chwilę przymknął - ostrzegł Cain.

- Dla mojego własnego dobra, oczywiście? - zapytała słodko Christy.

- Oczywiście.

- Nie. Nie dla mojego dobra, tylko dla twojej wygody. Po prostu chcesz dopaść Jo-Jo bez świadków.

Cain zdrętwiał, kiedy uświadomił sobie, czego Christy się obawia.

- Naprawdę sądzisz, że mógłbym zrobić jej coś złego? - zapytał wściekły.

- Nie wiem. Wiem tylko, jak o niej mówisz.

Moore westchnął głęboko i pociągnął łyk piwa z kufła Caina.

- Zupełnie bez gazu - stwierdził.

- Jasna cholera - warknął Cain.

- Smakuje raczej jak szczyny.

Cain rzucił Larry'emu zde gustowane spojrzenie i wy dostał się z za stołu, pociągając za sobą Christy.

- Jo-Jo nie zasługuje na taką siostrę - rzucił wściekle. - Idziemy.

- Zaraz, chwila - zatrzymał go Moore. - Coś się tak nastroszył? Co z samochodem?

- Wynajmiemy coś w Durango - wyjaśnił Cain. - Zyskamy w ten sposób kilka godzin.

Moore wygrzebał z kieszeni spłowiałych dzinsów kluczyki i rzucił je w stronę przyjaciela.

- Weź moją półciężarówkę - zaproponował.

- Ale...

Larry zignorował protest Caina.

- W pudle z tyłu jest sprzęt biwakowy i trochę ciuchów. Sharon jest co prawda niższa niż Christy, ale za to trochę szersza. Może to jakoś wyrówna różnicę. Gdzie zostawiłeś swój samochód?

- Z tyłu na zewnątrz - odparła Christy, bo Cain się nie odezwał.

- Zajmę się nim - obiecał Moore.

- Cholera, Larry, nie możesz... - zaczął Cain.

- Nie chrań. Oczywiście, że mogę. Nie po to wynosiłem cię na plecach spod Sióstr, żeby pozwolić ci teraz wpaść w łapy Dannera i jego koleśków. Zabieraj stąd swój uparty tyłek, zanim naprawdę mnie wkurzysz.

Cain zawahał się, ale w końcu zmiękł.

- Jestem twoim dłużnikiem.

- Pewnie, że jesteś.

Wyraz twarzy Larry'ego zlagodniał, kiedy policjant odwrócił się w stronę Christy.

- Miło było cię poznać - odezwał się. - Lubię kobiety z ikrą.

Dziewczyna uśmiechnęła się.

- Bądźcie ostrożni - dodał Moore.

Cain chwycił Christy za ramię i wyprowadził ją z gospody. Nie odezwał się, dopóki nie wsiedli bezpiecznie do półciężarówki Moore'a i nie znaleźli się na drodze wyjazdowej z miasta.

- Dobra, Ruda. Dawaj. Co tam znalazłaś w puszcze Pandory?

Christy zdjęła gumki i zaczęła sortować koperty.

- W większości listy - oznajmiła.
- Koperty zaklejone? - zapytał Cain.
- Na razie wszystkie są otwarte.
- Od kogo?
- Nie ma nazwiska nadawcy - odparła Christy - ale wszystkie adresy są pisane jednym charakterem pisma.
- Przeczytaj któryś z listów.
- Wolałabym nie.
- Do diabła, skarbie, ja też wolałabym siedzieć sobie teraz w domu i moczyć się w gorącym źródle z tobą na kolanach.

Niestety, nie mam wyboru.

Christy spojrzała na Caina z ukosa. Przypomniała sobie, jak w gospodzie wsunął jej włosy pod chustkę, pieszczotliwie dotykając karku.

Wyciągnęła z koperty list z najświeższą datą, napisany na zwykłej kartce z notatnika.

- Czytaj na głos - polecił Cain.

Zacząła odczytywać głośno treść, nie zwracając uwagi na znaczenie słów.

„Hej, dziecino. Jak tam moja mała puszysta brzoskwinka?” - zaczęła.

Cain parsknął śmiechem.

Christy nagle spurpurowiała, ale zawtórowała mu.

- Musieli być dobrymi przyjaciółmi, nie uważasz?

Nie odpowiedziała.

- Czytaj dalej.

- Przeczytam na pewno.

- Ale na głos.

- Nie.

- Tchórz! - zadrwił Cain.

Christy pokazała mu język.

- Gdzie się podziały twoje skrzydła? - zapytał.

- Roztopiły się. - Christy wzięła głęboki oddech. - Czy „puszysta brzoskwinka” znaczy to, co myślę, że znaczy?

- A co myślisz? - spytał niewinnie Cain.

Spojrzała na niego spode łba.

- Tak - ustąpił wreszcie. - To znaczy cipka.

- Dzięki.

- Do usług. Polecam się na przyszłość.

Christy pospiesznie przebiegła wzrokiem list. Jej oczy zrobiły się wielkie jak spodki.

- Matko Boska - wymamrotała pod nosem.

- Potrzebujesz tłumacza? - zaoferował się Cain.

- Może i potrzebuję, ale nie chcę. - Skrzywiła się i złożyła list z powrotem.

Zanim zdążyła go odłożyć, Cain wyrwał jej kartkę z rąk, rozłożył na kierownicy i przebiegł wzrokiem tekst z szybkością człowieka wprawionego w czytaniu grubych podręczników.

Brwi uniosły mu się do połowy czoła.

- Znalazłeś jakieś nowe słowo? - zapytała z kamienną twarzą Christy.

- „Mała czarna” to stare słowo.

- Znaczy to samo co brzoskwinka, tak?

- Owszem.

- Ten facet...

- Jay - podpowiedział Cain zerkając na podpis.

- ...myśli tylko o jednym - dokończyła Christy.

- Właśnie. Jakby tu je związać, ujeździć i zostawić wilgotne.

Nie potrafiła się powstrzymać i parsknęła śmiechem.

- A więc to listy miłosne Jo trzymała pod kluczem. Też mi tajemnica. Znalazłaś może coś ciekawszego?

Christy posegregowała korespondencję, układając ją na kupki. Największy stosik uformowały listy Jaya.

- Głównie Jay? - zapytał Cain spoglądając w bok.

- Na to wygląda. Według dat na stemplach, pisał przez dziewięć miesięcy.

- A więc nie był to tylko jednorazowy numerik.

- Jeśli przyjąć, że pierwszy list był próbką ich możliwości - odezwała się z roztargnieniem Christy - to chyba nie robili tego tylko na stojąco. Poza tym wypróbowali wszystko.

Cain posłał jej zaskoczone spojrzenie, roześmiał się i wyciągnął rękę w jej stronę. Pociągnął lekko za bandanę, uwalniając rude włosy.

- Cud, że nie parzą mi palców - powiedział, gładząc delikatny lok w kolorze płomienia.

- Cud, że ich sobie nie pobrudziłeś - rzuciła Christy głosem pozbawionym emocji.

Cain wypuścił jedwabiste pasmo i skoncentrował się na drodze. Christy w tym czasie kończyła przeglądać zawartość skrytki pocztowej swojej siostry.

Kiedy odłożyła na bok listy Jaya, okazało się, że innych papierów pozostała dosłownie garstka. Zapakowane były w nieduże szare koperty, opatrzone podpisami. Jedna z kopert, nie opisana, była zaklejona szeroką taśmą. Christy odłożyła ją na bok, nie chcąc naruszać prywatności siostry bardziej niż to konieczne.

Skoncentrowała się na pozostałych kopertach. Przejrzała szybko ich zawartość i zrelacjonowała swoje odkrycie Cainowi.

- Rachunki za karty kredytowe i korespondencja z hotelami na Południowym Zachodzie.

Mężczyzna chrząknął.

Christy otworzyła kolejne trzy koperty.

- To samo. Jo-Jo i Jay musieli jeździć po wszystkich... O, a co to takiego?

Cain spojrzał na tuzin mniejszych kopert, które Christy podetknęła mu pod nos.

- Rozpoznajesz któryś adres? - zapytała.

- Scottsdale, Beverly Hills, Santa Fe, Dallas, Taos. Tak, poznaję. To adresy galerii i handlarzy dziełami sztuki.

- Każdej sztuki? - zapytała dziewczyna myśląc o malowidłach demonów.

- Tak. Z Południowego Zachodu. Z wyjątkiem galerii Sherberna w Santa Fe. Facet interesuje się prawie wyłącznie sztuką, także użytkową, miejscowych Indian.

- Anasazich?

Cain wzruszył ramionami.

- Navajo, Zuñi, Apaczów, Moki. Pasuje mu wszystko, co się dobrze sprzedaje.

- Jest pięć listów od Sherberna.

- Przeczytaj mi je. Na pewno nie są bardziej gorszące niż listy Jaya.

Christy poukładała koperty według stempli i otworzyła tę z najświeższą datą. Wypadł z niej świstek papieru. Podniosła go i przyjrzała mu się obojętnie, ale zaraz jej oczy otworzyły się szeroko ze zdumienia.

- Ca to jest? - spytał Cain.

- Czek bankowy.

Spojrzał na nią dziwnie.

- Co z tego?

Christy bez słowa pokazała mu papier.

Cain przyjrzał mu się i gwizdnął przez zęby. Czek był wystawiony na Jaya Nortona przez Galerię Sherberne i opiewał na ponad pół miliona dolarów.

20

Jaką ma datę? - zapytał Cain.

- Z zeszłego tygodnia. Dzień przedtem, nim Jo-Jo zaczęła dzwonić do mnie Nowego Jorku i zostawiać mi wiadomości.

- Lepiej przeczytaj te listy. Ruda. Musimy się dowiedzieć, co takiego pilocik Huttona sprzedał za pół miliona dolców.

- Mogłabym spróbować zgadnąć - powiedziała Christy nieszczęśliwym głosem, przypominając sobie splądrowaną jaskinię.

- Ja też. Ale możemy się mylić. I to bardzo. Czytaj listy.

- Na głos? - zapytała.

Cain pochylił się i rzucił jej rozbawione spojrzenie. Jego ciemną brodę rozjaśnił uśmiech.

- Uwielbiam świntuszenie, skarbie.

- To pooglądaj sobie kanał erotyczny - odcięła się Christy i wróciła do korespondencji. Tym razem wybrała jednak najstarszy list. Kiedy skończyła czytać, schowała go z powrotem do koperty, odłożyła na miejsce i sięgnęła po następny.

Zdążyła przebrnąć przez pięć kolejnych, zanim Cain zaczął się niecierpliwić.

- Masz coś? - zapytał.

- Tak, trochę miejskiego slangu w wydaniu faceta z wyższym wykształceniem i parę recept, jak pieprzyć „najgorętszą laseczkę” swojego szefa.

Cain uśmiechnął się krzywo i zamilkł.

Christy złożyła list, który miała w ręku, włożyła go do koperty i wyjęła następny.

- Wiesz co - odezwała się po chwili - myślę, że Jayowi naprawdę zależy na Jo-Jo. Facet ma po prostu nieco ograniczone słownictwo.

Cain obrzucił ją zdumionym spojrzeniem, jakby nagle postradala zmysły.

- Jay ma w sobie mniej więcej tyle samo subtelności co kij baseballowy - przyznała dziewczyna. - No i ta obsesja na punkcie seksu, ale...

Wzruszyła ramionami.

- Ale co? - zapytał Cain.

- Choć to, co pisze, jest prymitywne, jest w tym także wiele zaangażowania i prawdziwego uczucia. On wielbi ziemię, po której stąpa Jo-Jo.

- Raczej tę, na której siada - mruknął Cain.

Christy zignorowała jego ostatnią uwagę.

- Pożąda jej obsesyjnie, a Jo-Jo tego potrzebuje. Myślę... myślę, że zawsze chciała, żeby ktoś pragnął jej w ten sposób.

W odpowiedzi Cain mruknął coś z niesmakiem.

- Między wierszami można wyczytać - ciągnęła Christy - że długotrwały romans Jo z Huttonem zakończył się na dobre jakieś osiem miesięcy temu. Jay trafił na dobry moment.

Cain odchrząknął.

- Mówię ci, łączy ich coś więcej niż tylko seks - zapewniła.

- Tak? Co na przykład?

- Wspólne interesy.

- Jakie interesy?

- Pakowanie, przewóz i dostawa do klienta. Oczywiście, używają do transportu samolotu Huttona. Ciekawa jestem, co Peter o tym myśli.

- Zakładając, że o tym wie. Co przewożą?

- Coś kruchego i cennego - odparła Christy. - Nie precyzują, co to takiego.

Znowu zajęła się czytaniem. W samochodzie na chwilę zapadła cisza, słychać było tylko szum opon na asfalcie.

- Chodzi o jaskinię - oznajmiła w końcu Christy unosząc głowę znad kartki. - Jay wspomina coś o Siostrach.

- Nie wątpię - powiedział Cain.

Otworzyła następny list, z którego wypadły kawałki papieru.

- Kolejne czeki - zauważyła.

- Na ile?

- Znowu pół miliona.

Cain gwizdnął przeciągle.

- Czy zawartość jaskini mogła być aż tyle warta? - zapytała dziewczyna.

- To była najbardziej obiecująca działka archeologiczna, jaką kiedykolwiek widziałem - odparł Cain.

- Dlaczego tak uważasz?

- Jest dobrze ukryta i świetnie zachowana. Poza tym jest jeszcze Kokopelli. Nigdy nie słyszałem o *kivie* ozdobionej jego wizerunkiem. Dla Anasazich było to wyjątkowe miejsce, dlatego w jaskini musiały się znajdować wyjątkowe i cenne przedmioty.

W głosie Caina słychać było jednocześnie żal i gniew, kiedy mówił o tym niezwykłym miejscu, splądrowanym, zanim je do końca odkryto i zrozumiano jego tajemnice.

- Ale aż milion dolarów w wykopaliskach? - nie mogła uwierzyć Christy. - Nawet przy dziesięciu czy dwudziestu tysiącach za naczynie to i tak dużo.

- Niekoniecznie. Japończycy kolekcjonują wszystko, co zbiera się na Zachodzie. A Niemcy mają kompletnego fioła na punkcie Anasazich. Gotowi są płacić setki dolarów za garść skorup.

- A jednak milion dolarów...

- W sprzedaży hurtowej.

- ...to kupa forsy.

- Jen i marka to bardzo silne waluty - powiedział Cain. - W przeciwieństwie do dolara. To, co nam się wydaje nieprzyzwoicie drogie, dla Niemców i Japończyków może stanowić całkiem niezłą okazję.

Christy nic nie powiedziała, ale wyraz jej twarzy zdradzał wątpliwości.

- Poza tym dochodzi jeszcze mentalność kolekcjonerów - ciągnął Cain. - Wystarczy zainteresować czymś jakiegoś bogatego, napalonego zbieracza i nie ma mowy o rozsądnych cenach. Pośrednik może się za to przy tym nieźle nachapać. Sam towar z tej większej *kivy* mógł być spokojnie wart pół miliona. Gdyby dorzucić do tego przedmioty związane z pochówkiem z drugiego grobowca, uzbierałaby się niezła suma, nawet po hurtowych cenach.

- Wszystko na to wskazuje - przyznała z żalem Christy.

- To musiało być najcenniejsze znalezisko w ciągu ostatnich trzydziestu lat - Głos Caina kipiał gniewem. - Wspominają w listach, co takiego znaleźli? - zapytał.

- Mówią coś o ładunku i jakichś „kawalkach”, ale nic konkretnego - odparła dziewczyna. - To dziwne.

- Dziwne jak cholera. Przy legalnych wykopaliskach wydobyte przedmioty są fotografowane na miejscu znaleziska i opisywane milimetr po milimetrze. Dokumentacja zdecydowanie podnosi ich rynkową wartość.

- Czy to możliwe, żeby tak wielu handlarzy było zamieszanych w coś nielegalnego?

- Większości z nich zależy jedynie na szybkich pieniądzach. Nic innego ich nie obchodzi. Mówisz, że pośrednicy płacili im czekami?

- Z tego, co widzę, tak.

- W takim razie mieli pewność, że uda im się natychmiast opchnąć świeżo nabyty inwentarz*. Nie musieli się obawiać, że zostaną przyłapani z towarem niewiadomego pochodzenia.

- Z początku Jay chodził tylko do jednego handlarza. Do Sherberna. Facet gotów był kupić od nich wszystko, ale Jayowi nie spodobała się cena.

Cain chrząknął.

- Chodził więc do innych i zbierał oferty - mruknęła Christy i przebiegła wzrokiem kolejną stronę zapisaną kanciastym pismem Jaya.

- Rozesłali pięćdziesiąt siedem naczyn. Dwanaście razy puszczały transport innych rzeczy.

- Jakich rzeczy? - zapytał natychmiast Cain.

Christy potrząsnęła głową.

- Nie pisze.

- Cholera.

- Wszyscy płacili im czekami - odezwała się po chwili - i wszyscy kupiliby pięć razy więcej, gdyby tylko mogli.

Cain uderzył pięścią w kierownicę, wprawiając ją w drżenie.

- Jezu, jak ja bym chciał to wszystko zobaczyć, sfotografować i skatalogować! - jęknął. - Pod tą skałą musiała się zachować cała wioska. I to w miejscu tak bardzo wysuniętym na północ! Mógłby to być przełom w historii badań nad Anasazi!

- Może uda nam się coś uratować, kiedy znajdziemy Jo-Jo...

Kiedy zobaczyła minę Caina, umilkła. Krótkie spojrzenie, jakie jej rzucił, przypomniało, jak chłodny bywa czasami jego wzrok.

- Jo-Jo znajdziemy na pewno - powiedział - ale po znaleziskach dawno nie ma już śladu. Pewnie są porosyłane do Niemiec i Japonii albo zamknięte w prywatnych kolekcjach w Nowym Jorku i Los Angeles.

Christy wróciła do czytania, wdzięczna losowi, że nie musi stawiać czoła wściekłości towarzysza. Kilka minut później zajrzała jeszcze raz do poprzedniego listu i zaczęła porównywać go z innymi. Otworzyła też parę następnych.

Cain porzucił niewesołe myśli i wyciągnął rękę w stronę kopert.

- Zostaw! - zaprotestowała. - Jeszcze je pomieszasz. Próbuje coś ustalić.

- Rzuć mi jakąś wskazówkę. Może będę mógł pomóc.

- Kiedy powiedziałeś Jo-Jo o Siostrach?

- Pierwszy raz? - zapytał.

- Tak.

- Chyba jakiś rok temu.

- Nie pamiętasz dokładnie?

- Wbrew temu, co myślisz, Jo-Jo nie była główną atrakcją mojego życia. Po prostu dzwoniła do mnie, kiedy Hutton dał jej się we znaki.

Coś w głosie Caina zaniepokoiło Christy.

- Do czego chciała cię nakłonić? - zapytała.

- Żebym go zabił.

- Nie mówisz chyba poważnie.

- Dlaczego nie? - zapytał Cain. - Wiedziała o mnie, co trzeba, zanim jeszcze mnie poznała. Jestem przecież byłym więźniem i mordercą.

- Taki sam z ciebie morderca jak i ze mnie.

Spojrzał na nią z ukosa.

* Inwentarz lub tzw. artefakty (archeol.) - wykopane na działkach archeologicznych przedmioty codziennego użytku; wszelkiego rodzaju narzędzia (przyp. tłum.).

- Ruda, dopiero co widziałaś, jak zabiłem człowieka.

- Obrona konieczna to nie morderstwo!

Zapadła pełna napięcia cisza. Cain ze świstem wypuścił powietrze.

- Poza tym - powiedziała Christy - Jo-Jo była na garnuszku Huttona.

- Hutton lubi robić ze swoich ludzi niewolników. I to nie na żarty. Zazwyczaj chodzi mu o coś więcej niż nieszkodliwe igraszki w łóżku w rodzaju tych, które opisuje Jay.

- Nie wyobrażam sobie, żeby Jo-Jo mogła pójść na coś takiego.

- W rzeczywistości w ogóle nie możesz sobie wyobrazić, jaka jest Jo. Widzisz tylko przeszłość. Ale nie ma już tamtej małej złotowłosej dziewczynki, która była kiedyś twoją siostrą.

- Nie była aniołkiem, to prawda. Ale myślę, że miała w sobie jakąś kruchość. Zawsze odczuwałam potrzebę opieki nad nią.

- Tak, Jo-Jo jest dobra w te klocki. Próbowала tego ze wszystkimi miejscowymi chłopakami. To proste: brała sobie dwóch facetów, skarżyła się jednemu, że drugi ją bije, i czekała, aż się wezmą za łby, a ona będzie mogła sobie popatrzeć.

- Nie zwalaj całej winy na nią. Mężczyźni...

- ...muszą być naprawdę głupi, żeby dawać się wciągać w jej gierki - przerwał jej gwałtownie Cain. - Wiem coś o tym. Sam kiedyś taki byłem.

- Miałaś tylko dziewiętnaście lat.

- Ten drugi miał tylko dwadzieścia. I nie dane mu było żyć dłużej.

Christy spojrzała na zaciętą minę Caina i zmieniła temat.

- Wygląda na to, że Jo-Jo planowała splądrowanie jaskini przez co najmniej osiem miesięcy - powiedziała. - Może nawet dłużej.

- Od momentu, kiedy powiedziałem jej o Siostrach, jak sądzę.

- Dokładnie. Nie wiem tylko, kiedy wciągnęła w to Jaya.

- Pewnie kiedy był jej potrzebny transport do wywozu znalezisk z Kolorado.

- Około siedmiu miesięcy temu - ciągnęła Christy - namówiła Huttona, żeby wynajął Johnny'ego Dziesięć Kapeluszy do przeszukania okolic Sióstr.

- Posłużyła się moimi informacjami - wtrącił Cain.

- I misą, którą ukradła z twojego domku.

- Ile czasu zajęło im znalezienie jaskini?

Christy zajrzała do listów. Czytała pospiesznie, z zaciśniętymi ustami.

- Kilka tygodni, jak sądzę - powiedziała w końcu. - Zabrali wszystkie najlepsze rzeczy, zanim Hutton zdążył je zobaczyć. Boże, co oni musieli stamtąd wynieść! Znaleziska, które widziałam u Petera, były niesamowite.

- Czy Hutton w ogóle wiedział o jaskini?

- Pewnie, że wiedział. Przecież nie wyjął zółwia spod choinki. Może...

Cain czekał na dalsze wyjaśnienia, ale Christy nie odezwała się więcej.

- Może co? - ponaglił ją niecierpliwie.

- Czytałam reportaż „Horyzontu” o Huttonie dość pobieżnie. Mogę się mylić.

- W czym?

- Myślę, że Peter miał kryzys nie tylko artystyczny, ale i finansowy. Wypuścił nową linię perfum i kosmetyków, a rozkręcenie takiego interesu wymaga ogromnego wkładu kapitału.

- No i co, udało mu się?

- Za wcześnie, żeby coś powiedzieć - mruknęła, nie odrywając wzroku od listu. - Koszty są duże, a zyski można szacować dopiero po kilku latach. - Zmarszczyła brwi i odczytała kolejny fragment. - Posłuchaj tylko: „Hutton pójdzie na to. Facet jest tak zdesperowany w sprawach finansowych, że masz szczęście, jeżeli nie każe ci wyjść na róg”.

- Może Hutton sprzedawał znaleziska i nie płacił podatków - podsunął Cain.

- Możliwe. W każdym razie Jo-Jo planowała go wyrolować od samego początku.

- Ale dlaczego? Przecież sama powiedziałaś, że była na jego garnuszku.

- Dowiedziała się, że w tajemnicy szukał nowej twarzy wśród modelek.

Cain uniósł brwi.

- Letnia kolekcja miała być jej ostatnią u Huttona.

- Z jakiegoś konkretnego powodu?

- Peter powiedział jej, że jest za stara.

Cain gwizdnął przez zęby.

- Szkoda, że mnie przy tym nie było.

- Tak więc Jo-Jo wymyśliła plan, by obrabować jaskinię.
- W ramach zemsty? - zapytał.
- Po części. Głównie jednak chodziło o to, że była kompletnie splukana.
- Splukana? Kobieta, której ciało wyceniano na milion dolarów?
- Jo-Jo wydaje pieniądze równie szybko, jak je zarabia. Nigdy nie myśli o przyszłości. - Christy odwróciła kolejną kartkę. - Poza tym Jay miał kosztowne plany. Wygląda na to, że kupił już jeden samolot, a chciał mieć ich jeszcze kilka, żeby otworzyć prywatną linię lotniczą.

- Każdy facet, który wytrzymał tak długo z twoją siostrą, zasługuje na rekompensatę finansową - rzucił ironicznie Cain.

Christy zignorowała go i wróciła do czytania.

- Hutton dowiedział się jakoś, że Jo-Jo i Jay wynoszą rzeczy z jaskini - odezwała się po chwili. - Groził im obojgu.

- Kiedy?

Rzuciła okiem na stempel na kopercie.

- Nie widzę wyraźnie - mruknęła. - Chyba dwa tygodnie temu.

- Co było później?

- Jay uważał, że pogróżki Petera są śmieszne. Podobno „Hutton siedział w tym z nimi po sam tyłek i nie mógł ich załatwić, nie pogrążając samego siebie”.

Cain odchrząknął.

- Skąd wiedzieli, do której galerii się zwrócić? - zapytał.

- Od Johnny'ego. Johnny miał też kontakty z prywatnymi kolekcjonerami.

- Jasne. - Cain był wyraźnie zdęgotowany. - Zapomniałem, że Jo-Jo trzymała go za fiuta.

- Może wcale z nim nie sypiała. Przecież miała Jaya.

- Skarbie, Jay nie był cały czas przy niej. Jo szłała się po barach w Montrose i przywoziła swoje trofea do Xanadu ku uciechu Huttona.

Christy nie odezwała się.

- A może Jay był taki sam jak Hutton? - ciągnął Cain. - Może też lubił oglądać, jak Jo-Jo robi to, w czym jest najlepsza?

- Jay nie pisze nic o oglądaniu jej na wybiegu.

- Nie mówiłem o wybiegu. Hutton lubił podglądać Jo w łóżku z innymi facetami. Całe miasto o tym trąbiło.

Christy uniosła gwałtownie głowę i wlepiła oczy w Caina.

- Co?! - zapytała.

- Nie bądź taka zszokowana, Ruda. Jo-Jo lubiła seks, a Hutton lubił sobie popatrzeć. - Cain wzruszył ramionami. - Takie rzeczy się zdarzają.

Wzdrygnęła się z niesmakiem, zacisnęła usta i zajęła się listami.

- Nie wierzę w to - powiedziała po jakimś czasie.

- Nie mieści ci się to w głowie, co? - zapytał Cain.

Uniosła głowę. Zobaczyła w jego oczach mieszaninę współczucia i zniecierpliwienia.

- Nie chcę w ogóle o tym myśleć - odparła twardo i bez słowa wróciła do lektury. Kilka minut później skończyła czytać ostatni list i odłożyła go na bok. Oparła czoło o okno.

- Coś nowego? - zapytał Cain.

- Nie.

Skrzywił się, słysząc napięcie w jej głosie. Zapadła cisza. Przejechali przez osadę składającą się z kilku obskurnych domów, stacji benzynowej i sklepu. Zapadnięte budynki wyglądały na bardzo stare i pozbawione życia.

Christy czuła się podobnie.

Pozwoliła jednak, by piękno krajobrazu rozproszyło jej czarne myśli. Powietrze było wyjątkowo przejrzyste; dziewczynie wydawało się, że może zobaczyć przez nie przyszłość. Westchnęła głęboko, próbując pozbyć się bólu, który odczuwała myśląc o przeszłości, o teraźniejszości i o siostrze, którą zawsze kochała i której nigdy nie rozumiała.

Półciężarówka zjechała do wąskiej doliny, gdzie liście bawełny zaczynały się już robić żółte. Ostatnie promienie rozświetlały krajobraz złocistym blaskiem. Przyglądając się okolicy, Christy zrozumiała, dlaczego Anasazi wielbili słońce. Chodziło o coś więcej niż tylko zrozumienie, że jego światło jest niezbędne do uprawy roślin. Słońce było też błogosławieństwem dla tej ziemi. Czyniło ją piękną, urodzajną i odporną na zgubne działanie czasu.

Christy spojrzała z niechęcią na pakiet listów. Ich widok sprawiał, że czuła się stara, zmęczona i przygnębiona.

Delikatny dotyk palców Caina na jej policzku był tak niespodziewany, że aż podskoczyła. Mężczyzna nie wycofał się jednak. Zamiast tego pogłaskał ją jeszcze raz.

- Przepraszam, kochanie - odezwał się Cain cicho. - Trochę mnie poniosło. Pewnych rzeczy o Jo-Jo naprawdę nie

musisz wiedzieć. Ciągle zapominam, jak bardzo kochasz swoją siostrę.

Christy westchnęła głęboko.

- Gdybyś tylko znał ją jako dziecko ... Czasami aż pękało mi serce. Była taka bezbronna i kochana.

Cain w milczeniu powiódł dłonią po policzku dziewczyny.

Po chwili Christy uśmiechnęła się słabo i sięgnęła po ostatnią grubą kopertę. List był tak mono zaklejony, że musiała pomóc sobie zębami, żeby rozedrzeć papier. Ze środka wypadła niniejsza, zwinięta w rulon koperta, a za nią kolejne trzy, w tym jedna zapisana grubym pismem Jaya. Dziewczyna odłożyła ją na bok i zajęła się pozostałymi dwiema. Były zaadresowane dużymi drukowanymi literami, jakby pisanymi ręką dziecka.

- Nowy bohater dramatu? - zainteresował się Cain.

- Chyba tak.

Christy sprawdziła stemple. Jeden z listów wysłany był trzy tygodnie temu z Alturas w stanie Nowy Meksyk. Drugi nadano tego samego dnia, w którym wystawiono pierwszy czek. Oba napisano tym samym koślawym pismem na zwykłych kartkach ze szkolnego zeszytu. Wiadomość była zwięzła: „Oddaj mi Siostry albo pożalujesz”. Podpis wyglądał jak cyfra dziesięć z zawijasem na górze. Drugi list był równie krótki: „Chcesz kłopotów, będziesz je miał”.

- Pokaż mi to - powiedział Cain.

Christy podała mu jedną z kartek.

- Założę się, że Johnny został oszukany i nie dostał swojej działki - stwierdził mężczyzna.

- Johnny Dziesięć Kapeluszy?

- To jego podpis. Dziesiątka z kapeluszem na górze. - Cain spojrział na zwiniętą w rulon, pozaklejaną kopertę. - Pożyczyć ci nóż? - zaproponował grzebiąc w kieszeni w poszukiwaniu szczyryka, który nosił zawsze przy sobie.

Nóż był ogrzany ciepłem jego ciała.

- Dzięki - powiedziała Christy.

Kiedy zacisnęła dłoń wokół ciepłego szczyryka, uświadomiła sobie, jak wielki chłód czuła w środku. Ciepło ciała Caina przynosiło jej ulgę. Christy wiedziała, że nie powinna ulegać pierwotnym instynktom. Zdawała sobie również sprawę, że nie ma siły się im oprzeć.

Ostrożnie przecięła taśmę i rozwinęła kopertę. Wypadły jej na rękę odłamki jakiejś bliżej nieokreślonej materii i delikatny, ręcznie wykonany naszyjnik.

Wstrzymała oddech. W jej dłoni spoczywały drobne, okrągłe paciorki połączone złotym łańcuszkiem.

- Naszyjnik babci - powiedziała ochryple, walcząc ze łzami. - Mimo wszystko Jo-Jo zachowała go dla mnie.

Cain spojrział na rękę Christy.

- Mogę zobaczyć to, co wypadło razem z łańcuszkiem? - zapytał.

Posłała mu zdziwione spojrzenie, ale wyciągnęła posłusznie dłoń i podała mu garść odłamków.

- Co to jest? - zapytała.

- Stare kości.

Christy zadrżała.

- Otwórz kopertę - powiedział Cain. - Wrzucę je z powrotem.

Kiedy rozchyliła papierowe brzegi, zauważyła ukrytą w środku bladezieloną kartkę. Jeszcze zanim ją wyjęła, wiedziała, że za chwilę ujrzy pismo Jo-Jo.

Witaj, siostro!

Jeśli dotarłaś aż tak daleko, mam większe kłopoty niż sądziłam. Pomóż mi się z nich wykaraskać. Wtedy ja też ci pomogę. Zostawiłam siad, który prowadzi prosto do ciebie. Oczyszczę cię ze wszystkiego, kiedy będę już w Rio.

Pomóż mi. Rudzielcu.

Proszę.

Drżącą ręką Christy podała Cainowi list. Przeczytał go jednym rzutem oka.

- A co z tym drugim listem? - zapytał.

- Z którym?

- Z tym od kochasia. Musiało być w nim coś wyjątkowego, skoro uznała, że warto go schować.

Christy sięgnęła po kopertę zaadresowaną pismem Jaya. Stwierdziła w duchu, że łatwiej jej będzie poradzić sobie z jego ordynarnymi tekstami niż z pamiątką po babci zapakowaną razem ze szczątkami kości i błagalnym listem od Jo-Jo.

Jak w odrętwieniu otworzyła list, spodziewając się treści podobnej do poprzednich. Zamiast tego znalazła usprawiedliwienia Jaya Nortona, że nie zdążył wykończyć Caina, bo na horyzoncie pojawili się bracia Moore.

Christy jęknęła cicho i zamknęła oczy.

- Skarbie?

- Miałaś rację - powiedziała urywaniem głosem. - To Jo-Jo chciała cię zabić.

Żadne słowa Caina nie mogłyby złagodzić bólu Christy.

- Myliłaś się jednak co do Johnny'ego - szepnęła. - To Jay próbował cię zamordować.

21

Co teraz zrobimy? - zapytała Christy.

- Znajdziemy pilocika.

Obojętny ton Caina zabolął ją dziwnie. Nie sądziła, że może czuć się jeszcze gorzej, niż kiedy dotarło do niej, co zrobiła Jo-Jo.

- Jak? - zapytała.

- Zaczniemy od galerii Shreberna.

- W Santa Fe - westchnęła Christy. - Daleko jeszcze?

- Za daleko - odparł Cain.

Rzuciła mu pytające spojrzenie.

- Wyglądasz na skonaną. Ruda.

- Nie potrzeba mi wiele energii do siedzenia.

- Zatrzymamy się na Farmie Keefee Duchów - zdecydował Cain, zupełnie jakby jej nie usłyszał. - Słyszałaś o niej kiedyś?

Christy uśmiechnęła się blado.

- Każdy, kto interesuje się modą i sztuką i jest kobietą, słyszał o Farmie Duchów i Georgii O'Keefee.

- W takim razie słyszałaś też o dolinie rzeki Chama i o Abiquiu.

- Pewnie.

- Rozejrzyj się, skarbie. Tam po prawej płynie właśnie Chama. - Cain wskazał w kierunku pobliskich wzgórz. - A tam jest Farma Duchów. Tamtejszy ośrodek turystyczny prowadzi teraz mój znajomy.

- Czy tam jest naprawdę tak pięknie, jak mówią?

- Sama mi o tym jutro powiesz.

- Jak to? - zdziwiła się Christy.

- Przenocujemy tam dzisiaj - wyjaśnił Cain.

Jakiś czas później skręcili z autostrady w żwirówkę prowadzącą w stronę wzgórz i skalistych wzniesień. Niewiele było widać z drogi, ale pierwsze zabudowania wznosiły się już niedaleko.

Cain wjechał na niewielki parking i wyłączył silnik.

- Wygląda na niezły kurort - zauważyła Christy.

- Jeśli się lepiej przyjrzyysz, poznasz, że było tu kiedyś rancho - powiedział Cain i wysiadł z ciężarówki. - Zaraz wracam - dodał.

Christy rozprostowała kości i usiadła na chromowanej masce pikapa Moore. Przyglądała się zachodowi słońca nad Farmą Duchów.

Cain miał rację. Wśród nowych budynków rozciągały się pozostałości po starym rancho: zagrody i stodoły, okazałe resztki sadu, zarośnięte rowy irygacyjne, które kiedyś nawadniały piętnaście akrów pastwiska.

Granice starego rancho odcinały się cieniem tuż nad powierzchnią ziemi. Wkrótce ostatni promyk słońca zgasł, zabierając ze sobą resztki przeszłości i pozostawiając wyłącznie teraźniejszość. Nowej budynki wydawały się sztuczne w zmierzchu nadchodzącej nocy.

Po kilku minutach Cain wyłonił się z domu, w którym mieściły się biura ośrodka, i przeszedł przez podwórze, kierując się w stronę pikapa.

- Mamy szczęście - powiedział. - Mack trzyma zawsze jeden z domków w rezerwie dla rodziny albo w razie jakiś innych nagłych wypadków.

- A my do której kategorii się zaliczamy?

Kąciki ust Caina uniosły się w uśmiechu.

- Do obydwu. W domku jest nawet coś do jedzenia, ale musimy sami sobie ugotować. Masz coś przeciwko temu?

- Nie mam - odparła Christy ziewając. - Przepraszam. Nie wiem, dlaczego jestem taka zmęczona.

- Twój poziom adrenaliny w końcu spada.

- O Boże - jęknęła - tylko mi nie mów, że teraz przejedzie po mnie ciężarówka.

Uśmiechając się lekko, Cain podał jej rękę. Christy przyjęła jego dłoń i pozwoliła postawić się na ziemi. Mężczyzna pomógł jej wsiąść do ciężarówki, którą podjechali w stronę domku odgradzonego od pozostałych ujściem niewielkiego kanionu.

Wkrótce w światłach samochodu ukazał się ceglany budynek. Spod jego dachu zwisały suche gałęzie. Okna

wychodziły na ranczo po stronie wzgórz wyłaniających się tajemniczo w ciemnościach. Cegła była częściowo zniszczona przez słońce, wiatr i burze.

Kiedy Cain wyłączył silnik, ciszę wypełniło miłe dla ucha cykanie świerszczy.

- Nie przypomina to manhattańskich standardów - powiedział Cain.

- Ten domek jest standardem sam dla siebie - powiedziała Christy. - Jest częścią tej ziemi i czasu, zupełnie jak domostwa Anasazich na zboczach skał.

W głosie Christy wyczuwało się pewność i zachwyty.

- Ciągle mnie zadziwiasz - powiedział po chwili Cain.

- Może dlatego, że ciągle źle mnie oceniasz. Kiedy na mnie patrzysz, widzisz Wschód, Jo-Jo, problemy... - Christy umilkła i westchnęła. - Co do problemów to pewnie masz rację - przyznała - Mam ich wiele.

- To nie twoja wina. Wszystko zaczęło się całe miesiące przed twoim przyjazdem.

- Raczej lata - odparła napiętym głosem. - Wszystko się zaczęło, gdy wyjechałam na Wschód, pozostawiając Jo-Jo bez opieki w Wyoming.

- Gówno prawda, Ruda.

Dziewczyna potrząsnęła głową.

- Tylko ja mogłam do niej dotrzeć. A jednak wyjechałam.

- Jo-Jo sama o sobie zdecydowała - powiedział Cain, wysiadając z półciężarówki. - Zawsze.

Drzwi trzasnęły głośno i Cain przeszedł na stronę pasażera, by pomóc Christy wysiąść. Odczuwała w całym ciele sztywność i napięcie, które nie zmalało pomimo zmęczenia. Kolana lekko się pod nią ugięły, kiedy dotknęła stopami ziemi.

- Na razie nie mówmy o Jo-Jo - zarządził Cain. - Jesteś zupełnie wyczerpana. Zaraz mi tutaj upadniesz.

Christy nawet nie miała zamiaru dyskutować. Po raz pierwszy w życiu czuła się krucha i bezbronna. Nie podobało jej się to uczucie, ale nie potrafiła dłużej z nim walczyć.

Domek nie był zamknięty na klucz. Cain otworzył szeroko drzwi i zapalił światło. Wnętrze przypominało zachodnią wersję typowej kawalerki. W pokoju było ciepło i unosił się zapach suchego bukietu z wazonu na stole. Z jednej strony znajdowała się kuchnia, we wnęce łazienka i rozkładana kanapa.

Christy odwróciła się w stronę Caina z pytaniem w oczach.

- Po kolacji się zastanowimy, kto będzie spał w pikapie - powiedział.

- Na żelastwie?

- Na materacu. Larry nie jest głupi.

Cain otworzył okna, by wpuścić trochę chłodnego wieczornego powietrza.

- Niedługo będziemy musieli napalić w kominku - powiedział. - Pójdę po drewno, a ty przejrzyj szafki kuchenne.

- Jakies specjalne życzenia?

- Zjem cokolwiek, co się nie rusza.

Christy wiedziała, co chciał przez to powiedzieć. Ona też nie jadła od paru dni.

- Nic dziwnego, że słabo się czuję - powiedziała do siebie - skoro jestem taka głodna.

Sprawdzenie zawartości lodówki i kilku szafek nie zajęło jej wiele czasu. Wyjęła jajka, ser, masło i małe opakowanie tortilli. W szufladzie znalazła puszkę kawy.

Czajnik i rondel stały już na palniku. Christy poszperała jeszcze trochę, znalazła paczkę zapalek i zabrała się do roboty.

Zanim Cain rozpałił ogień w kamiennym kominku, na stole parowały przysmażone z odrobiną masła kukurydziane tortille.

- Wygląda wspaniale - powiedział Cain siadając. - Dzięki za kolację.

Zaskoczona spojrzała znad talerza.

- Nie musisz dziękować, Cain. To nic takiego.

- Nie dla mnie. Uwielbiam domowe jedzenie.

Jedli w milczeniu, patrząc na ostatni purpurowy promień słońca chowający się za horyzontem na zachodnim skraju nieba. Gdzieś między ich domkiem a budynkiem biurowym kilka razy zahuczała sowa. Po chwili odpowiedziało jej podobne hukanie, dochodzące z kępy drzew rosnących po drugiej stronie wąskiej doliny.

Christy zamknęła oczy, wzięła głęboki oddech i wolno wypuściła powietrze, starając się wchłonąć spokój doliny. Odgłos nalewanej z czajniczka kawy harmonizował z szelestem liści topoli poruszanych orzeźwiającym wiatrem.

Krzesło Caina skrzypnęło.

- Dlaczego zerwałaś ze swoim chłopakiem? - zapytał zniecierpliwiony.

Christy wzruszyła ramionami.

- Był aż tak ekscytujący? - zapytał kpiąco. - W takim razie dlaczego w ogóle był twoim chłopakiem?

Otworzyła oczy.

Cain obserwował ją znad krawędzi kubka. Jego oczy świeciły blaskiem złotym jak światło lampy... albo whisky.

- Pomyłka - wyjaśniła. - Myślałam, że on potrzebuje kogoś do towarzystwa, żeby pójść na koncert, wystawę i...
- Do łóżka? - podsunął.

Znowu wzruszyła ramionami.

- Seks nie jest szczególnie ważny ani dla mnie, ani dla Nicka. A teraz on skończył czterdzieści lat, więc chciałby założyć dom i mieć dzieci.

Cain uśmiechnął się lekko, pokiwał głową i zapytał:

- A może było coś jeszcze?

Popatrzyła na niego zmieszana.

- Dlaczego z nim zerwałaś akurat wtedy, kiedy ja rozmawiałem w barze z Lanym? Tak właśnie było, prawda? To wtedy powiedziałaś temu, jak mu tam...
- Nickowi.
- ...żeby spadał.
- A co niby miałam mu powiedzieć? Że szaleję na Dzikim Zachodzie z byłym przestępcą, ściganym za zamordowanie Indianina, który chciał zabić nas? Że widziałam umierającego człowieka i słyszałam skomlącego z bólu psa, i widziałam krew, krew... - Głos jej się załamał.
- Spokojnie, skarbie. Wszystko w porządku.
- Nie - powiedziała słabo. - Nic nie jest w porządku.

Czuła ściskanie w gardle i wiedziała, że powinna przestać mówić, ale nie mogła. Nawała zdarzeń przygniatała ją powoli, porywając w otchłań nieuczciwych postępów siostry.

- A może powinna byłam powiedzieć Nickowi, że szukam swojej siostry - ciągnęła - której ciało jest warte milion dolarów i na widok której on sam ślini się jak pies nad miską?

Cain zmrużył oczy.

- Nick lubił Jo-Jo?
- Nigdy jej nie poznał. Do zeszłego tygodnia nie wiedział nawet, że jesteśmy siostrami.
- Dlaczego?
- Ponieważ mam już serdecznie dosyć tego, że zawsze jestem tą brzydszą siostrą.
- Brzydszą? Rany, Ruda. Ty wcale nie jesteś...
- Porównywana do Jo-Jo? Otóż jestem, i to ciągle - przerwała mu stanowczo.
- Ale nie przeze mnie - oświadczył Cain.

Christy zignorowała go.

- A może powinnam opowiedzieć Nickowi o Peterze Huttonie, którego ściany ozdabiają demony z piekła rodem i którego rajcuje oglądanie mojej siostry pieprzącej się z miejscowymi kowbojami?
- Coś mi się zdaje, że Nick nie byłby gotów usłyszeć czegoś takiego.

Roześmiała się nerwowo.

- Ja też nie byłam.

Z zaskakującą delikatnością Cain wyjął kubek z dłoni Christy.

- Kofeina to ostatnia rzecz, jakiej ci teraz trzeba.

Wylał kawę do zlewu, opłukał kubek i podszedł do kominka w dużym pokoju. Spod stosika drewna w palenisku wyjął butelkę brandy. Napełnił kubek do połowy i postawił go na stole przed Christy.

- Nie wypiję aż tyle - zastrzegła.
- Pomogę ci.

Christy wciągnęła w nozdrza wspaniały aromat, pociągnęła łyk i wzdrygnęła się.

- To smakuje... za dobrze.
- No i kto tu jest cierpiętnikiem? - wypomniał Cain.

Dziewczyna wydała odgłos, który równie dobrze mógłby uchodzić za śmiech, jak i stłumione łkanie. Cain dotknął jej włosów i zabrał się do sprzątnięcia ze stołu.

- Ja to załatwię - powiedziała Christy, kiedy się zorientowała, co on robi.
- Ty gotowałaś - odparł. - Jedno gotuje, a drugie sprząta, prawda?

Przytaknęła powoli. Wciągała zapach brandy i obserwowała Caina, który poruszał się od zlewu do stołu z nieświadomym wdziękiem dzikiego zwierzęcia.

Kiedy kuchnia została już wysprzątana, podszedł do kominka, wrzucił do środka zapałkę i odsunął się, patrząc na płomień, które się rozprzestrzeniały, pochłaniając coraz to nowe partie drewna. Po chwili pomieszczenie wypełnił zapach palonego cedru.

Cain wrócił do stołu, podniósł kubek z brandy i spojrzał na Christy.

- Chodź, usiądziesz przy kominku - zaproponował. - Oglądanie ognia jest równie odprężające jak brandy.

Kanapa była miękka i zniszczona. Christy usadowiła się wygodnie i odchyliła głowę do tyłu. Ciche trzaskanie płonącego drewna i cykanie świerszczy były jedynymi dźwiękami wypełniającymi przestrzeń. Płomienie tańczyły i migotały wokół cedrowych polan.

Christy pozwoliła, by minuty upływały w spokojnej beczynności. W końcu jednak odetchnęła głęboko i odwróciła się w stronę Caina.

Jak się spodziewała, zamiast w ogień, patrzył na nią. Podał jej kubek z brandy. Wzięła go, upiła łyk i oddała Cainowi. Jego palce przesunęły się miękko po jej dłoni, przypominając Christy poprzednią noc.

- Wyglądasz, jakby właśnie przejechała po tobie ciężarówka - powiedział Cain.

- Kiedy podałeś mi brandy, przypomniałam sobie o tych zamierzchłych czasach, kiedy przyłapałeś mnie, jak wychodziłam z domu Huttona, i zabrałeś do siebie.

- Zamierzchłe czasy? - Cain uśmiechnął się krzywo. - Skarbie, to było wczoraj.

- Nieprawda, to było całe wieki temu. - Głos Christy był równie napięty jak jej twarz.

- Napij się jeszcze.

- Próbujesz mnie spać?

- A udałoby mi się?

Coś w głosie Caina sprawiło, że Christy odwróciła się w jego stronę. Patrzył na jej włosy, twarz, usta. Przyglądał się pierśom i rękom. Przez moment bała się nawet oddychać, obawiając się tego, co może za chwilę nastąpić.

- Chyba już za późno, żeby się mnie bać - odezwał się Cain.

- Nigdy przedtem nie patrzyłeś tak na mnie.

Uśmiechnął się dziwnie.

- Zawsze tak na ciebie patrzę. Po prostu dopiero teraz to zauważyłaś.

Bez pośpiechu odstawił kubek i odwrócił się do Christy, dając jej czas, by mogła się wycofać. Zamiast tego przysunęła się do niego z lekkim westchnieniem i dreszczem oczekiwania, którego nie umiała powstrzymać.

Była zbyt zmęczona, by walczyć z siłą, która popychała ją w stronę Caina od pierwszego spotkania i stawała się z każdym dniem coraz bardziej przemożna. Znała go lepiej niż jakiegokolwiek innego mężczyznę.

Miała pewność, że może mu zaufać.

Teraz chciała wiedzieć o nim wszystko. Ta potrzeba pochłaniała ją jak ogień wysuszone drewno w kominku.

Kolejny dreszcz wstrząsnął jej ciałem, kiedy Cain objął jej twarz silnymi, ciepłymi dłońmi. Przez dłuższą chwilę wpatrywał się w dziewczynę wygłodniałymi oczami. Potem musnął jej wargi w krótkim pocałunku.

- Tak czy nie? - szepnął. - Powiedz mi to teraz, kochanie.

- Tak - powiedziała po prostu.

Christy poczuła nagłe napięcie Caina. Uśmiechnęła się na myśl o tym, że działa na niego tak samo silnie jak on na nią. Nie sprzeciwiała się kiedy opuścił ręce niżej. Chciała czuć jego dotyk wszędzie.

Spodziewała się delikatnej pieczyoty, zamiast tego Cain podniósł ją i ułożył sobie piersi. Otworzyła oczy. Obserwował ją uważnie, jakby chciał sprawdzić, czy Christy nie przerwie magii namiętności, która ich ogarnęła.

- Powiedziałam „tak” - szepnęła. - Wcale się z tobą nie drażnię.

Przyłgnęli do siebie, poddając się nieodpartemu przymusowi. Nie było żadnego wahania, żadnego dopasowywania się ciał. Spletli się w uścisku, jakby od lat byli kochankami.

Christy poczuła ogień w całym ciele. Z cichym jękiem przytuliła się do Caina jeszcze mocniej. Oplotła ramionami jego szyję. Pragnęła go bardziej niż jakiegokolwiek mężczyzny do tej pory. Uniosła ku niemu twarz, a Cain pocałował ją łapczywie.

Leżeli twarzą w twarz na kanapie. Pocałunek pogłębił się i stał bardziej zmysłowy, rozniecając płomień, który opanował całe ciało Christy. Dłonie Caina przesunęły się wzdłuż talii dziewczyny, po chwili powędrowały wyżej, a Christy wstrzymała oddech.

Nie mogąc się doczekać, oderwała się od jego ust i wbiła mu paznokcie w plecy.

- Cain - szepnęła ponagląco.

- O to ci chodzi? - szepnął.

Jęknęła, kiedy kciuki Caina zaczęły pieścić jej sutki. Własna gwałtowna reakcja zaskoczyła ją. Wygięła się w łuk, czując, jak nieznany dotąd ogień rozpala całe jej ciało.

Po chwili ręce Caina zaczęły powoli rozpinąć guziki bluzki Christy. Z cichym westchnieniem odnalazła jego usta. Pocałowała go z pożądaniem, którego nie potrafiła ukryć ani okiełznać.

Cain nie przerwał powolnego rozpinania guzików. Uległa mu w ciszy.

Pocałunek stawał się coraz bardziej namiętny. Powolny ruch języka Caina przyprawiał Christy o zawrót głowy.

Bluzka była już zupełnie rozpięta, ale Cain nie powrócił do jej sutków, stwardniałych już po pierwszym dotyku. Powiódł palcami po karku dziewczyny, zatrzymał się na chwilę w zagłębieniu szyi, musnął mostek, aż w końcu Christy jęknęła i zadrżała w oczekiwaniu.

Kiedy palce Caina wślizgnęły się w końcu pod koronkowy stanik, krzyknęła z rozkoszy.

- Boże - powiedział ochryple Cain - doprowadzasz mnie do szału.

Christy ledwo go słyszała. Cain delikatnie ugniatał jej sutki, wywołując fale gorąca przepływające przez ciało. Z jej gardła wyrwały się ciche jęki pożądania. Stanik opadł nagle, a Christy wygięta w łuk wyszeptła imię Caina, całkowicie oddając się w jego ręce.

Mężczyzna delikatnie zamknął dłonie na jej piersiach i pogładził napięte sutki. Czowała każde zgrubienie na jego długich palcach. Pieścił ją dotąd, aż jej oddech stał się urywany.

Żaden mężczyzna nie dotykał jej dotąd tak wspaniale, nie był taki czuły i delikatny. Christy wygięła się ku niemu, kiedy uniósł jej piersi, by je pocałować. Dotyk języka Caina był wspaniały. Kiedy ujął w usta jej sutki, poczuła żar w całym ciele.

Jęknęła z zachwytu, wyczuwając, że jego ciało też przeszedł dreszcz. Usta Caina przesunęły się na drugą pierś, jednocześnie zaczął rozpinąć dzinsy dziewczyny.

Gdy wsunął dłoń między jej nagie uda, rozchyliła je, jakby prosząc o dotyk. Rozpływała się w jego objęciach, jęcząc cicho i unosząc biodra w całkiem dla niej nowym zmysłowym uniesieniu. Nigdy przedtem nie oddawała się nikomu tak bez zahamowań. Była podniecona i w pełni gotowa, by się z nim połączyć.

Cain dobrze o tym wiedział, widział to i czuł. Pieścił Christy, jęcząc głucho jak z wielkiego bólu.

Dobrze to rozumiała; jej rozkosz również była tak intensywna, że niemal bolesna. Nigdy jeszcze nie czuła się tak swobodna i jednocześnie zniewolona. Szepnęła jego imię, kiedy poczuła cudownie pieścizny dotyk u zbiegu ud. Zatopiła paznokcie w plecach Caina, jakby prosząc o przerwanie tej słodkiej męki. Odpowiedział kolejną pieścizną.

- Cain - wyrwało się z jej ust - pragnę cię.

W odpowiedzi usłyszała zduszone westchnienie, a dłoń pomiędzy udami powędrowała wyżej. Christy złapała płytki oddech i jęknęła cicho.

Na oślep odnalazła pasek dzinsów Caina. Zaczęła manipulować przy metalowej klamrze, ale Cain chwycił ją za rękę.

Christy była tak roznamietniona, że z początku nie rozumiała, dlaczego nie może poradzić sobie z opornym zamkiem. Po chwili dotarło do niej, że to sam Cain ją powstrzymuje.

- Cain?

Nie doczekała się odpowiedzi. Przechyliła głowę do tyłu, by spojrzeć mu w twarz. Oczy Caina były na wpół przymknięte, a usta kurczowo zaciśnięte. Z jego twarzy nie można było nic wyczytać.

- Co... co się stało? Zrobiłam coś nie tak?

Cain przyciągnął rękę Christy do piersi w mocnym uścisku. Mruknął coś wściekle pod nosem i otworzył oczy.

- Nie, Ruda - powiedział pełnym dławionych emocji głosem. - Wszystko robisz wspaniale. Zbyt wspaniale. Nigdy w życiu nie byłem tak bliski utraty kontroli nad sobą.

W jego oczach nadal odbijał się ogień, ale teraz wyglądał dziwnie zimno. Christy odwróciła wzrok.

- Czy nie o to właśnie chodzi podczas kochania się? - zapytała po chwili. - O utratę kontroli?

- Christy...

Cain zaklął i odwrócił wzrok od zakłopotanej twarzy dziewczyny.

- Wiem, jak bardzo kochasz swoją siostrę - powiedział w końcu. - Większość ludzi kocha tylko powierzchownie, ale nie ty. Ty kochasz z całej duszy. To wielka zaleta, ale i wielka wada. Jo-Jo zdała sobie z tego sprawę i zaczęła wykorzystywać twoją miłość przeciwko tobie. Mnie na to nie stać.

Kiedy Christy zrozumiała, o co chodzi Cainowi, poczuła się, jak gdyby ktoś wylał na nią kubel zimnej wody.

- Masz mnie za dziwkę - stwierdziła zimno.

Cain odwrócił gwałtownie głowę. Gdyby Christy nie była taka wściekła, rozbawiłby ją wyraz zdziwienia malujący się na jego twarzy.

- Nigdy tego nie powiedziałem! - zaprotestował szybko. Za szybko.

- Naprawdę? A jak inaczej nazywasz kobietę, która oddaje się mężczyźnie dlatego, że czegoś od niego chce?

- Skarbie, ja tylko miałem na myśli, że masz miękkie serce i nie myślisz jasno, kiedy chodzi o twoją cholerną siostrę.

Christy uwolniła się z objęć Caina. Nie zważając na porozpinane ubranie, sięgnęła po portmonetkę, wyjęła pięciocentówkę i rzuciła ją w powietrze.

- Orzeł - warknęła.

Złapała monetę i przekreśliła ją na grzbiecie lewej dłoni. Nie zadała sobie trudu, by sprawdzić, która strona wypadła. Wrzuciła od razu monetę do kieszeni.

- Przegrałeś - rzuciła wściekle. - A teraz wynocha z mojego łóżka.

Pianie koguta przyniosło Christy prawdziwą ulgę. Zaczynała się już zastanawiać, czy nie jest przypadkiem jedyną żywą istotą na Farmie Duchów. Słońce weszło kilka godzin wcześniej.

Christy nie spała przez większość nocy, wędrując myślami od Jo-Jo do Caina. Nigdy z żadnym mężczyzną nie wzniosła się tak wysoko. I nigdy nie doznała tak bolesnego upadku.

Nawet teraz, w jasnym świetle poranka kipiała złością i wspomnieniami o tym, jak wspaniale było czuć się po raz pierwszy w życiu naprawdę pobudzoną.

Niestety, jak widać, zauroczenie okazało się jednostronne.

Z ociąganiem zwlekła się z łóżka. W pokoju było tak zimno, że oddech pozostawiał w powietrzu białą smugę. Cain musiał spędzić mroźną noc w ciężarówce.

Mam nadzieję, że odmroził sobie tyłek, pomyślała kąśliwie Christy.

Chwyciła czajnik, napelniła go i postawiła na palniku z takim impetem, że aż wylało się z niego trochę wody. Klnąc pod nosem, przestawiła naczynie na inny palnik. Zapaliła zapałkę i włączyła gaz.

Zanim woda zaczęła wesoło bulgotać, Christy roznieciła ogień w kominku. Po chwili wróciła do kuchenki i zabrała się za jajecznicę. Podczas gdy jajka skwierczały na patelni, podgrzała resztki tortilli w piekarniku.

Wschodnią część domku ogrzewało słońce. Na tylnej werandzie stał stary, drewniany fotel na biegunach. Kiedy Christy otworzyła drzwi, poczuła na twarzy cudownie ciepłe powietrze. Wyszła na zewnątrz i usiadła w fotelu. Trzymając talerz na kolanach, spokojnie jadła śniadanie i grzała przemarznięte ciało na słońcu.

Kiedy wkładała do ust ostatni kęs, zza rogu domku wyłonił się Cain. Z ramienia zwisał mu ręcznik. Miał mokre włosy, a na sobie inne ubranie. Mocno sprana koszula mogła należeć do posterunkowego Moore'a, ale dzinsy musiały pochodzić z innego źródła. Leżały na Cainie jak druga skóra i przypominały Christy, jak bardzo był męski.

Zacisnęła usta i odwróciła wzrok. Nie potrzebowała żadnych wspomnień. Nie chciała o niczym pamiętać.

- Dzień dobry - zagadnął Cain.

- Jak dla kogo - odparła chłodno.

Zatrzymał się na werandzie i popatrzył na farmę.

- Pysznic nie działa, ale...

- Zauważyłam wczorajszej nocy - wpadła mu w słowo.

- ...jest mały strumyk w górze kanionu. Nie jest tak ciepły jak moje gorące źródło...

- Myłam się wczoraj wieczorem.

- Co do wczorajszego wieczoru...

- Zapomnij o wczorajszym wieczorze - przerwała zdecydowanie.

Cain spojrział na nią uważnie.

- To niemożliwe - stwierdził.

- Ależ owszem, możliwe - zapewniła. - A nawet całkiem proste. Tak cię wystraszyłam, że mało nie pogubiłeś portek, co? Ach, przepraszam... jeśli chodzi o spodnie, to trzymałeś się ich bardzo twardo.

Cain wymamrotał jakieś przekleństwo i przejechał ręką po mokrych włosach.

- Nie powinienem był cię nawet całować - powiedział.

- Wypiję za to.

- To zły pomysł, żebyśmy się teraz angażowali. Zbyt wiele nas dzieli. Oboje mamy zanadto nieuporządkowane życie.

- Nie obawiaj się - powiedziała Christy. - W przeciwieństwie do niektórych, ja nie mam zwyczaju się drażnić.

Cain wykrzywił usta w gorzkim grymasie.

- Nie obawiaj się, nie będę wprowadzać w twoje życie jeszcze większego bałaganu - dodała. - Jeżeli o mnie chodzi, wczorajszy wieczór to *nolo*.

- Co takiego?

- Język prawników. *Nolo contendere*. „Nic się nie wydarzyło i przyrzekam, że już więcej się to nie powtórzy”.

- Kiedy wybrniemy ze wszystkich kłopotów, możemy...

- Nawet o tym nie myśl - przerwała mu w pół zdania. - Nie masz co o tym marzyć. Nie jestem masochistką.

Cain zaklął siarczyście pod nosem.

Kiedy Christy odezwała się ponownie, jej głos był już prawie normalny.

- Śniadanie jest w piekarniku - powiedziała.

- Skarbie, nie możemy udawać, że nic się nie stało.

- Dlaczego nie, skarbie? Przecież właśnie nic się nie stało!

Christy zauważyła ze złośliwą satysfakcją, że Cain jest na granicy wytrzymałości. Uśmiechnęła się do siebie, oczekując na wybuch.

Przez długą minutę Cain gapił się w niebo. Nad ich głowami krążyła wolno para sokołów. Rudawe pióra ptaków

iskrzyły się na tle błękitu nieba jak ogniki.

Wreszcie Cain obrócił się na pięcie i poszedł w stronę samochodu.

- Lepiej ruszajmy - rzucił, nie oglądając się za siebie. - Czeka nas długa droga do Santa Fe.

Jazda do Santa Fe odbyła się w bolesnym milczeniu. Cain wpatrywał się ponuro w autostradę. Christy siedziała spięta, oglądając przesuwane się za szybą widoki. Atmosfera w półciężarówce była jak cisza przed burzą.

Na rynku w mieście tłoczyły się samochody. Ludzie przepychali się między sobą, by znaleźć najlepsze dojście do sprzedających biżuterię Indian Navajo, którzy rozłożyli swoje aksamitne koce na zacienionych chodnikach przed budynkiem zarządu miasta i Muzeum Sztuk Pięknych.

Na Canyon Road handel odbywał się nieco spokojniej. Drogie galerie nie wywieszały plakatów reklamowych zachęcających do odwiedzenia wystaw, nie werbowały klientów z ulicy. W tamtejszych sklepach mile widziani byli wyłącznie ci, którzy chcieli ubić interes albo dysponowali naprawdę dużą gotówką.

Cain przejechał obok Galerii Sherberna dwa razy, zanim skręcił i zaparkował w bocznej uliczce.

- Nie będą chyba specjalnie szczęśliwi, jeśli się tam wdrzesz i zaczniesz pytać o kradzione zabytki archeologiczne - zauważyła Christy.

- Jak mawiał mój kolega z paki, „kto nie ryzykuje, ten nic nie zyskuje”.

Christy się skrzywiła.

Cain otworzył drzwi samochodu.

- Wrócę za...

- Nie ma mowy. Idę z tobą.

Jedno spojrzenie na Christy upewniło go, że jeśli nie chce awantury na środku ulicy, musi zacisnąć zęby i zabrać dziewczynę ze sobą.

- Masz te listy, w których jest mowa o Sherbernie? - zapytał z niechęcią.

Christy w milczeniu podniosła wygniecioną kopertę.

- Wiesz, na czym polega zabawa w dobrego i złego gline? - zapytał Cain.

- Wiem.

- Zgadnij, którym będziesz.

- Tym złym - odpowiedziała.

- Pudło. Zgaduj jeszcze raz.

Kiedy Cain ruszył w stronę galerii, Christy pospieszyła za nim. Srebrny dzwoneczek przy drzwiach radośnie obwieścił ich wejście. Z zaplecza wyszedł im na spotkanie szczupły, jasnowłosy mężczyzna w białej kowbojskiej koszuli

- To Sherberne we własnej osobie - szepnął Cain do ucha Christy.

Aksamitną wstążkę przy kołnierzyku Sherberna przytrzymał turkus wielkości kurzego jaja. Uprzejmy uśmiech zniknął mu z twarzy, gdy przyjrzał się dokładnie zniszczonym ubraniom Caina i Christy.

- Mogę państwu w czymś pomóc? - odezwał się w końcu.

W jego głosie nie słychać było zainteresowania. Wyraz twarzy właściciela galerii wskazywał, że nie widzi w nich potencjalnych klientów.

Cain i Christy rozejrzeli się po galerii. Nowoczesne wnętrza z białej cegły, z wypolerowanymi wystawami i gablotami, było jaskrawo oświetlone rzędem lamp wiszących nad głowami. Jedno fachowe spojrzenie wystarczyło Cainowi, by ocenić wartość i przeprowadzić selekcję zgromadzonych u Sherberna eksponatów.

Były dobre, ale z pewnością nie unikatowe.

- Pan Art Sherberne, prawda? - zapytał Cain.

Sherberne zawahał się i skinął lekko głową.

Cain podszedł do drzwi frontowych, przesunął zasuwkę i odwrócił tabliczkę z napisem „Otwarte”.

- Co pan robi? - zapytał Sherberne, podnosząc głos. Zrobił krok w stronę swojego biurka.

- Zapomnij o alarmie - poradził spokojnie Cain. - Gliniarze to ostatni ludzie, których chciałbyś mieć teraz na karku.

Właściciel galerii zamarł, zupełnie jakby wiedział, o czym mówi Cain.

- Co pan ma na myśli? - zapytał intruza.

- Szukam pewnych naczyń - wyjaśnił Cain. - Z basenu San Juan, czarno-białe, z motywami Kokopellego. Możliwe, że jest wśród nich także symbol klanu w kształcie żółwia.

Sherberne na moment otworzył szeroko oczy.

- Obawiam się, że nie mogę panu pomóc - powiedział w końcu.

- Tak po prostu? Nie chce nawet pan przejrzeć spisu swoich towarów? - naciskał Cain.

- Przedmioty takie jak te, które pan właśnie opisał, są dosyć rzadkie - oświadczył Sherberne. - Nie mam niczego takiego..

- Jest pan pewien?

- Osobiście wybieram każdy przedmiot, który znajduje się w galerii.

Cain uśmiechnął się.

- Dobrze - powiedział. - W takim razie będzie pan wiedział, czy w przeszłości przeszły przez pana ręce podobne przedmioty.

- To nie pańska sprawa.

- Nie byłbym taki pewien - zauważył Cain.

Sherbernowi nie spodobało się to, co zobaczył w oczach gościa. Odwrócił wzrok i zapytał:

- Kim pan jest?

Cain zignorował pytanie.

- Czy miał pan coś z symbolami Kokopellego albo jakiegokolwiek żółwia?

Sherberne zacisnął zęby.

- Nie.

- Nie podoba mi się ta odpowiedź. - Cain odwrócił się w stronę Christy. - Pokaż panu listy.

Wyjęła koperty z nazwą galerii Sherberna na adresie nadawcy.

Właściciel galerii przełknął ślinę.

- Czy mówi panu coś nazwisko Christy Jody McKinley? - zapytała Christy.

Szczupła, opalona twarz Sherberna zrobiła się równie blada jak jego koszula.

- To ty jesteś...

Właściciel galerii nagle odzyskał panowanie nad sobą i nie dokończył zdania.

- Kim jestem? - zapytał Cain. Sherberne potrząsnął głową w milczeniu.

- Nie bądź głupi. Te listy świadczą o tym, że brałeś udział w handlu kradzionymi dziełami sztuki.

- Kradzionymi?

Właściciel sklepu wydawał się szczerze zaskoczony. Podszedł do biurka, wyjął paczkę papierosów, przypalił jednego i spojrzał spod przymkniętych powiek na Caina.

- Więc jednak miał pan tutaj te rzeczy? - spytała Christy.

Sherberne przytaknął wypuszczając kłęby dymu.

- Gdzie one teraz są?

- Sprzedane.

- Japończykom czy Niemcom?

Właściciel galerii rzucił Cainowi ostre spojrzenie.

- Nie rozmawiam o interesach z obcymi - oświadczył.

- Możemy sprowadzić policję, jeśli o to panu chodzi - zaproponował Cain.

- Słuchaj no - warknął Sherberne. - Wszystko odbyło się legalnie. Mam pełną dokumentację.

- Wie pan całkiem dużo o prawie karnym jak na faceta zajmującego się handlem sztuką.

- Od lat sprzedaję i kupuję rzeczy pochodzące z wykopalisk. Miałem do czynienia z Biurem Zarządu Gruntów, policją plemienną Navajo, a nawet z FBI.

- Imponujące - mruknął Cain.

- Nikt nigdy nie przyłapał mnie z kradzionym garnkiem albo z innym przedmiotem podejrzanego pochodzenia - zakończył Sherberne. - I nikt mnie nigdy nie przyłapie.

- Czy to znaczy, że ma pan dokumentację na rzeczy, które sprzedała panu ta McKinley? - zapytała Christy.

- Oczywiście.

- I ich wydobycie odbyło się legalnie? - naciskała dalej.

- Tak przynajmniej mówi dokument, zresztą potwierdzony notarialnie.

- No pewnie - skwitował Cain. - Chryste Panie.

- I uwierzył pan tej kobiecie - raczej stwierdziła niż zapytała Christy.

- Naturalnie, że tak.

- Czy wie pan gdzie ona może teraz być? Ta McKinley?

- Mniej więcej.

- Gdzie?

- W piekle.

- Co takiego?

- Nie żyje, suka.

- Nie - szepnęła Christy. - Nieprawda. To niemożliwe.

Sherberne spojrzał na nią zdziwiony i zaciągnął się niecierpliwie papierosem.

- Możliwe - powiedział w końcu.
- Nie wierzę - powtórzyła dziewczyna. - Ona nie może...
- Dlaczego nie?
Christy nie odpowiedziała.
- Jeśli mi nie wierzycie, idźcie sprawdzić w kostnicy - zakończył bez ogródek właściciel galerii.
Christy usiłowała coś powiedzieć, ale głos odmówił jej posłuszeństwa.
- Chociaż nie sądzę, żebyście byli w stanie ją zidentyfikować. Zginęła razem ze swoim głupkowatym kochaniem.
Rozbili się samolotem. Szczątki maszyny rozprysnęły się po całym pasie startowym. Cały dzień je zbierali. Z początku sprawa wyglądała na wypadek, ale teraz gliny twierdzą, że ktoś im pomógł.
Nagle Christy uwierzyła we wszystko. Przeszył ją dreszcz żalu, poczucia winy i rozpacz.
Słodką małą dziewczynką, którą uwielbiali wszyscy. Piękna kobieta, której nie kochał nikt.
Wszystkie kolory zniknęły przed oczu Christy. Zamiast nich pojawiła się czarna plama. Zakręciło jej się w głowie i ugięły się pod nią kolana.
Cain złapał dziewczynę w samą porę.
- Oddychaj, Ruda. Oddychaj głęboko!
Christy uczepliła się go kurczowo. Cały świat wirował jej przed oczami. Walczyła o oddech, czekała, aż ustąpi silne pulsowanie w uszach. Kiedy znowu mogła widzieć, pojawił się ból. Z trudem powstrzymała łzy, ostatkiem sił próbując się opanować. O dziwo, ból jej pomógł. Przynajmniej czuła, że żyje.
- Teraz Jo-Jo nikogo już nie skrzywdzi, prawda?
Christy nie zdawała sobie nawet sprawy, że wypowiedziała to na głos. Uświadomiła to sobie dopiero, kiedy usłyszała przy swoim uchu łagodny szept Caina i poczuła ciepło jego oddechu.
- Prawda. Nikogo już nie skrzywdzi - powiedział głaszcząc ją po głowie. - Cokolwiek dręczyło Jo, umarło razem z nią.
Z ogromnym wysiłkiem uniosła głowę i spojrzała na Caina. Patrzył na nią z bolesnym współczuciem, zupełnie jakby chciał dźwigać ból razem z nią, żeby choć trochę ulżyć jej cierpieniu.
- Przykro mi - powiedział po prostu.
- Była moją siostrą - wyszeptała Christy, zupełnie jakby Cain o tym nie wiedział.
- Rozumiem.
- Naprawdę?
- Znałaś ją jako dziecko, kiedy wszystko jeszcze było przed tobą. Teraz nie żyje, a życie buduje tak wiele przeszkód.
Christy walczyła z łzami, które popłynęły dopiero teraz, wraz ze zrozumieniem nie uświadomionej dotąd straty.
Już nie wskrzesi Jo-Jo. Nie mogła jej uratować.
- Wystarczy - powiedziała w końcu - Już mi lepiej.
- Błado wyglądasz.
- Zawsze wyglądam błado. Mam karnację rudzielca.
Cain z ociąganiem rozluźnił uścisk. Dalej jednak stał blisko, uważnie wpatrując się w dziewczynę.
- Wszystko w porządku - powiedziała. - Naprawdę w porządku.
Kiedy Cain upewnił się, że rzeczywiście nic jej nie jest, skierował uwagę na Sherberne'a.
Właściciel galerii spojrzał na niego i cofnął się kilka kroków, aż zatrzymała go szklana witryna.
- Dlaczego uważasz, że w katastrofie samolotu było coś podejrzanego? - zapytał Cain.
- To był sabotaż. Policja uważa, że związany z handlem narkotykami.
- Na jakiej podstawie?
- Dwóch z tych gości zachowywało się jak handlarze kokainy - odpowiedział Sherberne. - Żadnej klasy, za to mnóstwo gotówki.
- Kiedy ich ostatni raz widziałeś?
Sherberne nie odpowiedział.
- Jeśli nie przemówisz - zagroził zimno Cain - załatwię ci takie zniszczenia, jakich nie pokryje twoje ubezpieczenie.
Właściciel galerii nie bardzo rozumiał, o co w tym wszystkim chodzi.
- Przedwczoraj. Zanim pojechali na lotnisko - odezwał się wreszcie.
- Chcieli ci coś sprzedać, czy tylko odbierali pieniądze? - zapytał Cain.
- Chcieli sprzedać. Zdziwiłem się. Nie sądziłem, że coś im jeszcze zostało.
- Kupiłeś?
- Tak.
- Masz to jeszcze?
Sherberne wolałby nie odpowiadać, ale nie miał wyjścia.

- Tak - odrzekł w końcu. - Mam to w piwnicy. Strasznie się spieszyli.

- Chodźmy zobaczyć - zaproponował Cain.

Sherberne zgasił papierosa. Poszli za nim przez biuro do warsztatu w podziemiach, które w porównaniu z pedantycznie schludną galerią zaskakiwały nieporządkiem. Dzieła sztuki wały się po stołach i krzesłach, piętrzyły na podłodze, tłoczyły na półkach i kredensach. .

- Szczerze mówiąc - wyznał właściciel galerii - zazwyczaj czegoś takiego nie biorę. Ani w komis, ani za gotówkę.

Cain rozglądał się pożądliwie dookoła.

- Wcale tego nie chciałem - kontynuował Sherberne - ale byli tak zdesperowani, że w końcu wziąłem w komis.

- Gdzie to jest? - zapytał Cain.

Sherberne podszedł do jednego z biur. Podniósł pokrywę prostokątnego pudła zajmującego większą część biurka, obserwując uważnie Christy.

- Wyglądasz na przestraszoną - odezwał się do dziewczyny. - Może lepiej wrócisz na górę.

- Otwórz - odpowiedziała Christy.

- Jak chcesz.

Właściciel galerii podniósł wieczko i czekał na reakcję.

Długie pudełko wyłożone było gąbką, taką samą, jakiej używa się przy pakowaniu materiałów fotograficznych.

Otwory w gąbce zawierały długie, ciemne kawałki czegoś, co wyglądało jak drewno.

Ale to nie było drewno. Puste oczodoły spoglądały z równie pustej czaszki. Kości rąk i ramion, a także większość zębów było nietkniętych, podobnie jak kości miednicy i jedna z piszczeli.

Christy zmusiła się, żeby beznamiętnie spojrzeć na szczątki. Zdążyły bardzo długo przeleżeć w grobie, zanim ponownie wyciągnięto je na światło dzienne.

- Powiedziałem tej kobiecie, że nie ma zbyt wielkiego zapotrzebowania na ludzkie szczątki, ale jej bardzo zależało. Zgodziła się je sprzedać za jedyne pięć tysięcy dolarów.

- Pięć tysięcy? - zapytała z niedowierzaniem Christy. - Można dostać pięć tysięcy za ludzki szkielet?

- Prawdopodobnie dwa razy tyle - odparł Sherberne. - Albo nawet trzy.

Christy spojrzała na Caina.

- Kolekcjonerzy to przeważnie dziwacy - wyjaśnił jej. - Zbierają wszystko, nawet ludzkie kości.

Skrzywiła się z obrzydzeniem.

- Niechętnie zajmuję się takim towarem - przyznał Sherberne. - Ale ona i tak zostawiła to w komis.

Cain rozejrzał się po pokoju.

- Sądząc po tym, co tutaj widzę, dziwię się, że w ogóle istnieje coś, czym się nie interesujesz.

Sherberne spojrzał na Caina ze złością.

- Wszystko ma swoje granice - wyjaśnił chłodno. - Nie interesują mnie nekrofile ani Moki-magicy.

- Moki-magicy? - zapytała szybko Christy. - Co masz na myśli?

- Uzdrowiciele praktykujący czarną magię - powiedział Cain. - Uważają się za potomków Anasazich.

- Do czego im kości? Żeby używać ich jako rekwizytów podczas występów na scenie? - zapytała sucho Christy.

Sherberne milczał. Wyręczył go Cain.

- Używają czaszek przy niektórych ceremoniach. Niektórzy mieli kości na diabelski proszek - wytłumaczył.

- Diabelski proszek - powtórzyła bezbarwnym głosem.

- Trucizna duszy. Niektórzy medycy Navajo i Pueblo używali proszku z ludzkich kości, żeby wzmacniać klątwy.

Christy poczuła, jak narasta w niej lęk. Podobnego uczucia doznała, kiedy po raz pierwszy zobaczyła fragment kości w jaskini, a potem kiedy złoty naszyjnik i kawałki kości wyleciały jej na dłoń. Podobny strach dopadł ją także w innym miejscu - w prywatnej galerii demonów Petera Huttona.

Lęk był prymitywny i głęboki, jak niezmierna jest otchłań wieczności poza kręgiem światła, jakim jest cywilizacja.

- Czy mogę coś jeszcze dla ciebie zrobić? - zapytał z przesadą uprzejmością Sherberne.

- Tak - odrzekł Cain. - Kiedy policja będzie pytać o blondynkę... a na pewno będzie... zapomnij, że kiedykolwiek nas tu widziałeś.

Właściciel galerii wzruszył ramionami.

- My w zamian za to zapomnimy, skąd blondynka ukradła swój towar.

- Ja mam czyste ręce - odparł natychmiast Sherberne.

- Całe twoje szczęście - powiedziała Christy. - Jestem pewna, że reporterzy wezmą pod uwagę twoją niewinność.

- Reporterzy? - przeraził się Sherberne. - Jacy, do cholery, reporterzy?

- Na razie tylko my troje wiemy, kto sprzedał skradzione rzeczy Huttona - zauważyła Christy. - Jeśli nie powiesz policji, że tu byliśmy, my nie powiemy dziennikarzom, kto sprzedał ci naczynia.

- I kości - dodał Cain. - Nie zapominaj o kościach.

- Ach tak, kości - skrzywiła się Christy. - Świetny temat na nagłówki. Sławny projektant oszukany przez sławną modelkę. Seks i szkielety. Ludzie będą się zabijać o gazety. Nikt nie zwróci uwagi na to, jakie dokumenty ma pan Sherberne.

- Przekonałście mnie - powiedział Sherberne lodowatym tonem. - Nic nie powiem policji.

Christy spojrzała na Caina i zapytała:

- Czy to już wszystko?

- Prawie.

Jej towarzysz zamknął podłużne pudło, podniósł je i wsadził sobie pod pachę.

- Zaraz! - krzyknął Sherberne. - Nie możesz...

- I tak wzięłeś to w komis - przypomniał chłodno Cain. - Zabieramy je z powrotem. Jeśli ci się coś nie podoba, pomyśl, jak bardzo będą zachwyceni twoi klienci, kiedy ktoś skojarzy ich nazwiska z handlem ludzkimi szczątkami.

- To śmieszne. Ja nigdy...

- Właśnie - przerwał Cain. - I nigdy nie będziesz miał okazji.

Cain i Christy wyszli cicho z piwnicy, a potem przez biuro na ulicę. Kiedy zamknęły się za nimi drzwi, dziewczyna spojrzała na swojego towarzysza.

- Myślisz, że to zadziała? - zapytała.

- Prawdopodobnie, dopóki ktoś nie znajdzie na niego lepszego haka.

Christy nie odezwała się więcej, kiedy szli do ciężarówki, ani wtedy, kiedy Cain rozwiązywał róg winylowego pokrycia, które zasłaniało bagażową część pikapa. Milczała także, kiedy wsunął pudło do środka i z powrotem związał pokrywę.

Kiedy siedzieli już oboje w samochodzie, dziewczyna głęboko westchnęła.

- I co teraz? - zapytała.

- Albuquerque i Biuro Zarządu Gruntów.

- Dlaczego?

- Johnny twierdził, że uratują mu tyłek. Może ocalą nasze zamiast jego.

23

Albuquerque było pogrążone we wczesnopopołudniowym smogu. Ruch na wschodnio-zachodniej Międzystanowej numer czterdzieści mieszał się nierówno ze sznurem samochodów na północno-południowej Międzystanowej dwadzieścia pięć.

Cain wyszedł z budki telefonicznej na stacji obsługi już po raz drugi tego dnia i ponuro popatrzył w niebo. Czuł się okropnie, zupełnie jak kojot wypuszczony na Main Street. Miejska mgiełka nie była w stanie go uspokoić.

Nie pomagał też fakt, że Christy była teraz mniej więcej tak samo dobrym kompanem jak szkielet w pudle.

- Larry ma dla nas numer śledczego od jakichś innych glin - powiedział Cain, wdrapując się do półciężarówki.

Christy odwróciła się i spojrzała na niego. Mężczyzna zdał sobie sprawę, że to nie milczenie tak go przygnębia, lecz ból, który dostrzega w jej oczach.

- Wszystko już załatwione - powiedział. - Facet nazywa się Hoyt Jackson. Zgodził się na wywiad dla „Horyzontu”.

- Mamy robić wywiad z gliniarzem?

- Hoyt Jackson jest bardziej archeologiem niż gliną.

- Mam nadzieję, że się nie mylisz.

- Zawsze możesz wrócić do domu - powiedział Cain.

- Chciałeś się dowiedzieć, kto próbował cię zabić - odrzekła beznamiętnie Christy. - I dowiedziałeś się. Teraz ja chcę się dowiedzieć, kto zabił Jo-Jo.

Cain zapalił silnik.

- Tym lepiej. Wolę nie spuszczać cię z oka, zanim się nie upewnię, że jesteś bezpieczna.

- Bohater się znalazł - mruknęła Christy pod nosem. - Najpierw chroni mnie przed samą sobą, a potem przed światem.

Zacisnęła mocniej ręce na kierownicy.

- Nikt nie wie o Jayu i Jo-Jo - odezwał się szorstkim głosem. - Wiadomość o śmierci Johnny'ego nie ujrzała jeszcze światła dziennego. Danner znalazł moją ciężarówkę w lesie, tam gdzie porzucił ją Larry. Jeśli ktoś zauważył, że zniknęłaś, na razie nie robi z tego afery.

- Nic dziwnego. Nie ma już nikogo, komu by na mnie zależało.

- Mnie zależy.

- Daj spokój - powiedziała z sarkazmem. - Oboje wiemy, jak bardzo ci zależy.

- Ostatnia noc nie ma z tym nic wspólnego.

- Tego sama się domyślałam.

- Skarbie...

- Poza tym - ciągnęła Christy podniesionym głosem - nie było żadnej ostatniej nocy, pamiętasz?

- Cholera.

- Amen, przyjacielu.

Cain zamilkł i przedzierał się przez smog. Żadne nie powiedziało ani słowa, dopóki nie znaleźli się w biurze Hoyta Jacksona. Pokój śledczego Biura Zarządu Gruntów wyglądał, jakby należał do roztrzepanego kustosa muzealnego. Małe biurczko było zavalone papierami. Półki na regałach zastawiono skorupami naczyń w pudełkach i zachowanymi w całości przedmiotami. Każde pudełko i przedmiot oznaczały poważnie wyglądające nalepki z napisem: „Materiał dowodowy”. Była to jedyna w tym miejscu oznaka porządku i organizacji.

Hoyt Jackson miał na sobie koszulę khaki z insygniami Biura na ramionach, ale reszta jego munduru nosiła piętno takiej samej przypadkowości jak całe wnętrze. Buty miał bardzo wytarte, a jego levisy zwisały nisko pod wystającym brzuchem. Twarz była opalona tylko tam, gdzie nie dotarł zarost. Jackson nosił okulary do czytania w metalowych oprawkach. Wyglądał mniej na gliniarza niż jakikolwiek gliniarz, jakiego Christy do tej pory widziała.

Śledczy usunął z dwóch krzeseł pudełka z brudnymi skorupami i gestem zachęcił swoich gości, żeby usiedli.

- Co mogę dla was zrobić? - zapytał.

- Piszę artykuł o południowo-zachodnich znaleziskach archeologicznych - powiedziała spokojnie Christy. - Aaron Cain pomaga mi w tym.

- Tak jak powiedziałem policjantowi Moore'owi, kiedy Joe się ze mną skontaktował - odezwał się Jackson - powinienem najpierw zwrócić się do naszego biura informacji publicznej po zgodę na wywiad dla prasy.

- Chodzi tylko o informacje pomocnicze - powiedziała Christy. - Interesuję się nielegalnym przemysłem znalezisk archeologicznych z południowego zachodu do Nowego Jorku. Larry powiedział mi, że jest pan ekspertem w tej dziedzinie.

Komplement mile połechtał Jacksona, lecz wciąż nie był do końca przekonany.

- Nawet nie wymienię pańskiego nazwiska w artykule, chyba że sam pan będzie tego chciał - przekonywała Christy. - Chciałabym, żeby pomógł mi pan na tyle się zorientować w temacie, abym mogła zadawać inteligentne pytania osobom, których nazwiska będą wymienione.

Jason wahał się jeszcze przez chwilę. W końcu wzruszył ramionami.

- Joe twierdzi, że Larry jest w porządku - powiedział śledczy. - A Larry ręczył za was oboje. Zrobię, co będę mógł.

- Dziękuję - powiedziała Christy.

- Od czego zaczniemy?

- Jestem przede wszystkim zainteresowana działalnością faceta zwanego Johnny Dziesięć Kapeluszy.

- Dziesięć Kapeluszy, powiadasz? Tak, ten gość mógłby wam sporo opowiedzieć. Próbowaliście go wypytywać?

- Wymienił pana nazwisko - odezwał się Cain, kiedy zobaczył, że Christy się waha.

Jackson nie wyglądał na zachwyconego.

- Johnny powiedział mi, że współpracuje z Biurem Zarządu Gruntów - rzuciła Christy, mając nadzieję, że nie było słyhać napięcia w jej głosie.

- Mam nadzieję, że ten skurwiel... przepraszam panią, ale Dziesięć Kapeluszy i ja nie byliśmy w zbyt dobrej komitywie.

Dziewczyna uśmiechnęła się ze zrozumieniem.

- Czy Johnny dla pana pracował?

- John nie jest ani pracownikiem, ani kapusiem - odparł Jackson.

- Jak by go pan zatem opisał?

Jackson pociągnął się za bokobrody i znad przekrzywionych okularów zerknął najpierw na Christy, a potem na Caina.

- Rozmawialiście z nim? - zapytał.

Cain skinął głową.

- Czy mówił coś o swojej ciotce? - drążył Jackson.

- Mówił o wielu rzeczach - odpowiedziała Christy, zanim Cain zdążył otworzyć usta - problem w tym, że nie wiemy, co z tego, co mówił, jest prawdą. Co panu powiedział o ciotce?

Cain posłał jej pełne podziwu spojrzenie.

- Bystra z ciebie dziewczyna - pochwalił śledczy. - Dziesięć Kapeluszy nigdy nie był zbyt prawdopodobnym człowiekiem.

- Zauważyłam. Dlatego przyszliśmy do kogoś uczciwego.

Uśmiechając się zachęcająco, Christy czekała, aż śledczy znowu zacznie mówić.

Jackson umościł się wygodniej na krześle.

- Dziesięć Kapeluszy ma ciotkę w hrabstwie Rio Arriba. Ma na imię Molly. Parę miesięcy temu wpadła w kłopoty, kopiąc tam, gdzie nie powinna była kopać.

- Rozumiem - powiedziała Christy.

- To miła starsza pani. Po prostu nie rozumie, że jej krewni nie mają już prawa do tej ziemi.

- Gdzie kopała? - zainteresował się Cain.

- W jakichś ruinach w dole Kanionu Chaco - odparł Jackson. - Natknął się na nią jeden z młodych oficerów patrolujących teren.

- Kopała, tak? - zapytał Cain. - To znaczy, że ją oskarżą?

- Tak - westchnął Jackson. - To nieprzyjemna sprawa. Bardziej doświadczony policjant inaczej by to załatwił...

Cain potaknął ze zrozumieniem.

- W każdym razie Johnny Dziesięć Kapeluszy przyszedł do mnie, proponując mi przysługę za przysługę.

- Żeby pomóc ciotce? - zapytała Christy.

Jackson kiwnął głową.

- Za uwolnienie ciotki zgodził się sprzedać jakieś informacje o innej osobie.

- Robi się takie rzeczy? - zapytała dziewczyna.

Widać było, że śledczemu ta rozmowa nie sprawia przyjemności.

- To częsta praktyka - powiedział spokojnie Cain. - To się nazywa pójście na ugodę.

Jackson potwierdził niechętnie.

- I co Johnny panu powiedział? - zapytała Christy.

- Okazuje się, że wcisnął mi kit. Powiedział, że wprowadzi mnie w dużą sprawę, z mnóstwem skorup i sławnych ludzi z Nowego Jorku.

- I co?

- Na razie nic - odparł Jackson. - Tak naprawdę, to dlatego zgodziłem się z wami pogadać, w końcu jesteście z Nowego Jorku. Może wy moglibyście mi pomóc.

- Mogłabym coś zrobić - powiedziała spokojnie Christy - gdybym wiedziała, o co chodziło Johnny'emu. Co dokładnie panu powiedział?

- Nic konkretnego.

- Ile razy pan z nim rozmawiał?

- Trzy - powiedział Jackson. - Opowiadał coś o Nowym Jorku, ale bez żadnych konkretów, a potem wypytywał mnie, skąd wiemy, że znalezisko zostało wykopane na tej, a nie innej, ziemi, jeśli zostało sprzedane i wszyscy milczą.

Christy wyczuła, że Cain wzmógł czujność, ale nic nie powiedział.

- W końcu stwierdziłem, że próbował się po prostu dowiedzieć, jak obejść prawo - ciągnął Jackson. - Więc powiedziałem mu, żeby się odpieprzył, chyba że rzeczywiście będzie miał dla mnie jakieś dowody.

- Rozumiem. Kiedy to było? - zapytała Christy.

Jackson zmarszczył brwi, podniósł z biurka gładki czarny kamień w kształcie klina i podrzucił go parę razy w górę.

- Niedawno - powiedział. - Szczerze mówiąc, nie podobało mi się to. Uważałem go za wariata.

- Co było takiego dziwnego w tym, co mówił?

Śledczy westchnął i odłożył kamień na miejsce. Kiedy cisza przedłużała się, Cain wziął kamień do ręki.

- Ładny gastrolit - powiedział.

Jackson uśmiechnął się z uznaniem.

- Niewielu potrafi rozpoznać kamień z brzucha dinozaura

- Widziałem ich wiele w wykopaliskach po Anasazich - wyjaśnił Cain.

- Jak myślisz, do czego Anasazim były potrzebne te kamienie? zainteresował się Jackson. - Zbieram teorie na ten temat.

- Prawdopodobnie używali ich do wygładzania wewnętrznych znaków na garnkach - odrzekł Cain.

Kiedy mówił, jego kciuk zakreślał wolno kółka na kamieniu. Christy przypomniała sobie, jak zmysłowo Cain potrafi dotykać, i bardzo zaczerwieniła się.

Dostrzegł to i uśmiechnął się.

- Albo po prostu - dodał - podobała im się ich jedwabista powierzchnia.

Jackson kiwnął głową.

- Tak, ja się skłaniam właśnie ku tej teorii.

- Nadal prowadzi pan sprawę ciotki Johnny'ego?

- Molly to starsza kobieta - zawahał się Jackson. - Tak między nami, to mam zamiar zamknąć tę sprawę.

- Gdzie jest teraz Molly? - spytała Christy.

- Nie wiem, naprawdę.

- A kto może wiedzieć?

Jackson zastanowił się chwilę. Otworzył szufladę, wyjął teczkę i przejrzał z tuzin karteczek i serwetek barowych, zapisanych gęsto notatkami. W końcu znalazł to, czego szukał: numer telefonu na odwrocie koperty, która wyglądała, jakby kiedyś był w niej rachunek za światło.

- Jej pełne nazwisko brzmi Molly Patrząca w Słońce - powiedział Jackson.

Christy wyczuła nagle zainteresowanie Caina. Jej towarzysz nie odezwał się jednak.

- Molly mieszka teraz między Cube a miejscem o nazwie Counselors - wyjaśnił Jackson. - Jest tam mała stacja benzynowa na dwa stanowiska, zaraz jak wjedziecie do hrabstwa Rio Arriba. Tam zapytajcie, a na pewno wam powiedzą, jak do niej dojechać.

Wyrwał z kalendarza kartkę, zapisał numer telefonu i podał go Christy.

- To numer do jej córki. Możecie do niej najpierw zadzwonić, ale na waszym miejscu poczekałbym z tym, aż znajdziecie się na miejscu. Molly może zniknąć na jakiś czas, jeśli nie będzie chciała z wami rozmawiać.

Jackson wstał, sygnalizując, że rozmowa dobiegła końca. Niechętnie wstali także Cain i Christy.

- Dziękujemy - powiedziała dziewczyna. - Jesteśmy wdzięczni, że poświęcił nam pan swój czas.

- Nie ma za co - odparł Jackson. - Jeśli naprawdę jesteście wdzięczni, powiecie mi, co Molly chciała wykopać i dlaczego.

- Nie powiedziała panu? - zapytał Cain.

- Ani słowa. Nie mogliśmy z niej nic wyciągnąć.

- To na pewno sprawa religijna.

- Tak myślisz? - zainteresował się Jackson.

- Patrząca w Słońce to imię, które przyjmuje szamanka podczas inicjacji, wprowadzenia do obowiązków - powiedział Cain. - Jeśli kobieta o takim przezwisku kopała na ziemi przodków, na pewno były w tym jakieś przyczyny kultowe. Zamknijcie tę sprawę to dobry pomysł.

- A niech mnie! Dzięki. Tak bardzo zajmują mnie stare skorupy, że zapominam, że Indianie to też ludzie.

Cain kiwnął głową i potrząsnął wyciągniętą ręką Jacksona.

- Czy Johnny był specjalnie zainteresowany jakąś metodą śledczą? - zapytał Cain, kiedy uścisk dłoni zelżał.

Jackson skupił się na pytaniu. Obracał je w umyśle, jakby było śliskim kamieniem. Potem spojrzął na Caina.

- Chciał się dowiedzieć, jak możemy udowodnić pochodzenie znaleziska z określonego miejsca, jeśli w dokumentacji zostało zapisane, że wykopano je gdzie indziej.

- Możecie to zrobić? - zapytała zaskoczona Christy.

Jackson uśmiechnął się od ucha do ucha.

- Tak, proszę pani. Z całą pewnością.

- W jaki sposób? - zainteresował się Cain.

- Zapytaj chłopaków z laboratorium w Los Alamos... jeśli będą chcieli z tobą gadać. Co do mnie, posyłam im po prostu znalezisko i czytam to, co o nim napisali.

Cain wątpił, czy Jackson mówi im całą prawdę, ale zachował to dla siebie. Śledczy powiedział im na pewno tylko tyle, ile chciał.

Oboje milczeli, idąc w stronę ciężarówki. Dopiero w samochodzie Christy powiedziała:

- No tak. Teraz wiemy, dlaczego Johnny gotów był zabić za torbę kości.

- Nic się przed tobą nie ukryje. Ruda.

- Jestem specjalistką od detali. Nie mogę za to poradzić sobie z podstawowymi sprawami.

- Jakie sprawy masz na myśli?

- Na przykład to, że moja siostra była morderczynią, a ja niczego nie podejrzewałam. Albo że pozwoliłam dać się uwieść facetowi, który nie miał nawet tyle ikry, żeby dokończyć dzieła.

- Cholera, to nie jest...

- Masz rację - przerwała mu Christy. - Wybacz. Przepraszam. Nie mogłam się opanować. Wcale nie chciałam o tym mówić, to już się nie powtórzy.

- To, co się stało ostatniej nocy, to nie dlatego, że cię nie pragnąłem - powiedział Cain ostro.

- To, co się wydarzyło ostatniej nocy, w ogóle nie ma znaczenia. - Christy spojrziała na zegarek. - Czy nie musimy już jechać do Ruby czy gdziekolwiek, zanim się ściemni?

- Musimy.

- Świetnie. Im szybciej z tym skończymy, tym szybciej będziemy mogli wrócić do normalnego życia.

- Tęsknisz za swoim chłopakiem? - zapytał kwaśno Cain.

- Nie mam chłopaka.

- To do czego tak się spieszysz? Do pracy?

- Moja praca prawdopodobnie nie przetrzyma tej sprawy - powiedziała Christy zmęczonym głosem.

- W takim razie po co ten pośpiech?

- Jo-Jo nie żyje. Nie byłoby mnie tutaj, gdyby nie ta brudna historia, w jaką wmieszała się moja siostra, którą zawsze kochałam, czasem nienawidziłam, a tak naprawdę nigdy nie znałam.

Cain oczekiwał raczej gniewu niż smutnej rezygnacji w głosie Christy. Spojrzał na nią, ale ona nie patrzyła w jego stronę. Oparła głowę o szybę. Choć miała otwarte oczy, zdawała się nic nie widzieć.

- Nie możesz zmienić przeszłości - powiedział Cain. - Jedyne, na co możesz mieć wpływ, to przyszłość.

Christy chciała mu powiedzieć, żeby poszedł do diabła, ale nie miała siły. Uchyliła trochę okno, wpuszczając do wnętrza samochodu chłodne wieczorne powietrze.

Po przejechaniu wielu kilometrów powietrze pustyni i jej surowe piękno nadal ją poruszały. Wyprostowała się i spojrzała na mężczyznę, którego znała zaledwie od dwóch dni.

Dwa dni. Boże! Wydaje się, że minęły całe wieki. Jo-Jo nie żyje, widziałam zabitego człowieka, Nick należy do przeszłości, stracę pracę i uciekam razem z byłym więźniem, pomyślała.

- Możemy porozmawiać? - zapytał Cain.

- O czym?

- O tym, o czym myślisz.

- Myślę o tym, jak dziwnie postrzegamy upływ czasu - powiedziała.

- Dwa dni, a wydaje się, jakby minęły dwa lata?

Zdziwiona, spojrzała na Caina.

- Skąd wiesz?

- Też przeżyłem te dwa dni - powiedział sucho.

W śmiechu Christy było więcej smutku niż wesołości, ale zawsze był to śmiech.

- Tak, masz rację - powiedziała. - Ale ty nie wyglądasz, jakby przejechała cię ciężarówka.

- To trik, którego nauczyłem się w więzieniu. Kiedy nie radzisz sobie z dużymi problemami, myśl o drobiazgach.

- I to działa?

- Zazwyczaj tak - odpowiedział.

- A jeśli nie?

- Wtedy wyglądam, jakby przejechała mnie ciężarówka.

Christy wzięła głęboki oddech i wypuściła powietrze.

- W porządku. Drobiazgi. Ty zaczynasz.

- Jaskinia Huttona była napakowana taką ilością wspaniałych znalezisk, że Peter nawet nie zauważył, kiedy Jo-Jo i Jay przywłaszczyli sobie milion dolarów - powiedział Cain. - Twoja kolej.

- Johnny o tym wiedział. Musiał wiedzieć. To on robił wykopaliska dla Huttona.

- W porządku. Podejrzewam, że robił też forszę dla Jo-Jo.

Christy zmarszczyła brwi.

- Co mogło pójść nie tak? Dlaczego Jo-Jo i Jay nagle wzięli nogi za pas?

- Może Johnny chciał więcej pieniędzy. Albo może wcale nie mieli zamiaru mu zapłacić. - Cain zawahał się i dodał: - Może stwierdzili, że to, co zrobiła Jo-Jo, było wy starcząjącą zapłatą dla Johnny'ego.

- Wszystko jedno - stwierdziła Christy. - W każdym razie wzięli ostatnie znalezisko i uciekli do Santa Fe. A potem ona... zginęła.

- Jeśli to był sabotaż... Są dwie możliwości - powiedział Cain rzeczowo.

Christy słyszała to wszystko jakby z dystansu.

- Twoja kolej - powiedział Cain. - Drobiazgi, Ruda. Tylko drobiazgi.

Christy spróbowała zebrać myśli.

- Kto zyskał na sabotażu? - zapytał Cain.

- Johnny, jeśli go oszukano. I Hutton, którego na pewno oszukano.

- Ale Johnny nie szantażował Jo-Jo ani Jaya - przypomniał Cain. - Ich śmierć byłaby dla niego stratą kury znoszącej złote jajka.

- W takim razie zostaje nam Hutton. - Christy zmarszczyła brwi.

- To mój kandydat numer jeden.

- Dlaczego?

- Przekonałem się, że gdyby Johnny chciał kogoś zabić, zrobiłby to od razu.

- Wtedy, kiedy byliśmy w jaskini? - zapytała Christy.

- Tak. Sabotaż nie był w jego stylu.

- Ale... - głos jej zamarł.

- Ale co?

- Hutton być może sprzedawał znaleziska i ukrywał dochody, ale to nie jest warte zabicia kogoś tylko po to, żeby go uciszyć.

- Zazdrość - podsunął Cain.

- Ze strony faceta, który lubił patrzeć, jak Jo-Jo robi to z innymi mężczyznami? - zapytała Christy głosem pełnym obrzydzenia. - Poza tym nie byli już razem.

- Kara za to, że go okradała? - zaproponował Cain.

- Gdyby doprowadził do aresztowania Jo-Jo za kradzież, odbierając jej pozycję i dumę, to by była kara. Dlaczego tego nie zrobił?

Rozmowa urwała się. Milczeli przez parę kolejnych kilometrów.

- Założę się, że Johnny znał odpowiedź na to pytanie - przerwał ciszę Cain.

- Ciekawa jestem, czy Hutton nie ma w swojej teczce jakichś anonimów od Johnny'ego. Szantaż jest dobrym powodem morderstwa.

- Zapominasz o czymś, Ruda.

- O czym?

- To ja zabiłem Johnny'ego. Jeśli są jakieś anonimy w teczce Huttona, to podpisali je Jay albo Jo-Jo.

Długi sznur samochodów uformował się przed nimi na lewym pasie. Kiedy jadąc w stronę słońca zbliżyli się do szpaleru aut, przyczyna korka stała się jasna. Samochód patrolu autostrad z Nowego Meksyku jechał z maksymalną dozwoloną prędkością - dziewięćdziesiąt kilometrów na godzinę - co zmuszało oburzonych kierowców do ustawienia się za nim w rzędzie.

Cain i Christy wstrzymali oddech. Wpatrzyli się w lusterka, jakby oczekiwali, że nagle zobaczą, jak patrol zawraca i zaczyna ich ścigać. Pustynny konwój pojechał jednak dalej, by wkrótce zniknąć za wzgórzem.

- Mam nadzieję, że Molly Patrząca w Słońce wie to, co wiedział Johnny - odezwał się Cain. - Nie możemy uciekać w nieskończoność.

24

Stacja benzynowa stała tuż za wjazdem do hrabstwa, skąpana w słońcu i wietrze. Cain zaparkował obok jednego z dwóch starych dystrybutorów i otworzył drzwiczki. Kiedy wychodził, parka czarnych kruków sfrunęła kracząc z gałęzi cedru, niezadowolona, że przeszkadza się jej w sjeście.

Nie czekając na pracownika, Cain zaczął napełniać bak. Był w połowie pełen, kiedy dość posunięty w latach człowiek w zatłuszczonym fartuchu i kowbojskim kapeluszu wyszedł z rudery służącej za biuro i pakamerę dla obsługi.

Pracownik stacji kiwnął głową w niemym powitaniu i zabrał się za mycie przedniej szyby mokrą gąbką. Na kieszonce na piersi miał naszywkę z imieniem Homer. Było widać, że jest mieszanego pochodzenia. W jego żyłach prawdopodobnie płynęła krew hiszpańska, indiańska, meksykańska i angielska. Całość tworzyła dość niezdecydowaną mieszankę.

Homer prawie nie zauważył Christy, kiedy wyszła z wozu rozprostować nogi.

- Szukamy kobiety o nazwisku Molly Patrząca w Słońce - powiedział swobodnie Cain. - Podobno gdzieś tutaj mieszka.

Brak odpowiedzi sugerował, że Homer jest głuchy. Dalej w martwej ciszy mył okno samochodu. Kiedy skończył z jednej strony, po raz pierwszy spojrzął na Caina.

- Mieszka tam - powiedział, wskazując brodą bliżej nieokreślony fragment pustyni, która rozciągała się w nieskończoność za budynkiem stacji. Zupełnie jakby to wystarczyło, przeniósł się na drugą stronę samochodu i wrócił do mycia okna.

- Pustynia jest duża - przypomniał Cain.

- Ona lubi duże miejsca, bo nie przepada za gośćmi.

Cain i Christy wymienili spojrzenia nad skrzynią ciężarówki. Cain lekko potrząsnął głową, dając do zrozumienia, żeby pozostawiła to jemu. Zatankował i odwiesił wąż.

W drzwiach domku pojawiła się Indianka, grubokoścista i ciemna, z włosami zupełnie czarnymi, nie licząc paru srebrnych pasemek na skroniach. Była ubrana w zwykły podkoszulek i dżinsy, a na nosie miała ciemne okulary, które ukrywały jej oczy.

Christy poczuła nagle, że ktoś ją obserwuje. Odwróciła się w stronę kobiety i uprzejmie kiwnęła głową.

Żadnej reakcji. We wzroku Indianki nie było właściwie specjalnej wrogości. Jej spojrzenie było po prostu intensywne, długie i nieprzeniknione.

- Musimy porozmawiać z Molly - powiedział Cain ostrożnie dobierając słowa. - To dla nas bardzo ważne.

- Dlaczego? - zapytał Homer bez ogródek.

- Chodzi o jej siostrzeńca, Johnny'ego Dziesięć Kapeluszy.
Pracownik stacji rzucił szybkie spojrzenie kobiecie przy wejściu. Nie zareagowała. Odłożył gąbkę i zaczął ściągać brudną wodę.

- Molly jest zajęta - powiedziała kobieta czystym głosem. - A Johnny nie żyje.
- Wiem - powiedział Cain. - Słyszałem pieśń jego śmierci.
Kobieta zrobiła krok do przodu i zdjęła okulary słoneczne. Popatrzyła na Caina, a potem na Christy.
- Jak umarł? - zapytała cicho.
- Policja mówi, że ktoś go załatwił, Eunice - wtrącił się Homer i spojrzał na Caina. - Jakiś biały facet.
Kiedy ich oczy się spotkały, Homer wrócił do mycia okien. Przez parę chwil nie było słyhać żadnych innych dźwięków poza skrzypieniem ściągaczki do wody, wyciem wichru i trzepotem skrzydeł kruków powracających na drzewo.

- Johnny'emu kompletnie odbiło - odezwał się Cain. - Chciał zabić nas oboje.
Eunice i Homer odwrócili się, żeby spojrzeć na Christy. Cain kontynuował:
- Szamotaliśmy się. Kiedy próbował zepchnąć mnie z urwiska, uchylilem się, a on spadł.
Indianka cały czas wpatrywała się w Christy jak w wykrywacz kłamstw.
- Cain nie chciał nikogo zabić - zapewniła ją Christy. - Rzykował życie, żeby nie zabić. Ale Johnny... - dziewczyna wykonała nieznaczny gest dłońmi, jakby prosiła o zrozumienie.
Eunice i Homer milczeli. Po prostu patrzyli w nieszczęśliwe oczy Christy.
- Nic by go nie powstrzymało - dodała cicho. - Nic by go nie powstrzymało.
Kruki krakały na wiatr i na siebie nawzajem, rozwijając skrzydła i rozprostowując sztywne nóżki na uschłej gałęzi.
- Johnny nigdy nie był zupełnie normalny - przyznał Homer.
Wylał ręce o fartuch i powrócił do mycia, cały czas z ponuro skrzywioną miną, jakby uważał, że odchyły Johnny'ego nie są żadnym wytłumaczeniem dla postępków Caina.
Eunice spojrzała w stronę Homera. Zdawał się ją irytować; patrzyła na niego jak żona, która uważa swojego męża za głupca.

- W czym Molly może pomóc facetowi, który zabił jej siostrzeńca? - zapytała Eunice.
Pytanie było skierowane do Caina, ale to na Christy patrzyła kobieta.
- Johnny miał coś wspólnego z ważnymi wykopaliskami na pewnym ranchu w Kolorado - wyjaśnił Cain. - Teraz nie żyje. Byli też inni zamieszani w tę sprawę. Część z nich także nie żyje. Chcemy się dowiedzieć, dlaczego.
- Dlaczego Molly miałyby wiedzieć cokolwiek na temat tych wykopalisk?
- Johnny próbował wyciągnąć Molly z tarapatów, sprzedając informacje na temat wykopalisk Hoytowi Jacksonowi z Biura Zarządu Gruntów.
Indianka jeszcze przez chwilę wpatrywała się w twarz Christy, po czym kiwnęła głową i z powrotem założyła okulary.
Nie powiedziała nic więcej.
- Jedną z tych osób, które też nie żyją, jest moja siostra - odezwała się Christy.
Eunice zastygła w bezruchu. Znowu zdjęła okulary i wbiła wzrok w Christy niczym w szklaną kulę przepowiadającą przyszłość.

- Twoja siostra? - zapytała Indianka.
Christy przytaknęła.
- Dobrze ją znałaś? - padło kolejne pytanie kobiety.
Oczy Caina zwięzły się, kiedy usłyszał to dziwne pytanie. Gapił się na Eunice tak intensywnie jak Indianka na Christy.
- Myślałam, że dobrze - wyznała Christy. - Ale wcale tak nie było. Była dla mnie... tajemnicą.
- Tajemnicza siostra... - wyszeptala Eunice. Jej oddech stał się świszczący. - Patrząc w Słońce musi wiedzieć. Czekaliśmy tak długo...
Indianka odwróciła się i weszła do domu. Homer się wyprostował, wytarł ściągaczkę o nogawkę i zwrócił się do Caina.
- Zaczekaj tutaj - powiedział. - Ona wróci.
- O co chodziło z tą tajemniczą siostrą? - zapytał Cain.
Homer udawał, że nie słyszy.
Cain spojrzał na Christy. Pocierała ramiona dłońmi.
- Chcesz marynarkę? - zapytał.
Potrząsnęła głową.
- To tylko gęsia skórka.

Bez słowa zbliżył się do niej, objął ramieniem i przyciągnął do siebie. Zesztywniała, ale nie odepchnęła go. Była tak roztrzęsiona, że nie potrafiła odrzucić bliskości, której potrzebowała teraz jak powietrza.

- Nie bój się - powiedział Cain. - Ci ludzie mogą ci się wydawać dziwni, ale cię nie skrzywdzą.

- Nie czuję się dobrze, będąc częścią spraw należących do ludzi i religii, o których nie mam pojęcia.

Cain podniósł rękę, zatrzymał chwilę w powietrzu, po czym pogłaskał Christy po głowie.

- Ludzie z Pueblo patrzą na świat inaczej - powiedział cicho. - Nie porządkują świata tak jak my, nie tworzą kategorii. Świat jest dla nich całością. Być może Eunice coś się w tobie spodobało i dlatego uważa cię za siostrę.

Christy zamknęła na chwilę oczy. Wypuściła powietrze nieświadoma, że wstrzymywała oddech tak długo.

- Przepraszam. Chyba reaguję zbyt emocjonalnie. Czuję się, jakby ktoś wywrócił mnie na lewą stronę. Każdy nerw na wierzchu, mogę tylko krzyżeć. Znikąd żadnej pomocy.

Cain przycisnął ją mocniej do siebie. Bardzo chciał ją obronić, wiedział jednak, że nie potrafi.

- Będzie dobrze - zapewnił.

Christy odetchnęła głęboko.

- Mam nadzieję.

Przez jakiś czas słychać było tylko wiatr.

- Skarbie?

Gwałtownie podniosła głowę. Cain patrzył na nią współczująco i ze zdecydowaniem.

- Patrząca w Słońce może nie zechcecie rozmawiać z mężczyzną. Może sama będziesz musiała do niej iść.

- Sama?

Skinął głową.

- Jesteś w stanie to zrobić?

Uśmiechnęła się do niego niepewnie.

- Może wrócimy do tego później?

Uśmiech Caina był nieodgadniony. Na parę sekund przytulił Christy z całej siły, potem puścił ją i poszedł w stronę cedrów aż do miejsca, gdzie zaczynała się pustynia, jakby wołał go wiatr. Stał z rękami w kieszeniach i patrzył na dziki ląd.

Cały czas niespokojna Christy też wcisnęła ręce do kieszeni. Lewa ręka natrafiła na klucze Jo-Jo, prawa wymacała paciorek, który znalazła w *kivie*. Dziewczyna zastanawiała się, czy Cain także obraca w palcach swój kawałek turkusa, przypominając sobie ukrytą jaskinię, w której oni sami o mało nie zginęli, a Johnny Dziesięć Kapeluszy stracił życie.

- Płacicie kartą czy gotówką? - zapytał z tyłu Homer.

- Gotówką - powiedziała i wyciągnęła z kieszeni dwudziestkę. Homer wydał jej resztę brudnymi banknotami, odwrócił się na pięcie i wszedł do domu, zostawiając dziewczynę samą.

Po pięciu minutach dołączyła do Caina. Kiedy szła w jego stronę, dwa kruki wzbily się w powietrze, kracząc z niezadowolenia, że znowu się im przeszkadza. Po chwili jednak wróciły na gałąź i wypatrywały się w intruzów bystrymi, czarnymi oczami. Kiedy ptaki ucichły, Cain odkrył, że na skraju pustyni wiatr brzmi inaczej. Odwieczne i samotnie. Jakby szeptał sekrety, które nie powinny ujrzeć światła dziennego.

- Czekamy na jakiś znak? - spytała Christy głosem pełnym napięcia.

- Cierpliwości, Ruda. Ci ludzie nie rzucają słów na wiatr, nie noszą także zegarków, jeśli nie muszą. Zrelaksuj się i posłuchaj wiatru.

- Już słuchałam.

- Posłuchaj jeszcze. Jest w nim taki spokój.

Christy słyszała jednak tylko samotność, nie spokój.

Wysoko nad ich głowami odrzutowiec nakreślił białą linię na gładkim niebie, pokazując, że gdzieś tam ludzie spieszą się do życia w miejscu tak bardzo oddalonym od tej starej, wyschniętej krainy.

To ja powinnam nim lecieć, pomyślała Christy. Jak najdalej stąd. Powinnam lecieć... ale dokąd? Do domu? Nie mam przecież domu. Nie mam nikogo w Nowym Jorku, z kim byłabym związana więzami krwi lub uczucia. Nigdzie nie mam nikogo.

Trzasnęły drzwi i Eunice wyszła ze stacji. Zbliżała się do nich, trzymając w ręku okulary słoneczne. Podeszła, jakby nie zauważając Caina. Spojrzała Christy prosto w oczy.

- Patrząca w Słońce przyjmie cię.

- Kiedy? - zapytał Cain.

Eunice milczała.

- Kiedy? - powtórzyła spokojnie Christy.

- Jutro o świcie.

- Dopiero? - zapytała zmieszana Christy. - Nasza sprawa jest... pilna.

- Jutro o świcie - powiedziała z naciskiem Eunice.
- Gdzie? - zapytała Christy.
- W wielkiej *kivie* w Chaco, tej, którą nazywacie Pueblo Bonito.
Christy spojrzała na Caina. Skinął głową.
- Wiem, gdzie to jest - powiedział miękko. - Teraz zapytaj ją, dlaczego tam i dlaczego jutro o świcie.
Po raz pierwszy Eunice spojrzała na Caina. Jej twarz była pozbawiona jakiegokolwiek wyrazu.
- Dlaczego... - zaczęła Christy, ale Eunice nie czekała.
- Świt jest święty - powiedziała po prostu. - Święta jest też wielka *kiva*. Wszystkie sekrety odkrywają się tam przed Patrzącą w Słońce.
- Będziemy tam - powiedział Cain.
Choć Indianka nie zmieniła wyrazu twarzy, Christy była pewna, że Cain wydaje się kobiecie zabawny.
- Dobrze - powiedziała Eunice. Ominęła ich wzrokiem i spojrzała na pustynię. Jej oczy wędrowały swobodnie po wysuszonej ziemi jak po znajomej twarzy. Widać było, że echa własnych wspomnień i cisza sprawiają kobiecie przyjemność.
Dopiero kiedy Cain lekko dotknął jej ramienia, Christy zdała sobie sprawę z tego, że wpatruje się w pustynię razem z Eunice.
Nie wiedziała, jak długo stała tak bez ruchu. Zauważyła tylko, że Eunice zniknęła, a ramię Caina tuli ją ciepło.
Wiatr się wzmógł. Przeczesał jej włosy chłodnymi palcami, szepcząc do ucha o czasie i przestrzeni, o przeszłości, przyszłości i o życiu, które wypełniało przestrzeń pomiędzy nimi.

*

- Masz rację - powiedziała miękko Christy. - Pustynny wiatr niesie spokój.
Kiedy zjechali z wybrukowanej wąskiej drogi na południe, ciężarówka zaczęła gwałtownie podskakiwać na zwirowej nawierzchni. Trzęsienie i hałas wyrwały Christy z półsnu. Usiadła prosto i rozejrzała się dokoła. Zupełnie nie rozpoznawała okolicy.
- Gdzie jesteśmy? - zapytała.
Cain pokazał za siebie, na północ.
- Widzisz te białe wierzchołki tam daleko? - zapytał.
Niebo wyglądało jak ocean najczystszej błękitu. Christy zajęło dłuższą chwilę zrozumienie, że to, co widzi na horyzoncie, to nie białe chmurki.
- Masz na myśli to, co wygląda jak skrawki chmur na brzegu nieba?
- Te skrawki to góry San Juan. Stamtąd wyjechaliśmy - wyjaśnił Cain. - To północna granica.
- Granica czego?
- Zasięgu plemion Anasazich.
- Co takiego? - zapytała, patrząc na opustoszałą okolicę.
Cain uśmiechnął się.
- Jesteśmy w drodze do samego serca pradawnego świata Anasazich.
Christy odwróciła się w kierunku odległych szczytów. Jaśniały bielą, jakby nie dawniej niż ostatniej nocy pokryły się świeżym śniegiem.
- Jak daleko od nich jesteśmy? - zapytała.
- Jakieś dwieście kilometrów.
- Więc ci, którzy kiedyś zamieszkiwali te ziemie, żyli w świecie rozciągającym się na nie więcej niż jakieś siedemset pięćdziesiąt kilometrów - stwierdziła Christy.
- Mimo to nie wydawał im się mały. Wypełniali go sekretami, znakami, elementami duchowymi... był tak złożony, że nie mogli go poznać w ciągu całego życia.
Im dalej posuwali się na południe, tym bardziej sucho było wokół. Drzewa cedrowe znikły, a pobrużdżoną ziemię podrywał wszechobecny brudny pył. Na skałach utrzymywała się cieniuteńka warstewka gleby.
- Życie tu musiało być trudne - odezwała się Christy po długim milczeniu.
- I było. Krótki okres wegetacji. Straszliwe wiatry. Zimno przenikające do kości i okropne upały. Letnie monsuny, które czasem się pojawiały, a czasem nie.
Przejechali obok pomieszczenia dla bydła i ustąpili pierwszeństwa jakiejś brudnej ciężarówce, która wydawała się jechać bez celu.
- Jesteś pewien, że wiesz, dokąd jedziemy? - zapytała Christy.
- To pytanie z rodzaju filozoficznych czy pragmatycznych?
Roześmiała się, co zaskoczyło ich oboje.
- Tak, to chyba wpływ okolicy - powiedziała. - Pytam i filozoficznie, i pragmatycznie.

Cain przejechał powoli przez wyjątkowo nierówny fragment drogi.

- Mówiąc filozoficznie, jestem gotowy na wszystko - powiedział. - Ale znam drogę do Pueblo Bonito.

Cieżarówka wjechała na łagodne wzniesienie, które opadało ostrym zboczem w stronę następnej skalistej płaszczyny.

Przykurzony, wyblakły drogowszak na metalowym słupku przy drodze upewnił ich, że wjeżdżają do Kanionu Chaco.

- To chyba nie jest główna droga? - zapytała Christy.

- Nie, ale główna nie jest dużo lepsza.

- Czy rząd w ten sposób stara się zniechęcić turystów?

- Właśnie jechaliśmy przez jeden z najbogatszych archeologicznie terenów na świecie - wyjaśnił Cain. - Zbyt wielki, żeby go ogrodzić. Zbyt cenny, żeby nie zwracać na niego uwagi. Za drogi, żeby na nim kopać. Niemożliwy do ochrony.

- Więc utrudniają tylko dostęp i liczą, że to wystarczy?

- Dokładnie. Gdyby złapali nas u wejścia do kanionu albo na jednym z pól turystycznych, wtedy już na pewno powiedzieliby o nas w telewizji. Dlatego trzymam się z daleka od najbardziej uczęszczanych dróg.

- A teraz?

- Teraz jedziemy drogą, którą pokazał mi pewien stary wyjadacz i łowca skarbów. To ciężka droga i dla człowieka, i dla samochodu, ale za to dyskretna.

- Ty, oczywiście, nigdy bawiłeś się tu w złodzieja?

Uśmiechnął się lekko.

- Oczywiście, że nie, Ruda. Zbadałem za to dokładnie ten teren.

- Jasne - powiedziała i uśmiechnęła się.

Cain wskazał na daleki masyw skalny.

- Widzisz te wierzby koło zbiornika na wodę? - zapytał, wskazując plamę zieleni oddaloną o jakieś pół kilometra.

- Trudno ich nie zauważyć. To pierwszy kawałek zieleni od dłuższego czasu.

- Spójrz, tam na lewo jest takie zagłębienie.

Wychyliła się do przodu i zmrużyła oczy.

- Widzę.

- To tam dochodziła Wielka Droga Północna z Pueblo Alto - wyjaśnił Cain. - Był to trakt królewski, ciągnący się od Chaco aż do granicy pomocnej. Z powrotem biegnie trasą, którą jechaliśmy do rzeki San Juan.

Cain zwolnił w miejscu, gdzie droga schodziła w dół do wąwozu. W kanionie stał stary, skrzypiący wiatrak, poruszający bez przerwy metalowymi skrzydłami w mocnych podmuchach wiatru. Urządzenie pompowało w górę wodę, która wypływając ze zbiornika, nawadniała wierzby i niewielki cedrowy zagajnik.

Brudna ciężarówka okrążyła drzewa i zatrzymała się obok kamiennej ściany. Cain cofnął samochód pod cedry i zgasił silnik. Kapryśny wiatr ucichł nagle i zapanowała kompletna cisza. Po chwili wicher zerwał się znowu i wiatrak zaskrzypiał żałośnie.

Christy wyszła za Cainem z samochodu.

- Co mam robić? - zapytała.

- Policz, ile razy obraca się wiatrak.

Przez chwilę myślała, że mówi poważnie, wreszcie uśmiechnęła się i potrząsnęła głową. Cain odwzajemnił uśmiech.

- Odpocznij, skarbie. Przeżyłaś parę trudnych dni.

- A ty nie?

- Było całkiem ciekawie - zgodził się i wyciągnął z samochodu torbę podróżną. Zaczął wyjmować wszystkie niezbędne rzeczy: dwa śpiwory, dmuchane materace, płaszcze nieprzemakalne, brezent, małą siekierkę, maszynkę do gotowania, zapas suchego prowiantu i jedzenia w puszkach. Ułożył wszystko w rzędki na ziemi.

- Nic nadzwyczajnego - odezwał się.

- Głód też nie jest nadzwyczajnym uczuciem - odpowiedziała Christy.

Cain spojrzał na nią i uśmiechnął się.

- Racja, punkt dla ciebie.

Kiedy zabrał się do rozstawiania namiotu, Christy poszła nazbierać chrustu na ognisko. Pomyślała, że przyda im się na później.

Słońce skrywało się już za horyzontem, kiedy Cain skończył rozstawiać namiot. Włożył kurtkę, która, sądząc z wyglądu, wiele przeżyła, drugą, mniejszą, podał Christy. Narzuciła Jana siebie. Z chwilą, kiedy przestało grzać słońce, szybko robiło się chłodno.

- Masz siłę na spacer? - zapytał Cain.

- Jak daleko?

Pokazał pobliski uskok skalny.

- Szkoda byłoby znaleźć się tak blisko i nie zobaczyć najlepszego widoku w całym imperium Chaco - powiedział.

Podejście było łatwiejsze niż przypuszczała. Cain zatrzymał się na górze i popatrzył na niezmierną przestrzeń dookoła.

Christy stanęła obok, nie mogąc uwierzyć, że powietrze może być tak czyste, a ład rozpościerający się przed nią jak okiem sięgnąć tak zupełnie pozbawiony światła, linii wysokiego napięcia, wszelkiego śladu obecności człowieka.

- Dostrzegasz jakąś różnicę? - zapytał po chwili Cain.

- Tylko brak ulic, wieżowców, naciągaczy, jedzenia na wynos, barów, teatrów, taksówek, żebraków, muzeów...

Śmiech Caina powstrzymał tę litanię różnic między pustynią Nowego Meksyku a Manhattanem.

- Pytam, czy widzisz coś szczególnego w tym fragmencie pustyni?

- Dla mnie wygląda zwyczajnie. Pusta. Ogromna. Sucha. Skalista. Prawie bez roślin. - Christy zawahała się. - Trochę ich jest tylko w tym miejscu - wskazała na strzępiasty zagonik niezwykle bujnej szafli. Szeroki na dziesięć metrów biegł w górę wzgórza, jakby zasadzony ręką człowieka.

- To królewski trakt - wyjaśnił Cain.

- Wygląda raczej jak blokada policyjna.

W krótkiej, gęstej brodzie Caina ukazały się wyszczerzone w uśmiechu zęby.

- Coś w tym rodzaju. Wyżłobienie po dawnej drodze przyciąga rośliny, ponieważ zawsze gromadzi się tu odrobinę więcej wody, a one to uwielbiają. Patrząc na roślinność łatwiej trzymać się drogi na suchym terenie.

Christy zaczęła wspinać się na wzgórze wzdłuż zielonej ścieżki. Cain siedł za nią w milczeniu, przejęty intensywnością jej wzroku wpatzonego w pustynię.

Kiedy już wzniesli się wysoko, wiatr zdmuchnął pył z pobocza, odsłaniając skałę.

- Spójrz - powiedział Cain, przysiadając na piętach. - Taki właśnie piaskowiec ciągnie się po obu stronach drogi przez setki kilometrów.

Christy uklękła obok. Badała dłońmi chłodną powierzchnię, szukając śladów pozostawionych przez kamieniarza, jeszcze zanim Kolumb postawił żagle, płynąc do Indii, i napotkał niespodziewanie na swojej drodze nieznaną kontynent. Poczowała podziw i szacunek, jakby dotykała dawno skończonego życia, jakby śniła niewyjaśnione sny, jakby stała się nagle częścią obcego świata.

- Setki kilometrów? - wyszeptwała.

- Setki tą drogą, w całości około pięciu tysięcy - odrzekł Cain. - Dopiero zaczynamy rozumieć, jak mało wiemy o dawnych mieszkańcach tej ziemi.

Słońce było już nisko, kiedy dotarli na wierzchołek. Na szerokiej ławie skalnej ujrzeni ruiny, z których roztaczał się widok na dorzecze rzeki San Juan. Nie było żadnego ogrodzenia, śladów konserwacji, tabliczek, nic prócz ręcznie wykutych kamieni, powoli stapiających się z podłożem.

- Witaj w centrum wszechświata - powiedział Cain.

Od północy odcinały się na błękitnym niebie góry San Juan i La Pląta, różowiejące w gasnącym popołudniowym słońcu. Na wschodzie i południu, na płaskowyżu, widać był ocienione strumienie i czerwone skaliste iglice. Także od zachodniej strony otaczały ich górskie szczyty.

Powietrze było cudownie czyste. Ostatnie promienie słońca dawały ciepło, ale wyczuwało się już przenikliwy chłód.

- Stamtąd widać cztery stany - powiedział Cain, wskazując na niską ścianę piaskowca.

Ze zwierzęcą zwinnością wspiął się na fragment ruin, wychylił w dół i wyciągnął dłoń do Christy. Chwyliła go za rękę i nie po raz pierwszy przekonała się, jak bardzo jest silny. Prawie pofrunęła w górę.

Półka skalna była szeroka. Kiedy już Christy złapała równowagę, Cain położył jej ręce na ramionach i skierował ją w stronę dalekich gór San Juan. Obrócił ją powoli, aż zatoczyła pełne koło.

- Kolorado - mówił. - Nowy Meksyk. Arizona. A tam w oddali góry Utah. Stojąc bez ruchu, Christy chłonęła piękno krajobrazu i wiatr hulający nad bezkresnym dzikim krajem.

Dopiero kiedy ostatni promyk słońca znikł za czarną linią horyzontu, Christy zdała sobie sprawę, że stoi tak blisko Caina, że czuje jego oddech na włosach, a ciepło jego ciała ogrzewają, zastępując gasnące słońce.

- Lepiej wróćmy do obozu - zaproponował Cain. - Nie wziąłem latarki.

Kiedy zwolnił uścisk, dziewczyna poczuła się, jakby dryfowała w blaknących kolorach dnia. Odwróciła się, aby zobaczyć, jak Cain schodzi ze skały, by w końcu lekko i pewnie zeskoczyć na ziemię. Po chwili pomógł jej zejść; uniósł ją w powietrze tak lekko, że prawie uwierzyła w to, że potrafi latać. Dotyk ziemi niemile ją zaskoczył.

Cain wyczuł, że Christy nie może przez chwilę złapać równowagi.

- Wszystko w porządku? - zapytał, podtrzymując ją mocno.

- Tak. Przez chwilę myślałam, że fruwać. Powinnam być ptakiem - powiedziała i odwróciła się. Cain długo jeszcze zachował w pamięci obraz jej słodkiego, smutnego uśmiechu.

Oślonięty od wiatru obóz pachniał cedrami. Pierwsze gwiazdy rozbłysły na wschodzie, gdzie niebo z błękitnego stało się purpurowe.

Christy i Cain przygotowali skromny posiłek i zjedli go w ciszy, nie dlatego, że nie chcieli ze sobą rozmawiać, po prostu rozumieli się bez słów. Kiedy już posprzątała po kolacji, Christy zdjęła buty i usiadła przy ognisku na jednym ze śpiworów. W rękę miała dymiący kubek kawy z dodatkiem brandy.

Cain dolał sobie gorącego płynu i także przysunął się do ognia. Przykucnął na piętach przy samych płomieniach i wrzucił do ogniska kilka gałązek pachnącego cedru.

Christy obserwowała spod opuszczonych rzęs każdy jego ruch. Cain miał w sobie męski wdzięk, który ją zachwycał. Było w nim coś ekscytująco nowego, a jednocześnie znajomego, jakby wyśniła go wiele lat temu w starym domu na wyżynach Wyoming, a teraz przypominała sobie ten sen na pustyni w Nowym Meksyku, w samym sercu dawnej cywilizacji.

Drżące światło ogniska malowało dłonie Caina złotem i czernią. Miał takie długie, zwinne, silne palce! Fascynowały Christy, podobnie jak srebrzysta broda i czarne, gęste włosy, które swobodnie zaczesywał do tyłu. Płomienie ogniska odbijały się w jego oczach.

Cain wpatrywał się w Christy równie intensywnie, jak ona w niego.

- Daj mi jeszcze raz szansę - poprosił cicho.

Oddech dziewczyny stał się niespokojny. Odwróciła głowę.

- Myliłem się co do ciebie - dodał. - Wcale nie myślałaś o siostrze ostatniej nocy. Naprawdę mnie pragnęłaś.

Czekał na reakcję, ale Christy się nie odezwała. Cały czas patrzyła w bok.

- Nie chcesz wiedzieć, kiedy się domyśliłem? - zapytał.

Odpowiedziała mu tylko cisza.

- Kiedy wyrzuciłaś mnie z chaty - wyjaśnił.

Christy wpatrywała się w swoją kawę i trzymała mocno kubek, próbując uspokoić drżenie rąk. Bezskutecznie. Na ciemnej powierzchni kawy tańczyły małe kółka. Dziewczyna zamknęła oczy.

- Kobieta, która chce tylko wykorzystać faceta, nie zrobiłaby tego - ciągnął Cain. - Ina pewno nie byłaby taka wilgotna i nie pozwalała się...

- Przestań - przerwała.

- Skończmy z tym udawaniem. - Cain wstał gwałtownie. - To się stało. Zdarzyło się naprawdę.

- Jednemu z nas - powiedziała drewnianym głosem Christy.

- Nam obojgu. Po prostu oboje myliliśmy się co do siebie.

Dziewczyna potrząsnęła głową.

- Wycofałem się, ponieważ pragnąłem cię za bardzo, a nie dlatego, że nie pragnąłem cię dostatecznie - wyznał Cain, przysuwając się do Christy.

Był tak blisko, że gdyby zrobił jeszcze jeden krok, mógłby usiąść jej na kolanach.

- Pragnąłem cię tak mocno, jak nie pozwalałem sobie pragnąć żadnej innej kobiety, odkąd skończyłem dziewiętnaście lat - wyszeptał ochryłym głosem. - Walczyłbym, żeby cię mieć. Boże, zabiłbym...

- Przestań - zaprotestowała Christy.

- ...żeby cię mieć - dokończył twardo. - I to mnie tak strasznie przeraziło.

Drżąc na całym ciele, Christy kurczowo ścisnęła kubek. Próbowała przekonać samą siebie, że pożądanie, które słyszała w głosie Caina, nie było prawdziwe. Nie mogło być prawdziwe. Mężczyźni nie pożąдали zwykłych kobiet, takich jak ona. Taką pasję w mężczyźnie potrafiły wzbudzić tylko kobiety o nieprzeciętnej urodzie. Takie jak Jo-Jo.

Christy nigdy nie czuła się tak pożądana.

- Nieprawda - wyszeptała, mocno zaciskając powieki.

- Prawda! I wciąż cię pragnę - powiedział z pasją. - Cholernie cię pragnę!

Zasyczały fasy od kawy, które cisnął w ogień. Oczy Christy otworzyły się szeroko ze zdumienia.

Oświetlone przez ogień ciało Caina nie pozostawiało wątpliwości, że mężczyzna mówi prawdę. Przez chwilę nie było słyhać nic prócz trzaskania ognia w nocnym powietrzu.

- Gapisz się na mnie, Ruda. - Głos Caina był ochryply, lekko rozbawiony i pełen pożądania.

- Warto się na ciebie... gapić.

Wybuchnął śmiechem i ukląkł przed nią.

- Jesteś jedyną kobietą, jaką znam, która jednocześnie doprowadza mnie do śmiechu i podnieca do granicy wytrzymałości - wyznał.

Christy chciała coś powiedzieć, ale była tak blisko niego, że czuła jego oddech na swojej twarzy. Oczy Caina miały kolor przydymionego złota, gorącego jak płomienie z ogniska.

- Daj mi to, zanim wyleci ci z ręki - zaproponował Cain, biorąc kubek i odstawiając go na bok. - Ręce ci się trzęsą.
- Tobie też.
- Boisz się mnie? - zapytał.
- Nie... chyba nie - wyszeptała. - A ty się mnie boisz?
- Tak.

Spojrzała zdumiona.

- Dlaczego?
- Moglibyśmy po prostu pójść do łóżka bez żadnych zobowiązań. Myślę, że kochać się to nie to samo.
- Ale nie wiesz na pewno? - zapytała.

Potrząsnął głową.

- A ty?
- Nie - wyszeptała.
- Chcesz spróbować?

Na chwilę zamknęła oczy, po czym kiwnęła głową.

Jego palce wplątały się we włosy dziewczyny, pieszcząc i przytrzymując jednocześnie. Poczuela, że silne ciało Caina drży z emocji.

- Cain? - wyszeptała.
- Już nie potrafię się przed tobą obronić - powiedział. - I wcale o to nie dbam.

Delikatnie ugryzł ją w dolną wargę. Poczuela zdziwienie i narastającą przyjemność, kiedy język Caina wśliznął się jej między zęby, wypełniając usta, jakby chciał wypełnić ją całą. Przyciągnął ją do siebie w mocnym uścisku. Ten zmysłowy, spragniony pocałunek powiedział o jego długo hamowanym pożądaniu więcej, niż mogły powiedzieć jakiegokolwiek słowa.

Kiedy Christy zaczęła się wrywać, oderwał na chwilę wargi.

- Nie walcz ze mną - powiedział. - Proszę, kochanie. Nie zasługuję na ciebie, ale potrzebuję tego. Pozwól mi.

Christy poczuła się, jakby uderzył w nią piorun. Pragnęła go tak samo i nie liczyło się nic oprócz tego pragnienia. Pragnienia, którego nie odczuwała nigdy wcześniej w stosunku do żadnego mężczyzny.

- Wcale nie walczę - wyszeptała.
- Chciałaś się wyrwać.
- Nie - roześmiała się cicho Christy. - Próbowałam raczej bardziej się do ciebie zbliżyć.

Cain objął ją mocniej. Ich wygięte w łuk ciała były tak blisko, że czuła go od kolan aż do ust, jakby całowali się całym ciałem. Najsilniej, jak mogła, objęła go ramionami, a on całował ją tak, jakby za chwilę mieli umrzeć.

Kiedy oderwali od siebie usta, oboje szybko oddychali. Cain dwoma gwałtownymi ruchami rozpiął kurtkę Christy i swoją. Jednocześnie odrzucili koszulki. Światło ogniska odbijało się na ich nagiej skórze i przesunęło po powierzchni czarnego jeziora. Oddech Caina stał się urywany. Wsunął dłonie pod ramiączka staniczka i wolniutko przesunął w dół. Dziewczyna westchnęła, kiedy jego palce poznawały miękkość jej piersi. Koronkowa szmatka zsunęła się i w końcu całkiem opadła: teraz nagie piersi okrywało tylko migotliwe światło ogniska.

Brodawki stwardniały, ujawniając rosnące pożądanie. Cain odetchnął głęboko i ujął w usta jedną sutkę. Pod wpływem pieszczoty Christy jęknęła. Kiedy brodawka stwardniała, wilgotna od jego śliny, zaczął pieścić językiem drugą pierś.

Christy wbiła paznokcie w ramiona mężczyzny, czując, że żądza rośnie w niej jak płomień. Ostry dotyk na plecach sprawił Cainowi zmysłowy ból. Chciał, żeby Christy zupełnie straciła kontrolę nad sobą, żeby nie było między nimi nic oprócz niepowstrzymanej namiętności.

Pieścił na przemian jej pobudzone piersi; ich sztywne koniuszki błyszczały wilgocią w świetle ogniska.

- Jesteś piękna - szepnął. - Samo patrzeć na ciebie sprawia, że... - Przymknął oczy. - Tracę panowanie nad sobą - dokończył po chwili.

Christy leciutko ugryzła go w ucho, a on aż zaklął z rozkoszy. Nie kontrolował już swojego pożądania. Powędrował dłonią niżej, między nogi dziewczyny. Pieścił ją długo, delikatnie, smakując każdą chwilę, przyglądając się, jak ogarnia ją fala namiętności.

Źrenice Christy rozszerzyły się. Były teraz czarne jak noc. Spojrzała na Caina. Kręciło jej się w głowie, jakby miała zemdleć, choć jej ciało pulsowało żywym gorącem.

- Cain? - wyszeptała.
- Nie bój się, kochanie - szepnął. - Nie chcę cię skrzywdzić. Jeśli nie jesteś jeszcze gotowa...

Rozpiął jej dzinsy i wsunął rękę pod czarną koronkę. Długie palce wdarły się do jej gorącego wnętrza. Kiedy Christy ochryple wyszeptała mu do ucha jego imię, uśmiechnął się.

- Jak deszcz, deszcz i ogień. Gorąca, miękka, wilgotna - powiedział.

Dłonie Christy przesunęły się po jego ramionach, potem po czarnych skręconych włosach na piersi, aż wreszcie dotarły do chłodnej klamry paska z turkusowym oczkiem.

I zatrzymały się.

- Nie przestawaj - powiedział ochryple Cain i znowu zagłębił się w jej ciepło, a potem wycofał. Wilgotny kciuk zataczał kółka wokół najwrażliwszego miejsca. Urwany, spragniony jęk, który wyrwał się z warg Christy, sprawił, że mężczyzna chciał już tylko podrzeć na niej ubranie i zagłębić się w nią.

Zacisnął jednak zęby i wrócił do pieszczot.

Christy na ślepo, trzęsącymi się rękami próbowała rozpiąć spodnie Caina. Dziwaczna klamra stawiała opór.

Pociągnęła raz, potem drugi... bez skutku.

Niechętnie wyciągnął rękę z jej majteczek i otoczył palcami dłoń dziewczyny. Christy zeszytywniała na chwilę; przypominała sobie, jak ostatniej nocy nie chciał, żeby go dotykała. Spojrzała na niego pytającym wzrokiem.

- Nie chcesz ...? - zapytała.

- Chcę, żebyś mnie dotykała wszędzie.

Christy przymknęła oczy i uśmiechnęła się, wyraźnie zafrapowana tą propozycją.

- Sprzączka mi przeszkadza - zauważyła.

- Przesuń rękę w lewo - objaśnił Cain, prowadząc jej dłoń - a potem pociągnij w górę i do siebie.

- Tak?

Zapięcie puściło.

- Dokładnie tak - powiedział Cain z uśmiechem. - Teraz będziesz mogła dobrać mi się do spodni, kiedy tylko zechcesz.

Uśmiech Christy wydał mu się wyjątkowo seksowny. Usłyszał obiecujący dźwięk rozsuwanego suwaka i chwilę później ręka dziewczyny wsunęła się pod slipy, badając jego pobudzoną męskość. Cichy pomruk aprobaty, który wyrwał jej się z ust, doprowadził Caina niemal do utraty tchu. Zaklął przez zaciśnięte zęby.

- Za chwilę doprowadzisz do tego, że zupełnie stracę nad sobą kontrolę - ostrzegł.

- Naprawdę potrafisz to zrobić?

- Wiesz dobrze, że tak.

- Jeszcze nie wiem - odparła szeptem. - Ale mam zamiar się przekonać. Cain wciągnął ze świstem powietrze, kiedy Christy objęła go całą dłonią. Dotykając go, patrzyła mu w oczy i obserwowała, jak jego ciało drży.

W pewnej chwili Cain znieruchomiał i jęknął. Dziewczyna z zakłopotaniem cofnęła dłoń.

- Przepraszam - odezwała się szeptem. - Będziesz musiał nauczyć mnie więcej niż tylko tego, jak rozpinać twój pasek.

Cain otworzył oczy. Źrenice miał tak rozszerzone, że prawie nie było widać brązowej tęczówki.

- Nigdy nie chciałam dotykać mężczyzny w ten sposób - wyznała Christy z wahaniem - Dlatego nigdy się nie nauczyłam. Ale Ciebie... chcę dotykać.

To nieśmiałe wyznanie okazało się bardziej pobudzające niż jakakolwiek pieszczota.

- Nie musisz się uczyć - powiedział ochryple Cain.

Jego ręce wsunęły się do dzinsów Christy i odszukały zagłębienie pomiędzy udami. Jęknęła z zaskoczenia i zachwytu. Cain przycisnął wargi do ciepłych ust Christy i pogłębił pocałunek. Objął ją ramieniem i uniósł do góry. Chwilę później dziewczyna poczuła, że dzinsy opadają razem z majteczkami. Gorące ciało Caina wynagrodziło jej chłód spiwora, o który opierały się jej nagie plecy.

Otarła się kusząco piersiami o tors mężczyzny, kiedy uniosła się, by go pocałować. Aż zadrzała, kiedy zalało ją nieoczekiwane gorąco od koniuszków piersi aż po dół brzucha.

Cain odsunął się i sięgnął do kieszeni.

- Cain? - szepnęła Christy. - Co się...?

Zrozumiała, kiedy zobaczyła w jego dłoni błyszczącą paczuszkę.

- Daj mi - powiedziała. Rozdarła drżącymi palcami folię. - To jedno przynajmniej potrafisz. Nigdy nie robiłam tego bez prezerwatywy.

- Ja też nie. Ale przed chwilą byłem tego cholernie bliski. Zaczekaj, zdejmę...

Urwał. Nie mógł zebrać myśli teraz, kiedy smukłe palce objęły go pieszcząc i drażniąc jednocześnie. Christy czerpała z tego dotyku przyjemność; czuła, jak bardzo Cain jej pragnie.

- Skarbie, jeśli nie chcesz za chwilę wylądować na plecach z półnagim facetem między nogami, to lepiej...

Z ust Caina wyrwał się zduszony jęk. Palce dziewczyny błdziły nadal, pieszcząc najwrażliwszą część jego ciała.

Chwilę później Christy leżała na plecach z półnagim mężczyzną pomiędzy nogami. Cain rozchylił jej uda palcami, sprawdzając jej gotowość. Christy opłotła go nogami. Dotyk szorstkiego dzinsu na nagiej skórze przyprawił ją o kolejny dreszcz. Chciała powiedzieć Cainowi, jak wspaniale się czuje, ale z jej ust wydobył się tylko jęk, kiedy naparł na

nią z dziką siłą. Wydawało jej się, że nie jest w stanie znieść więcej. Kiedy pchnął, ciałem Christy wstrząsnął zmysłowy dreszcz. Zaciśnęła ciasno nogi wokół jego bioder i krzyknęła z rozkoszy.

Pełna pasji reakcja Christy pozbawiła Caina resztek samokontroli. Objął biodra dziewczyny i przycisnął tak mocno, że wyczuł pod palcami delikatne kości. Ze wściekłą energią wtargnął głębiej. Nagle Christy wygięła się pod nim w łuk, zadrżała i krzyknęła. Przez krótką chwilę Cainowi wydawało się, że sprawił jej ból, jednak kiedy wyczuł rytmiczne pulsowanie jej ciała, wiedział już, że krzyczała z rozkoszy. Pchnął jeszcze raz, by po chwili odczuć ulgę własnego spełnienia.

Wyczerpani obejmowali się, próbując złapać oddech. Christy wodziła palcami po spoconych plecach partnera.

Cain odwrócił głowę i ugryzł ją lekko w szyję. Zareagowała urywanym jękiem.

Cain roześmiał się cicho i uszczypnął ją zębami jeszcze raz.

- Nie wiedziałam ... do tej pory - powiedziała, oddychając niespokojnie.

Spojrzał na nią błyszczącymi oczami.

- Czego nie wiedziałas?

- Dlaczego kobiety uwielbiają mężczyzn.

Cain całował delikatnie jej powieki, policzki i kąciki warg.

- To działa w obie strony - szepnął tuż przy jej ustach. - Coś takiego jak nam zdarza się bardzo rzadko.

Przewrócił się na bok, pociągając Christy za sobą. Głaskał ją delikatnie, a ona odpowiadała tym samym. Przez chwilę słyszeć było tylko trzaskanie ognia.

Christy dotknęła piersi Caina. Błądziła palcami wśród splątanych włosów, rozkoszując się jego męską siłą.

- Nie kuś mnie, kochanie - powiedział, kiedy jej ręka osunęła się w dół brzucha.

- Nie kusić cię? Chyba już trochę za późno, żeby się tym przejmować.

Zmysłowy ton w jej głosie przyprowadził Caina o żywsze bicie serca.

- Tego się właśnie obawiałem - powiedział przez zaciśnięte zęby.

- Czego?

- Że tak to z nami będzie. Zapragnąłem cię od pierwszej chwili, kiedy cię zobaczyłem w galerii.

- A ja nie mogłam się powstrzymać, żeby na ciebie nie patrzeć.

- Wiem, czułem się, jakbym wygrał los na loterii. Gdyby nie Danner...

Cain zamknął oczy i wziął głęboki oddech, próbując uspokoić wzburzoną krew. Zdarł z siebie resztę ubrania, odwrócił się do Christy i przytulił ją do nagiego ciała. Pasowali do siebie doskonale.

- Boże, jak dobrze - mruknął.

Roześmiała się i przylgnęła do jego ust w długim, głębokim pocałunku.

- Pragniesz mnie tak samo jak ja ciebie. - W głosie Caina było zdumienie i radość.

- Oczywiście, że tak.

- To nigdy nie jest oczywiste. Czasami ludzie pragną się nawzajem, ale do siebie nie pasują. No wiesz, mają inne potrzeby, inne...

Urwał, bo poczuł dłoń Christy na podbrzuszu. Jęknął i sięgnął po omacku do kieszeni rzuconych obok spodni.

- Mnie tam się podobają te miejsca, gdzie jesteśmy inni - powiedziała Christy, przyciągając go do siebie.

- Mnie też. Załóż mi to, skarbie, a pokażę ci, co lubię u nas najbardziej.

26

Cain obudził się godzinę przed świtem. Mroźne niebo było usiane gwiazdami. Spali w dwóch połączonych śpiworach, więc było im ciepło. Przez dłuższą chwilę Cain leżał bez ruchu, upajając się ciepłem miękkiego kobiecego ciała, które zwinięte w kłębek spoczywało obok niego. Starał się nie myśleć o poważnych sprawach, jednak instynkt podpowiadał mu, że ciągle był daleko od naprawienia zła, jakie Jo-Jo wyrządziła swojej kochającej starszej siostrze.

Przyciągnął Christy bliżej i pocałował delikatnie jej odkryte ramię. Żałował, że w ogóle musi ją budzić. Wyglądała tak spokojnie, śpiąc w jego ramionach.

Jednak dzień, który mieli przed sobą, mógł się okazać wcale nie taki spokojny.

- Dzień dobry - szepnął, kiedy dziewczyna otworzyła oczy.

- Dzień? - zapytała niezbyt przytomnie i odwróciła się, by spojrzeć mu w twarz. - Tu, gdzie ja leżę, jest noc.

Przytuliła się do jego ciepłej piersi i pocałowała go. Po chwili zaczęła rytmicznie oddychać i znowu zapadła w sen.

Cain wsunął palce w jedwabiste loki Christy, uniósł lekko jej głowę i pocałował.

- Zbliża się ranek - wyszeptał. - Posłuchaj.

W pobliskich wierzbach ptaki zaczęły świergotać, szykując się do nowego dnia.

Christy oparła się na łokciu i spojrzała ponad ramieniem Caina. Przedporanne niebo na wschodzie miało niebieskoszary kolor. Drżąc z zimna, dała nurka z powrotem do śpiwora, przykrywając się Cainem jak kocem.

- Patrząca w Słońce czeka na ciebie. Pora wstawać.

- A ty?

- Ja już jestem zupełnie gotowy.

Kiedy przysunęła się bliżej, stwierdziła, że rzeczywiście jest gotowy.

- Kiedy mówiłeś, że będzie świtać? - zapytała głosem ochrypłym bynajmniej nie od snu.

- Za szybko.

- Czy mogę prosić o powtórkę wczorajszego?

- Kiedy tylko zechcesz. Ja też dostanę swoją porcję?

Śmiejąc się, przytulił Christy, pocałował ją mocno, po czym wyskoczył ze śpiwora, jakby się paliło. Zaklął siarczyście, kiedy wkładał zmarznięte przez noc ubranie.

- Kiedy patrzę na ciebie, boję się wychodzić ze śpiwora - mruknęła dziewczyna.

- Rzeczywiście jest zimno.

Christy pozbiierała swoje rzeczy i ubrała się pod śpiworem.

Pięć minut później szła za Cainem i światłem jego latarki w kierunku Pueblo Alto.

Kiedy dotarli do zwalonych głazów i niskich ścian skalnych, należących do pradawnych osad, niebo było już na tyle jasne, by odsłonić szczyty wzniesień i wierzchołki gór nad Santa Fe.

Nagle usłyszeli w powietrzu śpiew skowronka. Christy stanęła jak wryta i chłonęła głos ptaka, który przypominał jej dzieciństwo - czas, kiedy całe życie miała przed sobą. Wspomnienia były bolesne i radosne zarazem. Oczy dziewczyny wypełniły się łzami.

- Odnalazłem drogę - zawołał przez ramię Cain. - Za chwilę wszędzie słońce. Musimy się pospieszyć.

Christy mrugnęła, gubiąc gorącą łzę, i pospieszyła za Cainem.

Ścieżka prowadziła z ruin do krawędzi kanionu Chaco. W strategicznych miejscach szlak był oznakowany specjalnie dla turystów. Chociaż prowadziło ich tylko światło latarki, Cain i Christy pokonywali dystans stosunkowo szybko.

W odległości około dziesięciu minut od Pueblo Alto ścieżka spadała uskokiem w dół nad niewielką skalną półką z piaskowca. Z tego miejsca roztaczał się widok na cały kanion.

Cain objął Christy ramieniem i stanął obok niej na krawędzi skały. Przez kilka cudownych chwil obserwowali powoli budzące się do życia słońce.

Pueblo Bonito wyłaniało się powoli z ciemności nocy. Ręcznie wykute skalne ściany tworzyły ogromnych rozmiarów blok wznoszący się na wysokość trzech pięter. Przed nimi rozciągały się niezliczone otwarte pomieszczenia wystawione na działanie słońca i wiatru. Widzieli też liczne *kivy*, świadczące o tym, że Pueblo Bonito było miejscem kultu.

W cieniach poranka grobowce zdawały się kryć w sobie tysiącletnie tajemnice.

Jedna z *kiv* była znacznie większa niż pozostałe.

Kiedy oczy Christy przyzwyczyły się do panującego mroku, dziewczyna zauważyła, że niektóre ściany zaczynały się obsuwać, pokonane działaniem czasu. Podtrzymywały je rusztowania podobne do tych, które widzieli w jaskini.

- Dwadzieścia pięć *kiv* - powiedział cicho Cain. - Pueblo Bonito było swego czasu najważniejszym miejscem w całym imperium.

- Ale dlaczego jest tu tyle *kiv*? - zainteresowała się Christy. - Myślałam, że zazwyczaj im wystarczała jedna świątynia.

- Być może każdy klan miał swoją własną, tak jak teraz u Indian Pueblo. Albo każdej porze roku przypisana była inna *kiva*. Tak naprawdę nikt tego nie wie. A nawet jeśli wiedzą, nie zdradzą białym.

Christy wychyliła się do przodu, jakby chciała zajrzeć w przeszłość.

- A co z tą największą *kivą*? Dlaczego różni się od innych?

- Nie mam pojęcia. Być może właśnie w niej modlili się wszyscy razem w zimie o szczęśliwy powrót słońca na wiosnę.

Cain spojrzął w niebo. Gwiazda polarna właśnie zaczęła dogasać. Odwrócił się z powrotem w kierunku ruin.

- Kiedy zbudowano tę ścianę - powiedział - stała dokładnie w pionie w pozycji północno-południowej.

Z początku Christy nie rozumiała, o co mu chodzi. Potem przypomniała sobie, że Anasazi nie znali metalu, a więc nie mogli używać kompasu. W czasach prehistorycznych nie wiadomo, że gwiazda polarna może dokładnie wskazywać pomoc.

- Jak im się to udało? - szepnęła dziewczyna.

- Zapytaj Patrzącą w Słońce. To jedna z tajemnic, którą ma przekazać Eunice.

- Eunice?

Cain wskazał na ruiny wielkiej *kivy*. Z cienia wyłoniły się dwie sylwetki. Jedna z kobiet uniosła rękę w powitalnym geście. Cain odpowiedział tym samym.

- Skąd wiedziałeś, że tam są? - odezwała się po chwili Christy.

- Eunice jest siostrzenicą Molly - wyjaśnił Cain.

- Siostrą Johnny'ego? - zapytała dziewczyna.

- Tak.

Wypuścił Christy z objęć i odsunął się.

- Lepiej już chodźmy - powiedział. - Patrząca w Słońce chce cię zobaczyć w pierwszym świetle poranka.

- Po nocy spędzonej z tobą? - zapytała Christy, uśmiechając się poważnie. Spojrzenie Caina prześliznęło się po dziewczynie, jakby chciał przywołać to, co przeżyli ubiegłej nocy.

- Starożytnym nie były obce prawa natury - powiedział uspokajająco.

Z dłonią w dłoni Caina Christy szła u jego boku tak długo, jak pozwalała na to stroma ścieżka. Dalej musieli już iść osobno. Szlak prowadził spadkiem w dół do wąskiej rozpadliny między dwiema półkami, tworzącymi tunel podobny do tego, który prowadził do jaskini koło Sióstr.

Zeszli do rozpadliny i rozpoczęli strome zejście po prowizorycznych skalnych schodach. W niektórych miejscach ściana nosiła ślady wielu rąk. Szli ścieżką, którą wydeptano na długo przedtem, nim pierwsi Europejczycy dotarli do ziem Anasazich.

Kiedy znaleźli się u podnóża kanionu Chaco, na niebie zaczęły się pojawiać pierwsze promienie słońca. Cain szedł teraz z przodu, przejmując rolę przewodnika.

- Wejście do wielkiej *kivy* jest po drugiej stronie - powiedział, kiedy dotarli do północnej ściany Pueblo Bonito. - Eunice ci pokaże.

Christy poszła sama w stronę grobowca na spotkanie z Patrzącą w Słońce, kobietą wywodzącą się bezpośrednio ze starożytnego plemienia.

- Chodź - odezwała się Eunice.

Dziewczyna ruszyła za nią, aż doszły do miejsca, w którym ściana *kivy* załamywała się, tworząc kilkustopniowe zejście. Eunice gestem poleciła Christy zejść przodem do podziemnej komnaty, której za dach służyło ozłoczone wschodzącym słońcem niebo.

Kobieta oczekująca w środku miała nie więcej niż metr pięćdziesiąt wzrostu. Ubrana była w spłowiałą dzinsową kurtkę i długą szarą spódnicę z aksamitu. Na nogach miała białe tenisówki. Siwiejące włosy zakrywała zawiązana pod szyją bandana. Twarz kobiety była usiana siatką zmarszczek.

Eunice zagadała do staruszki w języku, który był Christy zupełnie obcy.

- To jest Patrząca w Słońce - zwróciła się teraz do dziewczyny. - To ona przechowuje ducha naszego klanu.

- Dzień dobry - powiedziała Christy. Nie umiała wymyślić innego uprzejmego powitania.

Patrząca w Słońce zrobiła krok do przodu i dotknęła płomiennych włosów dziewczyny. Po chwili przemówiła w nieznanym języku.

- Podobają się jej twoje włosy. Mówi, że widziała piaskowiec takiego koloru w kanionie niedaleko Mesa Verde.

Christy uśmiechnęła się.

Patrząca w Słońce ujęła jej dłońi odwróciła dziewczynę twarzą na wschód. Akurat w tym momencie tańczące promienie słońca odbiły się od krawędzi kanionu. Ciało Christy przebiegł dreszcz. Wydawało jej się, że to nie nowy dzień wstaje, ale cały świat rodzi się na nowo.

Ręka staruszki zacisnęła się mocniej wokół dłoni Christy. Z jej ust popłynęły słowa. Christy nie rozumiała ich znaczenia, domyśliła się jednak, że Patrząca w Słońce odmawia jakąś modlitwę lub zaklęcie.

Na koniec stara Indianka sięgnęła do kieszeni i wydobyła z niej szczyptę złotego proszku, który natychmiast rozsypała nad sobą i Christy.

- To pył zbożowy - wyjaśniła Eunice. - U nas błogosławi się nim ludzi. Spodobało jej się to, co świt w tobie pokazał.

Christy spojrzała w przejrzyste czarne oczy staruszki.

- Dziękuję - powiedziała.

Kiedy Patrząca w Słońce się uśmiechnęła, jej twarz zupełnie się zmieniła. Wyglądała teraz raczej jak ciotka Molly niż jak święta kapłanka starożytnych. Powiedziała coś szybko w swoim języku.

Eunice uśmiechnęła się chytrze, spoglądając na Christy.

- Ciotce Molly podoba się też twój mężczyzna. Patrząca w Słońce nazwała go Kokopellim.

Christy roześmiała się i poczuła, jak na policzki wypełza jej rumieniec.

Molly klepnęła się w uda i zawtórowała śmiechem, który uczynił ją co najmniej o połowę młodszą. Spojrzała w stronę Caina, który siedział w słońcu na szczycie skały i obserwował z góry *kivę*, zupełnie jakby zostawił tam coś cennego.

Molly odezwała się ponownie.

- Mówi, że Kokopelli usatkuje się, kiedy znajdzie właściwą kobietę - przetłumaczyła Eunice. - Mówi też, że teraz wygląda na całkowicie usatkowanego.

Indianka odsłoniła w szerokim uśmiechu zdrowe zęby, odwróciła się i odeszła kawałek.

- Porozmawia teraz z tobą - zawiadomiła Eunice.
- Która będzie mówić? Ciotka Molly czy Patrząca w Słońce? - zapytała Christy.
Eunice rzuciła jej ostre spojrzenie. Po chwili skinęła głową, jakby chciała ją pochwalić za dobre pytanie.
- Molly - odpowiedziała. - A teraz chodź za mną.
Kiedy ruszyły, by dołączyć do staruszki, Christy odezwała się cicho:
- Powiedz ciotce, że przykro nam z powodu śmierci Johnny'ego Dziesięć Kapeluszy.
Zatrzymała się w pobliżu Molly i zwróciła bezpośrednio do niej.
- Szeryf obwinia Caina, ale ja też tam byłam i wiem, że to nie jego wina.
Eunice tłumaczyła rozmowę, zupełnie jakby robiła to wcześniej wiele razy.
- Ciotka Molly wie, że Johnny'ego dręczyły demony. Za dużo pił, kradł naczynia i sprzedawał je Białym. Poświęcił samego siebie, by stać się kimś znaczącym w białym świecie.
Przysłuchując się Eunice, Christy wpatrywała się uważnie w twarz Molly. Stara kobieta odwzajemniała jej spojrzenie i mówiła dalej, gestykulując od czasu do czasu.
- Jednym z demonów Johnny'ego była jasnowłosa czarownica - przetłumaczyła Eunice. - Kradł dla niej i marnował pieniądze na diabelski proszek, który wdychał potem przez nos. Przez to robił się jeszcze bardziej szalony, aż w końcu stał się nam zupełnie obcy.
- Chodzi o kokainę? - zapytała Christy.
Eunice skinęła głową i tłumaczyła dalej:
- Jednak coś z dawnego Johnny'ego przetrwało, bo wiedział, że jest zgubiony. Zostawił swoją jasnowłosą czarownicę i wrócił do nas na jakiś czas. Obie Indianki umilkły i spojrzały na Christy. Nie sposób było uniknąć prawdy.
- Ta czarownica była moją siostrą - wyznała dziewczyna. - Tak jak Johnny'ego, ją też dręczyły demony.
Staruszka rozumiała po angielsku więcej niż Christy przypuszczała. Patrząca w Słońce wbiła w dziewczynę czarne oczy, które barwą przypominały niebo w nocy.
- Czy ona zawsze czarownica? - zapytała łamaną angielszczyzną. - Dziecko. Kobieta. Cały czas czarownica?
Christy potrząsnęła głową.
- Nie zawsze - wyszeptała. - Kiedyś Jo-Jo była słodką, małą dziewczynką. - Zadrżała na to bolesne wspomnienie.
Patrząca w Słońce przymknęła powieki. Dostrzegła w oczach Christy prawdę.
- Jo-Jo zawsze stawiała siebie przed innymi ludźmi - ciągnęła cichym głosem dziewczyna. - Ale była moją siostrą i zawsze nią pozostanie. To się nigdy nie zmieni.
Molly powoli kiwnęła głową.
Christy czekała, ale stara Indianka już się nie odezwała.
Dziewczyna zwróciła się do Eunice:
- Czy Johnny zerwał z ludźmi z Kolorado, kiedy do was wrócił?
Indianki rozmawiały przez chwilę ze sobą.
- Czarownica, która była twoją siostrą, dała Johnny'emu jakiś bardzo silny narkotyk - odezwała się po jakimś czasie Eunice. - Coś, co sprawiło, że Johnny znalazł się w miejscu, gdzie skały i drzewa poruszały się tak jak ludzie.
- Czy to był jakiś środek halucynogeny? - zapytała Christy.
- Bardzo silny. Potem Johnny przyszedł do Patrzącej w Słońce, żeby uwolniła jego duszę od demonów. Przyniósł jej podarunek z ruin.
- Z jaskini? - zapytała dziewczyna.
Eunice zawahała się.
- Nie powiedział nam skąd. Po prostu ukradł to jasnowłosej czarownicy.
Molly zamknęła oczy i znowu zaczęła mamrotać w swoim dziwnym języku.
- Patrzące w Słońce różnych plemion nosiły żółwie, które symbolizują ducha klanu. Były robione specjalnie dla nich - tłumaczyła Eunice. - Zostały skradzione z tej *kivy* przez siostrę, która chciała zostać Patrzącą w Słońce i przechowywać ducha w swoich rękach. Druga siostra, ta, która naprawdę była Patrzącą w Słońce, ruszyła za złodziejką.
- Dokąd? - spytała ponaglająco Christy.
- Na północ, do granicy pustyni, gdzie wyrasta wielkie wzniesienie. Siostra i Patrząca w Słońce stoczyły walkę. Siostra zginęła, ale i Patrząca w Słońce została śmiertelnie ugodzona. Wiedziała, że nie wystarczy jej siły, by zwrócić ducha klanu do wielkiej *kivy*. Wcale zresztą tego nie chciała. Umierając miała wizję, w której zobaczyła, że klany się rozdzielają i rozchodzą jak ziarna suchego kłosa. Zakończył się czas słońca. Teraz miał nastąpić czas demonów. Duch klanu musi pozostawać w ukryciu - tłumaczyła dalej Eunice. - Dlatego Patrząca w Słońce pozostała ze swoją zmarłą siostrą i duchem w *kivie*, chronionej dobrze skałami. A potem Patrząca w Słońce przywołała wielki głaz z kanionu, by je przykrył i pogrzył ducha w świętej ciszy.
Kiedy obie Indianki umilkły, Christy poczuła dreszcz emocji.

- Jaskinia - odezwała się. - Byłam w grobowcu tamtej Patrzącej w Słońce. Tam właśnie zginął Johnny. Patrząca w Słońce przemówiła znowu.

- Ktokolwiek zakłóca spokój ducha klanu, umrze - przetłumaczyła Eunice.

- Czy mogłabym... czy obcy może zobaczyć, co Johnny przyniósł Patrzącej w Słońce?

Nie czekając na tłumaczenie, starsza kobieta rozpięła dzinsową kurtkę. Na jej szyi wisiał żółw identyczny jak ten, którego Christy widziała na wystawie u Huttona. Ozdoby różniły się jedynie rozmiarem i odcieniem turkusa tworzącego okładzinę. Żółwiowi Molly brakowało jednej z łusek skorupy, a jedyne zachowane oko było czarne, nie turkusowe.

Christy wstrzymała oddech. Sięgnęła do kieszeni. Jej ręka natrafiła na czarny paciorek, który znalazła w jaskini.

- Zawołaj Caina - zwróciła się do Eunice.

Indianka rzuciła jej zdziwione spojrzenie, ale Patrząca w Słońce zdążyła już się odwrócić w kierunku czekającego mężczyzny.

- Chodź - przywołała go.

Chwilę później Cain stał w *kivie* obok Christy. Oczy błyszczały mu ciekawością.

- Gdzie masz ten kawałek turkusa, który znaleźliśmy w jaskini? - zapytała Christy.

Cain wyciągnął z kieszeni kamień o dziwnym kształcie. W tym samym czasie Christy wyjęła swój czarny paciorek. Patrząca w Słońce położyła na dłoni żółwia. Zarówno niska, jak i oko pasowały doskonale, uzupełniając ozdobę. Stara Indianka przemówiła łagodnym głosem i pogładziła delikatnie talizman. W jej oczach zaślnęły łzy, kiedy wsunęła go do kieszeni.

Eunice westchnęła głęboko.

- Nawet nie wiem, jak wam dziękować - powiedziała. - Ten talizman jest bardzo ważny dla naszego klanu.

- Jest jeszcze jeden żółw - odezwała się Christy.

- Gdzie? - zapytała ostro Indianka.

- Ma go Peter Hutton.

- Kto to taki?

- Człowiek, który jest właścicielem ruin, w których Johnny znalazł oba żółwie.

- Nie właścicielem - powiedziała twardo Patrząca w Słońce. - To nasze!

- Według waszego prawa ziemia jest wasza. Prawo białych jest inne, ale jeśli będziecie odpowiednio naciskać władze, być może Hutton odstąpi chociaż od wykopywania kości... gdyby nawet nie chciał zwrócić innych rzeczy znalezionych w jaskini.

Eunice przetłumaczyła pospiesznie słowa Caina i zwróciła się do niego z pytaniem:

- Kości? Czy to znaczy, że żółwie zostały znalezione w miejscu pochówku?

- W grobowcu były dwa szkielety kobiece. Talizmany zostały znalezione przy nich.

- Pochowano je w *kivie* - dodała Christy.

- Siostry - szepnęła Eunice.

Cain spojrział uważnie na starszą Indiankę. Dostrzegł, że jest wstrząśnięta. Zaczęła mówić, szybko wyrzucając z siebie słowa.

Eunice tłumaczyła równie szybko.

- Patrząca w Słońce śniła o dwóch siostrach, ale widziała tylko jedną w świetle poranka.

Molly odwróciła się i zaczęła chodzić od niszy do niszy, zaglądając we wszystkie puste kąty, jakby spodziewała się odnaleźć w nich dawne czasy, kiedy wszystkie duchy klanu spoczywały bezpiecznie w *kivie*. W końcu odwróciła się od miejsc, w których inni widzieli tylko pustkę, i spojrzała na trójkę oczekujących. Jej ciemną twarz rozjaśnił pogodny blask. Wykonała krótki taniec radości, roześmiana jak młoda dziewczyna. Powiedziała coś do Eunice.

- Ciotka Molly chce, żebyście przynieśli jej drugiego żółwia - zawiadomiła ich młodsza Indianka.

Christy i Cain wymienili spojrzenia.

- Patrząca w Słońce może nie rozumieć prawa białych, ale ciotka Molly zna je bardzo dobrze. Zgodnie z nim drugi talizman należy do Petera Huttona, ponieważ został znaleziony na jego ziemi - powiedział Cain.

Starsza Indianka odezwała się do Eunice, wyraźnie czegoś się od niej domagając. Jej siostrzenica po raz pierwszy zwróciła się bezpośrednio do Caina.

- Czy to miejsce, w którym walczyliście z Johnnym, było położone w pobliżu dwóch kamiennych filarów? - zapytała.

- Tak.

- Jak się tam znaleźliście?

- Christy odkryła na ścianie kanionu wizerunek Kokopellego. Niżej odkryliśmy szlak prowadzący do ruin i poszliśmy nim.

- Johnny już tam był?

- Nie, przyszedł później.
- Żeby jeszcze coś ukraść? - zapytała bez ogródek Eunice.
- Nie, chciał tylko trochę ziemi z *kivy*.
- Pobiliście się o kupkę ziemi?
- Walczyłem z nim, bo mnie zaatakował.

Eunice odwróciła się z powrotem do staruszki, by przetłumaczyć jej treść rozmowy. Molly wysłuchała jej i roześmiała się. Z początku jej siostrzenica wyglądała na zszokowaną, ale szybko zrozumiała o co chodzi. Odezwała się znowu do Caina:

- Ruiny, o których mówisz, nie są niczyją własnością - oznajmiła.
- Jak to?
- To tereny publiczne. Rządowe. Hutton się o tym dowiedział, kiedy Johnny był już w połowie kopania.

Po twarzy Caina przebiegł uśmiech.

- Teraz się nie dziwię, dlaczego Johnny próbował się dowiedzieć, na jakiej podstawie określa się pochodzenie znalezisk - powiedział.

- Chciał udowodnić, że kolekcja Huttona pochodzi z państwowej ziemi - wtrąciła Christy. - I w zamian uzyskać od władz spokój dla Molly.

- Zdobycie odrobiny ziemi z działki nie będzie trudne - stwierdził Cain. - Co innego naczynia Huttona. Musielibyśmy znaleźć coś, co nie zostało jeszcze „zalegalizowane” fałszywymi papierami.

- To pewnie po to Johnny próbował się wtedy włamać do pokoju Huttona - domyśliła się Christy.

Cain kiwnął głową. Oczy zwięzły mu się na myśl o tym, co trzeba będzie zrobić.

Christy nagle zaczęła żałować, że w ogóle się odezwała. Johnny został złapany i brutalnie pobity, kiedy próbował wynieść z domu Huttona potrzebne dowody.

Tym razem Peter i jego ludzie z pewnością okażą się jeszcze bardziej niebezpieczni.

27

Uda ci się namówić Larry'ego Moore'a, żeby nam pomógł? - zapytała Christy.

Cain nie oderwał nawet na chwilę wzroku od szosy. Prowadził białą furgonetkę szybko i ostro, z absolutną pewnością siebie. Przed nimi wyłoniło się San Juan Wali.

- Larry będzie musiał żyć w tym mieście - odparł. - I tak nadstawił dla mnie karku.

- Ale...

- Nie! - odparł Cain stanowczo. - Przynajmniej dopóki nie będę go mógł obronić przed zakusami Danner.

- Jak to załatwisz?

- Tak, jak zamierzał to zrobić Johnny - odparł Cain.

- Wykradniesz nabój z domu Huttona - powiedziała Christy spiętym, nieszczęśliwym głosem.

- Masz lepszy pomysł?

- Tak. Przekaż sprawę policji.

Cain zaśmiał się chrapliwie.

- Chyba wierzysz w Świętego Mikołaja - zauważył sardonicznie. - W chwili, gdy zainteresuje się tym jakakolwiek instytucja państwowa, te garnki i inne dobra po prostu znikną. Wiesz o tym równie dobrze jak ja.

- Jeżeli wydadzą nakaz rewizji...

- Nie ma mowy. Musi istnieć uzasadniony powód rewizji, inaczej nie wydają nakazu.

- Nasze zeznania nie mogłyby stanowić uzasadnionego powodu?

- Może tak, może nie. Zależy od tego, czy władze uwierzyłyby byłemu więźniowi na słowo. Hutton dowiedziałby się o tym w obu wypadkach. Chcesz zaryzykować?

- Więc może uwierzyliby mnie?

Cain zacisnęła dłonie na kierownicy.

- Słyszałaś, co powiedział Johnny. Jo-Jo pozostawiła dowody twojego współudziału w kradzieży. Dlatego Hutton i Danner szukali cię w Nowym Jorku.

- Ale...

- Żadnego „ale” - powiedział Cain ostro. - Jeżeli zgłosimy się do władz, Danner natychmiast się o tym dowie. Jest to równoznaczne z powiadomieniem Huttona.

- Gdyby...

Cain nie pozwolił jej skończyć.

- Możemy się oczyścić z zarzutów tylko w jeden sposób: przeprowadzając akcję na własną rękę. Chciałem cię odstawić w bezpieczne miejsce. Odmówiłaś. Koniec dyskusji.

Przyhamował ostro. Chwilę później ciężarówka skręciła w bity trakt.

- Czy nie tą drogą jechaliśmy przed trzema dniami? - zapytała Christy.

- Owszem. - Cain uśmiechnął się dziwnie.

Przez kilka minut jechali w milczeniu. Wreszcie Christy westchnęła i spojrzała na mężczyznę, który na przemian intrygował ją i złościł od chwili, kiedy zauważyła go w galerii.

- Przypuszczałeś, że to się tak skończy, kiedy zobaczyłeś mnie spadającą z tego zbocza? - zapytała.

Cain rzucił jej ukośnie spojrzenie. Uśmiechnął się do wspomnień.

- Miałem pewne nadzieje - przyznał. - Już w chwili, gdy cię zobaczyłem, wiedziałem, że pod tą fryzurą za sto dorców kryje się stuprocentowa kobieta.

Roześmiała się, ale zaraz zrobiła zmartwioną minę.

- I mnóstwo kłopotów - dodała.

- Ostatnia noc warta jest każdego z nich - odparł Cain. - Podobnie jak widok Patrzącej w Słońce z żółwem w ręku.

Włączył napęd na cztery koła i wjechali na dawne wyschnięte bagna, ciągnące się półtora kilometra od rancza Xanadu. Przejechał na koniec mokradel i zatrzymał się dopiero w wyschniętym korycie strumienia.

Słońce stało już wysoko na niebie, kiedy wysiedli z furgonetki. Po upalnej pustyni Chaco górskie powietrze wydawało się rześkie, kryło już zapowiedź zimy. Poprzedniej nocy był przymrozek. Późółkłe liście topoli o pociemniałych pniach szemrały cicho na wietrze.

- Zostań tutaj - nakazał Cain.

Zaczęła protestować, ale nie dał jej nawet dokończyć zdania.

- Jeżeli nie wrócę za godzinę, masz popędzić po ratunek do Larry'ego.

- Znam rozkład domu. Ty nie.

- Możesz mi go opisać.

Christy nic nie powiedziała.

- Albo mogę to zrobić metodą Johny'ego.

Christy dalej milczała.

Cain przyjrzał się uważnie jej twarzy.

- I tak zrobisz to, co uznasz za stosowne, jak tylko zniknę ci z oczu, co? - zapytał pośepnie.

- Tobie wolno, a mnie nie?

Bez słowa ruszył w dół strumienia. Christy poszła za nim. Przykuciała kiedy on przykuczał, nieruchomiała, kiedy stawał i posuwała się naprzód, kiedy szedł.

Na piaszczystym dnie parowu nadal widniały ślady ich stóp sprzed trzech dni. Wkrótce dotarli do miejsca, gdzie ześliznęli się ze zbocza, uciekając przed strażnikami Huttona.

Christy dotknęła dłoni Caina, dając mu znak, żeby się zatrzymał. Nie chciała, żeby szli do domu Huttona obrażeni na siebie.

- Powinnaś wiedzieć, że należy cię unikać - powiedziała miękko - już wtedy, gdy ściągnąłeś mnie z tego zbocza.

Przez chwilę Cain nie rozumiał, o czym ona mówi. Potem otoczył ją ramionami w pasie i zaraz przesunął dłonie wyżej, muskając piersi.

- Mogłaś mnie spoliczkować w każdej chwili, skarbie.

- Nadal mogę. Ale nie chcę.

Przysunęła się i pocałowała Caina, przytulając go mocno. Odwzajemnił uścisk.

- Poczekasz na mnie w zagajniku? - zapytał z wargami tuż przy jej ustach. - Jeżeli złapią nas oboje, będziemy równie martwi jak Jo-Jo i Jay.

Patrzyła na niego przez długą, pełną napięcia chwilę.

- Dobrze. Ale musisz do mnie wrócić - dodała z pasją.

- Umowa stoi.

Pocałował ją mocno i krótko. Potem pomógł dziewczynie wdrapać się na zbocze. Niedaleko rosły świerki, a w zagajniku panował półmrok.

Stali wśród drzew, nasłuchując. Wokół domu i stodoły nie było żywego ducha. Na łące stał samolot, droga zaś wiodąca ku bramie posiadłości była zupełnie pusta. Również zabudowania i zagrody dla koni świeciły pustkami.

Wielki dom stał niby modernistyczna rzeźba na szczycie wzgórza, wyludniony i samotny, o zamkniętych, ślepych oknach.

- Tam chyba nikogo nie ma - zauważyła cicho Christy.

- To byłby fart.

- Przydałoby się nam trochę szczęścia.

Musiał przyznać jej rację.

- Wygląda na to, że Hutton zamknął już dom na zimę - zauważył. - Mam nadzieję, że nie opróżnił gablot

wystawowych.

- To niemożliwe, żeby wywiózł wszystko w tak krótkim czasie.

Cain skinął głową.

- Zwłaszcza, że to jest bardzo kruche. Nawet jeżeli zabrał ze sobą co bardziej wartościowe sztuki, coś musiał zostawić.

- Zresztą nie łudźmy się; to nie oznacza, że dom nie jest chroniony - dodała z nieszczęśliwą miną. - Cały system z pewnością działa jak należy.

Cain i Christy okrążyli wzgórze i znaleźli się po drugiej stronie, gdzie drzewa rosły gęściej. Nikt nie zakwestionował ich prawa pobytu na terenie Xanadu.

Byli dwadzieścia metrów od miejsca, gdzie Christy uniknęła pogoni, kiedy Cain się zatrzymał.

- Ty dalej nie idziesz - powiedział. - Jeszcze parę kroków i nie miałabyś szans odwrotu, gdyby coś poszło nie tak.

- Poczekaj! - zawołała, kiedy się odwracał.

Patykiem naszkicowała na piasku plan domu.

- Tu jest pomost - powiedziała, wskazując miejsce patykiem. - Tędy prowadzi droga do głównej galerii, gdzie stoją gabloty wystawowe.

Cain skinął głową.

- Nie wiem, ile pożytku będziemy mieli z tych garnków - dodała Christy. - Kiedy je widziałam, były wyczyszczone i wypolerowane.

- Na wypadek, gdyby gabloty były puste... albo garnki zbyt wypucowane... gdzie jest pokój, do którego próbował włamać się Johnny? Christy szybko uzupełniła szkielet.

- Tutaj - powiedziała. - Szkielet drugiej siostry też powinien tam być.

- W porządku. Wrócę najszybciej jak się da.

Ścisnął ją za ramię, przeszedł na skraj zagajnika, rozejrzał się i biegiem pokonał trawnik dzielący lasek od domu. Przyłgnął do tylnej ściany, tuż obok okna sypialni Jo, i nasłuchiwał. W domu panowała niezmacona cisza. Spróbował otworzyć okno.

Było zamknięte.

Spokojnie wybrał kamień wielkości pięści i uderzył delikatnie w szybę. Stłukła się, wydając dźwięczny, muzyczny akord. Wyjął z framugi kilka długich odłamków, ostrożnie wsunął rękę do środka i odblokował klamkę. Okno ustąpiło łatwo. Cain odsunął kotarę, zamieniony w słuch. Nie usłyszał nic poza własnym oddechem. Przełożył nogę przez parapet i już zamierzał wśliznąć się do środka, kiedy w oknie ukazał się połyskliwy, chromowany pistolet.

- Mam cię! - powiedział Danner triumfalnie.

Cain osunął się ciężko wprost na szeryfa. Obaj zwałili się na podłogę, Cain uczepony ręki przeciwnika. Pistolet wystrzelił dwukrotnie i bardzo głośno, na sekundę przedtem, zanim upadł na podłogę.

Christy rzuciła się do biegu, zanim jeszcze umilkło echo strzałów - ale ku domowi, nie w przeciwną stronę. Strach, że Cain może być ranny, a nawet martwy, wymazał wszystkie inne myśli.

Miała jeszcze dość zdrowego rozsądku, żeby nie wskoczyć do domu przez otwarte okno. Zrobiła to, co Cain; rozpląszczyła się na ścianie i słuchała.

- Ty skurwielu - powiedział Danner. - Dopadnę cię, choćby miało mnie to kosztować życie.

- Na razie cholernie skomplikowałaś moje - mruknął Cain. - Gdzie jest Hutton?

- Pieprz się!

- A ja myślałem, że lubisz małe dziewczynki.

Rozległo się sapanie, odgłos tępego uderzenia i znowu sapanie.

Christy zerknęła przez okno.

Szeryf Danner leżał płasko na brzuchu, Cain siedział na nim. Jedną ręką, zagrzebaną we włosach Dannera, odchyłał jego głowę pod ostrym kątem. Drugą rękę zaciskał na przegubie Dannera, który znajdował się między łopatkami szeryfa.

Tuż przy prawym ramieniu Dannera leżał pistolet. Mężczyźni znaleźli się w impasie. Żaden nie mógł sięgnąć po broń. Sytuacja mogła ulec zmianie w każdej chwili.

Danner miał dwadzieścia kilogramów przewagi, z czego tylko niewielki procent stanowił tłuszcz.

- Cain? - odezwała się Christy cicho. - Wchodzę.

- Warto ci wydawać rozkazy, do ciężkiej cholery!

- Już myślałam, że nigdy tego nie zauważysz!

Christy przelazła przez parapet okienny, bez wahania podniosła pistolet i zabezpieczyła kilkoma wprawnymi ruchami.

Cain uniósł brwi.

- Nie pierwszy raz trzymasz w ręku coś takiego, co?

- Mieszkam sama na Manhattanie. Z dziesięciu metrów trafiam w tarczę dziesięć razy na dziesięć.

- Jak ci idzie z żywym celem?

- Mam nadzieję tego nigdy nie sprawdzić.

- Więc Hutton miał rację! - powiedział Danner z gniewem. - Ona tkwi w tym razem z siostrą!

- W tym? - zapytał Cain ironicznie. - Co przez to rozumiesz?

- Kradzież! - odparł Danner treściwie.

- Jestem reporterką, a nie złodziejem - oburzyła się Christy.

- Kradzież z włamaniem - dodał Danner.

- Włamanie dokąd? - zdziwił się Cain. - Kradzież czego?

- Jakbyś nie wiedział, skurwielu!

Nagle Danner zaczął wydawać takie dźwięki, jakby brakowało mu powietrza.

- Masz wybór - powiedział Cain przez zaciśnięte zęby. - Wolisz mówić czy się udławić?

- Dwa dni temu ktoś włamał się do domu Huttona i go wyczyścił - wykrztusił Danner. - Nic nie zostało.

Cain i Christy wymienili spojrzenia.

- I dlatego tu jesteś? - zapytał Cain. - Szukasz dowodów?

- Aha.

- Znalazłeś coś?

- Nie - jęknął Danner.

- Co zginęło? - zapytała Christy.

- Wiesz lepiej ode mnie, ty mała...

Słowa utonęły w jęku, kiedy Cain przygwoździł rękę szeryfa do jego pleców.

- Nazywa się panna McKenna - poinformował. - A teraz jej odpowiedz.

- Garnki - powiedział Danner z przymusem. - Paciorki. Wszystkie te cholerne skorupy Moki, z których Hutton był taki dumny.

- Nic nie zostało? - zapytała Christy.

- Wy to wiecie najlepiej - odciął się Danner. - Wyczyściliście gabloty tak, że nawet kurz nie został.

- Cholera! - zawołał Cain z wściekłością. - Skurwielowi się upieczę.

- O czym ty mówisz? - dopytywał się Danner.

- O morderstwie.

- Moja siostra i jej kochanek - powiedziała Christy.

- Jo? - zapytał Danner. - Ta luksusowa dupa Huttona?

- Zgadza się - powiedział Cain. - Ona i pilot odrzutowca zginęli, kiedy samolot eksplodował przy starcie w Santa Fe.

- Nie wierzę wam.

- Jezu, Danner! - powiedział Cain z niesmakiem. - Po co miałbym wymyślać coś takiego?

- Hutton powiedział, że bierzecie w tym udział: Jo, Jay i was dwoje. Że go obrabowaliście, Jay przewiózł zbiory, a...

- Jay nie przewiózłby nawet muchy - powiedział Cain brutalnie. - Był rozsmarowany po pasie startowym.

Christy zaczerpnęła głęboko powietrza.

- Poza tym, jeżeli już obrabowaliśmy Huttona, po co włamujemy się teraz do pustego domu? - zapytał Cain.

Danner nie odpowiedział.

- No? - domagał się odpowiedzi Cain.

- Nie wiem.

- Pewnie, że nie wiesz, szeryfie. Nie wiesz w ogóle nic.

- Widziałem, jak włamujecie się do domu Huttona. Widziałem, jak zamordowałeś Johnny'ego Dziesięć Kapeluszy.

Wiem, że jesteś pieprzonym złodziejem ...

- Jedno trafienie na cztery strzały, całkiem nieźle - przerwał mu Cain z sarkazmem.

- Zero trafień - powiedziała Christy beznamiętnym tonem. - Samoobrona to nie morderstwo.

- Co się stało? - zapytał szeryf. - Johnny'emu zdruzilo się w końcu, że go okradacie i wystawił was do wiatru?

- Szeryfie Danner! - mruknęła Christy. - Niech pan się zamknie i słucha!

Szeryf byłby protestował, ale Cain przygniótł mu rękę do pleców.

- Po pierwsze, nie widziałam się i nie komunikowałam z siostrą przez dwanaście lat, aż do zeszłego tygodnia. Po drugie, nisza, z której pochodzą zbiory Moki Petera Huttona, leży na gruncie publicznym.

Szeryf znieruchomiał pod Cainem.

- Po trzecie, Jo-Jo, Jay i Johnny Dziesięć Kapeluszy kradli z niszy, od Huttona i od siebie nawzajem.

Napięcie stopniowo ulatywało z wielkiego ciała szeryfa Danner.

- Po czwarte - ciągnęła Christy - Cain nie miał z tym wszystkim nic wspólnego. Po piąte, Jay postrzelił Caina tej wiosny. I nie był to wypadek na polowaniu - dodała pogardliwie. - Po szóste, Cain nie jest mordercą!

Czując, że szeryfa opuszcza ochota do walki, Cain poluzował uścisk, ale nie cofnął dłoni. Wcale nie był pewny, czy Danner nie skoczy ku Christy, żeby odebrać jej pistolet.

- Po siódme - mówiła Christy zimnym głosem - czy może pan udowodnić, że nie współdziałał w kradzieży, szantażu i morderstwie?

- Co?! - zapytał zaszokowany Danner. - Kobieto, jestem cholernym szeryfem okręgu Remington!

Oburzenie na twarzy Dannera było tak autentyczne, że Christy zaczęła się śmiać. Śmiała się i śmiała.

- Spokojnie, kochanie - powiedział Cain, przyglądając się jej uważnie. - Już prawie koniec. Nawet taka zakuta pała jak nasz szeryf prędzej czy później ujrzy światło.

Christy odetchnęła głęboko, spazmatycznie.

- Już dobrze - powiedziała. - Gdybyś tylko mógł zobaczyć jego twarz...

Cain uśmiechnął się lekko.

- Potrafię sobie wyobrazić. Jesteś gotowy negocjować, szeryfie?

- Jesteście gotowi się poddać? - odciął się Danner.

Chwilę trwało, zanim Cain zrozumiał, że szeryf mówi poważnie.

- Niby tak - powiedział. - Ale jest warunek.

- Jaki?

- Tyłek Huttona - powiedział Cain zwięźle. - Gdzie jest ten skurwysyn?

- Czy Jo i pilot naprawdę nie żyją? - zapytał Danner.

- Naprawdę. Nie wierzysz, zadzwoń do Santa Fe. Musieli już zidentyfikować szczątki.

- Puść mnie.

Cain spojrział na Christy. Wycofała się razem z pistoletem poza zasięg Dannera. Cain puścił szeryfa i wstał, nie spuszczać z niego wzroku.

- Cholera! - zaklął Danner, przekręcając się na bok i masując prawe ramię. - Nic dziwnego, że to Johnny zleciał z urwiska.

Wstał powoli.

Christy cofnęła się jeszcze o parę kroków. Zapomniała, jaki potężny jest szeryf.

Danner podniósł kapelusz i poprawił zniekształcone denko. Potem długo patrzył na Caina.

- Naprawdę uważasz, że Hutton zabił swoją modelkę?

- On albo Autry - odparł Cain. - Autry jest odpowiednio szkolony.

- Dlaczego miałby ich zabijać?

- Szantaż, jak przypuszczam.

- I to wszystko z powodu kilku paskudnych indiańskich skorup? - zapytał Danner. - To wariactwo!

- Hutton nie mógł dopuścić do skandalu - powiedziała Christy.

Danner odwrócił się w jej stronę.

- Zafascynowanie starożytnymi wyrobami Anasazi znalezionymi na własnej ziemi przez doświadczonych archeologów to jedno, ograbianie unikatowego i ważnego wykopaliska na terenie publicznym, to zupełnie co innego - wyjaśniła Christy.

Danner potrząsnął wolno głową, ale nie podważył argumentów Christy. Po prostu dalej nic nie rozumiał.

- Teren publiczny - powtórzył. - Niech go licha!

- Jo-Jo i Jay wiedzieli, że Hutton kopie na terenie państwowym - podjął Cain. - Przypuszczam, że szantażowali go, jednocześnie okradając wykopalisko. Albo Hutton bał się szantażu w przyszłości.

- Taka wersja wydarzeń byłaby bardzo korzystna dla was - powiedział szeryf.

- Co pan przez to rozumie? - zawołała Christy. - Cain jest niewinny!

- Jasne - Danner wzruszył ramionami. - Możemy ogłosić to w prasie. Co do reszty...

Christy czekała.

- Nawet gdybym wam uwierzył... - ciągnął szeryf. - Hutton ma pieniądze, a Autry dość rozumu, by usunąć ślady.

- Zostawili całą cholerną niszę - powiedział Cain. - Dostarczę ci wszystkich dowodów, jakich trzeba.

- Nie sądzę. Hutton i Autry pojechali w góry przed godziną. Wzięli ze sobą kilka skrzynek dynamitu.

Cain zaklął brzydtko.

Gestem rezygnacji Danner nasadził sobie na głowę kapelusz.

- Jedni wygrywają trochę, inni trochę przegrywają, a jeszcze inni w ogóle nie mają szans - powiedział. - Nie podoba mi się to, ale cholernie mało mogę na to poradzić.

- Tej rozgrywki na pewno nie przegram - powiedział Cain chrapliwym głosem.

- Owszem, przegrasz - odparł szeryf ze znużeniem. - Hutton i jemu podobni nawet nie ponoszą konsekwencji. Po prostu wsiadają do prywatnego odrzutowca i odlatują do Nowego Jorku albo Los Angeles. Koszty ponosimy my, maluczcy.

Wilczy uśmiech pojawił się na ustach Caina.

- Ale jeszcze nie wsiedli do tego prywatnego odrzutowca - powiedział miękko. - Są nadal tutaj, pośród piaskowców. Cain odwrócił się i opuścił dom tą samą drogą, którą przyszedł - przez okno. Zaczął biec w chwili, gdy dotknął nogami ziemi.

Christy popędziła za nim, nadal z pistoletem szeryfa w dłoni.

28

Kiedy Cain parkował furgonetkę pięćdziesiąt metrów od Sióstr, krawędź wąwozu kryła się już w głębokim cieniu. Podeszedł do przepaści i spojrzał w dół.

Najwyraźniej istniała łatwiejsza droga do ruin, prowadząca z doliny. Na dole stała ciężarówka z rancza, ale wokół nie było żywej duszy.

Cain uniósł dłoń, dając Christy znak, że może podejść bliżej. Szept wiatru pośród cedrów zagłuszył niemal odgłos jej kroków.

- Są ciągle w środku - powiedział cicho.

Christy westchnęła ciężko.

- Nadal uważam, że to ja powinienem wziąć pistolet.

- Kiedy po raz ostatni trzymałeś broń w ręku? - zapytała.

- Nigdy. Kiedy po raz ostatni zabiłaś człowieka?

- Z bronią o takim zasięgu nie musimy się martwić, że kogoś zabijemy. Będzie dobrze, jak trafimy w tę cholerną niszę.

Cain błysnął uśmiechem.

- Ale ten odkryty pas skał jest niebezpieczny - dodała Christy. - Gdyby ktoś zaczął do ciebie strzelać, mogłabym się przynajmniej ostrzeliwać.

Miała rację i Cain o tym wiedział. Po prostu takie rozwiązanie nie przypadło mu do gustu.

- Możesz pójść ze mną tylko pod ten nawis skalny pod niszą. Nie dalej, Ruda. Mówię poważnie.

Zaczął schodzić. Christy zatknęła pistolet za pasek i poszła w ślady Caina.

Słońce zaszło i powietrze z chłodnego zrobiło się przenikliwie zimne. Christy podciągnęła suwak kurtki aż pod szyję. Pistolet ziębł ją w brzuch.

Opuszczali się powoli w głąb rozpadliny, aż dotarli do miejsca, gdzie stopnie wykute w skale przecinały przednią ścianę wąwozu. Było to miejsce odsłonięte i przez to niebezpieczne.

- Idę pierwszy - szepnął Cain. - Zostań tutaj, aż się zorientuję, co jest grane. Kiedy podniosę rękę, podejdziesz ostrożnie.

Nie odpowiedziała, więc odwrócił się i ujął w dłonie jej twarz.

- Kiedy usłyszę, że ktoś się za mną skrada - powiedział beznamiętnym tonem - nie będę miał czasu na pytania i wątpliwości. Natychmiast odwróć się i posłę tego kogoś na dno wąwozu. Obiecuj mi, że to nie będziesz ty!

Lodowaty chłód w jego oczach nie pozostawiał wątpliwości, że mówi poważnie.

- Obiecuję - szepnęła.

Popatrzył na nią badawczo i skinął głową.

- Ale to mi się nie podoba! - mruknęła.

- Nie bardziej niż mnie.

Puścił ją i odwrócił się w stronę niszy. Ale zamiast ruszyć biegiem, zamarł w bezruchu.

Postaci Huttona i Autry'ego odcinały się ostro na tle ciemnego wejścia. Stali naprzeciwko siebie, Autry z niewielkim plecakiem, Hutton w nonszalanckiej pozie, z rękami głęboko w kieszeniach kurtki własnego projektu.

Jeszcze przez minutę dyskutowali zawzięcie na kupie gruzu. W końcu Autry sięgnął do plecaka i wyszarpnął ze środka coś, co przypominało radio.

Cainowi dreszcz przeleciał po plecach. Nie miało to nic wspólnego z chłodem wieczoru. Przypomniawszy sobie, co Danner mówił o dynamicie.

- Jak dobrze radzisz sobie z tym pistoletem? - zapytał zwięźle. - Namierzyłabyś Autry'ego?

Christy zamrugnęła, zaskoczona, ale bez słowa oceniła odległość.

- Stąd? - zapytała.

- Tak.

- Wątpię, czy go trafię, ale mogę go niezłe przestraszyć.

- Zrób to! Szybko!

Chwilę później huknął strzał. Autry zgiął się w pół i zatoczył do tyłu.

Christy zamarała z dłonią na rękojeści. Nie zdążyła nawet wyjąć pistoletu zza paska.

- Ja nie... - zaczęła.

Drugi strzał zagłuszył jej słowa. Zanim echo przebrzmiało, Autry osunął się na kolana. Peter Hutton stanął nad nim z pistoletem w ręku.

Cain i Christy patrzyli zaszokowani, jak Hutton przykładła malutki pistolecik do głowy Autry'ego i pociąga za spust po raz trzeci. Autry padł twarzą w gruz i już się nie poruszył.

Hutton pochylił się nad swoją ofiarą. Bez wahania przyłożył lufę do pleców Autry'ego i strzelał tak długo, aż wystrzelał wszystkie naboje.

- Jezu Chryste! - powiedział Cain bez tchu. - Spotkałem kilku zimnokrwistych skurwieli w więzieniu, ale czegoś takiego jeszcze nie widziałem.

Zamknięwszy oczy, Christy próbowała wymazać obraz z pamięci. Zaciśnęła zęby, tłumiąc mdłości.

- Nigdy więcej nie nazywaj siebie mordercą - powiedziała z trudem. - Jesteś przeciwieństwem Huttona.

Hutton spojrział na Autry'ego. Po chwili otrząsnął się, jak człowiek budzący się ze snu. Wsadził pistolet z powrotem do kieszeni, pochylił się i chwycił Autry'ego za nogi.

Sapiąc z wysiłku, zaczął ciągnąć bezwładne ciało z powrotem do niszy. Dotarłszy do progu, dźwignął swoją ofiarę do pozycji siedzącej i oparł o ścianę. Otarł dłonie o spodnie gestem świadczącym o tym, że bardzo nie lubi ich brudzić. Przekroczył wysoki próg i spróbował przeciągnąć przez niego również ciało Autry'ego.

Nie było to łatwe. Hutton niemało się namordował, zanim w końcu wtaszczył zwłoki do środka.

Cain podniósł się w chwili, gdy morderca zniknął w pieczarze.

- Co chcesz zrobić? - zapytała Christy.

- Złapać drania, zanim przyjdzie mu do głowy ponownie naładować pistolet.

Cain wyszedł zza osłony skał i ruszył pędem przez otwartą przestrzeń piaskowca w stronę wejścia do niszy.

Christy niemal deptała mu po piętach. Kiedy dotarła do sterty gruzu, Cain chwycił ją za rękę i ściągnął w dół. Drugą ręką zakrył jej usta, zmuszając do milczenia i bezruchu.

Hutton mówił do kogoś znajdującego się w niszy. Oddech mu się rwał.

- Mówiłem ci, Jo... dostanę go. Myślałeś, że jesteś taki cholernie sprytny, skoro pieprzysz jednocześnie ją i mnie. Ale ja byłem sprytniejszy od was obojga.

Rozległ się jęk, potem przekleństwo.

- Niech cię, Ted. Ważysz z tonę. Stawaj na nogi.

Cain przyłożył wargi do ucha Christy.

- Hutton mówi do siebie - wyszeptał. Christy skinęła głową.

- Chcę wziąć skurwiela żywcem - powiedział Cain. - Na wypadek gdyby Danner miał wątpliwości.

Skinęła głową.

- Zostań tutaj.

Christy nie skinęła głową.

- Do diabła, Ruda!

Ucałowała dłoń zakrywającą jej usta i popatrzyła na Caina nieruchomym wzrokiem.

- Więc osłaniaj mnie, kiedy będę się wspinał - poprosił Cain.

Skinęła głową.

Wolno cofnął rękę z jej ust.

- Uważaj na siebie, kochana - wyszeptał.

Odwrócił się i zaczął się wspinać pewnie i szybko.

Christy wyciągnęła ciężki pistolet zza pasa, odbezpieczyła, wsparła łokcie na głazie i przyjęła pozycję do strzału. Lufa pistoletu była wycelowana w miejsce, gdzie pojawiłby się Hutton, gdyby chciał zejść kamienistą ścieżką do ciężarówki czekającej daleko w dole.

Dochodziły do niej urywki rozmowy Huttona z umarłym.

- ...zabić ją... parszywy zdrajca... grozić mnie!...

Cain piął się nieprzerwanie w górę. Poruszał się spokojnie i ostrożnie, niby myśliwy na tropie. Wypróbowywał każdy kamień, sprawdzając, czy się nie obsunie i nie zaradzi jego obecności.

Głos Huttona stawał się coraz słabszy, aż w końcu zanikł zupełnie. Najwyraźniej morderca postanowił zaciągnąć ciało Autry'ego aż na sam koniec niszy.

Christy usłyszała dziwny dźwięk, przypominający osuwanie się skał i trzask rozłupanego drewna. Zastanowiła się, czy huk strzałów nie nadwerżył stropu podtrzymującego potężną bryłę piaskowca.

Cain dotarł do parapetu i położył się pod ścianą, nasłuchując. Podniósł głowę, rzucił jedno szybkie spojrzenie do

środku i przypadł z powrotem do ziemi. Policzył do dziesięciu i spojrzął ponownie, tym razem uważniej, próbując przebić wzrokiem mrok.

Uniósł lekko rękę, przywołując Christy.

Zabezpieczyła pistolet i tak cicho, jak tylko mogła wspięła się na zbocze, tą samą drogą co Cain. Dyszała ciężko, kiedy dotarła do parapetu.

Huttonowi udało się zaciągnąć Autry'ego aż pod prowizoryczne podpory. Teraz stał z rękami na biodrach, łapał oddech i spoglądał na martwego mężczyznę.

- Naprawdę nie było innego wyjścia - powiedział. - Nie mogłem ci ufać. Nie mogłem ufać nikomu. Gdybyś zaczął mówić...

Hutton dyszał ciężko.

- Nie mogłem do tego dopuścić. Nie jestem jak inni ludzie. Nie mógłbym iść do więzienia. To nie byłoby fair. To nie miałyby sensu. Jestem wart sto razy więcej od ciebie.

Mówił rzeczowym tonem, jak człowiek objaśniający, że słońce wschodzi na wschodzie, a zachodzi na zachodzie. Żadne odkrycie. Wszyscy to wiedzą. Zwykły stan rzeczy.

Życie, śmierć.

Chłód przeniknął Christy. Po raz pierwszy zrozumiała, że granica między całkowitym egocentryzmem a obłędem jest bardzo płynna.

Hutton i Jo-Jo byli warci jeden drugiego. Oboje wierzyli, że stanowią pępek świata. Oboje uważali, że zasady obowiązujące ludzkość nie mogą dotyczyć ich samych, osobników wyjątkowych. Zasady były dla małuczkich.

Hutton pochylił się i ponownie pochwycił stopy Autry'ego.

- Czas na ciebie, kochany. Ja muszę złapać samolot.

Postępując i sapiąc zataaszczył Autry'ego jeszcze dalej w głąb niszy.

Cain dotknął ramienia Christy, odciągając ją od wejścia. Czują na policzku jego oddech.

- Zniknął nam z pola widzenia na jakieś trzydzieści sekund. Idę za nim.

Christy gwałtownie potrząsnęła głową.

- Wszystko będzie dobrze - powiedział Cain. - Obserwowałem go. Nie miał czasu naładować broni. Zresztą nie życzę sobie żadnego strzelania! Tam w środku nawet ten jego pistolecik zwaliłby mi na głowę całą górę.

Zanim zdążyła cokolwiek powiedzieć, przeskoczył parapet i wylądował bezgłośnie po drugiej stronie. Z walącym dziko sercem obserwowała jego majaczącą w ciemności sylwetkę.

- Ciao, kochany! - Głos Huttona odbijał się niesamowitym echem od ścian pieczary. - Pozdrów ode mnie Jo i Siostry.

W kompletnej ciszy, jaka nastąpiła po tych słowach, kawałek gruzu, który poturlał się spod nogi Caina, narobił piekielnego hałasu.

Hutton odwrócił się błyskawicznie w chwili, gdy Cain dał nura za zrujnowaną ścianę, i ujrzał tylko cień poruszający się na tle innych cieni.

- Jo? - zawołał niespokojnie.

Jedyną odpowiedzią była cisza.

Hutton sięgnął do kieszeni. Zupełnie machinalnie, jak człowiek kierujący się przyzwyczajeniem, załadował pistolet.

- Jo? Czy to ty, kochana? Chcesz się bawić w te swoje brzydkie gierki?

Krzyk uwiązł w gardle Christy. Każdy krok Huttona zbliżał go do miejsca, gdzie krył się bezbronny Cain.

Christy wydobyła spod kurtki ciężki pistolet. Bardziej wyczuła niż faktycznie zobaczyła przeczący ruch głowy Caina. Wiedziała, czego się boi - skały trzymającej się na słowo honoru, w każdej chwili grożącej zawaleniem.

Może się jednak nie zawali.

Natomiast jeżeli Hutton zobaczy Caina, wynik spotkania będzie oczywisty. Cain zostanie zamordowany.

Więc będzie musiała zaryzykować, pociągnąć za spust i liczyć na to, że sufit wytrzyma. Odchyliła głowę do tyłu i zawołała gardłowo w ciemny otwór niszy:

- Peter...

To jedno słowo odbiło się od czerwonych ścian piaskowca, raz i drugi, aż nie sposób było stwierdzić, skąd właściwie pochodzi.

- Peter...

Christy zawołała jeszcze raz, żeby zagłuszyć metaliczny szcęk odbezpieczanej broni. Trzymając pistolet Dannera w pogotowiu zaczęła się przesuwać w lewo, żeby odciągnąć Huttona od miejsca, gdzie ukrywał się Cain.

Hutton rozejrzał się w panice.

- Jo! Jak mnie znalazłaś?

- Zawsze cię znajduję - powiedziała Christy niskim, gardłowym głosem. - Tak jak błyskawica zawsze odnajdzie ziemię.

Głos dobiegał z różnych kierunków, bo mówiąc przesuwała się w lewo, ciągle w nadziei, że uda się jej odciągnąć

uwagę Huttona od kryjówki Caina.

- Ale ty nie żyjesz! - zawołał Hutton z irytacją. - Ted cię śledził. Widział, jak wsiadasz do mojego samolotu. Nacisnął guzik i dziesięć minut później byłeś już grzanką!

- Tak, nie żyję.

Głos Christy dobiegł znowu z zupełnie innej strony. Hutton odwrócił się w jego kierunku.

- Przecież zawsze lubiłeś demony, prawda? - zapytała ochryple. - Więc jestem, kochany. Jestem twoim demonem.

Głos był złudny jak cienie w półmroku. Hutton postąpił tylko jeden krok.

- Nic z tego, kochanie - powiedział. - Co to za zabawa, kiedy nie mogę cię zobaczyć?

Palec Christy zacisnął się machinalnie na spuście. Nie udało się jej odciągnąć Petera od kryjówki Caina. W każdej chwili mógł zostać odkryty.

Hutton nadal trzymał w ręku pistolet.

- Ale ja ciebie widzę, kochanie - zawołała cicho.

Hutton odwrócił się i zrobił jeden niepewny krok w stronę wabiącego głosu.

Fala ulgi przetoczyła się przez Christy. Jeszcze ruch, dwa i Hutton ustawi się tyłem do Caina.

Musiała tylko dalej się przesuwac i mieć nadzieję, że Hutton nie zacznie strzelać do duchów.

- Nie bój się - powiedziała kusząco. - Przyniosłam puder dla dzieci.

- Ale nie ma wanny - poskarżył się Hutton. - I ty nie kochałaś się z kimś innym. Nic z tego nie będzie, jeżeli nie mogę cię wykąpać i upudrować.

Głos miał cienki i poirytowany; głos dziecka, któremu zburzono rytuał dnia.

Christy otworzyła usta, ale nie wydobył się z nich żaden dźwięk. Nie wiedziała już, jak wykorzystać obłąd Huttona przeciwko niemu samemu.

Ale Cain wiedział. Rzucił się naprzód całym ciałem, zwalając przeciwnika z nóg. Hutton poleciał aż na drugi koniec niszy. Po drodze potknął się o ciało Autry'ego i upadł do tyłu, waląc głową o jeden zdrewnianych słupów. Odgłos tępego uderzenia wypełnił niszę. Hutton osunął się po słupie na ziemię.

Christy podbiegła do Caina, który właśnie wyrwał pistolecik z ręki Huttona.

- Czy on...

- Stracił tylko przytomność.

- Dzięki Bogu!

Cain rzucił jej dziwne spojrzenie.

- Nie wiedziałem, że tak cię obchodzi los naszego poczciwego Petera.

Christy wzruszyła ramionami.

- Zasłużył na śmierć. Ale ty nie zasłużyłeś na to, żeby mu ją zadać.

Z zaskakującą czułością musnął wierzchem dłoni jej policzek.

- Co teraz? - zapytała.

- Teraz obudzimy chłoptasia i powiemy mu, co go czeka w najbliższej przyszłości.

- Siwe włosy i więzienne pasiaki? - Christy próbowała się nie roześmiać. Wiedziała, że jeżeli to zrobi, nie powstrzyma ataku hysterii.

- Prędeż biały kaftan i pokój bez klamek - odparł Cain. - Facet jest zdeklarowanym świrem.

- Zauważyłam.

- Widzisz tu gdzieś jakąś latarnię? Trzeba mu się przyjrzeć, bo na razie słyszę tylko, że oddycha.

Rozejrzała się, zauważyła błysk metalu na jednym z drewnianych filarów i ruszyła w tamtą stronę. Wtedy błądy poblask gdzieś z głębi skały nad głową przykuł jej uwagę. Zadarła głowę i zajrzała w głąb szczeliny.

- Cain!

Ostra nuta strachu w jej głosie poderwała Caina na nogi.

- Co się stało?

- Boże! Autry... samolot...

„Nacisnął guzik i dziesięć minut później byłeś już grzanką”.

Cain odsunął Christy i spojrzał na miejsce, które mu wskazała. Szczelina zapakowana była dynamitem i przewodami. Elektroniczne pudełko z połyskującymi cyferkami odliczało czas do eksplozji. Autry nastawił bombę, zanim zginął.

- Uciekaj stąd! - krzyknął Cain.

Christy nie miała wyboru. Palce Caina, zacisnięte wokół jej ramienia jak żelazne obręcze, ciągnęły ją przez mrok i sterty gruzu. Cain przesadził ją przez niską ściankę, przeciągnął przez rumowisko i dalej po schodkach wykutych w skale. Christy przeszła tunel na czworakach, wyprostowała się i przebiegła do miejsca, gdzie drogę zagrodziła jej ściana wąwozu. Cain pochylił się i wyciągnął ku niej splecione dłonie.

- Postaw nogę...

Christy właśnie to robiła. Cain wyprostował się, jednocześnie unosząc dłonie. Podrzucił ją z taką siłą, że wylądowała poza krawędzią i jeszcze przetoczyła się parę metrów. Podniosła się w chwili, gdy Cain wyprysnął z wąwozu, chwycił ją za rękę i ruszył pędem przed siebie, z dala od krawędzi. Ziemia zdawała się umykać im spod nóg.

W chwili gdy dopadli samochodu, suchy grzmot przetoczył się przez kanion. Chwilę później odpowiedziało echo.

Z przeciągłym łoskotem piaskowiec oderwał się od brzegu wąwozu. Sufit niszy wisiał przez chwilę bez żadnego podparcia, po czym runął, pociągając za sobą kawał ściany.

Pieczara została zniszczona w ułamku sekundy, a jej szczątki pogrzebane pod górą głazów.

- Patrząca w Słońce miała rację - wyszeptła Christy, kiedy łoskot obsuwających się kamieni umilkł na dobre. - Człowiek, który zakłóci spokój Sióstr... umiera.

Epilog

Gorące źródła parowały i kipiały łagodnie wokół Christy i Caina. Nad ich głowami płonęła Droga Mleczna, niby srebrny pomost między nie odkrytą przeszłością i nieznaną przyszłością.

Moki spał nieopodal otulony kocami, tak by nie urażały jego gojących się ran. Christy przechyliła się i naciągnęła róg koca na kark psa, żeby osłonić go przed chłodem nocy. Moki machnął ogonem pod przykryciem i polizał ją w rękę.

- Rozpieszczasz go - powiedział Cain.

- Aha. A jakie to przyjemne.

Roześmiał się cicho i przyciągnął Christy przez wodę. Usiadła mu na kolanach, twarzą do niego, oplatając go nogami.

- Mnie też chcesz porozpieszczać? - zapytał.

- A co robię przez ostatnie dwa tygodnie?

- Rozpieszczasz mnie bezgranicznie.

- Bezgranicznie?

- Nałogowo.

Odpowiedź Christy przeszła w cichy jęk, kiedy dłonie Caina odnalazły drogę do jej piersi.

- Czy ja też cię trochę rozpieściłem? - zapytał z wargami na jej ustach.

- A jak myślisz, dlaczego tu jestem?

- Moki?

Z cichym śmiechem obrysowała językiem kształt jego warg.

- Danner? - próbował dalej Cain.

- Wyszoruj sobie usta mydłem!

- Och, nie okazał się taki zły.

- Kiedy? Przed czy po tym, jak próbował wybielić Petera Huttona?

Cain tylko wzruszył ramionami, wzburzając wodę między piersiami Christy.

- Teraz w oczach świata Hutton jest nowoczesnym artystą, który dla swojej sztuki dał się zagrzebać żywcem - powiedziała Christy z goryczą.

Cain mruknął coś niezobowiązująco.

- A Autry oszalałbym kochankiem, który wołał raczej zabić Jo-Jo niż oddać ją innemu mężczyźnie - dodała Christy.

- Nie zapominaj o Patrzącej w Słońce. Jej też coś się z tego dostało.

Christy nabrała głęboko powietrza i wypuściła je powoli.

- Tak - powiedziała. - Nigdy nie zapomnę wyrazu jej twarzy, kiedy oddaliśmy jej drugiego żółwia.

- Jakby się patrzyło na wschód słońca dwa razy tego samego dnia - przyznał Cain miękkiem głosem. - Odrobina nieprawdy to nie jest chyba zbyt wygórowana cena za takie doświadczenie.

Fala gorąca przetoczyła się przez Christy, kiedy dłonie Caina przesuwały się z wolna po jej ciele.

- Wcale nie wygórowana - przyznała.

- Lepiej kogoś wybielić niż przyznać publicznie, że twoja sławna i piękna siostra była złodziejką i potencjalną morderczynią - mruknął Cain. - A Peter Hutton szalonym zabójcą z twarzą greckiego boga.

- A Danner idiotą?

- Podobnie jak Jo-Jo. Pilot wydał wszystko co do grosza. - Cain ponownie wzruszył ramionami. - Wszyscy jesteśmy głupcami... w taki czy inny sposób.

- Ale nie ty - powiedziała Christy.

Oddech zaczął mu się rwać, kiedy poczuł na sobie jej rękę, przesuwaną się coraz niżej.

Na oślepie namacał ręką foliową torebkę którą zostawił nad brzegiem basenu.

- Ja także - powiedział. - Jestem głupcem, który zamierzał poprosić kobietę, która nienawidzi Zachodu, żeby za niego wyszła i spędziła tutaj życie.

- Zabawne. - Christy z trudem łapała oddech. - Myślałam o tym, żeby poprosić mężczyznę, który nienawidzi miasta,

żeby się ze mną ożenił i spędził tam życie.

Cain na chwilę znieruchomiał. Potem odszukał wargami jej usta w gorącym, namiętym pocałunku. Kiedy skończył, oboje oddychali ciężko. Cain podniósł malutką paczuszkę z pytaniem w oczach. Christy wyjęła mu ją z palców... i wyrzuciła. Folia zamigotała w świetle i zniknęła pod ciemną taflą wody. Christy wsunęła się na Caina jednym płynnym ruchem, łącząc ich ciała. Doznanie było intymne, niepowtarzalne, gorętsze niż parująca woda.

Cain jęknął, opanowując się siłą woli.

- Więc co wybieramy? - zapytał przez zaciśnięte zęby. - Wschód czy Zachód?

- Tak.

- Ale co?

- I jedno, i drugie. - Musnęła wargami jego usta. - Lato tutaj, zima tam. Nie mam na razie pracy, ale nadal chciałabym powiedzieć Nowemu Jorkowi to i owo.

- A jesienią i wiosną?

Christy przyłgnęła do niego z długim, spazmatycznym westchnieniem.

- Będziemy negocjować.

- Ktoś przegra.

- Nie. Wygramy oboje.

I wygrali.